O. Serafin Kaszuba OFMCap

Strzępy

Wspomnienia i zapiski

**PRZYGOTOWANIE I OPRACOWANIE:**

O. Hieronim Warachim OFM Cap.

Kasper Świerzowski

ISBN 83-85815-07-4

© Wszelkie prawa zastrzeżone

ZAKON BRACI MNIEJSZYCH KAPUCYNÓW - PROWINCJA KRAKOWSKA

Kraków 1994

Nb.

1. W wydaniu książkowym, po „Refleksjach wrocławskich” jest „Aneks”.

W tym wydaniu Aneks nie istnieje, gdyż jego zawartość została włączony do III rozdziału zatytułowanego „Strzępy”.

1. Odnośniki w wydaniu elektronicznym mają numerację ciągłą a w wydaniu książkowym każdy rozdział ma numerację odrębną.
2. Wydanie elektroniczne nie zawiera fotografii umieszczonych w książce.

Spis treści

[Słowo wstępne 3](#_Toc354417689)

[I. WSPOMNIENIA Z PRACY DUSZPASTERSKIEJ NA WOŁYNIU 6](#_Toc354417692)

[Wstęp 6](#_Toc354417693)

[Pożegnanie 7](#_Toc354417694)

[Wołyń 9](#_Toc354417695)

II. [ZAPISKI Z KAZACHSTANU 19](#_Toc354417697)

[Podsumowanie 29](#_Toc354417698)

III. [STRZĘPY 31](#_Toc354417700)

IV. [WIERSZE 115](#_Toc354417702)

[Wiersze poświęcone Annie Dynakowskiej 115](#_Toc354417703)

[Wiersze wyjęte ze „Strzępów” 116](#_Toc354417704)

[Ps. 12 118](#_Toc354417705)

[Inne wiersze 119](#_Toc354417706)

[Modlitwa poranna 120](#_Toc354417707)

[Pogrzeb 121](#_Toc354417708)

[Zguba 121](#_Toc354417709)

[Banrodniła 122](#_Toc354417710)

[Pożegnanie 123](#_Toc354417711)

[Nie było miejsca i nie ma 123](#_Toc354417712)

[Wiersze wpisane do pamiętnika Ireny Gorbań 123](#_Toc354417713)

V. [REFLEKSJE WROCŁAWSKIE 126](#_Toc354417719)

# Słowo wstępne

Autorem „STRZĘPÓW” jest kapłan - zakonnik Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów Alojzy Kaszuba, który w zakonie otrzymał imię Serafin.[[1]](#footnote-1)

Urodził się on we Lwowie-Zamarstynowie 17 czerwca 1910 r. Po złożeniu matury w 1928 r. wstąpił do nowicjatu zakonu Kapucynów w Sędziszowie Młp. W Krakowie studiował teologią i otrzymał święcenia kapłańskie w 1933 r. (wieczyste śluby zakonne złożył rok wcześniej). Na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego studiował następnie polonistyką, otrzymując tytuł magistra w 1939 r.

Wybuch drugiej wojny światowej zaskoczył go we Lwowie. Jesienią 1940 r. na własną prośbą, za zgodą przełożonych, udał się na Wołyń, by tam jako duszpasterz pracować wśród pozbawionej kapłanów ludności polskiej. Wraz z wiernymi przeżywał tragiczne lata 1941-1944, kiedy to ukraińscy nacjonaliści mordowali na Wołyniu polską ludność, palili polskie wsie i miasteczka. Zdany całkowicie na Bożą Opatrzność trwał ofiarnie wśród wiernych, do których Bóg go posłał. Pomyślał również o rodakach za kordonem granicznym sprzed 1939 r., którzy od dziesiątków lat pozbawieni byli kapłańskiej posługi. Ofiarnie sięgał po ich dusze, podejmując ryzykowne „wycieczki duszpasterskie”. W 1945 roku otrzymawszy jurysdykcją duszpasterską na całą diecezją łucką, osiadł w mieście Równe na Wołyniu, gdzie obsługiwał kościoły m. in. w miastach: Równe, Zdołbunów, Dubno, Ostróg, Korzec, Sarny. Docierał także do różnych innych polskich osiedli, wsi i posiołków. Jego duszpasterska gorliwość i patriotyczna działalność nie podobały się władzom sowieckim. Wszczęto przeciw niemu oszczerczą nagonkę w prasie, a następnie 11 kwietnia 1958 r. pozbawiono go praw proboszcza w Równem, zmuszając do opuszczenia miasta.

O. Serafin nie uległ zakazom władz administracyjnych, lecz potajemnie (w rozumieniu władz nielegalnie) spełniał swoje duszpasterskie posługiwanie. Terenem jego apostolskiej działalności stał się niemal cały ówczesny Związek Sowiecki. Swoich „krewnych i znajomych”, czyli polskie rodziny, odnajdywał i odwiedzał od Krymu poprzez Podole, Wołyń, Polesie, Wileńszczyznę po Dźwińsk, Moskwę i Leningrad. Szedł wszędzie tam, gdzie nań czekali katolicy, przeważnie rodacy spragnieni spotkania z kapłanem.

Jesienią 1963 r., tropiony przez funkcjonariuszy bezpieczeństwa (KGB), przeniósł się do Kazachstanu, gdzie prowadził swoją działalność duszpasterską w różnych republikach radzieckich od Ałma-Aty aż po Syberię wśród mieszkających tam Polaków i Niemców. W dniu 6 marca 1966 r. został aresztowany pod zarzutem włóczęgostwa i skazany na pięć lat zesłania. Osadzono go w sowchozie Arykty, gdzie natychmiast podjął pracę duszpasterską, co nie uszło uwadze miejscowych władz. By położyć kres jego „religijnej propagandzie” w sierpniu tegoż roku przeniesiono go karnie do odludnego sowchozu w miejscowości Arszatyńsk (około 350 km od miasta Akmolińsk). W Arykty i w Arszatyńsku o. Kaszuba pisał swoje „Strzępy”, przeplatane wspomnieniami z pracy na Wołyniu.

W święto Matki Boskiej Ostrobramskiej, dnia 16 listopada 1966 r., zwolniono go z kary zsyłki. Zamieszkał w Akmolińsku i natychmiast zaczął apostołować wśród Polaków osiadłych w tamtym rejonie. Jednakże 22 grudnia tegoż roku ponownie go aresztowano i osadzono w odległym od miasta domu dla starców i kalek z surowym zakazem opuszczania zakładu. W miejscu odosobnienia spotkał Polaków, dla których po kryjomu odprawiał Mszę św. i udzielał im Sakramentów świętych. Tam też nadal pisał swoje „Strzępy''. W dniu 9 marca 1967 r. zbiegł z tego zakładu.

Latem 1968 r. o. Serafinowi pozwolono (po miesięcznej zwłoce) udać się do Polski na pogrzeb jego siostry Marii Kaszuby. W kraju podupadł całkowicie na zdrowiu, gdyż od kilku już lat gruźlica płuc niszczyła jego organizm. We Wrocławiu dokonano operacji płuc. We wrocławskim szpitalu w okresie 1969-1970, powstały „Wspomnienia z pracy duszpasterskiej na Wołyniu” oraz „Zapiski z Kazachstanu”. Po prawie dwóch latach leczenia, nie całkiem jeszcze wyleczony i słaby, o. Kaszuba powrócił „do swoich” w Kazachstanie. Mimo usilnych próśb i starań ze strony tamtejszych wiernych władze sowieckie nie pozwoliły mu na „legalne” pełnienie funkcji kapłańskich. Został więc nadal Bożym Włóczęgą. Jeździł tam, dokąd żaden kapłan nie docierał, w przekonaniu, że „Pan go posłał do zbierania ułomków”. Bywał więc w Nowosybirsku, Krasnojarsku, Kańsku, w Taszkiencie. Nawet w tajdze odnajdywał Polaków, nie zapominając przy tym o swoich wiernych na Wołyniu.

19 września 1977 r. przybył do Lwowa, skąd planował wyruszyć w apostolską podróż na północ ZSRR. Tej misyjnej podróży już nie odbył. Nocą został odwołany do domu Ojca. Przygarnięty przez obcych, zmarł samotnie z głową wspartą o brewiarz. Ciało tego utrudzonego apostoła Kościoła Milczenia spoczywa we Lwowie na cmentarzu Janowskim nieopodal grobu Sługi Bożego arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Na jego płycie grobowej wyryto słowa św. Pawła: „Stałem się wszystkim dla wszystkich”.

O. Serafin Kaszuba od wczesnej młodości odznaczał się zamiłowaniem do czytania książek, a przyczyniła się do tego w wielkiej mierze dyplomowana nauczycielka języka polskiego, ukochana przez niego rodzona siostra Maria. Na rozmiłowanie się w polskiej literaturze wpłynął również Leon Poradowski - profesor języka polskiego w V Państwowym Gimnazjum we Lwowie. On to bowiem, zapewne doceniając literackie zdolności ucznia, zlecał mu opracowywanie referatów lub wygłaszanie deklamacji z okazji różnych uroczystości szkolnych. Te młodzieńcze zainteresowania poprowadziły go ku studiom polonistycznym na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie słuchał wykładów sławnych do dziś profesorów - I. Chrzanowskiego, S. Kołaczkowskiego, S. Kutrzeby, S. Pigonia, T. Lehra-Spławińskiego i innych. Ich osobowości nie pozostały bez wpływu na inteligentną i żądną wiedzy psychikę młodego kapłana. W klasztorze miał opinię - zakochanego w książkach”. Profesorowie uniwersyteccy proponowali mu asystenturą; niektórzy współbracia zakonni twierdzili nawet, że gdyby jego życie potoczyło się innymi kolejami, na pewno pozostawiłby po sobie literacką spuścizną.

Nie pozostawił jednak po sobie ani prac naukowych, ani żadnego literackiego dzieła, tylko nigdy do końca niedopracowane i niezakończone wspomnienia i zapiski oraz listy pisane do różnych osób. W tych - jak je sam Serafin nazwał - „Strzępach” pism, które się zachowały, da się zauważyć talent pisarski, dobry styl, umiejętność obserwacji, bogate słownictwo, łatwość i potoczystość w wyrażaniu myśli, a niekiedy poetycką wyobraźnię. Zalety owe sprawiają, że czyta się je z prawdziwym zainteresowaniem nie tylko z powodów poznawczych. Noszą one charakter - używając słów samego Autora - „żywą krwią pisanego” dokumentu. Z treści zachowanych pism przemawia bogactwo jego franciszkańskiej duszy, kochającej Boga i człowieka, jego patriotyzm, ukochanie rodziny i Zakonu, do którego należał. Nie można tu też pominąć ich historycznej wartości dokumentalnej. Na ich podstawie poznaje się życie Polaków i Kościoła katolickiego w kraju urzędowego bezbożnictwa.

Forma i treść pism o. Kaszuby są bardzo zróżnicowane, podobnie jak bardzo zróżnicowane były koleje jego życia. Każdy zapis wymaga więc oddzielnej analizy po to, by móc się należycie wgłębić w jego duszę, która właśnie w tych pismach dyskretnie odsłania bogate pokłady ukrytych w niej skarbów.

Sam autor - w swojej skromności - miał do własnych prac stosunek ściśle określony. We wstępie do „Wspomnień z pracy duszpasterskiej na Wołyniu” wyraźnie zaznaczył, że podjął się ich Jedynie na życzenie naszych Ojców i oczywiście Ad maiorem Dei gloriam”. Miał przy tym świadomość, że te „chaotyczne i na wskroś subiektywne grzebania w przeszłości [...] pozbawione wszelkiego porządku w czasie i przestrzeni” nawzajem się jednak uzupełniają, stanowiąc swoistego rodzaju „różaniec wspomnień” - „nanizany przez jakąś kazachską babkę szereg mniej lub więcej wartościowych kuleczek, wśród których znajdują się czasem znaczne luki”.

Pisma o. Serafina Kaszuby przechowywane w Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie powstały na przestrzeni całego jego życia, w latach 1928-1977. Można je ująć w trzy grupy: 1) WSPOMNIENIA, będące przedmiotem niniejszego wydania. 2) KORESPONDENCJA, ujęta wedle adresatów w następujące zespoły: - do przełożonych; - do o. Albina Janochy OFM Cap., jego serdecznego przyjaciela i łącznika z Prowincją Zakonną; - do rodziny (w szerokim rozumieniu tego słowa); - do różnych osób. 3) INNE, do których należy jego praca magisterska pt. „Zagadnienia sztuki i życia na tle współczesnych kierunków estetycznych włoskich'' oraz artykuły zamieszczone we „Wzlocie Serafickim”.

W całości nie były one nigdy dotychczas ogłoszone drukiem. Wyjątek stanowią tu „Wspomnienia z pracy duszpasterskiej na Wołyniu[[2]](#footnote-2) oraz „Zapiski z Kazachstanu” [[3]](#footnote-3), które zostały przytoczone w książce autorstwa niżej podpisanego pt. „Włóczęga Boży”. Tam też wykorzystano obszernie większe fragmenty innych jego wspomnień i listów do rodziny i współbraci zakonnych.

W tomie niniejszym, w którym zebrano zachowane w różnych formach wspomnienia i luźne zapiski o. Serafina Kaszuby, przyjęto układ chronologiczny opisywanych przez autora wydarzeń (nie zaś wedle czasu ich powstawania) przede wszystkim dlatego, by ułatwić czytelnikowi prześledzenie kolei jego życia. Składają się więc nań I. WSPOMNIENIA Z PRACY DUSZPASTERSKIEJ NA WOŁYNIU, pisane we Wrocławiu w 1969-1970 r.; II. ZAPISKI Z KAZACHSTANU, zaczynające się od słów „Czarne błoto lgnie do nóg...” również spisane podczas szpitalnego leczenia we Wrocławiu w 1969-1970 r.; III. STRZĘPY - dziennik-wspomnienia pisane w Kazachstanie w latach 1966-1967; IV. WIERSZE, wybrane ze „Strzępów” i inne z różnych lat; V. REFLEKSJE WROCŁAWSKIE, zawierające trzy luźne zapiski, z których jeden jest wspomnieniem o o. Bolesławie Wojtuniu, drugi - wypiskiem z książki J. Mertona „Znak Jonasza”, trzeci - osobistą refleksją nad własnym powołaniem zakonnym.

Wszystkie ogłaszane teksty opatrzono tylko niezbędnymi uwagami edytorskimi i objaśnieniami w przypisach na końcu każdej części. Nie wszystkie niejasności zdołano rozwikłać, nie wszystkie okoliczności zdołano wyjaśnić. Wydawcy żywią nadzieję, że żyjący jeszcze dziś świadkowie opisywanych przez o. Serafina wydarzeń, do których dotrze niniejsza książka, udzielą wielu nowych cennych uwag, spostrzeżeń i uzupełnień, które przyczynią się nie tylko do właściwego odczytania tych pism, ale przede wszystkim pozwolą poznać jeszcze bliżej sylwetkę i osobowość samego o. Serafina. Będą one też niewątpliwą pomocą przy wydaniu (planowanym na najbliższe lata) korespondencji o. Serafina.

Wiener Neustadt - Kraków 1991-1993

o. Hieronim Warachim OFM Cap.

# ~ I ~

# WSPOMNIENIA

# Z PRACY DUSZPASTERSKIEJ NA WOŁYNIU[[4]](#footnote-4)

## Wstęp

Po warszawskim krwotoku i późniejszych gwałtownych torsjach chciałoby się wreszcie powiedzieć „nunc dimittis”[[5]](#footnote-5). Bo czyż można by obmyślić wspanialszą nagrodę po blisko trzydziestoletniej tułaczce, jak złożyć głowę wśród Braci i to w otoczeniu kochanych Dzieci - ale przypomina się też św. Marcin: „Jeżeli jeszcze jestem ludowi Twemu potrzebny, niech się dzieje wola Twoja”. Tymczasem trwa zmaganie ze śmiercią. Przypomina się Dürera rycerz, szatan i śmierć. Kto kogo przegoni. Może ta zapowiadająca się na dłuższy czas choroba sprzyja zrealizowaniu życzenia Braci zainteresowanych życiem ostatniego kapłana na Wołyniu. Ten nieco pompatyczny tytuł jest o tyle uzasadniony, że został nadany mi przez władze sowieckie.

Cały szereg refleksji i dorywczo wydobywanych z niepamięci wspomnień zawierają „Strzępy”[[6]](#footnote-6), pisane w Arykty i innych sowchozach, ale pomijając już fakt, że może te chaotyczne i na wskroś subiektywne grzebania w przeszłości nigdy nie dostaną się do Polski, to są one pozbawione wszelkiego porządku w przestrzeni i czasie, wobec tego nanizanie pracowite suchych faktów może być komentarzem dla tamtego żywą krwią tętniącego dziennika, który w tamtym czasie był cudownym antidotum przeciw gryzącej nostalgii. Oczywiście, jeżeli zastosować trywialne już powiedzenie o różańcu „wspomnień”, to przychodzi na myśl nanizany przez jakąś kazachską babkę szereg mniej lub więcej wartościowych kuleczek, wśród których znajdują się czasem znaczne luki. Żeby je uzupełnić, starałem się nawiązać kontakt z towarzyszami wołyńskich i w ogóle rosyjskich przeżyć. Niestety gwałtowna choroba uniemożliwiła dalszy planowany objazd Polski. Jeżeli który z historyków Zakonu zechce dochodzić bliższych [szczegółów, to] w załączeniu zostaną podane adresy odnośnych osób. Zaznaczam, że pracy tej podejmuję się jedynie na życzenie naszych Ojców i oczywiście „Ad maiorem Dei gloriam”.

## Pożegnanie

**Kraków.** Jest sierpień 1939 r. W Krakowie wielki zjazd legionistów. O. Kosma Lenczowski, kapelan I Brygady, znajduje nam poczesne miejsce na finalnym widowisku: *Pan Tadeusz* na dziedzińcu Wawelu. „Hajże na Soplicę” brzmi bojowo. Spowiedź Jacka sięga do trzewi wielu. Polska nie raz cierpiała za egoizm swych synów. Poprzez dźwięki antyhitlerowskiej *Roty* zdają się przebijać słowa Becka: „Nie ma tak wielkiej ceny, za którą można by sprzedać wolność”.

W klasztorze o. Marian[[7]](#footnote-7) błogosławi drżącą ręką: „Jedziesz, nie wiadomo, czy się zobaczymy”. Nie pamiętam, czy się pożegnałem z o. Aniołem[[8]](#footnote-8) , Kosmą[[9]](#footnote-9) i innymi.

Żegnaj grodzie żaków i niespełnionych nadziei..., żegnaj grodzie żaków i niespełnionych nadziei.

**We Lwowie** dość spora rodzina z o. Czesławem[[10]](#footnote-10) żyje w trwożnym podnieceniu. Ja nie mam czasu wdawać się w politykę, bo już nadchodzi czas rekolekcji dla kleryków w Zakroczymiu, Łomży, może i Lublinie, a trudno mi zebrać myśli. Dla mnie jest to sprawa skomplikowana, bo trudno zebrać myśli. Chciałbym osnuć coś na tle *Miserere.* Nie wiedziałem, że coś podobnego opracował ks. Adamski. Ale tu nie chodziło o literaturę. Trzeba dać żywe słowo spod serca, a więc schemat jakoś się kleił. Tymczasem nurt wypadków parł. Chyba gdzieś około 20 sierpnia żegnaliśmy nasze wojsko. Piechota, konnica, artyleria, wszelkiego rodzaju broń, wszystko wystrojone galowo, defilowały Wałami [Hetmańskimi], ul. Legionów, ul. Gródecką na dworzec odprowadzane przez rozentuzjazmowany tłum. Za pociągami leciały serca i kwiaty. Każdy miał swojego...

Po wyjeździe wojska Lwów opustoszał i zamarł w trwożnym oczekiwaniu. Czekało się jakichś wiadomości o gwałtownym pogromie Hitlera. Tymczasem w ostatnich dniach sierpnia przyjechał z Rzymu o. Albin[[11]](#footnote-11) . Widocznie cudzoziemców już tam nie potrzebowano. Z przyjemnością oprowadzałem go po rodzinnym mieście. Byliśmy na Panoramie Racławickiej. Jeszcze pod wrażeniem batalistycznych scen, przechadzaliśmy się po parku, kiedy nagle... detonacja. Pierwsza bomba, popłoch, ludzie cisną się do tramwajów. Nie wiedzą, dokąd uciekać i odtąd nieustannie ryczą ostrzegawcze syreny. A potem ucho przywyka stopniowo do roznoszonych na falach sygnałów: „Halo, nadchodzi”. I zanim człowiek zorientuje się, z której strony, już może być za późno. Bomby biją w schrony, mieszkania, w szczerym polu. Z krużganku klasztoru widać jakby płonący Rzym Neronowy. Pali się jasną pochodnią Baczewski na Zniesieniu[[12]](#footnote-12) , wielkie rafinerie ropy naftowej. Dalej na prawo bomby biją w dworzec kolejowy. W klasztorze w sklepionych podziemiach ciśnie się kto może -matki z dziećmi, staruszki, najbliższa część parafian. Do nas o. Czesław: „Nie bójcie się, bracia, oddałem klasztor w opiekę św. Józefowi”.

Napływają uciekinierzy z zachodu - Krosna, Kutkorza, aż hen od Krakowa. Idą pieszo wygłodniali, żeby się dowiedzieć, że i we Lwowie nie można zostać. Kto może, pozostaje, ale są tacy, co dążą dalej na wschód. O. Chryzostom[[13]](#footnote-13) ostatkiem sił odprawia Mszę św. O. Władysław[[14]](#footnote-14) zaginął, nie wiadomo gdzie. O. Chmura[[15]](#footnote-15) gdzieś w Winnikach poza klasztorem. Tymczasem strzelanina zbliża się od strony Grunwaldu[[16]](#footnote-16) . Kiedy trochę przycicha, wychodzimy na miasto. Na ulicach barykady. Krakowska, Rutkowskiego, Wałowa zarzucone czymś w rodzaju prowizorycznych zasieków. Na murach jakieś fantastyczne odezwy: „Wskrzesimy sławne tradycje bohaterskiego Lwowa. Obywatele, na szańce!” Podpisany gen. Rozmus [?]. Czytało się z bijącym sercem, bo przecież jest jakaś nadzieja. Choćby jak te „kamienie przez Boga rzucone na szaniec”.

W klasztorze lada moment oczekują Niemców. Ktoś ich widział już na Konopnickiej. Naprężenie szalone i oto od węgła ul. Sklepińskiego idą zwartym szeregiem, najpierw długie, w przód wyciągnięte sztyki, a za nimi czapy z pięcioramiennymi gwiazdami. Boże! Bolszewiki! To było coś tak niesłychanego, że nie było nawet miejsca na zdumienie. Skąd? Dlaczego? Nikt nie szukał wyjaśnienia przytłoczony przeogromnym przerażeniem. A co teraz będzie? Żydki triumfują po ulicach w czerwonej orgii. Desperaci odbierają sobie publicznie życie. Do klasztoru wpada na spienionych koniach jakiś szaleńczy oddział: „Błogosławcie nam!” To jakiś oddziałek gen. Sosnkowskiego. Pomknęli jak wicher. Dokąd?

W domu Mama szczęśliwa, że ich nie widzi. Boże, żeby tak umrzeć. W pewnym momencie wpada sąsiad, kapitan Kiełb. Mężczyzna płacze jak dziecko. I oto Lwów ujrzał się czerwonym.

Rozpoczęły się łapanki i wywóz. Każdy wieczór przynosił trwożne wieści, że oto tam czy gdzie indziej gromadzą się ciężarówki. Wywożono rodziny wojskowych, nauczycieli, urzędników - w końcu nikt nie był pewny, czy przenocuje pod swoim dachem. O. Roman[[17]](#footnote-17) ukrywał się na strychu za obrazem, ale złapali go na ulicy. Albin znikł tajemniczo. Zwłoki o. Aleksandra znaleźli gdzieś podobno na cmentarzu w Lesienicach.

Trzeba było szybko starać się o dowód zamieszkania we Lwowie. Inaczej groził los uciekinierów[[18]](#footnote-18) . Pociągi na zachód przepełnione. Marysię Geislar [?] wsadziliśmy przez okno.

Tymczasem nadszedł listopad, pamiętny dzień. Idziemy z Januśką aleją Orląt - a przed nami tłum. Przy Grobie młodzież ślubuje, akademicy w korporatkach, studenci, harcerze: nie damy! Rozlega się *Rota -* potem rozentuzjazmowany tłum woła, co komu wyrywa się z serca: „precz z komunizmem”. Jakiś starczy dyszkancik *odzywa* się piskliwie: „na latarnię ze Stalinem”. A potem jak na onych starych dziadach ostrzegawczy głos guślarza - tylko inaczej brzmiący: „a teraz bracia rozejdźmy się, bo wróg czuwa”[[19]](#footnote-19) .

I szły dni szare, ciężkie, brzemienne jeszcze straszniejszym przeczuciem przyszłości. Trzeba je było wypełnić choćby dorywczą pracą. Zdaje mi się, że przed Adwentem trafiłem do Dublan[[20]](#footnote-20) . Kapliczka w Akademii niewiele dawała pracy duszpasterskiej. Za to życie towarzyskie kwitło. U prof[esorostwa] Romanowskich proszono mnie do tenisa, u Pasierzbów - karty.

A tymczasem w domu Mama dogorywała jak świeca. Lekarze dziwili się, że jeszcze tyle może przecierpieć. Ale przyszedł kres. 4 kwietnia [1940] czytałem jej z *Naśladowania* rozdział o niebie. Naraz zaczęła się agonia. Mnie gwałtowny krwotok zmusił się oddalić. Kiedy wróciłem, było już po wszystkim. Leżała cicha i pogodna. W trumnie nie miała nawet obicia. Ubożuchna, jak jej wzór. Położyliśmy ją obok Józia[[21]](#footnote-21) , którego tragiczną śmierć zawsze przeżywała. Śpij, Mateńko kochana.

Teraz byłem już wolny. Można było posłuchać wołania Bolesława[[22]](#footnote-22) : lubisz lasy, wilki, przechadzki - tu będziesz miał wszystko - przyjeżdżaj. O. Czesław ni radził, ni ganił. Pokazało się, że ks. H. Batowski porzucił parafię, która czekała na proboszcza.

Nie sposób pominąć epizodu z pielgrzymki do Milatyna[[23]](#footnote-23) . Cierpiący P. Jezus miał zawsze atrakcyjną

siłę - zwłaszcza teraz. Zebrała się nas spora gromadka. Wracając śpiewaliśmy *Serdeczna Matko,* a nasi jeńcy przy drogach płakali. Mieliśmy pierwszy raz ostrą „pogawędkę” z konwojem.

Zaczęły się przygotowania do podróży. Tragedię z zapałkami siostrzeńcy jeszcze dziś pamiętają jak przeżycie dzieciństwa. Innych rzeczy zabrało się sporo. O bilety było szalenie trudno, ale pomogła jakaś zakonniczka pracująca w kasie. Na stacji Janeczka[[24]](#footnote-24) przechodziła ze mną szereg eszelonów ze zesłańcami. Słyszeliśmy często: kuda, poszoł won, ale z [...] biletem przepchaliśmy się po głowach do wagonu. Pociąg szedł do Równego. Żegnaj, miasto dziecinnych snów i śpiących Orląt!

## Wołyń

Z nędznej stacyjki rówieńskiej widoczne smukłe wieże kościoła. Ks. dziekan Syrewicz po ojcowsku serdeczny zajmuje jeszcze część plebanii wraz z dwoma wikarymi. Zdaje mi się, że wtedy spotkałem się po raz pierwszy z ks. Chomickim, który przyjechał z Kłosowa.

W kościele zająłem miejsce w konfesjonale pod chórem. Nie wiedziałem, że potem przez długich 12 lat będzie to moja siedziba w opustoszałej świątyni. Teraz nawet w powszedni dzień było gwarno. Do Ludwipola nie było łatwo się dostać. Rozklekotanym autobusem można dojechać do Międzyrzecza, a dalsze 20 km - jak P. Bóg da.

W Międzyrzeczu po raz pierwszy przeglądano mój paszport. Gdzie się podziała broda? Trudno mi było tłumaczyć, że to w Równem radzili mi odpodobnienie się od prawosławnych. Kościół międzyrzecki, dawna przykolegialna świątynia Pijarów, zachował majestat przeszłości. 14 barokowych ołtarzy przypominało czasy, kiedy 40 profesorów obuczało setki konwiktorów. Ks. dziekan Pająk wiedział już, że Dermankę zajął ks. prałat Zagórski, wobec czego moja dalsza podróż będzie bezcelowa, ale poradził jednak jechać do Niewirkowa i tam czekać okazji do Ludwipola, żeby przecież odwiedzić kolegę.

Znalazłem się więc w gościnie u ks. Henryka Dyakowskiego przy najstarszej bodaj w tych okolicach świątyni podominikańskiej. Pora była słotna, drogi rozchlapane, okazji trzeba było więc czekać dobrych parę dni. Dopiero w niedzielę zjawiło się wesele z Medwedówki spod Ludwipola. Tak więc w orszaku weselnym zajechaliśmy na noc do wioski, a rankiem znalazłem się w Ludwipolu.[[25]](#footnote-25)

Mała powiatowa mieścina z dylowym mostem na Słuczy i dość okazałą cerkwią na wzgórzu doczekała się w latach powojennych okazałej świątyni. Był to największy z pięciu kościołów postawionych na pograniczu staraniem niestrudzonego ks. L. Somosenki. Obecnie obsługiwał go o. Bolesław, ale mieszkał we wiosce, ponieważ plebania była zajęta. Do Zasławia szło się drogą polną i błotną, ale mieszkanie było wygodne - po gospodarsku. O. Bol[esław], botanik i gospodarz, zdawał się być w swoim żywiole. Odwiedziliśmy ks. prałata w Dermance. Skromny wiejski kościółek i prawie pusta plebania musiały mu teraz wystarczyć. Jakimś późnym wieczorem byłem też u ks. Oleńca w Starej Hucie. Mieszkał w wiejskiej chacie, ponieważ plebanię zabrano, jak i w Ludwipolu. Kościół drewniany przy drodze, otoczony drzewami, o wysokim nadprożu. Notuję skrzętnie te pierwsze spotkania z terenami, do których przyjdzie mi wrócić w jakże zmienionych warunkach. Pobyt w Ludwipolu nie mógł się przeciągać. Zainteresowała się miejscowa milicja - a przy tym cel przyjazdu był chybiony. Tym razem droga powrotna wiodła przez Korzec.

Był wieczór czy nawet już noc, kiedy na chłopskiej furmance przez Wierzycę, Józefno i innych parę wiosek dotłukliśmy się grodu ks. ks. Koreckich. Czarna sylwetka ruin zamku ukazała się tajemniczo nad jarem Korczyka. Po przeciwległej stronie niewielki kościół otoczony murem jak klasztor. Z ks. Rafałem Godzińskim zapoznaliśmy się już w Równem. Zajmował obszerne stare domostwo, oczekując na wykończenie plebanii, którą mu jednakże teraz zajęto. Być może już wtedy na probostwie zapoznaliśmy się z zacnym Kajetanem Bagińskim i Marią Garlińską, która po śmierci jego siostry zajęła się wychowaniem jej dzieci, Ali i Mikołaja. Kościółek z cudownym św. Antonim, starożytnym ołtarzem św. Franciszka i św. Anny Samotrzeciej pozostawił niezatarte wrażenie. Na zewnątrz grób ks. Dorgiewicza i orzeł nad mogiłą bohaterów 1920 roku!

W Równem nie było nic nowego - a że zbliżało się Boże Narodzenie, trzeba było myśleć o powrocie. A przecież: „Kto ogląda się wstecz...”Na dwa dni przed wigilią ks. dziekan zaproponował: umarł ksiądz w Karasinie - jeżeli ojciec zdecyduje się tam pojechać... Ten Karasin[[26]](#footnote-26) - to gdzieś za Sarnami, a co do tego, jaka parafia? No, przecież ks. Reroń tam żył!

Informacja dość lakoniczna, ale nie ma czasu do namysłu, jeżeli chce się zdążyć na Święta. I przy tym ta jazda! Trzeba czekać godzinami na pociąg, a potem nie wcisnąć się do wagonu. Miałem tego doświadczyć aż nadto literalnie. Od rana do późnego wieczora przechodziły pociągi i prawie nikogo nie brały. Wyczerpały się siły i cierpliwość. I właśnie wtedy, kiedy chciałoby się wreszcie spocząć byle jak na ławce, każą opuścić stację. Wyrywa się gorzkie słowo: „Przecież my nie «sobaki»„. Interpretacja była fatalna. Obrażony sługa porządku polecił milicjantowi: aresztujcie go - on powiedział, że my „sobaki”. Skończyło się jednak na przewertowaniu mojego bagażu i dość poważnej rozmowie. „Ostawajtie z Bogom” - rzuciłem im na pożegnanie, szczęśliwy, że noc przeszła spokojnie. Wkrótce nadjechał pociąg. Byle bliżej, byle prędzej i oto moja walizka znalazła się pod kołami. Kiedy pociąg stanął, ujrzałem ją odrzuconą na szynach z rozdartym bokiem, a rzeczy rozrzucone, jakby kto wnętrzności wyszarpał z żywego ciała. Pozbierawszy, co się dało, wcisnąłem się do wagonu, bo pociąg ruszał. Zdaje się, że trasa nie była zwykła. Przeszkadzał jakiś most rozwalony, objeżdżaliśmy więc na Klewań. Zresztą było ciasno jak w arce Noego, gdzieś w kącie się zdrzemnąłem i oto - Sarny.

Kościół monumentalny z ciosowego kamienia, wewnątrz surowe mury, ołtarze prowizoryczne. Na plebanii ks. prałat Lewiński i ks. Sąsiadek, eks-jezuita. O Karasinie niewiele mogą powiedzieć. Pociąg na Kowel idzie po południu. Do Maniewicz przychodzi chyba wieczorem. Ale przyszedł już późną nocą. Ktoś pokazał jednak plebanię. Ciemno i głucho. Odpoczywają przed pasterką. Jakieś pokrzepienie się znalazło - ale wszak to wieczór wigilijny - pierwszy raz w życiu bez opłatka. Ale Karasin? Choćby w nocy, żeby na rano z pasterką! Ks. Jastrzębski kręci głową: to nie tak łatwo. „Rano ojciec pojedzie.”

Kościół maniewicki - cacko. Od polerowanych parkietów do stropu nosi na sobie piętno troskliwego gospodarza. Śpiewaliśmy razem jutrznię i pasterkę. Rano podprowadzono mnie do ekwipażu: na wąskich szynach platforma - a przy niej chuderlawa szkapa. A to tak! Pasażerów zebrało się sporo, śmignął bat i koła zadzwoniły na relsach. Za wioską las i las bez końca, jakiś wyrąb czy leśniczówka - i znów las. Ta egzotyczna podróż trwała pewnie ze dwie godziny, gdy ktoś powiedział: ot i kościół. Przy pustej drodze dom trochę większy od zwykłych, nieforemny, z czerwonej cegły. Wewnątrz parę zakutanych babek. Trudno, nie wiedzą, że będzie proboszcz. Najważniejsze, że jest ON. Cyborium prawie pełne. Był już najwyższy czas odnowić Ofiarę.

Na plebanii - doskonała pustka. Przypomniały się słowa dziekana: przecież ksiądz tam jakoś żył. Tak, ale skoro umarł, organistostwo ogołocili mieszkanie ze wszystkiego. Przy obiedzie do zupy podano - łyżeczkę. Pisze się o tym jedynie dla pełności obrazu. Wszystko to, łącznie z grubą Irką, która umiała gotować tylko kaszę - można uważać za farsę. Tragedia rozpoczynała się dopiero w nocy, kiedy w pustym domostwie rozlegały się niesamowite hałasy i stukania. Nawet mało bojaźliwy zerwałby się trwożnie, wiedząc, że w promieniu dwóch kilometrów nie ma ludzkiego mieszkania, a Irka dawno odeszła do domu. Więc co? Bandyci, duchy? Przypomniały się demoniczne historie proboszcza z Ars. Dopiero znacznie później wyjaśniło się, że to szczury urządzają w pustych ścianach nocne polowania. To romantyczne życie trochę się zmieniło, kiedy na plebanię przybyła p. E. z Zasławia w roli gospodyni i zaczęła nawiązywać kontakt z parafianami. Była wśród nich miejscowa nauczycielka i jeszcze kilka rodzin. W ogóle wszystkich dusz w parafii można było naliczyć do 150 i to rozrzuconych w siedmiu ukraińskich wioskach. Uciążliwym było, że nawet opłatki do Mszy św. trzeba było przywozić z Maniewicz, a kiedy śnieżyca zawaliła kolejkę, drogę musiało odbywać się pieszo. Były to jednak czasy, kiedy 20 km wędrówki nie stanowiło problemu.

W Maniewiczach spotykam czasem o. Kasjana[[27]](#footnote-27), który w międzyczasie po śmierci ks. Reronia obsługiwał i Karasin. Pełen pogody i prostoty franciszkańskiej, zawsze w habicie i z brodą był dla mnie żywym wyrzutem, jeśli chodzi o życie zakonne. Kiedyś byliśmy razem u proboszcza w Czersku, już w pińskiej diecezji. Obsługiwałem część tej parafii graniczącej z Karasinem. Bywałem też w Powursku i w Kowlu. Powurski drewniany kościół, zbudowany przez ks. B. Żylińskiego w czasach legionowych, obsługiwał ks. Jaś Grabowski. Miał matkę staruszkę, która w przyszłości miała się stać podobno przyczyną jego tragedii.

W Kowlu kościół-pomnik z trójką naszych kapłanów: Baran, Piotrowski i Dąbrowski. Ks. Marian Tokarzewski może żył jeszcze w łuckim więzieniu. Wspaniała była procesja po Gorzkich Żalach. *Jezu Chryste, Panie miły* z milczącym błogosławieństwem na końcu. Starałem się to potem naśladować.

Po Wielkanocy[[28]](#footnote-28) wybrałem się do Lwowa coś niecoś sprowadzić do nędznej plebanii. Wtedy to zaszedł incydent na torze. Ponieważ do nadejścia pociągu było mało czasu, spieszyłem do stacji ścieżką wzdłuż toru, kiedy nagle coś gwałtownie chwyciło mnie z tyłu, grzmotnęło parę razy w plecy i strąciło z nasypu. Kiedy pociąg z hukiem się przetoczył, rozjuszona hetera z mosiężną trąbą pociągnęła mnie na stację do naczalstwa. Oczywiście groźnego następstwa nie było, bo widzieli, że baba-dróżnik pijana. Zdarzenia nie warto by wspominać, gdyby nie to, co usłyszałem po powrocie ze Lwowa: parę dni później pociąg uciął babie głowę i to w samym miejscu naszego spotkania. Mówiło się o karze Bożej: że nie warto zadzierać z „świaszczennikiem”[[29]](#footnote-29) . Z tego ostatniego przed inwazją niemiecką pobytu we Lwowie nic mi nie pozostało w pamięci. Prawdopodobnie radzili mi rzucić Karasin, ale dla mnie to egzotyczne życie, do którego już przywykłem, miało swoisty urok. Zresztą byłem już cały w rękach Opatrzności i miała się zacząć nieprzewidziana droga.

Na zaproszenie Bolesława udałem się na odpust Najświętszego] Serca Jezusowego w Ludwipolu. Droga przez Równe, Korzec już teraz znajoma. Na odpuście przemawiał ks. Stanisław Dobrzański. Zapewniał wiernych, że kapłan najszczęśliwszy, kiedy jest umęczony - oczywiście spowiedzią. Nie wiedział, że wkrótce jego pragnienie spełni się zbyt dosłownie. Po odpuście jakoś nieskoro było wracać. Zanim nadeszła burza, słychać było odgłosy grzmotów. Aż pewnego dnia gruchnęła wieść: Niemcy przekroczyli granicę i prą naprzód[[30]](#footnote-30) . Zajęcie Ludwipola odbyło się niespodziewanie. Rano zastaliśmy na opuszczonej plebanii stosy porzuconych papierów. Uciekano w popłochu.

Wkrótce pojawiło się w kościele kilku umundurowanych chłopców. Wyszli na chór i grali. Mówili, że są z Bawarii. A przecież stamtąd pochodzi nasz Konrad Św., braciszek. Nie wszyscy byli tacy. Jakiś chudy żołnierz w Zasławiu zabawiał się polowaniem na kury naszej gospodyni. Zacząłem mu tłumaczyć, że to postępek nieszlachetny i odniosę się z tym do ortskomendanta. W odpowiedzi wyjął rewolwer z okrzykiem: „Jude”. Ledwie jakoś proboszcz mnie obronił. Innym razem widziałem, jak ktoś strzelał do Żydówki, która szła spokojnie przed nim. A więc to tak! Terror, pycha, brutalność. Mimo to rosły jakieś nadzieje: może się coś zawali, przemieni, oczyści!

W Bystrzycach pod Ludwipolem była kaplica pałacowa zajęta na coś przez bolszewików. Polacy z wioski z Rodziewiczami na czele powzięli starania i odzyskali ją dla kultu. Mój powrót do Karasina został udaremniony. Gospodyni uszła ledwie z życiem, a plebanię spalono. Wszędzie zaczęli działać banderowcy. Chętnie pojechałem do Bystrzyc. Kiedy w ołtarzu montowaliśmy portatyl, jakiś osobnik przypatrywał się ciekawie. Dzień poświęcenia kaplicy był uroczysty. Pełno zieleni, kwiatów, słońca. Nastrój podniosły wymagał porywających słów. Oczywiście - Słowacki: „Choćby w nas tyle życia, co w kłosie, co rośnie podle gdzieś przejezdnej drogi. Złamani zawsze wstaniemy na nogi”[[31]](#footnote-31) . Któż przypuszczał, że cytat może mieć fatalne echo? Tymczasem kłosy podnosiły się ku słońcu. Nabożeństwa w kaplicy odprawiały się podniośle. U Rodziewiczów i w innych domach były wesołe rozmowy. Może się coś zmieni. Wspominano dobre, polskie czasy, organizacje, zabawy. Nie wiedzieliśmy, że podsłuchują. W jakimś dniu wybrałem się do szkoły w Niemili - polskiej wioski 2 km od Bystrzyc. Co za radość spotkania z dziećmi po latach ucisku. Była katechetka, ale zainaugurowaliśmy regularną naukę.

Wypadki potoczyły się jednak innym torem. Ks. prałat Zagórski wyjechał do Żytomierza, a mnie wezwano do Dermanki[[32]](#footnote-32) . Tak po blisko rocznych perypetiach dotarłem wreszcie do tej cichej wiejskiej parafii, którą tak obiecująco przedstawił Bolesław. Lasy pachnące azalią, miły, prosty kościół i lud niezepsuty, szczerze przywiązany do wiary. Właśnie tu w szpitalu [we Wrocławiu w 1969 roku] znalazła się stamtąd staruszka, z którą możemy wskrzeszać wspomnienia. Nie wiem, czy wtedy już czytałem Bernanosa, ale „pamiętnik wiejskiego proboszcza” z Dermanki przedstawiłby się równie interesująco. Niewielki drewniany kościół pod patronatem św. Izydora Oracza był przy uroczystych nabożeństwach ożywiony.

Do parafii należało kilka niezbyt odległych wiosek: Budki, Usti [Ujście], Lubomirki, Frankopol i trochę dalsza Wierzyca z chutorem. Zewsząd ściągał się lud i wypełniał świątynię po brzegi. Było wiele młodzieży. Utrzymywała się tradycja chóru, który wyćwiczył jakoś dobrze wspominany organista. Niedaleko od kościoła mieszkała klerykalna rodzina Markiewiczów: trzy panny i brat. Tekla grała na fisharmonii[[33]](#footnote-33) , a jej starsza siostra tercjarka wodziła rej w kościele. W Budkach w szkole byli Baranowie, we Frankopolu Bodusowie - obie rodziny niezwykle serdecznie odnoszące się do plebanii. Układało się życie jakby rodzinne. W niewielkiej parafii nietrudno było dojrzeć braki. W Wierzycy byli „badacze Pisma”, gdzie indziej znajdowało się parę „dzikich małżeństw”. Były swary i zamieszki, ale atmosfera na ogół serdeczna, wytworzona przez poprzednich proboszczów, ks. Batowskiego i Zagórskiego, utrzymywała się stale.

Wkrótce horyzonty się rozszerzyły. Zaczęli się zjawiać ludzie „zza kordonu”, aby ich też odwiedzić po latach. Najbliższą była Horodnica z kościołem zamienionym na stację radiową. Prymakowie, do których zajeżdżałem, mieszkali niedaleko. Było jeszcze parę gorliwych z Świniarskim, Anielą Chmielnicką z Anastazówki. Zanim przystąpiłem do pracy, badaliśmy teren i ludzi. Pierwszy większy wypad był, zdaje się, do Starowego Baru. Stary Kiryłowicz ciągnął dobrze wymoszczony wóz po głębokim piachu dobrych parę godzin, zanim późną już nocą dotarliśmy do wioski. Prowizoryczną kaplicę urządzono w obszernej izbie. Korpulentna Tekla Gdowska troszczyła się „o bardzo wiele”, a jej brat od rana do południa wyśpiewywał Godzinki i co tylko popadło. Potem były chrzty i śluby. Entuzjazm niesłychany, ale zrozumiały po tylu latach spędzonych bez kapłana.

Nie wiem, czy już w tym roku byłem w Karpiłówce. Parę razy odwiedziliśmy ten wyniosły kościół na wzgórzu zbudowany w czasach legionowych, którego stróżem był niestrudzony Janek Lisowski, a Drapikowska dyszkantowym śpiewakiem. Na Zaduszki chodziliśmy po cmentarzu i święcili niepieczętowane mogiły[[34]](#footnote-34) . Pracy było wiele, ale i parafii nie można było na dłużej opuszczać.

W listopadzie przed św. Stanisławem urządziliśmy coś w rodzaju rekolekcji dla młodzieży. Grupa chłopców gromadziła się w półmrocznym kościele przed ołtarzem Patrona Młodzieży i słuchała odpowiednich nauk. Wyglądało to dość tajemniczo i nie wiedzieliśmy, że się zainteresowano od zewnątrz. W jakąś niedzielę przed Świętami wpadła na plebanię ukraińska milicja i zrobiła dokładną rewizję. Nic nie znaleźli, prócz parę jakichś maneli, ale oświadczyli, że mają rozkaz mnie zabrać. Ledwie pozwolili mi pomodlić się w kościele. Lud gromadzący się na nieszpory płakał, kiedy wyprowadzano mnie pod eskortą. W Ludwipolu noc spędziłem w jakimś żydowskim alkierzu na podłodze. Rano, kiedy wymęczony nieprzespaną nocą stanąłem przed SS śledczym, ten zapytał niby obojętnie: „Haben Sie vielleicht Radio?” Przypomniałem sobie, że na plebanii był pokój, do którego mało wchodziłem, a na stole stało coś podobnego do odbiornika. Chciałem to oględnie wytłumaczyć, obawiając się przeczyć na wypadek, jeśli coś znaleźli: „Etwas ist, aber kann nicht so genannt”. Teraz głos zabrzmiał na całą salę rykiem hitlerowca: „Aber sagen Sie Wahrheit!” Potem kazał mnie wyprowadzić - myślałem, że na rozstrzał. Ale nie. Wprowadzono mnie do jakiejś innej kazamaty, gdzie ujrzałem moich chłopców z „nowenny” (podobno ich bili), a potem, kiedy zostałem znowu sam, przyszedł ukraiński siepacz z nahajką i słodkimi słowami: „Niech ksiądz sam powie, gdzie ma schowaną broń, tajne radio”. Potem odgrażał się biciem, ale wreszcie dał godzinę do namysłu. Powiedziałem, że zużyję ją na brewiarz. Potem zamiast Ukraińca przyszedł jakiś rozsądny Niemiec, któremu wytłumaczyłem dokładniej tajemnicę radia, dodając, że Ukraińcy mają jakąś nie uzasadnioną złość. Przed Świętami Niemcy rozjechali się, a mnie kazali wypuścić. Kiedy z tym poleceniem zjawił się Korolczuk - ten komendant z Bystrzyc, który mnie obserwował przy ołtarzu, zapytałem go wprost: „Za co wy mnie prześladujecie?”. Wtedy usłyszałem zdumiony słowami Dantyszka: „A co, panie ksiądz, złamani zawsze wstaniemy na nogi”, a potem dodany niby cytat, pewnie gdzieś podsłuchany: „A szczo Rusyn, to swynia?”

Można sobie wyobrazić radość wiernych, kiedy przy pasterce ujrzeli znów proboszcza, którego uważali już za straconego. Potem zaczęła się „kolęda”. Byłoż to, było! Grupa chłopców i dziewcząt obsiadła parę sań i dalejże od chaty do chaty kuligiem. „Bóg zawitał - radość nam” rozbrzmiewało wszędzie przy wejściu, potem następowało pouczenie dzieci, rozmowa ze starszymi i znowu pieśni. (Aniela Hryniewiecka[[35]](#footnote-35) po oficjalnej wizycie pokazała kryjówkę, gdzie się chroniła uratowana rodzina żydowska. Za to groziła śmierć, ale miłość Chrystusa przynagla). Szczególnie wesoło kończyła się kolęda w ostatniej chacie. Była zabawa, jakieś przyjęcie. Można mieć zastrzeżenia co do duszpasterskiej wartości takiej metody. Zacieśniała ona jednak więź z młodzieżą, pozwalała poznać potrzeby wiernych, a przy tym omijało się domy gorszące, co było dla nich największą karą.

Inny charakter miała kolęda za kordonem[[36]](#footnote-36) w wioskach, które od dwudziestu i więcej lat nie widziały księdza. Tu już wychodziła formalna procesja z krzyżem i jakimiś prowizorycznymi sztandarami. Szedł kto żył, nie omijało się żadnych domów, nawet prawosławnych - wszak dla wszystkich P. Jezus się narodził. Do późnej nocy roznosił się potężnym echem refren: wiwat P. Jezus, wiwat Maryja, wiwat Józef - dalszy ciąg dorobiono ad hoc - z księdzem kompanija! Tak było w Zasimówce, [...] Hucie, Tesniwce i gdzie jeszcze można było dotrzeć. A nie była to sprawa łatwa. Raz kiedy jechaliśmy lasem do Karpiłówki, ostrzelał nas z dala oddział niemieckich Uzbeków. Dowiedziawszy się kim jestem, puścili wolno, ale gorzej było innym razem, kiedy wjechaliśmy do wioski zajętej przez partyzantów. Trzymali nas całą noc w kurnej, a potem parę pięknych koni Wilczyńskiego wymienili na marne hały. Drugi raz już nie pojechał.

W takich warunkach zabraliśmy się do odnowienia kościoła w Horodnicy. Trzeba było najpierw usunąć wewnętrzne ściany oddzielające nawę od prezbiterium. Wyznaczony został dzień rozpoczęcia pracy, ale nikt się nie zjawił. Może uważali dzieło za nierealne. Wtedy kilof w garść i tynk leci, aż miło. Przyszedł ten i ów do pomocy, a potem więcej i więcej. Za parę dni świątyńka była oczyszczona. Teraz czekała trudniejsza część dzieła - tynkowanie. Trudno było o materiał - trudniej jeszcze o murarzy. Jedno i drugie trzeba było płacić - chlebem. I oto z wiosek zaczęły płynąć wózki ze zbożem. Setki pudów. Z robotą trzeba było spieszyć, bo nadchodziła jesień. Ciesielską robotę można wykonać i później - byle okna oszklić. Nie znalazł się majster do łukowych ram - ale trudno. Zrobiło się nawet mały chórek - na razie bez balustrady. Na dzień poświęcenia wyznaczono 11 października - niedzielę, święto Macierzyństwa Marii. Ołtarz urządzono skromnie, ale gustownie. Panie z Korca przywiozły kilimy. Przyjechał dziekan, ks. Pająk, ks. Godzisz z Korca i jeszcze trzech innych księży. Poświęcenie odbyło się według praw liturgii, z litanią i procesją dookoła. Dla licznie zgromadzonego ludu, ale i dla nas, księży, było to niezapomniane przeżycie. Byli też żołnierze niemieccy. Jeszcze w toku pracy nad remontem zawołał mnie do siebie ortskomendant Bartel. Był to poważny, starszy Austriak: „Sie sind katholischer Priester? Ich bin auch Katholische” - powiedział poważnie. Potem dodał, że jego brat jest kanonikiem w tumie św. Szczepana w Wiedniu. W jego głosie brzmiał żal, kiedy skarżył się na niebezpieczeństwa wojenne. Zdaje się, że potem był w kościele. W każdym razie przychodziło kilku - jeden nawet, prezes katolickiej młodzieży, przystępował co dzień w wolnych chwilach do Komunii św. Być może, że był to najgorliwszy czciciel Eucharystii w odnowionym kościele.

Zresztą w ogóle życie religijne zaczynało się rozwijać. Do Horodnicy dojeżdżałem na niedzielne i świąteczne nabożeństwa. Niespodzianie do pomocy zjawiła się s. Czesława, benedyktynka łucka z Lewacz[[37]](#footnote-37) .

Dwuletni prawie pobyt w Dermance [wrzesień 1941 - czerwiec 1943] obfitował w różnego rodzaju przeżycia. W pamięci jednak pozostały tylko fragmenty. Może najznaczniejszym epizodem była pielgrzymka do Kazimierki. Myśl udania się do wołyńskiej Częstochowy przyjęto z gorącym zapałem. Na trzy dni dni przed Wniebowzięciem wybraliśmy się sporą gromadą, śpiewając. Szliśmy przez Ludwipol, Siedliszcze, Bystrzyce i inne wioski. Był jakiś odpoczynek, a potem dalej, dalej śpiewającym krokiem. Wieczorem byliśmy w Bereznem u ks. Rossowskiego. Przyjęto nas gościnnie i rano, wyprostowawszy kości, udaliśmy się w dalszy marsz - ostatnie 20 km. Przed samą Kazimierką lunął ulewny deszcz, ale mimo to ks. proboszcz Sczastny wyszedł z procesją witać pielgrzymkę. Było już sporo ludu i kilkunastu księży. Matka Boska z cudownego obrazu spoglądała szczególnie łaskawie na dzieci, które w trwożnych czasach przyszły schronić się pod jej płaszcz.

Uroczystość zapowiadała się pięknie. A jednak... Rano ukraińska milicja otoczyła plebanię i nie pozwoliła żadnemu z księży udać się do kościoła. Wszczął się szalony popłoch. Ludziom kazano się rozejść. Około południa wielu odeszło z płaczem. Wtedy ktoś zaproponował zaalarmować komendanta w Kostopolu. Przyjechał w porze obiadowej, przyjęto go gościnnie, a potem proboszcz zapytał mimochodem, co za przyczyna zarządzenia, że w odpust nie można odprawiać nabożeństwa. Był zdumiony. Żadnej przeszkody nie ma. Pokazało się, że to wybryk miejscowych Ukraińców. Ks. Brzozowski z Sarn odprawił jeszcze po południu Mszę Św., ale była już tylko garstka ludzi. Tak wyglądał ostatni odpust w Kazimierce i zapewne ostatnia pielgrzymka na Wołyniu do tego sanktuarium mariańskiego, które wkrótce potem zostało zniszczone.

Była to zarazem przestroga, z której strony grozi niebezpieczeństwo. Na razie jednak stykaliśmy się z działalnością partyzantów. Kiedyś, wracając z Ludwipola, natknąłem się w lesie na jakiś oddział. Zaprowadzili mnie do komendanta, rozpytali, skąd idę i dokąd, i puścili. Inne spotkanie było gorsze. Jakiś drab uzbrojony po zęby przyszedł na plebanię i zażądał zegarka: czasy! Chciałem mu tłumaczyć, że nie mam, bo właśnie przed kilku dniami dałem w Korcu do naprawy, ale Antosia, na pół żywa, dawała znak, żeby się nie sprzeciwiać. Dałem więc zegarek, pożyczony tymczasem od ks. Godzińskiego. Potem wziął jeszcze nowe buty i poszedł. Myślałem, że na dworze jest cała wataha, ale nie było nikogo. Potem mi mówiono, że za grabież został rozstrzelany.

Inną przygodę miał o. Bolesław. Raz zjawił się niespodzianie w Dermance pieszo, wymęczony. Co się stało? Partyzanci uprzedzili go w nocy, żeby się ratował, bo idą na Niemców. Zamordowali ortskomendanta a rano karna ekspedycja spaliła Ludwipol. Pozostał tylko kościół, pod którym schował się proboszcz.

Pożary zdarzały się też i u nas. Raz wracając w nocy z Budek - był to właśnie wieczór wigilijny, który spędziłem u Baranów - ujrzałem łunę nad Słuczą. To paliła się szlamownia. Kto i dlaczego zapalił? Podobno partyzanci dawali tak znać o sobie. Potem tajemnicze pożary widywało się częściej, ale głuche wieści mówiły, że to banderowcy palą polskie osady.

W maju 1943 roku odprawiliśmy jeszcze odpust św. Izydora, na który przyjechał ks. Godziński. Żegnaliśmy go trwożnie, bo już w wioskach podkoreckich zdarzały się nocne napady. Wieści były coraz groźniejsze. Para narzeczonych z Budek udała się do Bystrzyc - po spaleniu Ludwipola tam były władze rejonowe - dla zarejestrowaniu ślubu. Po paru dniach znaleziono cały orszak weselny wymordowany okrutnie w lesie. Wszyscy byli pokaleczeni, bez nosów, uszu, z wykłutymi oczyma. Potem do wiedzieliśmy się o strasznym losie Niemili. Ponieważ w pobliżu wioski, w Bystrzycach stacjonowali Niemcy, proszono ich o pomoc w razie napadu. Niedługo potem właśnie od strony Bystrzyc zjawił się w nocy jakiś oddział. Myśleli, że to idzie odsiecz, a to byli oni. Nie pozostała żywa dusza. Potem ze Starej Huty święciłem wioskę jak cmentarz.

Teraz już nie było wątpliwości, że i nas czeka zagłada. Z jednej strony od Marynina, z drugiej od Ujścia i Frankopola zamykał się pierścień. W nocy na horyzoncie widać było pożary. Jakiś człowiek na pół spalony dogorywał w pobliskiej chacie. Kiedy ognie zbliżały się więcej, spędzałem noce na strychu w kościele. Nie było to bezpieczniej, ale bliżej P. Jezusa i łatwiej bronić przed profanacją w razie napadu. Aż raz przyszedł alarm, że mają uderzyć. Wtedy cała wioska z dobytkiem wyemigrowała do Budek. Jaki był cel tego skupienia się całej ludności razem, kiedy tuż za Budkami był z drugiej strony również ukraiński Frankopol? Zapewne myślano o obronie, ale czym i jak? Rozstawiono warty i przeszło parę bezsennych nocy na czuwaniu. Ludzie zaczęli wracać. Przecież tak dłużej żyć nie można było. Ja udałem się do Horodnicy, a stamtąd odwiedzałem Dermankę w razie potrzeby. Czasem bywałem parę dni.

Raz dano mi znać, że zastawiają zasadzki. Wtedy co mniejsze szaty zakopałem pod powałą kościoła - resztę na wóz i w drogę w imię Boże. To był piękny miesiąc czerwiec, ale już nabożeństwa w kościele nie będzie ni dzisiaj, ni nigdy. Jak żal! Za Frankopolem nad Korczykiem z tamtej strony mostu - jacyś ludzie. Posłałem chłopca na zwiady. „To banderowcy czekają na księdza”. Oczywiście zawróciliśmy z miejsca, ale we wiosce nie sposób było pozostać. Jakimś cudem chyba przedostałem się do Horodnicy. Najpierw brodem przez rzekę, a potem lasem, oglądając się za każdym krokiem, czy nie idą. Niemcy w Horodnicy wiedzieli już o niebezpieczeństwie: „Wie sind Sie gekommen” - spytał wartownik. Rzeczy wiezione na furmance przyniosła nazajutrz córka Paszkowskich, ale w następną noc całą rodzinę wymordowano. Została tylko najmłodsza dziewczynka, którą przywieziono do szpitala w Horodnicy. Miała osiemnaście pchnięć nożem. Straciła przytomność, ale odzyskała ją, żeby usłyszeć, jak się naradzają, czy zostawić trupy. Potem się wyczołgała i odratowali ją. Zawsze pozostał świadek zbrodni.

W jakimś dniu po Bożym Ciele [czerwiec 1943] ujrzeliśmy nad Dermanką łunę. Nieliczni, którym udało się ujść, opowiadali: we wiosce zjawił się oddział z czerwonymi kokardkami. Kazali ludziom iść do pracy i obiecali bronić przed banderą. Potem pomordowali spokojnie pracujących w polu. Wioskę i plebanię spalili, ale kościół rozebrali i znaleźli zakopane rzeczy. Była to już po Karasinie i Bystrzycach trzecia stracona placówka. Ile jeszcze ich przede mną? Teraz okazało się opatrznościowym, żeśmy odnowili kościół w Horodnicy. Zaczęli się w nim gromadzić obok wiernych miejscowych także niedobitki z popalonych wiosek. Z prowizorycznej ambonki słowo Boże padało coraz obficiej. Myślało się znowu o kłosach podnoszących się ku słońcu. Ale burza nadeszła rychło.

W Horodnicy obchodzono od dawna odpust M. B. Szkaplerznej, bo taki był tytuł kościoła. Pierwszy odpust w odnowionym kościele chcieliśmy uświęcić jak najuroczyściej. Przybył ks. Śpiewak ze Starej Huty - nabożeństwo zapowiadało się więc pięknie. Suma miała się ku końcowi, kiedy się zachmurzyło, zaczął padać deszcz, a równocześnie rozległy się strzały - najpierw pojedyncze, a potem cała ulewa gwiżdżących kul. Ktoś powiedział, że to zbuntowany oddział Uzbeków następuje na Niemców, a może bandera? Wtedy nie ma dla nas ratunku. Kobiety z Medwedowa wzięły naprędce związane tłumoczki i rozpoczęła się wędrówka na wschód.

Medwedów jest to duża, całkowicie polska wieś, która wraz z Zaprudami, Balarką i kilku innymi stanowiła jądro parafii emilczyńskiej. Do samego Emilczyna nie mieliśmy na razie dostępu, bo znaleźliśmy się w strefie partyzanckiej. Z ich strony nie mogliśmy się obawiać przykrości, ale i tak w nocy Teofila kładła się w progu, żeby nikt nie zakłócał spokoju. Ta Teofila Ostrowska godna byłaby męczeńskiej monografii. Więziona za wiarę, torturowana, prosta kobiecina ledwie czytać mogąca, przez długi czas była duszą religijnego życia w swoim środowisku[[38]](#footnote-38) .

W Medwedowie urządziliśmy kaplicę w szkole, która się wspaniale do tego nadała ze swoją wielką salą, z ładnym ganeczkiem. Było nawet coś w rodzaju sceny z podium i wielkimi skrzydłowymi drzwiami. Wszystko to zużytkowaliśmy do urządzenia prezbiterium i ołtarza, który wyglądał zaiste imponująco. Tak przynajmniej musiało się to przedstawić ludowi, który od wielu lat nie widział kościoła ni księdza, za wiarę szedł do więzienia lub na wygnanie. Wielu z ich rodzin gdzieś na dalekim Kazachstanie cierpiało nędzę wygnania z ojczystego kraju. A oni oto doczekali się. Toteż radość była ogromna, zwłaszcza kiedy przed ołtarzem stanęła spora gromadka w wianuszkach do I Komunii św. W nabożeństwach wszyscy brali udział. Usługiwał nauczyciel Klukowski (którego potem rozstrzelali partyzanci). Gruby Janek Garbowski, Turowski, Wachowski i kilku innych tworzyli jakby komitet kościelny, którego nikt nie formował, bo nikt o nas nie pytał. Było też parę tercjarek ze starą Zul[...] i jej córką Naścią na czele. Ich grono się powiększyło i podtrzymywało nabożeństwa. Chrzty, śluby, katechizacja dzieci - wszystko to wypełniało czas bez reszty, zwłaszcza, że zaczęliśmy odwiedzać sąsiednie i dalsze wioski: Zaprudy, Balarkę, Niepoznanicze, Siergiejówkę. Wszędzie budziło się życie. Odprawiało się nabożeństwo, potem odwiedzało chorych, święciło domy.

Tak przeszedł sierpień i wrzesień [1943]. Gdzieś z początkiem października przyjechała z Zaprudów furmanka do chorej. Była to, zdaje się, stara Sokołowska, zacna niewiasta, której młodziutką wnuczkę przyjęliśmy niedawno w grono tercjarzy. Zawsze tam chętnie bywałem, bo naród był serdeczny i szczerze gościnny. Pobyt przeciągał się parę godzin, a trzeba było wrócić na wieczorne nabożeństwo. Może z tej przyczyny, a może z jakiejś innej podświadomej, mój furman obrał drogę przez las, omijając główny trakt. We wiosce stały gromadki strwożonych ludzi: To wyście ich nie spotkali? Cała banda banderowców przyjechała niedawno. Byli w kaplicy, szukali „lachów” - księdza i zakonnicy. Teraz pewnie czyhają na drogach. Nie było czasu do namysłu. Cokolwiek się zdarzy, trzeba uchodzić z ich rąk, skoro Opatrzność tak cudownie czuwa. Udaliśmy się z s. Czesławą w drogę do Emilczyna.

W miasteczku było zaledwie parę polskich rodzin, ale tuż u wyjazdu z Medwedowa wznosił się dość duży, murowany, choć bezstylowy i bez wieży kościół. Do niedawnego jeszcze czasu była w nim zainstalowana fabryka „Citro”, ale obecnie maszyny zabrano i tylko resztki ich walały się na cmentarzu kościelnym. W pobliżu mieszkał Roman Żurowski, w miasteczku kowal Kotwicki, znalazło się paru stolarzy z dalszych wiosek, zaczęliśmy więc urządzać ogołocony ze wszystkiego kościół, aby można go było przywrócić na nowo czci Bożej. Najpierw tedy został poświęcony przed kościołem nowy krzyż, do którego figurę odlał udatnie Kędzierski z Rychliska. Ołtarz urządziło się prowizorycznie, a dębowe kłody mające służyć za materiał do nowego suszyły się już w Medwedowie. Stopniowo pojawiła się ambona, konfesjonał i parę prostych ławek. W niedzielę kościół zapełniał się ludem, który cieszył się, że ma swój parafialny kościół. Ale ta radość nie miała trwać długo.

Nie wiadomo skąd przyszła wiadomość, że Niemcy mają opuścić Emilczyn, a wtedy przyjdą banderowcy i dla nas nie będzie ratunku. Trzeba było znowu myśleć o ucieczce. Zjawił się jakiś dziad przewodnik, który miał nas przeprowadzić bezpiecznymi drogami. W ostatnią niedzielę października, w Święto Chrystusa Króla, nabożeństwo odprawiło się uroczyste - potem chrzty i nieszpory do samego wieczora. Późnym już zmrokiem wyszliśmy oboje z siostrą [Czesławą] jak nocne zbiegi. Przewodnik i jeszcze dwie kobiety mieli się z nami połączyć w drodze. Noc była jednak tak ciemna, że łatwo było się rozminąć. Szliśmy więc sami.

Ta romantyczna podróż trwała dość długo, kiedy z dala odezwało się szczekanie psów. To były ostatnie chaty wioski, którą należało nam wyminąć, żeby nie wpaść na bandy. Trzeba było przeleżeć w bruzdach do rana. O świcie jakąś okrężną drogą dostaliśmy się do lasu i tam cudem Bożym spotkali resztę kawalkady. Dalsza droga szła raźno, niemal wesoło. Na moich nogach połyskiwały kusząco nowe buty, którymi mnie obdarowali parafianie. Naraz na zakręcie pokazała się furmanka, jedna, druga, za nimi więcej - pełne uzbrojonych ludzi. Stój! Dokąd? Uciekamy przed banderą. „To my, bandera” - pokazują noże, ale twarze mówią co innego. Natrafiliśmy na oddział partyzantów. Wszystko odbyłoby się spokojnie, gdyby nie worek soli, którego nasz przewodnik bronił zawzięcie. Kiedy mu ją odbierali, darł się, jakby go dorzynali. W zamieszaniu zwrócono uwagę na nasze tłumoczki z bielizną, no i na moje zbyt błyszczące buty. Od wszystkiego musieliśmy się uwolnić, a na pocieszenie słyszeliśmy, jak wyrzucając w górę nasze „dary” śpiewali *Jeszcze Polska.* Teraz było nam już najdosłowniej lekko. A przy tym ten śpiew przypominał, że istotnie idziemy do Polski. Tam nad Słuczą formuje się polska armia, niedługo zobaczymy polskie orły. Boże! Z piersi wyrywa się wołanie: Idziemy ku Tobie, Matko-Polsko, idziemy ku Tobie.

Jakiś litościwy muzyk dał nam po drodze postoły wiązane z łyka i dalszą drogę odbyliśmy spokojnie. Wieczorem byliśmy w Kowalewiczach, już w strefie partyzanckiej. Był to dzień WW. SS. [Wszystkich Świętych], ale nie mieliśmy nic do Mszy św. Rano przez spaloną Myszakówkę i rozrzuconą w lesie Nową Hutę dostaliśmy się do Lewacz. Ludzie właśnie wychodzili po żałobnym nabożeństwie z kościoła, kiedy zjawiliśmy się w wyglądzie pielgrzymów. Ks. Ekiert[[39]](#footnote-39) zajmował tylko część plebanii. Większość jej oddał do rozporządzenia komendzie partyzantów. Rezydował w niej generał Szyłow. Widziałem go tylko w prze-chodzie. Wysoki, poważny, utykał na jedną nogę. Ksiądz żył z nim w dobrej komitywie. Była to jakby mała republika, do której Niemcy nie mieli przystępu.

Ks. Ekiert poradził mi udać się do Starej Huty, gdzie ks. Śpiewak od roku już prawie zastępuje ks. Olenia i chętnie skorzysta z pomocy, żeby pójść na kapelana do partyzantki. Kościół w Starej Hucie był mi już znany. Ks. Śpiewak mieszkał w wygodnej, nawet okazałej plebanii tuż obok. Atrakcją był obóz[[40]](#footnote-40) . Skryty wśród drzew szereg ziemianek budowanych na prędce na wzór legionowy, wyglądał tajemniczo, jak w ogóle cała sprawa. Skąd się wziął „Wujek”? W jaki sposób w samym środku okupowanego terenu powstała ta wyspa polskości? Gdzieś w środku obozu była siedziba komendanta. W mrocznej izdebce na ścianie wielki biały orzeł i portret Marszałka. Kapitan, mężczyzna w sile wieku, w polskim wojskowym mundurze robił wrażenie poważne. Z jego mowy widać było, że nie widzi przyszłości na różowo. Zresztą zapoznawcza wizyta nie trwała długo. Zjawił się też porucznik Słucz. Później miałem się dowiedzieć, że był to Szczepaniak, nauczyciel z Głuszkowa.

Życie obozu nabrało tętna przy Święcie Niepodległości 11 listopada [1943]. Była Msza św. polowa, którą odprawił nowo kreowany kapelan, ks. Śpiewak. Ponad 300 naszych chłopców przedefilowało w pełnym rynsztunku. Mnie wypadło spełnianie funkcji gospodarza na plebanii, gdzie odbyło się uroczyste przyjęcie. Byli zaproszeni goście z sowieckiej partyzantki. Panował nastrój braterskiej przyjaźni. Śpiewano razem *Wołgę* i polski hymn narodowy. Przy końcu brzęk tłuczonych szkieł zmieszał się z ogólną wrzawą, poważny stary pułkownik ze złożonymi rękoma prosił o błogosławieństwo: ,ja ruskij czełowiek, no pobłogosławi mienia”. To braterstwo broni miało się dokładniej jeszcze okazać w czynie. Ks. Śpiewak pozostał już w obozie, a mnie pozostawił parafię.

Stara Huta, podobnie jak Lewacze, przedstawiała się jak obozowisko wszelkiej nędzy. Uciekinierzy z niedomordowanych wiosek zza Słuczy cisnęli się w ciasnych izbach po kilka rodzin, czasem po kilkanaście osób razem. Dokuczał głód i niedostatek. Zaczęła się szerzyć zaraza - tyfus plamisty. Co dzień trzeba było zaopatrywać kilkanaście osób. Czasem leżeli jedno przy drugim na podłodze pokotem, że trudno było przystąpić. Rosła też szybko liczba mogiłek na cmentarzu. Sytuacja się pogorszyła, kiedy zachorował sam ks. Ekiert. Jeździłem do niego, kiedy był w ciężkim stanie. Teraz pozostałem na wielkim terenie sam jeden. Nie wiem, jak długo to trwało, ale pewnie parę tygodni. Raz pojechałem po południu do wioski odległej 12 km. Nazajutrz był pierwszy piątek, ale czekali ciężko chorzy. Po udzieleniu Sakramentów św. położono mnie na przypiecku na krótki odpoczynek. Zbudziłem się z gorączką, która w powrotnej drodze się wzmogła. Do domu przywieźli mnie w stanie na pół przytomnym. Mieszkałem wtedy w chacie Hajdamowiczowej, daleko od kościoła, ponieważ plebanię oddaliśmy partyzantom. Zaczęły się długie tygodnie walki ze śmiercią. Czasem zdawało mi się, że już nadchodzi. Zamiast tego jednak przyszedł ks. Ekiert, sam jeszcze słaniający się na nogach. Chwała Ci, Boże. Lekarz obozowy ratował mnie zastrzykami, s. Czesława pielęgnowała wytrwale. Przyszło przesilenie i rekonwalescencja, ale w uszach jeszcze długo szumiało, choć trzeba było powrócić do pracy w kościele. Pracy był nawał, ale zaszedł fakt, który wszystko wytrącił z normalnych torów. Był to napad Ukraińców.

Nazajutrz rankiem, idąc do kościoła, usłyszałem strzały. Wszczął się popłoch, ludzie biegli, ale nie wiadomo, dokąd uciekali, ponieważ strzelanina rozlegała się zewsząd. Dopiero około południa ktoś dał znać, że to Ukraińcy, wyparci i wybici przez naszą partyzantkę wspólnie z czerwoną. Resztki ich wyłapują po lasach. W obozie dowiedziałem się szczegółów. Wielka banda, licząca do 1000 ludzi z mnóstwem wozów i całym sprzętem wojennym, przekroczyła Słucz około Głuszkowa, gdzie udało się jej opanować wartę. Mimo to nasza komenda została w czas zaalarmowana, dopuszczono ich na odległość strzału i wybito prawie doszczętnie. Zdobycz była ogromna, bo banderowcy naładowali wozy wszelkiego rodzaju prowianturą. Schwytano też wielu jeńców. Pytałem, co z nimi zrobią? Przecież ich nie zabierzemy ze sobą. We wiosce też panowała radość. Już teraz będziemy mieć spokój, chyba prędko się nie odważą.

Ale wkrótce potem rozeszła się smutna wiadomość: „Wujek” odchodzi, nasz obóz zwijają. Był to cios nie do wytrzymania, bo możemy być znowu wydani pod noże bandery. Byłem w tej sprawie na kwaterze komendanta. „Wujek” był niezwykle roz strojony: „Nie dam się rozbroić”. Sytuacja była jasna. Po Stalingradzie Niemców gnano, zadając klęskę po klęsce, a równocześnie zmieniał się stosunek do polskiej Armii Krajowej. „Wujek” chciał się wycofać zawczasu, żeby nie wpaść w pułapkę. Nie pomogły zaklęcia i lamenty. W fatalnym dniu cała ludność wyszła na drogę, którędy mieli przechodzić. Kobiety z dziećmi rzucały się pod kopyta końskie. Nic nie pomogło. Odeszli. A nam została pustka i bezgraniczny smutek, jakby to wraz z nimi odeszła umiłowana Polska.

Mrok spadł na dusze. Straciliśmy orientację. Wioska opustoszała. Ludzie uciekali w las, jakby już ich kto gonił. My z siostrą Czesławą nie oparliśmy się ogólnej panice. Trudno się spierać, czy to nie ona właśnie była powodem, że udaliśmy się do Koreckiej Huty, a potem dalej na wschód. Była to ciekawa kawalkada. Naprzodzie kroczył ogromny jak słoń wół objuczony tobołkami, a my za nim jak gromada pątników, bo była i matka, i Cezary czy Dominik, i nas dwoje. Szliśmy lasem poprzez spaloną Zawadę i również zniszczoną Lipową, gdzie ludzie mieszkali w ziemiankach. Był jeszcze jakoś ocalały budynek Wyszyńskich, gdzie się zatrzymaliśmy. W Siergiejówce czy może w Medwedowie zatrzymali nas partyzanci. W izbie oświetlonej kagankiem przyjął nas komendant. Wypytywał nas o powód przyjazdu i wtedy powróciliśmy do ludzi opuszczonych prawie przed rokiem. Radość była wielka, ale zakłócała ją wiadomość, że partyzanci rozstrzelali Klukowskiego, pewnie biorąc go za konfidenta. Tym razem niedługo popasaliśmy w Medwedowie. Nadeszła wiadomość, że partyzanci opanowali sytuację, zaciągnęli wartę i kazali ludziom powracać do domów. Rozpoczęła się więc powrotna droga z Egiptu i z wołem zamiast osła[[41]](#footnote-41).

Zdaje mi się jednak, że w tym właśnie czasie wypadła ciekawa rozmowa w Siergiejówce, którą ze względu na późniejsze konsekwencje warto zanotować. Po nabożeństwie w jednej z chat zawezwano mnie do komendanta. Był to widocznie jakiś starszy rangą kapitan lub lejtnant w mundurze. Z miejsca postawił szokujące pytanie: jak ludność polska ustosunkowuje się do ustroju radzieckiego? Gdyby chodziło po prostu o władzę, odpowiedziałbym, że czekamy ich jak wybawców, ale czułem, że chodzi o co innego - o ideologię. Odpowiedziałem, że gdyby ludzie nie byli ludźmi, ale aniołami, wówczas komunizm byłby idealną formą współżycia. Zdawał się zrazu nie rozumieć, zwłaszcza, że moje ruskie wysłowienie się pozostawiało wiele do życzenia. Wytłumaczyłem, że w obecnych warunkach ludzkiej natury sprawiedliwość społeczna ma wroga, którego komunizm nie zlikwiduje - a jest nim egoizm - każdy ciągnie do siebie. Nie wiem, czy został przekonany. Raczej nie. Po latach ktoś przypomniał mi jakiś artykuł w „Krasnej Zwieździe”, podobno o mnie. Może to o to chodziło. Wtedy jednak żyliśmy we wzorowej przyjaźni. Na plebanii zastałem oddział Żukowskiego, sam więc przeniosłem się do Rodziewiczów, niedaleko kościoła. O „Wujku” nadeszły niedobre wieści.

# ~ II ~

# ZAPISKI Z KAZACHSTANU**[[42]](#footnote-42)**

Czarne błoto lgnie do nóg, jak smoła. Ciągnie się pudowym ciężarem. Gdzieś wysoko nad głową druty wydzwaniają nocną melodię, jak duchy. W oddali cień przewodnika rozpływa się w gęstniejącym mroku. Ulica nie ma końca. Ale oto zakręt i nagle smuga światła wpada w ciemność, jak w tunel. Jesteśmy na torze. Potem jeszcze wąska kładka, którą trzeba przejść ostrożnie, żeby nie wpaść do rowu i znowu gardziel błotnistej ulicy, ale wiem, że to już niedaleko. Cień znika za szczelnie zamkniętą furtką, która już teraz stoi otworem. Dom zamarły czy uśpiony jak wszystko wokoło. Dopiero kiedy przez ciasną sień wejdziesz do izby, znajdziesz się w kościele. Przy zamkniętych drzwiach i szczelnie zasłoniętych oknach gromada kobiet, kilku mężczyzn i młodzieży czeka cierpliwie - czasem całymi godzinami, jak ci słudzy wyglądający Pana. W drugiej izbie ołtarzyk przystrojony skromnie - jeżeli to są Niemcy, to nieodzowne są krzyczące barwne, sztuczne kwiaty. Jakże tego nie lubię, ale skąd na tej pustyni wziąć coś żywego? Czasem, owszem, są te żywe kwiatki, które zapachem wiosny napełniają przygodną kaplicę. Wtedy nabożeństwo odprawia się niezwykle uroczyście. Dzieci przystrojone w wianuszki wprowadza się jakby w procesji do kościoła i wszyscy przeżywają na nowo swoją Pierwszą Komunię św. Jakże wdzięczny jestem Piusowi X, że żąda od dzieci minimum. My im więcej dać nie możemy, kiedy noc jest tak krótka, a nazajutrz czeka ich bezbożna szkoła. Starsi żyją przeszłością. Szczęśliwi, jeżeli zachowali - jak relikwie - resztki nabożnej książki i potrafią z niej choćby sylabizować. Przecież większość ich nie przechodziła żadnej szkoły, a elementarzem ich były właśnie te strzępy modlitewników zachowanych przed zniszczeniem. Teraz cieszą się, że mogą tę jedną noc spędzić tak blisko Pana, którego im było tak bardzo brak, a jest dla nich wszystkim. Ale bywa też inaczej.

Któregoś dnia późnym wieczorem przygotowali się w odległym przysiółku na uroczyste przyjęcie. W niecierpliwości nie mogli się doczekać przybycia autobusu. Całą gromadą wyszli naprzeciw, aż zwrócili uwagę milicjanta. W domu była procesja ze świecami i śpiewem, jak na Boże Ciało. Ale kiedy po wysłuchaniu spowiedzi miała się rozpocząć Msza Św., dano znać, że „idą komsomolcy. Staruszkowie rozeszli się z płaczem i niektórzy może i tak pomarli, nie doczekawszy się następnego razu.

Innym razem - w samą wigilię Zielonych Świątek - spora gromada wiernych zebrała się, jak apostołowie w wieczerniku, oczekując Ducha z nieba przy zamkniętych drzwiach. Zamiast tego zjawił się komitet bezbożników; spisali zebranych i czekali na księdza, nie pozwalając nikomu wychodzić. Szczęściem, jakiejś dzielnej kobiecie udało się zbiec i uprzedzić zasadzkę.

Nie zawsze jednak wyjście bywa tak pomyślne.

Było to w któryś jesienny Pierwszy Piątek. Ten dzień zaczyna się zwykle o północy, żeby wykorzystać czas. Nabożeństwo u Niemców było ożywione. Rano oczekiwali Polacy i to w miejscowości odległej, do której trzeba było jechać autobusem. Ponieważ po nocnej Mszy św. pozostały Komunikanty, trzeba je było przewieźć na nowe miejsce. W autobusie przed samym odjazdem zjawił się nagle czarny milicjant. Dawał tajemnicze znaki, żeby iść za nim. Nastąpiła indagacja: skąd, do kogo, w jakim celu? Nie znałem żadnego nazwiska, drżałem tylko przed profanacją, ale św. Postaci nie można było ukryć przed argusowym okiem. W urzędzie trzeba było wysłuchać ostrych słów i oczywiście zabroniono jechać dalej. Pierwszy Piątek przepadł, ale P. Jezus „przeszedł mimo i uszedł ich rąk”. Nie zamierzam opisywać dalszej drogi krzyżowej. Niech tylko kilka telewizyjnych obrazków wystarczy jako wprowadzenie do szkicu o katakumbowym życiu naszych braci w Kazachstanie.

Na wstępie nasuwa się metodologiczna uwaga.

Kazachstan - jak wiadomo - olbrzymi kraj Średniej Azji, geograficznie bogato zróżnicowany, pod względem obszaru druga po Federacji Rosyjskiej republika w Związku Radzieckim, kraj ogromnych możliwości rozwojowych, kryjący w swym wnętrzu niewyczerpane bogactwa kopalinowe, jest przedmiotem coraz bardziej rosnącego zainteresowania. Ałmaatańska Akademia Nauk oraz liczne instytucje naukowe w innych większych licznych miastach republiki przyczyniają się do pogłębienia materialno-duchowej kultury tego jakby nowo odkrytego terenu. Co jednak w tym ogólnym obrazie jest znamienne, to negatywne i wręcz wrogie nastawienie do zagadnień wyznaniowych. Jest to uderzające zwłaszcza na tle przemian, jakie zaszły ostatnio w Zw[iązku] Radzieckim.

Dnia 30 sierpnia 1965 r. Włodzimierz Kurojedow, prezes ogólnozwiązkowej Rady Religijnej, opublikował w moskiewskich „Izwiestiach” artykuł rzucający światło na te sprawy. Trzymając się zasadniczo leninowskiej koncepcji rozdziału Kościoła (Cerkwi) od państwa i szkoły od Kościoła, a zarazem rezerwując swobodę wykonywania obrzędów religijnych dla prawnie zatwierdzonych społeczności wyznaniowych, zaznaczył jednak przy tym, że „nikt nie ma prawa odmawiać zatwierdzenia tym społecznościom, których obrzędy i funkcje nie wykazują wrogiego nastawienia do rządu radzieckiego”. Jak elastycznym okazało się to oświadczenie w odniesieniu do miejscowych władz kazachstańskich, pokazała niebawem praktyka. Kiedy w jednym z najliczniejszych ośrodków polsko-katolickich w Tainczy zażądano zarejestrowania kaplicy, odpowiedziano brutalną odmową. Delegacja udała się z interwencją do Rady Relig[ijnej] w Moskwie. Wówczas tenże sam Wł. Kurojedow oświadczył: „my o was nic nie wiemy”. Do sprawy tej wypadnie jeszcze powrócić przy omawianiu szczegółów. Tu chodzi tylko o podkreślenie właśnie tego ignorowania najżywotniejszych interesów religijnych, odnośnie zwłaszcza do ludności katolickiej. Oczywiście, w takich warunkach nie może być mowy o żadnych naukowo udokumentowanych uogólnieniach czy statystycznych danych. Urzędowo procent Polaków kazachstańskich podaje się na 0,06. Jeżeli wziąć pod uwagę, że element polski w znacznej mierze uległ zukrainizowaniu, takie dane okażą się mocno niedokładnymi. Cóż dopiero mówić o statystyce wyznaniowej, kiedy urzędowe dane odnoszące się do liczby wiernych zupełnie nie istnieją? Wobec tego wszelkie wypowiedzi muszą nosić z konieczności charakter fragmentaryczny osobistych doświadczeń czy wspomnień.

Skąd wzięli się Polacy w Kazachstanie?

Jakkolwiek wszyscy prawie pochodzą z różnych stron Ukrainy, to jednak każda niemal rodzina ma swoją własną historię, której na imię: wygnanie. W żyznych włościach na Podolu i Wołyniu żyło się nieźle - nawet zamożnie. Najważniejsze, że były ośrodki polskości i wiary - szkoły i kościoły. Nowa historia wszystko zmiotła. Przyszła kolektywizacja i wywłaszczenie. Wystarczył cień sprzeciwu, żeby ojca zabrali, a ją z nieletnim drobiazgiem wysłano na krańce świata. Jeśli drzewo wyrwie się z korzeniami, można je przesadzić choćby o tysiące kilometrów, ale kiedy strzaska je piorun, a wiatr rozrzuci w cztery strony świata? Przy kopcącym płomyku kaolinowego kaganka ciągną się te nie kończące się nigdy dramaty: słowa są spokojne, prawie obojętne, jak krople deszczu, które dzwonią w połatane szyby. Wieczorem zjawili się w wiosce obcy ludzie - może przemytnicy. Kto ich wie? Nikt nie chciał przyjąć na noc, ale mąż się zlitował. Za nimi przyszli szpicle. Męża zabrali. Rozstrzelali, w sam dzień Podwyższenia Krzyża. Padła zemdlona, ale potem dała na Mszę św. Ksiądz powiedział: „nie płacz, on umarł jak święty”. Ojciec nie chciał iść do kołchozu. Był dawnym lokajem, zabrali ostatnią garść zboża. Ojciec umarł w nędzy. Ona z dziećmi znalazła się w eszelonie do Kazachstanu.

Ktoś przedarł się przez granicę. Wstąpił do seminarium i został księdzem, ale taki zaszczyt trzeba odpokutować. Rodzinę wywieziono - do Kazachstanu. Wywożono też całe wioski graniczne. Dziś tam puste wrzosowiska lub lasy, a ludzie w Kazachstanie. Niektórych wywożono hen, aż do Semipałatyńska i Ałma-Aty, aż w pobliże chińskiej granicy do górzystego Tałdy-Kurganu, inni zaludniali centrum przemysłowe w Karagandzie i Dżezgazganie, ale centrum Polonii utworzyło się na północno--zachodnich bezbrzeżnych stepowych obszarach około Pietropawłowska, Tainczy i Akmolińska.

A jakie było to nowe życie?

Była późna mroźna jesień, kiedy znaleźli się w barakach pod gołym niebem na stepie. Potem zaczęto grupami rozwozić „na wioski”. Myśleli, że wreszcie odetchną pod jakimś dachem, ale pokazali im pusty plac wyznaczony na stepie kołkami: „oto wasza osada”. Zaczęła się mozolna praca od podstaw. Trzeba było z gliniastej ziemi formować kostki i z tych „samanów” budować chaty, niskie, zaduszne, na kształt kazachskich, kryte płasko również ziemią. Opalało się je suszonym owczym łajnem. Te „kiziaki” wywołują swoisty gryzący odór. Kto zjadł przywiezione zapasy, przymierał głodem i jadł stepową trawę. Nawet jeśli było co do sprzedania, nie można było dostać się do miasteczka na targ, bo wioski były „pod komendanturą”, tzn. że bez specjalnego pozwolenia nie wolno było oddalać się poza obręb osady. Byli wciąż znowu w jakimś sensie glebae adscripti, tylko że teraz ziemia była gromadzka. Gdyby cudem udało się jakiejś zrozpaczonej rodzinie wyjść nocą z wioski i uciec, powierzywszy się Opatrzności, wtedy jednak groziła śmierć na stepie z głodu lub też z ręki Kazachów-tubylców, którym obiecywano zapłatę od głowy. Trzeba było iść nocami, a w dzień ukrywać się w rozpadlinach przed skwarem i zbójcami i przebyć tak tysiące kilometrów. O tych czasach głodu i nędzy krążą legendy. Ktoś szukając korzonków natrafił na jamkę chomika ze zbożem - widoczny cud, bo skrytek znalazło się więcej i można było oszukać głód - ale inni marli. Wyginęły prawie wszystkie dzieci, jak kwiatki zwarzone mrozem. Bo wkrótce przyszła zima. Straszna, mroźna, jakiej przedtem nie widzieli. Kto jej nie przeżył, nie wie, jak wyglądają kazachskie „buriany”. W jednej chwili świat staje się szaro-biały, szalony wicher jak trąba chwyta wszystko w swe wiry i rzuca człowieka o ziemię jak wiór. Opowiadają o dziewczętach, które wichura zasypała na śmierć, kiedy szły po wodę do studni. Czasem rano trzeba było robić formalne przekopy, żeby się wydostać z chaty pokrytej gładko z dachem śnieżnym całunem. Takim to wioskom nadano wcale romantyczne nazwy: Wiszniówka, Kalinówka, Jasna i Krasna Polana, a nawet Zielony Gaj. Stało się to jednak chyba później, kiedy zorano wielkie zagony i nawet tu, na dalekich azjatyckich stepach zaczęła się spełniać profetyczna zapowiedź Piasta Dantyszka: „złamani zawsze staniemy na nogi”.

Zanim jednakże ten nowy obraz zajmie naszą uwagę, trzeba zająć się drugim, obok Polaków, składnikiem elementu katolickiego w Kazachstanie, jaki tworzą Niemcy.

Historia ich jest równie interesująca i - tragiczna.

Przodkowie ich przybyli z różnych stron Niemiec - z Nadrenii, Westfalii, Bawarii na wezwanie Katarzyny II, która oddała im żyzne obszary nad Wołgą w celach kolonizacji. Kraina była istotnie urodzajna, toteż wkrótce powstały kwitnące osady i liczne parafie z ośrodkiem w Saratowie i innych nadwołżańskich miastach. Ale właśnie ten dostatek sprowadził nieszczęście. Zaczęły się najazdy Kirgizów - tak nazywano wówczas plemiona koczownicze szukające łatwego łupu daleko na zachodzie. Jak w Polsce średniowiecznej Tatarzy, tak i ci nowsi już najeźdźcy plądrowali osady, grabili kościoły, mordowali starych, młodzież zabierali w jasyr. Przy końcu zeszłego wieku Niemcy nadwołżańscy z okazji stulecia przybycia ich przodków wspominali te okrutne czasy. W ich tradycji żyje pamięć franciszkanina, o. Jana, który w niewoli pasł kirgiskie barany, a przy tym odznaczał się duchem apostolskiej miłości. Nie wiedzieli pewnie wówczas, że te czasy powrócą do nich może jeszcze w formie bardziej tragicznej. W latach rewolucji prawie w ogóle przestała istnieć cała diecezja saratowska z katedrą, seminarium i biskupem. Potem likwidowano wszystkie parafie. I powtórzyło się to, co na Ukrainie: wywłaszczenie, tułaczka, nędza. Rozsypali się jak liście gnane wiatrem po Syberii, Kazachstanie, Kirgizji, aż gdzieś po kraj Uzbeków i Tadżykistan. Zaludnili obozy przymusowej pracy, fabryki, kopalnie, często nie wiedząc jedni o drugich. W czasie wojny stan liczebny Niemców-wygnańców jeszcze się zwiększył. Przybyli pozostali z Nadwołża, a prócz tego z Krymu, okolic Odessy, a nawet dziwnym losem miotani ci, którzy zobaczyli swoją dawną ojczyznę, lecz nie mieli prawa tam pozostać. Można zaryzykować twierdzenie, że dziś w Kazachstanie nie ma prawie większego ośrodka, gdzie by ich nie było. Ponieważ zaś nigdzie nie spotyka się rozgraniczenia terytorialnego protestantów od katolików, znaczy to, że kapłan katolicki wszędzie może znaleźć większą czy mniejszą grupę swoich wiernych - Polaków czy Niemców.

Przechodząc z kolei do omówienia sytuacji katolików w Średniej Azji, trzeba podkreślić przede wszystkim tę silną więź łączącą wiernych bez różnicy narodowości, która sprawia, że tworzą oni zwarte społeczności religijne, broniące wspólnie swoich praw. Bezwzględnie, zebrania modlitewne odbywają się czasem oddzielnie, co jest uwarunkowane językiem, ale kapłan i wspólna liturgia łączy wszystko w jedność.

Ogólnie biorąc, ludność niemiecka miała z początkiem przymusowej emigracji lepsze warunki duszpasterskie. Jeszcze dziś słucha się ze wzruszeniem ich modlitw „na dobranoc”, które odmawiają zawsze z rozkrzyżowanymi ramionami, bo tak ich nauczył ostatni proboszcz. Zresztą ten ostatni duszpasterz nie opuścił ich do końca. Był to czcigodny Pater Staub, który umarł kilka lat temu w Karagandzie. Obecnie żyje i częściowo działa ks. M. Keller koło Frunze.

Polacy byli jak owce bez pasterza. Ich kościoły parafialne zostały już przedtem zniszczone, księża uwięzieni lub wygnani w różne strony. Czasem tylko udało się grupie zabrać krzyż z wielkiego ołtarza na pamiątkę. Chowają go jak drogą relikwię. Jeśli się zważy, że zasadniczo przesiedlony został najgorliwszy pod względem religijnym element, można zrozumieć ich dogłębny ból po stracie tego, co najdroższe. Ale też to tłumaczy, że tyle lat przetrwali. Z grubsza biorąc kilkanaście lat, bo aż do końca wojny nie mieli żadnego kontaktu z kapłanem. Sami chrzcili, uczyli dzieci, sami też dysponowali na śmierć i umierali. Wszędzie znalazła się jakaś oddana Bogu dusza, która spełniała te funkcje na pół kapłańskie. Zasadniczą rolę odgrywali tu tercjarze, organiści, słudzy kościelni. Kiedy już zelżały okowy i można było zrealizować ten zamiar, nie szczędzili trudu, żeby być bliżej kościoła. Na miejscach, gdzie były ich dawne wioski, niekiedy zarosłych lasem, budowali nędzne chatki, czyścili splądrowane cmentarze i odnawiali kościoły. Większość jednak musiała pozostać. Młode pokolenie coraz bardziej wrastało w ziemię, polepszały się warunki bytu, nędzne lepianki zastępowały dostatniejsze domy. W latach wojennych i po wojnie przybyły nowe kadry wygnańców z Ukrainy, a nawet z Polski walczącej. Był to jakby niespodziewany zastrzyk polskości, a czasem i wiary. Ci ludzie, często o wyższej kulturze, wyrzuceni brutalnie za nawias życia, znaleźli u swoich współbraci serdeczne przyjęcie. W zamian za materialne wsparcie w nędzy, mówili im o Polsce, która podnosi się z oparów krwi i pożogi wojennej do nowego życia. Kiedy po sześciu i więcej latach dla tych, którzy nie pozostali na kazachskich mogiłach, otwarła się powrotna droga, niejeden rad by był podążyć z nimi do tej wymarzonej ojczyzny. Niestety, byli Polakami tylko duchem, a ojczyzną ich była „szeroka ruska kraina”. Wielu więc powróciło przynajmniej w rodzinne strony, na Ukrainę. Zresztą wkrótce ograniczono możliwość emigracji. Właściwie jednego im tylko nie dostawało. Z utęsknieniem otrzymywali wiadomości, że ich rodzinne kościoły, jeśli nie legły w gruzach, na nowo się ożywiają, a nawet tam, gdzie nie ma kościołów, działają jacyś księża (w Połonnem, Żytomierzu, Gródku) w prowizorycznych kaplicach. Ci księża przysyłają im opłatki na Boże Narodzenie, a święcone na Wielkanoc. Nawiązuje się serdeczny kontakt. Budzi się tęsknota: gdyby tak i u nas...

I oto gdzieś około 1948 r. zjawia się pierwszy kapłan.[[43]](#footnote-43) Jest chudy, smagły, wiele się modli i umartwia, ale odprawia we wschodnim obrządku. To ich peszy i onieśmiela, boją się podstępu. Zresztą odprawia więcej u Niemców, choć przygarnęła go polska rodzina. Miejscowe władze są też widocznie zdezorientowane. Nie mają jeszcze dyrektyw. W Tainczy istnieje już cerkiewka prawosławna. Radzą nawiązać kontakt z batiuszką. Czemuż by nie pozwolić też katolikom? Ale ksiądz zaczyna jeździć po wioskach. W jednej wyznacza się nawet plac pod budowę kaplicy. To się zaczyna coraz mniej podobać. W niemieckiej Liniejówce dochodzi prawie do aresztowania, ale kończy się na dość wysokim „sztrafie” i ksiądz wyjeżdża. Znika równie tajemniczo, jak przybył, aby pojawić się po kilku latach, ale gdzie indziej i w innych warunkach.

Bo nad Kazachstanem jakby nagle otwarło się niebo. Gdzieś od Pietropawłowska poprzez bezbrzeżne stepy Tainczy, Kokczetawu, Akmolińska aż do Karagandy i dalej hen aż do Taszkientu i Frunze w Kirgizji powiał jakiś ożywiający wicher jakby „szum wiatru gwałtownego” Zielonych Świątek. Pojawili się księża, powstały kaplice, lud runął ławicą do źródeł sakramentalnych, jak długo dręczona pragnieniem trzoda. Tego nie można inaczej wyrazić. Każdy z tych kapłanów przybyłych z Sybiru po długoletnich rekolekcjach doświadczył dosłownie słów psalmisty o pożeraniu przez gorliwość i Jezusowych o „gwałtownikach porywających niebo”.

Prawie równocześnie jesienią 1956 r. zjawili się w Tainczy, Akmolińsku i Karagandzie ci ludzie zaprawieni w twardej szkole i zabrali się do pracy na długo nie oranym zagonie. Był to najdosłowniej „celinny kraj”.

W Tainczy - dawna przejezdna mało znaczna stacja - dziś ośrodek rejonu Krasnoarmiejsk - przy ul. Zachodniej zakupiono dość obszerny dom pod kaplicę. Potem pokazało się, że transakcja była zrobiona równie nieostrożnie, jak chytrze - po prostu właściciel wziął pieniądze, ale dokumentu nie wystawił. Na razie nikt o to nie dbał. Kaplicę urządzono jak tylko możliwe w takich warunkach. Stanął skromny ołtarz z drewnianym tabernakulum miejscowej roboty. Pierwsze nabożeństwa odprawiały się w naprędce szytych prymitywnie szatach przy użyciu również prostych najniezbędniejszych przyborów i naczyń liturgicznych, ale potem zakrystia się dopełniła. Z Ukrainy, a więcej jeszcze z Wilna zaczęły napływać obrazy, szaty, naczynia, znalazła się nawet monstrancja. Pomieszczenie rozszerzono, trochę przebudowano. Co gorliwsi zaczęli się rozglądać za placem pod budowę kościoła, bo tymczasem ta prowizoryczna kaplica zaczęła przy-ciągać tłumy. Ksiądz[[44]](#footnote-44) , wysoki, atletycznej budowy, dawny działacz społeczny, opiekun młodzieży, a przy tym pełen optymizmu i humoru, od razu podbił serca swoich owieczek. Pracował dosłownie bez wytchnienia, aż do upadku sił, w ciasnocie, zlany potem, otoczony napierającym zewsząd tłumem jak Mistrz w Kafarnaum. W niedzielę cała ulica była obstawiona podwodami i maszynami przybyłych z dalekich kołchozów. Kto tylko dowiedział się i mógł przyjechać, przywoził dzieci i starszych do chrztu, pary do ślubu. Śluby brali rodzice razem z dziećmi, ba, czasem dziadkowie. Mało kto rozumiał i zadowalał się tym, że bez księdza ślub jest ważny. Bywało też i masowe bierzmowanie. Żeby zrozumieć ogrom pracy duszpasterskiej, trzeba choć pobieżnie poznać warunki terytorialne.

Taincza - dawna wojskowa stanica - leży przy linii kolejowej biegnącej w kierunku południowym z Pietropawłowska poprzez Kokczetaw i Akmolińsk do Karagandy. Stacja dzieli osadę na część zachodnią, obejmującą Suchocin, i wschodnią z posiołkiem roboczym. Po jednej i drugiej stronie toru, na dawniej bezludnym stepie, na którym z rzadka chyba tylko jakieś auły kazachskie wypasały swoje bydła, rozsiane zostały w odstępach kilku - czy dziesięciokilometrowych, jak rodzynki w czarnym cieście, osady polskie. Porównanie to można zaryzykować, ponieważ do niedawna jeszcze z jednej do drugiej wioski trudno się było dostać, chyba sposobem miejscowym - na koniu. Tych wiosek po stronie zachodniej łącznie z drugim centrum rejonowym (Czapajewo) znajduje się w promieniu mniej więcej stukilometrowym czternaście. Są to osady całkowicie albo też w większości polskie, co wyraża się nawet w nazwach: Kalinówka, Wiśniówka, Jasna Polana, Gaj Zielony, choć to nie gra roli. Ważniejsze, że rozbudził się tam duch polski i katolicki, kiedy po raz pierwszy pojawił się ksiądz z kolędą czy też po prostu, żeby odprawić nabożeństwo dla chorych i nie mogących dostać się do kaplicy. Po drugiej stronie, wschodniej, grupują się niemieckie wioski około centrum Kellerówki - Liszajówka, Razówka, ale też i cały szereg pierwotnie zupełnie polskich: Letowoczna, Krasna Polana, Jużne. Obecnie ludność jest tam etnicznie pomieszana - przybyli Ukraińcy, Rosjanie, ale nawet obecnie stanowią oni znikomą mniejszość. Nie można jednakże myśleć, że w tych granicach zamykała się nowa „parafia”. Wpływ kapłana zataczał kręgi coraz szersze, obejmujące grupy Polaków i Niemców-katolików rozsianych na ogromnych przestrzeniach na północ poprzez Kijały aż do Pietropawłowska, na południu zaś do zetknięcia się z drugim ośrodkiem katolicyzmu, jaki powstał około Akmolińska.

Akmolińsk - dzisiejszy ok. trzystutysięczny Celinograd - był jeszcze w pięćdziesiątych latach zbiorowiskiem chat kazachskich o płasko ściętych dachach i sterczących kominach, które robią wrażenie, że przeszła nad nimi jakaś niszcząca burza. Dziś w centrum miasta piętrzą się nowoczesne bloki, ale nie trzeba iść wcale daleko, żeby znaleźć się w błotnistych zaułkach, gdzie pod chatami wygrzewają się biało zakwefione babki i bawią na pół nagie dzieci. Ta osada, pamiętająca pewno dawnych pieśniarzy, nosiła poetycką nazwę: „biały mułła”. Może to by świadczyło o jakiejś religijnej tradycji. Dziś w mało jeszcze zeuropeizowanej dzielnicy, choć niedaleko głównego bazaru, kryje się za wysokim płotem zielony meczet z niepozornym minaretem wyglądającym raczej na budkę strażniczą. W dniach świątecznych można zobaczyć szereg mężczyzn w aksamitnych małachajach i kobiet w białych spadających do ziemi kwefach, dążących do świątyni. Czasem uda się nawet spotkać sędziwego mułłę, którego dwaj dostojnicy prowadzą pod ręce. Na przeciwległym końcu prawie tej samej długiej ulicy znajduje się kopulasta cerkiew. Ktoś ciekawy mógłby odnaleźć też przy dobrej doli skromną kirchę luterańską. Mimo woli oglądamy się za kościołem katolickim. Owszem, był i to nie tak dawno. Kiedy miasto zaczęło się gwałtownie rozbudowywać jako centrum „celinnego kraju”, najechało wielu Niemców z okolicznych sowchozów albo i z dalszych stron szukać zajęcia w ośrodkach przemysłowych, na budowie czy też w innych przedsiębiorstwach. Znalazło się wśród nich wiele rodzin katolickich. Przybyli też z wiosek Polacy. Trzeba było tylko gorliwego kapłana, który by zainicjował pracę. I oto taki się zjawił - właśnie ten z Tainczy. Wkrótce zakupiono dom, urządzono kaplicę i rozpoczęły się regularne nabożeństwa. Z początku znowu miała głos liturgia grecka, ale stopniowo łacina zwyciężyła, co się też przyczyniło - przy osobistej gorliwości duszpasterza - do rozszerzania wpływów i triumfu wiary. Życie religijne rozkwitło. Garnęła się młodzież i dzieci. Zdarzały się nawrócenia nawet obojętnych i wrogich. Wpływy rozciągały się na odległe rejony Kurgaldżyńsk, Szortandy.

Jednakże dojazd do Akmolińska nie był łatwy. Wiosną, kiedy puściły śniegi, droga z posiołków była nie do przebycia. Grajder -twarda szosa, która łączy Celinograd z odległą 140 km Astrachanką, omija cały szereg polskich wiosek, które pozostawione na uboczu pragną mieć swoją kaplicę. Pragnienia te spełniają się, kiedy z Sybiru przybywa jeszcze jeden kapłan: światły uczony, dawny profesor seminarium duch[ownego], a przy tym pełen apostolskiego zapału, choć o zrujnowanym zdrowiu[[45]](#footnote-45) . Usilne staranie ludzi dobrej woli, którzy nie szczędząc ofiar oddają dom dla służby Bożej, sprawiają, że powstaje nowy ośrodek kultu w Zielonym Gaju.[[46]](#footnote-46) Zwykle oznacza się ten posiołek lakoniczną numeracją 32, ale nazwa jest więcej symboliczna. „Gaj” zaczyna rozwijać się i kwitnąć, choć otaczają go jak przedtem bagna. Nawet pieszo mogą przybyć ludzie z pobliskich wiosek, dalszych posiołków 10, 11, 12. Nawet 13 i 14, choć już dalsze, utrzymują stały kontakt z „parafią”. Ośrodek rejonowy Astrachanka liczy kilkadziesiąt rodzin polskich i chyba więcej niemieckich. Dalej już nieco w bok od Dżałtywu znajduje się spora osada niemiecka o kazachskiej nazwie Żytkur-Dżałtyr - duża stacja kolejowa z również kilkudziesięciu rodzinami, wśród których znajdują się też Polacy, posiada poprzez Karmadyr lepszy dojazd do Akmolińska i Karagandy.

Obrzeżona mnóstwem stożkowatych czarnych szybów, najeżona lasem kominów fabrycznych Karaganda od niedawnych czasów rośnie w potężną metropolię, największą w zachodnim Kazachstanie, a po stolicy Ałma-Acie w ogóle w całym tym olbrzymim kraju. Gwałtowny rozwój tego ośrodka przemysłowego jest wysoce symptomatyczny dla celinnego kraju. Jeszcze w latach trzydziestych, kiedy pędzono etapami wygnańców z Ukrainy, trasa ich szła wprost z Akmolińska do Karkaralińska, gdzie był prastary ośrodek administracyjny z czasów koczownictwa. Później przeniesiono go do Semipałatyńska, a o Karagandzie w klechdach pieśniarzy z Akajem na czele nie ma jeszcze mowy. Dziś Karkaralińsk jest uroczym miasteczkiem, do którego z Karagandy trzeba jechać ponad 200-kilometrową różnorodnie formowaną szosą. W ostatnim odcinku przed wjazdem do miasta położonego w kotlinie roztaczają się piękne widoki na poszarpane, czasem płasko ścięte góry, miejscami porosłe czarną grzywą lasów. P. Bogdan nazywał je kazachską Szwajcarią. Był to zacny, o patriarchalnym wyglądzie starzec, który przybył tu z górą pół wieku temu jako agronom, a potem po przeżyciu lat wygnania powrócił tu, aby dożyć sędziwego wieku wśród umiłowanej ludności miejscowej. Bo to był właśnie charakterystyczny rys jego pięknej osobowości -uniwersalny humanitaryzm, który sprawiał, że drzwi jego domu, pochyłego wiekiem jak i on sam, dla każdego stały otworem. Przy tym żył i zmarł religijnie. Uczył nawet katechizmu wychowankę - Ukrainkę, a w jego domu, przypominaj ącym chyba graciarnię średniowiecznego alchemisty, gromadziła się garstka wiernych, kiedy z rzadka przyjeżdżał ksiądz. Ten fragment warto było włączyć, żeby zaznaczyć, że nawet w najdalszych zakątkach nigdzie nie brak wiernych.

Cóż dopiero mówić o Karagandzie! Zaraz z początku wśród kadr przybyłych dla pracy w kopalniach i przemyśle znalazły się setki rodzin katolickich. Niemcy-katolicy zaludnili szczególnie przedmieście Majkuduk. Tam też odprawiały się pierwsze nabożeństwa i założono kat[olicki] cmentarz. Potem - przy wzroście liczby wiernych do tysięcy - założono w mieście kaplicę. W wielu domach, nie tylko w samej Karagandzie, ale i w całym kraju, można oglądać fotografie wnętrza kaplicy, czasem z grupą kapłanów z sędziwym ks. Staubem na czele. Bo księży było zawsze kilku. Jedni z nich pracowali w fabrykach lub przedsiębiorstwach, inni dożywali wieku przy pracy kapłańskiej -zawsze można było zastać kogoś chętnego do usług. Do Karagandy przyjeżdżano tedy i z dalekiego Omska i Nowosybirska, mieli tu przystań wierni z Aktiubińska i Kustanaju, a z południa przyjeżdżali aż z ciepłych krain - Dżambuła i Taszkientu.

Potem jednak powstała kaplica w okolicach Frunze z o. Antonim, a prócz tego znaleźli się 00. Bazylianie, wygnańcy w węzłowej stacji Czu i ostatni po śmierci ks. Stauba proboszcz niemiecki z Nadwołża, ks. Keller. Rozciągnęli oni opiekę nad ogromnymi masami wiernych, rozmieszczonych po kołchozach, sowchozach i różnych przedsiębiorstwach stołecznej Ałma-Aty i okolic. Do całości obrazu, który jednak nosi charakter mocno fragmentaryczny, trzeba jeszcze dołączyć tajemniczą sylwetkę dominikanina, który w tym czasie osiadał w Pietropawłowsku.

Leżąc na skrzyżowaniu dróg wiodących z jednej strony przez Kurgan i Czelabińsk na Ural z Ufą i Świerdłowskiem, z drugiej na sybirski już Omsk i Nowosybirsk, a wreszcie w kierunku południowym na Karagandę i Taszkient, był P[ietropawłows]k ważnym punktem komunikacyjnym jeszcze dla wielbłądzich karawan w dawnych czasach. Administracja carska wykorzystywała to spore miasto dla handlu i kolonizacji. Z tego czasu pochodzi dość duży baniasty sobór, widniejący z dala na tle nowych zabudowań, jak nieopatrznie pozostawione wspomnienie.

Może i licznie przybyli Polacy mieli też swoją świątynię. Teraz nie można było o tym marzyć, mimo że rodzin katolickich zamieszkuje sporo w samym mieście, a więcej jeszcze w okolicznych wioskach. Ksiądz spotkał się zaraz na początku ze sprzeciwem i szykanami, mimo że ukrywał się pod zmyślonym nazwiskiem. Nazywał się Pieresypkin, ale nikogo to nie myliło. Każdy wiedział, że przy dobrej woli, zadawszy sobie nieco trudu, znajdzie zawsze chętnego do usług dobrodusznego mimo trochę ostrej postawy - ojca Piotra[[47]](#footnote-47) . Było to niezmiernie ważne, szczególnie wobec zmienionych warunków, które miały wkrótce nastać - nowej fali prześladowań.

Koczownicze plemiona kazachskie miały na oznaczenie wszelkich klęsk żywiołowych jeden ostry jak świst „sorła” wyraz: dżut. Kiedy bydło ginęło z braku paszy, którą wypaliło słońce, a ludzie nie mieli mleka ni sera i dobijali z głodu ostatnie konie, kiedy przedwczesna zima skuła białym płaszczem ziemię, zanim zdołano dotrzeć do nędznych zimowisk, lub też z brudnych oparów podnosiła się niszcząca moc zarazy, wszystko to działała zła siła, która na jakiś czas uśpiona mogła się niespodziewanie jeszcze groźniej rozbudzić.

Można by powiedzieć, że jakiś demoniczny dżut rozpętał się po krótkim okresie ulgi nad ludem Bożym w Kazachstanie. W ciągu kilku miesięcy zniszczono wszystko, co zostało stworzone w tak radosnym trudzie niespełna dwóch lat: księży wywieziono, kaplice pozamykano i wierni pozostali znowu sami, jak dzieci bez ojca. W Tainczy zabrali księdza w sam dzień Niepokalanego Poczęcia[[48]](#footnote-48) . Oczywiście, nie obeszło się bez manifestacji, ale wszystko na próżno. Obiecali, że wróci. W Ałma-Acie powiedzieli jednak, że dość już szkody: piętnaście lat nie wystarczy, żeby zlikwidować owoce jego pracy. Była to największa pociecha w siedmioletnim okresie odosobnienia w obozie, na który został skazany, z tą tylko chyba poprawką, że trwanie owoców pracy apostolskiej nie liczy się na lata. Ludziom został tylko żal i osierocenie.

Na posiołku 32-im w czasie pasterki, kiedy rozpoczęło się nabożeństwo, padł strzał w kierunku ołtarza. Jakaś kobieta zasłoniła księdza i została zabita. Takich obrońców znalazłoby się więcej, ale byli też judasze. Zawsze się nimi posługiwano, kiedy chodziło o usunięcie młodzieży spod wpływu kapłana. Ofiara, choć krwawa niewinnej kobiety, oddaliła na krótki czas okrutny cios. Księdza zabrali i zasądzili jako wroga. Coś podobnego, choć w innej zapewne wersji, miało miejsce w Karagandzie jeszcze wcześniej. Inne były metody i środki, ale cel i efekt ten sam: budować celinny kraj bez nadprzyrodzonej zaprawy. Może nie przypadkiem było, że właśnie w tym czasie Akmolińsk przemianowano z woli Chruszczowa na Celinograd. Podobno ktoś z śmielszych w czasie wizyty Męża Stanu w budującym się mieście docisnął się do jego pojazdu i podał petycję. Wszystko na próżno. Kaplicę zamknięto, księdzu udało się ujść zawczasu, nie czekając na los tamtych konfratrów, a staruszka zakrystianka spaliła ze strachu papiery. Podobnie działo się w Szortandy, gdzie był prawnie zarejestrowany dom modlitwy pod opieką pięciu sióstr tercjarek. Wszystkich opanowała panika, bo pamiętali terror pierwszych lat po rewolucji.

Najdłużej utrzymywała się kaplica w rejonie Frunze, gdzie pracował dzielny litewski kapłan, o. Antoni. Proces o „spekulację” wytoczono aż w Wilnie i do dziś dnia „dorabia się nieba piłą i toporem w uralskich lasach”. Są to jego własne słowa pisane do ludzi, którzy go nie zapominają.

O. Piotr zginął tragicznie, choć nie w katastrofie samochodowej. Tragedia może zdarzyć się też na stole operacyjnym. Podobno przestrzegali go, że operacja serca jest ciężka, ale wolał ryzyko niż życie pod ciągłą presją. W samym dniu śmierci w Moskwie z Pietropawłowska przyszło wezwanie, ale z tamtego świata już go nie odwołali. Na cmentarzu Wilkowskim znajduje się mały, jakby dziecięcy grób. Nawet po śmierci zajmuje minimum miejsca.

Tak się przedstawia w błyskawicznym skrócie apostolski wysiłek Kościoła i jego brutalne gnębienie na wielkim obszarze Kazachstanu w latach powojennych. Późniejsze próby nieustannie ponawiane przez wiernych nie dają pozytywnych rezultatów. Wprawdzie władze centralne w Moskwie odnoszą się z czasem przychylnie, ale na miejscu katolicy nie posiadają żadnych praw.

Efemerycznym zjawiskiem, wyjątkowym, była kaplica niemiecka w Ałma-Acie i Kustanaju. Okolice pięknej stolicy są gęsto obsiane osadami z ludnością niemiecką, w wielkim procencie katolicką. Są też całe wioski polskie. W samym mieście, zwłaszcza na peryferiach i przedmieściu Tastak, rozwija się od dawna życie religijne. Ksiądz - „dwornik” - bazylianin objeżdża z autentycznym chórem i organistą (przenośne organki) sowchozy i osiedla. W pewną niedzielę zastano go „na robocie”. Rzeczy skonfiskowano i wytoczono sprawę o nielegalność. „Pracujemy nielegalnie, bo nie dajecie nam praw” - powiedział śmiało młody ksiądz. Efekt był nieoczekiwany. Kazali nabyć dom i odprawiać jawnie. W ciasnym zaułku przy ul. Złotoustej - jakże dobrana nazwa - zaimprowizowano kaplicę. W niewielkim domu z ganeczkiem otoczonym równie niedużym podwórkiem musiały się gromadzić tłumy miejscowych i przyjezdnych. Szkoda, że trwało to niedługo. Obecnie znowu wszystko zablokowano, nie wiadomo dlaczego i na jak długo.

W Kustanaju energiczna Niemka z pomocą innych wywalczyła kaplicę. Pomieszczenie jest skromne, niskie, przypominające raczej barak, ale ludzie byli zadowoleni, zwłaszcza kiedy przyjeżdżał kapłan. Był to energiczny szofer z Kaunasu [Kowno], który wolny czas poświęcał na pracę misyjną. Obleciał samolotem wiele miejscowości na Sybirze i w Kazachstanie. W Kustanaju zatrzymywał się częściej. Raz nawet otrzymał pozwolenie na 10-dniowy pobyt - wreszcie osiadł na stałe. Była to wielka radość dla całej okolicy. Niestety, trwała krótko. Dziś znowu są sami.

Te nieliczne i krótkotrwałe wyjątki nie zmieniają faktu, że kapłan katolicki w Kazachstanie, jeśli chce mieć kontakt z wiernymi, musi się ograniczyć do pracy tajnej. Nabożeństwa odprawiają się przeważnie w nocy, w lokalach dobrze zakonspirowanych, do których mają dostęp tylko wtajemniczeni. Jest śledzony i ścigany jako przestępca, a jeśli Pan Bóg pozwoli i zażąda, staje się prawdziwym świadkiem - „martyr”. Takim był o. Aleksander[[49]](#footnote-49) . Nazywają go tak powszechnie, ale właściwe imię jego Aleksy więcej odpowiada jego wędrownej apostolskiej pracy. Należał do wielkiej grupy kapłanów-unitów, którzy swoje przywiązanie do Kościoła musieli opłacić wygnaniem razem z metropolitą lwowskim Slipyjem. Były wśród nich kadry młodych kapłanów niedawno wyświęconych, którzy praktykę duszpasterską rozpoczynali w ciężkich latach wojennych. Pracowali w lasach, kopalniach i fabrykach na Uralu i Sybirze, a kiedy skończył się okres zesłania i kary, woleli służyć pociechą swoim opuszczonym braciom, niż wracać w rodzinne strony, gdzie również - wobec zlikwidowania unii -nie mogliby się otwarcie zajmować pracą kapłańską.

Ich duchowy zwierzchnik został w Rzymie purpuratem, ale nie ma to wpływu na polepszenie doli tych setek jego podwładnych, którzy pozbawieni pracy parafialnej muszą zarabiać w jakikolwiek dostępny sposób na utrzymanie, a przy tym - ręka w rękę z rzymskokatolickim duchowieństwem obsługują tajnie wiernych trwających w kat[olickiej] wierze.

Wielu z nich powróciło w rodzinne strony, byli jednak i tacy, którzy poznawszy niedolę braci w diasporze, postanowili poświęcić się pracy misyjnej. O. Żarecki, porzuciwszy pracę na Uralu, gdzie jakiś czas przebywał, dostał się przez Aktiubińsk do Karagandy i rozpoczął ożywioną działalność na całym rozległym terenie. Z nieustraszoną gorliwością spieszył na każde wezwanie. Pociągiem, samolotem, przygodną ciężarówką, a gdzie trzeba - i pieszo docierał do najbardziej zapadłych wiosek, gdzie jeszcze księdza nie widziano. Był prawdziwym „duszochwatem”. Jego ujmującej szczerą prostotą gorliwości nie mogli się oprzeć i bezbożnicy. Nawet w publicznych miejscach, jadąc autobusem czy pociągiem, zdolny był wszczynać dyskusje świadczące o szczególnym darze wpływania na ludzi. Szczególną miłością otaczał dzieci, które się do niego garnęły. W wielu mieszkaniach, zwłaszcza niemieckich, przechowuje się jego podobiznę: smagła, pociągła twarz i czarne oczy, które zdają się przenikać do wnętrza duszy. Czuje się, że ten człowiek tak żyje, jak mówi, i promieniuje z siebie najgłębiej pojętą ascezą, którą można by nazwać w najlepszym tego słowa znaczeniu fanatyzmem.

Przybycia o. Aleksandra oczekiwano wszędzie jak święta, ale taki dzień - raczej noc - nie mogły się często zdarzać, gdyż zasięg jego pracy był wielki. Oprócz Karagandy obsługiwał Akmolińsk, Szortandy, Żołtyn, Tainczę, Pietropawłowsk, Aktiubińsk oraz szereg innych miejscowości, objeżdżając liczne przy ległe wioski. Po latach jeszcze będzie można oglądać ślady jego działalności: tego uczył o. Aleksander, tym dał ślub, tamtych pojednał, a kogo przekonał, ten stawał się często najgorliwszym z gromady. O przykłady nietrudno. Oto matka pięciorga dzieci, młoda wdowa porzucona przez męża, który potem zginął tragicznie. Modli się co dzień razem z dziećmi i większą rodziną i chroni je jak ewangeliczna kokosz od bezbożnych wpływów, a przy tym spełnia rolę Lidii czy innej gorliwej apostołki z *Dziejów,* bo pomaga w pracy przygodnym kapłanom. Dawniej też była światowa, ale łaska Boża pod wpływem o. Aleksandra dokonała gruntownej przemiany.

W Szort[andy] jest para tercjarzy: Luchesjusz i Bona. Ich dom jest domem modlitwy. Ona, zawsze gorliwa, potrafiła wychować religijnie siostrzeńca - choć cała rodzina bezbożna - ale on - to zdobycz o. Aleksandra - młody człowiek, gotów za wiarę cierpieć. Kiedy dowiedział się, że Ojca zabrali, pojechał do Karagandy, żeby pod murami więzienia zapłakać.

Bo tak się skończyła misja o. Aleksandra. W maju 1961 r. na próżno oczekiwano przybycia jego w Tainczy. Nie było go też w Akmolińsku i Szortandy. Trwożne przeczucia wkrótce się sprawdziły. Zabrano go w Karagandzie na ulicy w miejscu wskazanym przez zdrajcę, który udał chęć spowiadania się. Judasz zawsze się znajdzie. Z początku jak zwykle zaginął ślad, ale potem zaczęły dochodzić dyskretne wiadomości. Został zasądzony na dwa lata więzienia. Podobno przechodził ciężkie próby i stracił zdrowie. Mimo to pisał do wiernych pogodne listy, chcąc podtrzymać ich na duchu. W jednych z ostatnich donosił, że Matka Boska obiecała go rychło wyzwolić. Wyzwolenie przyszło niespodziewanie w terminie nieoczekiwanym. Właśnie kiedy miał nadzieję ujrzeć się na wolności wśród swoich duchowych dzieci, zginął przy operacji w więziennym szpitalu. Jego mogiłka z prostym krzyżem na odosobnionym cmentarzu nie może stać się przedmiotem kultu. Jest niedostępna i samotna jak ten, który pod nią spoczął. Czasem tylko ktoś wiedziony nadmierną tęsknotą zada sobie trud przebyć kilkadziesiąt kilometrów, żeby odwiedzić grób Ojca, po którego śladach wkrótce poszli inni.

W parę tygodni po zniknięciu o. Aleksandra na stacji Taincza wysiadł podróżny w białym, trochę zmiętym kitlu, z niezasobną walizką w ręku[[50]](#footnote-50). Zapytał kogoś o ulicę Zapadną. Dzień był pogodny, ale poprzednio padały deszcze. Po przebyciu toru znalazł się na ulicy błotnistej, nie do przebycia. W takiej porze tubylcy noszą gumowe buty i patrzą z politowaniem na przybyszów skaczących nieporadnie po kałużach błota. Trzeba było przejść parę przecznic, zanim na jakimś narożnym domu ukazała się pożądana nazwa: Zapadną. Teraz chodziło o znalezienie domu, w którym mieszkała siostra księdza [J. Kuczyńskiego]. Spotkanie trudno opisać, choć się dotychczas nie znali. Jak ongiś w Emaus, mieli się poznać przy łamaniu Chleba. Trwały przygotowania, kiedy weszła jakaś kobieta z prośbą, żeby iść do umierającego ojca. Skąd się dowiedziała? „Już ja się domyśliłam.” To była pierwsza funkcja kapłańska. A potem? Radość, ruch, nowe życie. Boże, Ty nas nie zapominasz. Bronisława zamieszkiwała jeszcze dom obok kaplicy, ale nie było tam bezpiecznie, bo ją prześladowali za brata, który w mordowskiej obłasti odsiadywał karę. Podlega obozowym szykanom - odmawiają mu pożywniejszych produktów. Stale choruje.

Gościny dla pożądanego przybysza udziela „gruby” Antoni. Niedawno stracił syna, który zabił się, prowadząc skonstruowaną przez siebie „maszynę”[[51]](#footnote-51) . Ojciec opowiadając o tym ma łzy w oczach. Pozostała synowa z dwojgiem dzieci. Stary się ożenił, ale pierwszej żony nie zapomina. Prosi, żeby się odprawiła Msza św. za żonę i syna. Wczesnym rankiem zaczęli się schodzić ludzie. Zapełnili obszerną izbę, która służy zarazem za sypialnię i świetlicę. Są staruszkowie, ale też mężczyźni w sile wieku, którzy spieszą do pracy. Jest też kilkoro młodzieży szkolnej. Szkoła mieści się niedaleko przy tej samej ulicy. Gdyby się dowiedzieli... Ale okiennice są zamknięte, a do rannego ruchu wszystko się skończy. W drugim mniejszym pokoju Częstochowska, zapewne jeszcze przywieziona z domu, spogląda z małego ołtarzyka na lud, który u stóp kapłana siedzącego w krześle ociosuje się z grzechów. Lecą drzazgi mniejsze i większe: przeklinał, pił, kłóciła się - Boże, zmiłuj się. Wszyscy muszą się oczyścić, żeby wziąć udział w Świętej Ofierze. Taka jest reguła. Jak w wieczerniku i w katakumbach nie ma wyjątków. Tylko czarnowłosy Staś i biała Hela są jeszcze mali, ale chcieliby też.

Na ołtarzu pod korporałem relikwie św. Męczenników, przywiezione z daleka. Kielich? Ach, jakie to precyzyjne dzieło! Składa się z trzech części tak zmontowanych, że nikt się nie domyśli przeznaczenia. Nieraz już mieli to w rękach i oglądali jak zwykłe naczynie toaletowe. Cała zakrystia mieści się w niewielkiej walizce. Ale u Antoniego w szopie są też komże, których używa się do pogrzebów. W kącie stoją dwa biało-czarne sztandary. Teraz jednak komżę przyodziewa ministrant. Jest mały, czarny, wąsaty. Ma przy tym bardzo poczciwe oczy niewinnego dziecka, choć przekroczył pięćdziesiątkę i jest drugi raz żonaty. Msza święta jest śpiewana - jakże by inaczej. W Ewangelii znajdzie się jakieś odpowiednie słowo, boć to wszystko dla nas napisane: choćby o tych gołębicach i wężach. Tak, trzeba być roztropnym. Za oknem już szarzeje. Światło znika, otwierają się okiennice. Ludzie rozchodzą się pojedynczo, powoli. Antoni stoi przy bramie, żeby zatrzymać ewentualnych ciekawych sąsiadów. Za chwilę wszystko wraca do normalnego życia. Stasia spieszy do elewatora, Antoni do pracy przy warsztacie. Dzieci do szkoły.

Po południu odprawia się nabożeństwo majowe u Marysi, ale tam mogą być różni ludzie - niebezpiecznie. Za to późnym wieczorem u Emmy ślub. Jest to dość daleko, na Suchocinie. Potrzeba iść nocą, ale w mieszkaniu duże zgromadzenie. Panna młoda w bieli i z nieodzownym wianuszkiem - szkoda, że sztucznym. Rozlega się *Veni Creator,* aż drżą ściany. Teraz się nie boją. Jest organista i paru mężczyzn z donośnymi głosami. Śpiewają po łacinie i po niemiecku. Mały Jakom - jest podobno magazynierem na bazie -odpowiada sprawnie na wezwania. Nabożeństwo przekracza północ. Na koniec modlą się z rozkrzyżowanymi ramionami, jak ich nauczył proboszcz. Tego się nie zapomni - ani ich rozmodlonych twarzy. Ktoś mówi, że czeka ślepy Klemens. Ujmują księdza pod ręce i prowadzą w mroku. W izbie znowu zgromadzenie, choć mniejsze. Niewidomy klęczy, jak Bartymeusz, ale nie woła o wzrok. Wystarczy mu, że Jezus przychodzi. Co za radość!

Bezpośrednim jednak celem przyjazdu była Ewelina w Krasnej Polanie. Córka zawiadomiła, że staruszka jest chora, ale zaznaczyła niedwuznacznie, że trudno się tam dostać, bo ludzie się boją schodzić na nabożeństwa, cóż dopiero sprowadzić księdza. Ale Ewelina jest godna trudu. Przeżyła w Kazachstanie najcięższe lata zsyłki, potem wróciła na Ukrainę i była wzorem pobożności dla rodziny i sąsiedztwa. Czasem gościł u nich ksiądz, z czego bardzo się cieszyła, ale nie mogła znieść myśli, że tam daleko ludzie nie mają przewodnika, choćby takiego, jakim może być oddana Bogu niewiasta. Powróciła do Krasnej Polany i zaraz od początku jej dom, a raczej jej głuchoniemego syna, stał się punktem zbornym wiernych. Nie bała się żadnych pogróżek. Łatwo wyobrazić sobie jej radość, kiedy ujrzała niespodziewanie znajomego. Starcza twarz o szlachetnych rysach rozbłysła w półmroku izby uśmiechem. Siedziała nad niedomkniętą grubą księgą, którą sama oprawiła niefachowo w płótno. Tych ksiąg większych i mniejszych miała pełny kuferek. Czego tam nie było? I żywoty świętych, i modlitewniki, i stare roczniki „Rycerza”, ale najważniejsze chyba te własnoręcznie pisane kajety, według których prowadziła nabożeństwa. Co jednak najbardziej zdumiewające, że w swoje duchowe sekrety wtajemniczała maleńką wnuczkę. Mila umiała już czytać i pisać, choć była jeszcze w wieku przedszkolnym. Nastąpiła uroczystość jej Pierwszej Komunii św. Choć była sama, jak księżniczka, wszyscy brali udział w podniosłym święcie dziecka, które walcząc ze snem przeżywało swoją najpiękniejszą noc. Ta noc minęła zbyt szybko. Czy kiedy się powtórzy? Na przeoranych bruzdami twarzach pojawiają się łzy, kiedy odzywa się motor ciężarówki i gość wsiada do kabiny.

Mimo wszystko Marysia zaprosiła do siebie. Mała, krępa, bosa, o twarzy nalanej, trochę pospolitej, uderza swoją ekscentrycznością. Ma na sobie coś w rodzaju habitu przepasanego sznurkiem. Jej chatka, równie niska, oblepiona gliną, wciśnięta w nieogrodzone podwórko, najuboższa z ubogich, tworzy z właścicielką nierozerwalną całość. Obie są przedmiotem drwin. Przygodne łobuzy wybijają małe szybki, które wciąż z trudem łata. Kiedy jednak przejdzie się ciemną sionkę, naraz uderza przyjemny widok. W głębi czystej izdebki biało przykryty ołtarz z tabernakulum osłoniętym haftowanym konopeum. Lichtarze, kwiaty, niczego nie brak. Nawet lampka się pali, choć tabernakulum puste. O. Aleksander zostawiał podobno N[ajświętszy] S[akrament], ale teraz nie ma. Ludzi nie ma wiele, bo Marysia robi swoistą selekcję. Nie dopuszcza kobiet dostatniej ubranych. Szczególnie nienawidzi aksamitne „połdochy”[[52]](#footnote-52). Takie bez pardonu wyprasza i na temat ubóstwa wygłasza formalne kazania. Tego rodzaju postawa zmusza do zachowania rezerwy, co z kolei prowadzi do zjadliwego krytykowania nawet księży, jeśli nie chcą uznać jej kaprysów. Mimo to gromadzą się tam ludzie z posiołka na niedzielne nabożeństwa, które przeciągają się często grubo poza południe. Trudno tu wytłumaczyć, że „słowa skrócone uczynił Pan na ziemi”. Samo kazanie zajmuje sporo czasu, zwłaszcza kiedy dołącza się zmiana różańcowa.

Po drugiej stronie, w Suchocinie centrum mieści się u Anny. Jest to poważna, bogobojna wdowa, której średniozamożny dom z pokaźną werandą nie różni się zasadniczo od innych znajdujących się przy tej ulicy. Tylko, że jest w nim odosobniona izba z ołtarzykiem, w którym stale przechowuje się Najświętszy Sakrament. Nawet przy dłuższym braku kapłana Najświętszą] Hostię przywozi się w specjalnej bursie ukrytej na piersiach z Karagandy. Co dzień rano schodzi się kilka kobiet na adorację, a jeśli są usposobione, przyjmują Komunię św. Nigdzie lepiej, jak tu i w podobnych warunkach gdzie indziej, nie rozumie się prawdy, że Sakramenty są dla ludzi. Szczególnie troskliwie odprawia się Godzinę Świętą w pierwszy czwartek i nabożeństwo w Pierwszy Piątek miesiąca. Przybysz nie może jednak od razu zapoznać się z wszystkimi objawami kultu w tej pierwszej spotkanej gminie. Musi i innym przepowiadać Królestwo Boże.

Dalszym etapem jest Malinka. Wczesnym rankiem, zanim niebo zaczęło różowieć, zajechali z niedostępnym panem Antonim na prawie pustą w tym czasie stację. Na ulicy nie było nikogo, kiedy zapukali do zamkniętych okiennic pod wskazanym adresem. Odezwał się jakiś gniewny pomruk i wyjrzał zdziwiony gospodarz - Kazach. Okazało się, że adres był mylny, ale z naprzeciwka wyszła ciekawa kobieta. Dom był katolicki, niemiecki, w izbie pełno obrazów. I zaraz na wstępie okazał się palec Boży. Niedaleko mieszkał mężczyzna chory na raka, który się bardzo męczył. Przy tym biedaku o niemiłosiernie zeszpeconej twarzy odprawiała się Msza św. Wkrótce potem umarł. Już nietrudno było znaleźć właściwy adres sióstr [[53]](#footnote-53). Przybyły z dalekiej Łotwy, aby służyć braciom rodakom, którzy tu się znaleźli w sporej gromadce. „Slawit Jezus Christus” - powiedział łamanym językiem przybysz, który się trochę obracał w okolicy Daugawpils i Rygi. Sióstr było cztery. Trzy z nich zajęte w szpitalu - jedna na gospodarstwie. Wnętrze przytulne i czyste, aż miło. Wieczorem schodzą się goście. Niemcy i Łotysze, którzy mówią z trudem po rosyjsku. Są też chrzty, a potem jacyś chorzy, ale ktoś donosi, że grozi rewizja. Trzeba przeczekać w innym domu, a rano chyłkiem na stację.

Do Akmolińska pociąg wtacza się powoli, stając na wszystkich stacyjkach. Do wagonu gramolą się majestatycznie brodaci Kazachowie w obszernych bekieszach przepasanych długimi ręcznikami. Na głowach mają obszerne małachaje lub wzorzyste tiubietiejki. Niektórzy gładzą rozwartymi dłońmi oba policzki. Jest to ruch modlitewny, którego wcale się nie wstydzą. Kobiety mają obfite spódnice z zielonego aksamitu. Często noszą na przedramieniu bransolety. Czarne kosookie dzieci opychają się słodyczami. Miasto zapowiada się z daleka lasem kominów fabrycznych i dźwigów, ale stacja jest jeszcze prowizoryczna i ciasna. Nowa buduje się tuż obok. W ogóle Celinograd - teraz już tak nazywany - znajduje się w sławie [?]. Wszędzie widać gigantyczne dźwigi chwytające pazurami olbrzymie płyty. Trzeba z trudem szukać wolnego przejścia. Autobus objeżdża centrum bocznymi ulicami i wreszcie staje około bazaru.

Teraz musisz zdać się na instynkt, bo mało kto wie, gdzie znajduje się ul. Engelsa. Ponieważ jednak z reguły Lenin, Marks i Engels są nierozdzielną trójcą, można po dłuższym krążeniu wreszcie się zorientować. Wiktoria, której dom mieści się przy końcu ulicy, jest zaskoczona. Po wyjeździe księdza była u niej rewizja, dlatego Allerheiligste przechowywała w szafie. Teraz, znajduje się na skromnej półeczce w celuloidowym pudełku ozdobionym sarnami. Na Mszę św. przyszło parę Niemek, bo dzień był powszedni. Nawet Piotr poszedł do roboty, a Marusia do szkoły. Zresztą o większym zgromadzeniu nie było mowy, gdyż dom jest pod inwigilacją.

Co innego u Emmy. Są to dwa domy przedzielone wąskim podwórkiem i stajnią - serajem, do których można się dostać od ulicy lub przez ogród, co jest niezwykle korzystną okolicznością. Jeden większy dom zamieszkuje Katia z babką i sześciorgiem dzieci, w drugim należącym do Emmy znajduje się kaplica. Jest to dość obszerna, kwadratowa izba, której dwa okna wychodzące na szkołę są prawie zawsze zasłonięte. Przy prawej ścianie znajduje się obstawiony mnóstwem obrazów ołtarzyk ze skromnym tabernakulum pośrodku. Jest to właściwie zwykła paczka przykryta jedwabną zasłoną. Malutki płomyczek naftowej lampki świadczy o obecności Eucharystii. To była ulubiona przystań o. Aleksandra, kiedy przejeżdżał po ucieczce Włodzimierza.

Cała rodzina jest nadzwyczaj bogobojna. Sama Emma, cicha, ale o płonących oczach, mężna niewiasta, trzyma właściwie wszystko w rękach. Jej rygorystycznym zasadom poddaje się mąż Antoni i córka z rodziną. Z tą Katią nie było z początku wcale łatwo. Pod wpływem męża hulaki zaczęła lgnąć do świata i kto wie, czy by nie zobojętniała religijnie, gdyby nie łzy i modlitwy matki. Do tego dołączył się niespodzianie krzyż. Mąż porzucił ją z sześciorgiem dzieci i związał się z drugą. Po krótkim czasie uległ katastrofie - pijany wpadł do rzeki z samochodem i utonął. „Tamta” przysłała zwłoki do pochowania.

Katia żyje odtąd dla Boga i dzieci, o których wiarę walczy jak lwica, choć z natury jest słaba. Najmłodsza Irenka w szóstym roku przystąpiła do Pierwszej Komunii, a reszta z gromadki pilnuje Sakramentów św. przy każdej sposobności. Wzruszająca jest wspólna modlitwa rano i wieczór, na którą gromadzi się i dalsza rodzina z głuchą babką i domownicą, dawną zakrystianką na czele. Co dzień musi być różaniec oraz inne zmieniające się stosownie do dnia modlitwy, co razem zajmuje około godziny. Prócz tego jest dla dzieci obowiązkowe czytanie Biblii lub katechizmu. Co dzień u Emmy gromadzi się parę osób na adorację, a w niedzielę jest pełna chata. Choćby nie było kapłana. Nabożeństwo odprawia się według mszału z czytaną po niemiecku Lekcją i Ewangelią.

Kiedy przybywa kapłan, dom zamienia się w kościół, choć zaraz naprzeciw znajduje się szkoła. Trochę pomyślną okolicznością jest, że można zajść niepostrzeżenie od ogrodu, a wejścia do mieszkania strzeże poczciwy kłapouchy Rex. Polacy nie mają równie pomyślnych warunków. Zresztą gromadzą się w każdą niedzielę gdzie indziej, chyba, że odbywa się zmiana tajemnic różańcowych, to już zawsze u Emilii. Tu już zupełnie inna atmosfera. Syn i synowa właściwie niewierzący, choć nie wrogo nastawieni, ale nigdy ich nie ma. Ołtarz instaluje się naprędce w pokoju, aby potem usunąć wszystko bez śladu. Tak jest we wszystkich tych domach, gdzie tylko na parę godzin użycza się mieszkania Bogu, a obraz religijny zachowuje tylko babka w swoim kąciku.

## Podsumowanie

Przebywając szereg lat w Kazachstanie, mogłem przypatrzyć się obrazowi stosunków religijnych, panujących wśród katolików - Polaków i Niemców, którzy rzuceni losem zamieszkują ten obszerny kraj. Na tle ogólnie przyjętych w Związku Radzieckim norm obraz ten przedstawia się zgoła wyjątkowo. Jeśli chodzi o prawne nastawienie do spraw kultu, miarodajną może być wypowiedź prezesa Rady Religijnej (Sowieta Religij), Włodzimierza Kurojedowa, umieszczona w „Izwiestiach” (30 VIII 1965 r.). Stwierdziwszy ogólną, leninowską zasadę oddzielenia Kościoła (Cerkwi) od państwa i szkoły od religii, a zarazem rezerwując swobodę wykonywania obrzędów religijnych dla prawnie zatwierdzonych społeczności wyznaniowych, zaznaczył jednak przy tym, że nikt nie ma prawa odmawiać zatwierdzenia tym społecznościom, których obrzędy i funkcje nie wykazują wrogiego nastawienia do rządu radzieckiego. Opierając się na powyższym oświadczeniu, niektóre z liczniejszych środowisk katolickich zwróciły się o prawne zatwierdzenie do władz miejscowych, spotkały się jednak z brutalną odmową. Kiedy udano się w tejże samej sprawie do Rady Religijnej w Moskwie, oświadczono lakonicznie: „my o was nic nie wiemy”. Zażądano podpisów, obiecano interwencję, ale rezultatów dotychczas nie ma. Wprawdzie istnieją katolickie domy modlitwy dla Niemców, ale wierni schodzą się sami, ponieważ księża nie mają do nich przystępu. Polacy nie mają na całym olbrzymim terenie Zachodniej i Średniej Azji w Związku Radzieckim ani jednej kaplicy, ani jednego legalnie pracującego kapłana. Prawnie właściwie nie istnieją. A jaki jest stan faktyczny?

Trudno się pokusić o jakąkolwiek statystykę. Jeśli chodzi o narodowość, ilość Polaków w Kazachstanie podaje się na 0,06%. Niemców jest chyba więcej. Przy ogólnej liczbie mieszkańców 13 mln ilość byłaby dość znaczna. Cyfra ta jednak nic nie mówi w odniesieniu do wierzących katolików. Więcej światła daje rzut oka w przeszłość tych ludzi, którzy niespodzianie znaleźli się na celinnych stepach. Z Ukrainy w czasach porewolucyjnych i potem za rządów Stalina przesiedlono całe wioski, a choćby większość przewiezionej ludności wyginęła w pierwszych latach nędzy, głodu i niedostatków, to jednak pozostała resztka zaludnia dziś liczne posiołki i szybko rosnące miasta. Trzeba tu zwrócić uwagę na fakt, że przesiedlony został najczęściej element najgorliwszy w wierze, niejednokrotnie właśnie za wiarę cierpiący. Siła reakcji, wsparta niewątpliwie łaską, sprawiła, że przetrwali z górą dwadzieścia lat bez kapłana i posługi duchowej. Sami chrzcili dzieci, dysponowali chorych na śmierć. W każdej gromadzie znalazła się jakaś dusza charyzmatyczna, oddana bez reszty sprawie Bożej, gotowa na wszelkie prześladowanie.

W trochę lepszym położeniu byli Niemcy, którym zlikwidowano diecezję saratowską, ale kilku duszpasterzy znalazło się wraz z wiernymi na wygnaniu. Ostatnim z nich był zmarły przed kilku laty w Karagandzie ks. Staub. Oczywiście nie było mowy o normalnej pracy kapłańskiej, ponieważ nie dawano na to pozwolenia. Czynności święte odprawiano skrycie.

Lecz oto po latach ciężkiej próby zdawało się, że nadeszło wyzwolenie. Prawie równocześnie w różnych miejscowościach Zachodniego Kazachstanu pojawili się kapłani, którzy odbywszy karę na Sybirze woleli poświęcić się pracy wśród braci-wygnańców, niż powrócić do wygodniejszego życia. Korzystając z milczącego zezwolenia władz miejscowych, urządzono prowizoryczne kaplice w Tainczy, Akmolińsku, Karagandzie. Zapał religijny ogarnął cały kraj. Każdy z księży musiał się mnożyć w apostolskim trudzie. Pokazało się, że ateistyczna propaganda niewiele w ciągu lat zdziałała. Na nabożeństwa szli tłumnie nie tylko starzy, ale i młodzież, i dzieci. Partyjni i niewierzący legalizowali śluby małżeńskie. To było przyczyną katastrofy. Księży ponownie aresztowano, kaplice zostały zamknięte i zabrane, a wierny Lud Boży pogrążył się na nowo w tym większym smutku, im większą radość przeżywał w ciągu niespełna dwóch lat względnej swobody.

# ~ III ~

STRZĘPY[[54]](#footnote-54)

**11 IV [1966].** Dziś ósma rocznica.[[55]](#footnote-55) Taki sam słoneczny, kwietniowy dzień. Tylko, że to było Równe, kościół, w którym jeszcze rano odprawiłem Mszę Św., choć było już wezwanie od Demczenka i kłębiło się niejasne przeczucie. Przecież wczoraj wyszedł paszkwil „o ziemnych dietach”[[56]](#footnote-56) . Pomodliliśmy się za zdrajców - coś w rodzaju „nie wiedzą, co czynią”. Zdaje się, że Teofila[[57]](#footnote-57) była w kościele i jeszcze niewiele osób. I oto słyszę słowa Demczenka: „Od dzisiaj nie masz prawa”.

Rano przypomniało mi się, że to właśnie dzisiejszy dzień. Opowiadałem trochę o tym Aleksandrowi[[58]](#footnote-58) i czuję się źle. Może dlatego, że rano wyszedłem na przymrozek, a może że to dziś Wielkanocny Poniedziałek i gospodarze wyszli z chaty na modlitwy, a ja chodzę po mieszkaniu, jak ptak w klatce. I oto nagle przyszła mi myśl: pisać. Teraz już nieważne, dla kogo i po co. Po prostu niech się rozwija taśma i chwyta wspomnienia, choć pozostały tylko strzępy. Kiedyś były jakieś ambicje pisarskie. Staje mi przed oczyma ten gruby profesor od robót z moim jakimś wypracowaniem w ręce. Później wyśmiano mój drewniany sonet. Ale wciąż powracała chęć pisania. I gdyby tak rozpocząć tam we Lwowie, choćby w piwnicy drżącej od bomb! Od owych ostatnich Zaduszek na Łyczakowie[[59]](#footnote-59). Nie i nie - wszystko się rwało i parło naprzód jak fala. I oto teraz Arykty[[60]](#footnote-60). Beznadziejnych pięć lat[[61]](#footnote-61) w błotem odciętej od świata azjatyckiej dziurze. Pisać, pisać. Niech dzień po dniu nawija się jak przędza kłębek myśli i wspomnień. Oby wreszcie doczekać się Chleba i Wina[[62]](#footnote-62). Właściwie tylko tego mi potrzeba. Wczoraj słyszeliśmy z Watykanu ukraińską liturgię. Co dzień odprawiamy Mszę św. bez postaci. Już z górą miesiąc w różnych kazamatach, byle nie zapomnieć. Nie ma brewiarza ni mszału, tylko stary niemiecki Goffine[[63]](#footnote-63), a zacny Georgij ma różne prywatne modlitewniki. Co za zacni ludzie, on i Aleksander! Karmią i goszczą bezinteresownie biednego zesłańca. Rosa[[64]](#footnote-64) też poczciwości niewiasta. Za chwilę przypomnimy sobie Emaus.

Wczoraj przeżyłem Misterium Wielkanocne - od rana do nocy - jak nigdy. Tak można cudownie wypełnić czas świąteczny. Krok za krokiem: Niewiasty - potem jeszcze sama Magdalena - Piotr i Jan - Uczniowie w drodze - wreszcie: „Pokój wam” w Wieczerniku. Cudownie! Jak film. W ogóle jak wspaniałym  
darem Bożym jest pamięć.

W pierwszych dniach uwięzienia byłem jak ten, który z drogich kamyków odtwarza mozaikę. Tak powstał kanon, litanie i wiele pieśni. To ratowało doskonale od nudy.

**12 IV [1966].** Mama[[65]](#footnote-65) gdzieś wyszła i pozostawiła mnie samego w ciasnej sionce naszego domu. Było tam pełno śmieci i starego drewna. Chciałem to uprzątnąć, zanim ktoś nadejdzie, ale przemógł sen. I oto nagle błysk - raz i drugi, jakby ktoś świecił latarką w niedomknięte drzwi. Dzień. Boże mój, dziękuję Ci! Jeszcze jeden.

Do rozmyślania nasunęły mi się słowa Marii: „wina nie mają”. Tak, Matko, ty wiesz, że tego trzeba. A te dziwne słowa Jezusa potem wyrzeczone, jakie pełne głębi: „Co mnie, i Tobie”? Nasze myśli są inne. Wino - krew moja. Jeszcze nie przyszła godzina - a kiedy wreszcie przyjdzie?

Kantora sowchozu[[66]](#footnote-66) znajduje się niedaleko - parę minut drogi - przedtem szkoła mektebi, na drugim końcu tejże ulicy - szpital. Prócz tego jest jeszcze poczta z przysadkowatym kozakiem z wieczną czarną czapą na głowie, parę magazynów[[67]](#footnote-67) mało kiedy w porę otwartych, no i bania[[68]](#footnote-68) w piątek dla kobiet, a w sobotę zapchana płcią brzydką. Wszystko razem niewiele więcej, jak nasz Zamarstynów - ale ten dawniejszy, bo teraz to już kawałek Lwowa.

W kantorze bywam co dzień od przyjazdu z Kurgaldzino. Nawet pierwszą noc spędziliśmy tam z towarzyszami na podłodze. Potem parę dni nie było dyrektora. Potem kazał wziąć sprawkę[[69]](#footnote-69) od doktora, potem czekaliśmy na uczastkowego[[70]](#footnote-70) i oto dziś coś naprzód. Przyjechał milicjant, dostaliśmy jeszcze jedną sprawkę, bo tamta zginęła i uradzili coś dla mnie niezrozumiałego.

A teraz codzienne czytanie Biblii. Podobno luterańska ma 1400 błędów, ale teraz to dla mnie jedynypokarm.

Dobrze, że policzyłem w kalendarzu. Wszak to dziś dziewiąty wtorek. Nasza nowenna[[71]](#footnote-71). Trzynaście już minęło, ale to było w poście, a teraz radość świąteczna. Przystrójcie ołtarz - wyżej i wyżej, aż do samej góry. Więcej światła i zieleni - Leon niech zrobi piękną girlandę. Mikołaju, Irko, Heleno - może i Mietek jest jeszcze, może Sokoły nie odleciały - śpiewajcie żywo: „Jeśli cudów szukasz”. Tak my ich szukamy, a one idą za nami. Może to są te lata łaski, których owoce wciąż trwają - może to ta drobna cząsteczka towarzysząca nam nieustannie jest symbolem tej opieki nigdy nie zawodzącej zaufania. O św. Antoni! Zbyszek - nie, nie masz Zbyszka, nie ma i p. Róży, może i was nie ma! Wszystko rozpływa się w mroku - gasną światła, niknie ołtarz, milkną śpiewy, a w moim ręku jedynie niemiecka modlitwa, a przed oczyma koszmar tamtej nocy.

Ulice obstawione kordonem, a z kościoła otwartego jak rozdarte Serce Zbawiciela - wywożą wszystko po kolei - ołtarze, ławki, obrazy. Gdzie byłeś, Józefie, drogi, beznogi żebraku, kiedy twój dar z latami uciułanych groszy łamali jak niepotrzebny grat? A Ty, Chryste w cierniowej koronie, czy i wtedy szeptałeś: nie wiedzą, co czynią? Kiedy Cię przewieziono w zamkniętym więzieniu do muzeum, byłeś całkiem dosłownie pogardą i pośmiewiskiem pospólstwa. A obrazy z Aleksandrii i Szpanowa - pamiętasz, Januśko, jak je ostrożnie wieźliśmy, żeby nie uszkodzić. Serce Jezusowe królujące nad wielkim ołtarzem! Częstochowska, jaśniejąca w światłach! Uśmiechnięta słodka Tereska i ten piękny Papież Eucharystii, jakiego nigdzie więcej nie było! Wszystko na zwał, jak niepotrzebne rupiecie. „Deus venerunt gentes in hereditatem tuam”. A potem dzwony wydarto jak serce z martwego już ciała, a zbrodniarz, co złamał krzyż, powiesił się podobno jak Judasz. Przestał wołać polski Bóg, ale czy przestał żyć? Czy ta garstka udręczonych, która modli się teraz na grobach, nie jest tym ziarnem, które musi obumrzeć, aby przynieść owoc?[[72]](#footnote-72)

**13 IV [1966].** Dzisiaj Chrystus ukazał się Uczniom nad jeziorem. Arykty też opływają wody. Chciałem je obejść, ale szeroko rozlane, gdzieś daleko sięgają horyzontu. Może to tylko wiosenne roztopy, które potem wyschną. Wody! Po tamtych też już nie ma śladu, a przecież pochłonęły małe dziecięce życie. Czemu przypomina mi się teraz ta pierwsza, ale od razu okrutna tragedia? Powoli niknące w czeluści ręce brata, bat nielitościwego pastucha, rozpacz matki, a potem gdzieś - może tylko w głębi duszy - słyszane słowa: „Teraz ty musisz go zastąpić”. Bo przecież on miał być księdzem. Miał już swój ołtarz, głosił kazania i był dzielnym ministrantem. Teraz trzeba zrezygnować z kariery wojskowej i dźwigać przed sobą mszał, choć głowa nie dostawała do mensy. A kiedy się potkniesz i runiesz na pulpit jak długi, usłyszysz słowa pociechy: „To się może zdarzyć takiemu, co ma żonę i dzieci”. Więc się szeptało w drodze modlitwę dziecinną: „Jeśli chcesz, przyjmij mnie do swojej czeladki”.

Ale woda zawsze była straszna i przy mamie nie wolno było o niej wspominać[[73]](#footnote-73). Wciąż nie wiedziała o przejażdżkach kajakiem i kąpielach w Sanie.

A Tatry i Morskie Oko z Krystyną! Dalekie echo harcerskich pieśni, a potem zaczarowany Staw Ciemnosmreczyński: „Już słoneczko na zachodzie, przegląda się w cichej wodzie”. Hej, lata, lata - jak ta cicha woda, bez szmeru płyną i płyną, i cicho jak szept tatrzańskich sosen donosi się ostatnie echo: „Rybaku, wiosła złóż i na brzeg wracaj już...” [...] hej.

Ale brzeg jeszcze daleko. Od Bałtyku po Czarne Morze, od Newy do Irtyszu snują się srebrne nici wspomnień.

Pewnie było to wczesną jesienią, kiedyśmy się wybrali z Mikołajem przez Rygę do Tartu i wtedy zetknęliśmy się z morzem. Było spokojne i szare, obojętne na zalegające brzegi ludzkie mrowie i tylko siłą wyobraźni można było wiedzieć podnoszące się groźnie białe fale, rozpięte żagle i jakieś wojska Wikingów wędrujące tropem Smętka. Jakże inaczej tam na południu! Wszystko tchnie egzotycznym pięknem, że człowiek się gorszy, kiedy widzi obojętnie patrzących na cuda natury. Jadąc na Krym odświeżałem w pamięci *Sonety,* ale śladami Mickiewicza iść nie można - chyba w Bachczysaraju szukać grobu wygnanki, w obliczu Czatyrdaha odsłonić głowę i modlić się po cichu z uczuciem. Zresztą na wszystko nie było czasu. W Jałcie na jednym grobie jest napis: „Teraz masz już czas”. Tak, ale to „teraz” jeszcze nie przyszło. U [...] schodziło się parę osób: doktor, matka, żona i ta warszawianka, która z górą 30 lat...

W kościele muzeum, na wielkim ołtarzu Lenin. Idźmy prędzej nad morze, zanim brzegi oblepi ludzkie mięso. Można wpatrywać się w toń i nie odrywać wzroku. Woda mieni się szmaragdem i opalem, może i chryzolitem, czy w ogóle nie nazwanym kolorem, tylko gdzieś w dali może czerń usprawiedliwiająca nazwę. Mijamy siedzące na statku Jaskółcze gniazdo” i oto Ałupka - chaos, koniec czy początek świata, kotłowisko zwalonych bezkształtnie brył. Pałac Woroncowa, zwykłe muzeum mało nas obchodzi, ale cuda przyrody w nikityńskim parku wprawiają w ekstazę. A poprzez gałęzie drzew, załamania pagórków - woda morza. A rzeki?

Mickiewicz z obczyzny nie wrócił nad ojczysty Niemen i tylko „duszę utęsknioną” przenosił do jego ukwieconych brzegów. Nasza droga inna i inne czasy. Gdzie, kiedy człowiek przegląda się w jakiejś wodzie, jak trudno wygrzebać z pamięci. Czas płynie jak woda i niesie wszystko w swych falach - kwiecie i śmiecie -dobro i zło, na zatracenie.

Przełom[[74]](#footnote-74) nie dawał mi spokoju. Wystarczyło, że tam są bracia, aby ich szukać. I oto już witam. Prawdziwi, w habitach, z brodami - trzech, bo jest jeszcze Ernest, organista z Bożym darem. Jak piękne ustronie wybrano tu na zbożne wywczasy! Na wysokim brzegu Niemna, wśród drzew, jak marzenie nagle wystrzela wieżyczka z krzyżem. Obok w zaroślach pustelnia, gdzie brat Kryspin ma swój warsztacik i gospodarenkę. W kościele po kapucyńsku proste urządzenie, na ołtarzu oryginalna Madonna i św. Jerzy. Jakże zapomnieć nieliczne dni tam spędzone, które utrwaliła nawet ateist[yczna] propaganda -ale to dopiero potem. Teraz chodzimy z Ernestem po wonnym kobiercu kwiatów i wdychamy ozon. Nie ma w tym żadnej przesady. Tak obfitej ilości ziół i kwiatów, traw i pnączy nie ma chyba nigdzie więcej - „gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała”. Ale to mało - trzeba by jeszcze przypomnieć borowiki i smardze, i wierzby płaczące jak wdowy, i mateczniki, lecz zajeżdża statek i płyniemy do Grodna.

Cichy Niemen przepasuje miasto jak triumfalna wstęga. Przegląda się w nim starożytna fara i Bernardyni, i najbliższy mu franciszkański kościół-cacko, wymalowany przez artystę proboszcza. Czy cię kiedy jeszcze zobaczę, miasto Kazimierzowe?

A teraz jedziemy Dźwiną. Majestatyczna jej nazwa brzmi Dalgava, a miasto nad jej brzegiem, dawna obronna twierdza - Dalgavpils. W trzech częściach zniszczone, z trudem się odbudowuje, ale rzeka taka sama jak od wieków, spokojna, rozlewna, pełna majestatu. Statek zajeżdża do małych przystani, wysadzając nielicznych pasażerów. Wreszcie Elerna. Kościółek maleńki i skromny, ale miły i przytulny, jak jego gospodarz, o. Piotr[[75]](#footnote-75) , jeden z piątki wysłużonej w Kazachstanie. Kochają go owieczki, bo trudzi się też mówić po polsku, co czasem wychodzi niefortunnie, jak owe „tłuste deski”. Była pierwsza Komunia św. z całą uroczystością, gdzieś około św. Piotra. Może to nie przypadek, że powracamy do Ewangelii. Piotr półnagi rzuca się w morze na spotkanie Pana, a inni dźwigają sieci z mnóstwem ryb, a Jezus wszystkim zastawia ucztę. Czy ta wędrówka po morzach i rzekach, która mi wypełniła dzisiejszy dzień, a przedtem wiele lat, przyniosła jakiś owoc? „Panie, Ty wszystko wiesz”.

**14 IV [1966].** Przymrozek już lżejszy, drogi wysychają, wczoraj była poczta, a dla nas nic. Obawiam się, że może zatrzymują, lub też, jak w Psalmie: „Omnes vicini mei spreverunt me, obliti sunt amici mei”[[76]](#footnote-76), choć to ostatnie mało prawdopodobne. Aleksander pisał[[77]](#footnote-77), że w czternastym dniu już go P. Jezus obficie pocieszył, a ja już drugi miesiąc staję co dzień jak Magdalena przed pustym grobem ze łzami - quando veniam et apparebo antę faciem Domini? Ale Aleks[ander] przedtem wiele pracował i wiele cierpiał. A ja?

Kiedy przybyłem po raz pierwszy, jego właśnie zabrali. Ciekawa to była jazda i niezapomniany dzień. W Aleksiejewce[[78]](#footnote-78) było wszystko przygotowane, bilety kupione, ale Msza św. przeciągnęła się i pociągu już nie zastaliśmy. Helena[[79]](#footnote-79) pojechała, lecz bilet drogo opłacony pozostał i z drogi wracać się nieraźno. Zaczęła się gonitwa, najpierw autobusem, czy jakąś maszyną, do Symferopola, potem samolotem do Moskwy. Wszystko szło wspaniale. Na pociąg z Krymu trzeba było jeszcze długo czekać. Wreszcie nadszedł, ale Heleny nie ma. Nie ma ni przy wyjściu z peronu, ni w poczekalniach. Wędrówka z jednej stacji na drugą nie dała rezultatu. Któż by myślał, że ona czekała równie niecierpliwie na peronie?

Wypadło pierwszą daleką podróż odbyć samemu i zjawić się na nie znanej stacji w jesienny zabłocony dzień z jednym tylko adresem w pamięci. Ale Taincza to nie Leningrad ni nawet Symferopol. Rychło, nie rychło dobrnęło się do Zapadnej i oto pierwsze ciekawe spotkanie. Zaraz po Mszy św. proszą do chorego. Skąd się dowiedzieli? Myśmy widzieli na ulicy!

Wtedy słyszałem wiele o Aleksym [Aleksandrze], jego apostolskim zapale i owocach gorliwości. Legenda, jak ta, która opromieniała jego imiennika, syna Eufemiana. Potem widziałem gdzieś daleko u jakichś Niemców jego nabożnie przechowywaną fotografię i nigdy jej nie zapomnę. Szczupła, ascetyczna postać, śniada, pociągła twarz, ale szczególnie oczy, wpatrzone gdzieś w dal czy w głębię czyjejś duszy, mówią bez pytania, że to on, apostoł-męczennik. Takim był pewnie w czasie dolegliwych badań, a potem na śmiertelnym operacyjnym stole. Iść w jego ślady -nie pozwolić zginąć plonom przez niego zasianym! Czy to był hazard, czy myśl od Boga? Z jednym chorym uchem i w ogóle małym przygotowaniem do apostolskiej pracy cóż możesz zrobić dobrego? Wracaj, porzuć, przyjdzie lepszy od ciebie!

Boże mój, jakże dobry jesteś! Przyszła posyłka[[80]](#footnote-80)! Wszystko!

**15 IV [1966].** Muszę napisać Kati[[81]](#footnote-81), że zgrzeszyłem, zaczynając wątpić. A ona przyleciałaby na skrzydłach. Ale to było tak niespodzianie. Prosiłem Aleksandra, czy by nie zechciał jeszcze raz zadzwonić do Blumów, bo przed Świętami się nie udało. Pocieszył mnie, że wkrótce będzie sposobność maszyną do Celinogradu. Czytałem Dzieje Apostolskie aż do bólu głowy, bo to takie interesujące, że trudno się oderwać. A przy tym na każdym kroku coś dla mnie. Np. ten upór Pawła w powrocie do Jerozolimy, choć wiedział, że tam czyhają na jego życie. Ale on miał z pewnością specjalne natchnienie i zadanie do spełnienia. Może chciał odpokutować swoje dawne życie? A znowu jego prace przy apostolstwie. Zawsze był zajęty. Czy nie lepiej było chwycić się byle czego i siedzieć spokojnie w Tainczy? Jest nad czym rozmyślać na godzinnej przechadzce wokół Arykty. Przy tym po drodze zawsze się coś znajdzie. Pierwszy raz była to stara robocza rękawica (moje skórkowe zginęły w prijemnej kamerie), potem dwie kopiejki, potem jedna, lusterko z moskiewskim widokiem i oto wczoraj kępki owłosienia, a opodal kawałek białego przewodu. To też się na coś przyda. Na ganku [...] Aleksander z tajemniczą miną, a w domu - paczka. Te Deum laudamus! Nie mogę mówić ni myśleć. A więc zacznie się nowe życie - znowu z Nim i przy Nim! Mistrzu! Magdalena płacze - a ja już nawet płakać nie mogę, chyba potem, po Mszy św. - po cichutku. W czasie Mszy św. przyszła niespodzianie jeszcze jedna kobieta, więc było ich czworo. Dziś rano tylko dwoje gospodarzy - ale to nic - teraz już mi nic więcej nie potrzeba.

Gospodarzom powiedzieli, że dają im kwateranta[[82]](#footnote-82). A więc już oficjalnie jestem zainstalowany.

**16 IV [1966].** Moje „nakazanie”[[83]](#footnote-83) liczy się od 16 marca, a więc dzisiaj upływa pierwszy miesiąc. A ile ich jeszcze? Nie mam ochoty liczyć, bo P. Bóg jeden wie, co mi przeznaczył. Jak dziwne są te drogi, którymi mnie prowadzi. Przecież w Arykty nie byłoby kapłana, gdyby nie moje posielenie[[84]](#footnote-84). Wczoraj Pierwszych pięcioro spowiadało się, a dzisiaj raniutko mieliśmy uroczystą Mszę św. Piotr św. przemawiał tkliwie do nowo ochrzczonych dzieci. To stosowało się także do odrodzonych w łasce sakramentalnej „złożywszy złość... jak nowo narodzone dzieci pokrzepiajcie się duchownym, niefałszowanym mlekiem - a poznacie jak słodki jest Pan”. Ile ich jeszcze znajdzie się, tych „żywych kamieni” dla odbudowy duchowego domu?

Pokazuje się, że nie zrozumiałem. Na kwateranta dają doktora. A co ze mną zrobią? Znowu zagadka. Na przechadzce spotkałem moich towarzyszy z więzienia. Jeden z nich chorował w szpitalu. Znalazłem kawałek żelastwa, który może służyć za świecznik, ale czy się przyda? Aleksander zaprosił mnie do siebie. Choć protestant, ma w mieszkaniu obraz Serca Jezusowego i jest niezwykle gościnny.

**17 IV [1966].** Niedz[iela] in Albis[[85]](#footnote-85). A jednak przydało się, i to nadzwyczajnie. Przyjechały trzy niewiasty, jakby trzy wielkanocne Maryje. Samolotem, a potem pieszo szły 12 km. Człowiek nie godzien takiego poświęcenia. Ledwie zalazły z tłumokami do Aleksandra. Dziś rano cieszyliśmy się razem Dawcą Pokoju, a teraz wzajemnym opowiadaniom nie ma końca. Tymczasem na dworze siąpi deszcz i robi się nowe błoto. Nie wyobrażam sobie, jak będą mogły wrócić.

**18 IV [1966].** Deszcz padał długo, drogi rozmiękły, ale znalazła się maszyna do rejonu i oto znowu jestem sam. Zdawałoby się, że to minął dobry sen, gdyby nie stos przywiezionych rzeczy i chaos w głowie. Tak dobrze czułem się żebrakiem bez kopiejki, a oto teraz znowu jest to i owo, i mamona do rozporządzania. Trudno, nie mogę nadużywać bezinteresownej gościnności. Rzeczy schowano do kufra, a mnie trzeba uporządkować nagromadzony obficie materiał. A więc Maria[[86]](#footnote-86) przyjeżdżała za mną trzy razy. Jak ta prawdziwa Magdalena! W piątek przyszli z pierwszą wizytą i wtedy dowiedziała się, że jestem w ich rękach. Zabrali książki do nabożeństwa, ale nic więcej. W poniedziałek wybrali się na poszukiwanie w celinogradzkich kazamatach. Kazimierz był w Karagandzie. Wszystko na próżno. Tymczasem w mieszkaniu wyłamali drzwi i zabrali resztę pozostałych książek. Bandyci? Nie, pięciu przedstawicieli władzy. Maria zrobiła wotum, że nie spocznie, aż znajdzie. Druga podróż była równie bezowocna, ale przyszedł list, i oto wybrały się już teraz dwie z Józefą. W Akmolińsku przyłączyła się Emma. Leciały po raz pierwszy samolotem, ale równie chętnie siadłyby do kosmicznego statku. Żegnałem je ze łzami jak siostry prawdziwy brat. Teraz więcej zacieśniają się rodzinne węzły: Mieczysław, Walenty, Kazimierz - nie! Brat Ludwik, Benedykt, Antoni[[87]](#footnote-87), a sióstr już łatwo nie zliczysz. Chciałem im napisać serdeczne posłanie w rodzaju Pawiowym, ale zdążyłem tylko wyjąkać przez łzy: „Trwajcie i wzrastajcie w miłości”.

**19 IV [1966].** Przeżywam jeszcze wczorajsze pożegnanie. Czy też był samolot i czy już dzisiaj są w domu, a przynajmniej u Emmy? Cieszę się, że im dałem na drogę Najlepszego Towarzysza. To tak cudownie wzruszające. Niegdyś mówiłeś, Jezu, do uczniów: Jako mnie posłał Ojciec, tak ja was posyłam”, a teraz nędzny sługa posyła Ciebie, abyś szedł tam, gdzie on iść nie może. Nic się więc nie przerywa - zmienia się tylko forma, tak jakby musiała się też zmienić, gdybym leżał w szpitalu[[88]](#footnote-88).

Tymczasem Arykty coraz więcej się interesuje nowym mieszkańcem. Podobno nauczyciel w szkole przestrzegał przed jakimś baptystą, który się zjawił agitować, a dzisiaj w magazynie sprzedawczyni niespodzianie zapytała: „Czy pójdziecie na cmentarz, bo to dzisiaj ruskie przewody?”[[89]](#footnote-89) Ach tak! Nawet nie zdziwiłem się, że do nieznajomego zwraca się z dziwnym, bądź co bądź pytaniem.

Przewody! Ile strun brzęczy w duszy, ile obrazów przesuwa się w pamięci, kiedy idę we wskazanym kierunku!

W Równem uroczystość odprawiało się zwykle w przewodni Poniedziałek. Rano żałobne nabożeństwo w kościele, wieczorem procesja na cmentarzu. Oto łopocą czarne skrzydła sztandarów - a pośrodku krzyż. Długi korowód przewija się po głównej alei, potem staje gdzieś na skrzyżowaniu. Antoni[[90]](#footnote-90) rozściela czarny całun - stawia świece - modlimy się za kapłanów: jest ich kilku na cmentarzu: niedaleko bramy Urodu, potem gdzieś pośrodku alei - nie pamiętam nazwiska, wreszcie na samym końcu biały nagrobek z krótkim napisem: Ks. Luzar. To na dalekich rubieżach ojczyzny spoczął kapłan-harcerz, który bohaterską śmiercią uratował życie setkom wygnańców w czasie bombardowania. Za rodziców modlimy się zwykle przy grobie matki ks. kanonika Syrewicza. Potem dalej w krąg. Wszystkim, wszystkim wieczny odpoczynek. Spada na groby święcona rosa, unoszą się dymy kadzidła. „Szukałeś mnie spracowany.” Ja też utrudzony, ale to nic. Trzeba jeszcze pochodzić po grobach, nad którymi płaczą. Oto Piotr Tat[...] na nowym motocyklu znalazł śmierć, oto dzieweczka, kwiatek ledwie rozwinięty, świeżo w mogiłę złożona, staruszeczka cicha, pobożna z rzewną elegią na krzyżu. Nie można pominąć grobu Kochańskich. Ona córka i siostra, jak Eloe strzegła spoczynku zmarłych - dziś już wśród nich.

Już samym późnym wieczorem, przy blasku świateł przychodzimy do Haneczki[[91]](#footnote-91). Uśmiecha się do nas blado, jak za życia, leżąc na męczeńskiej pościeli. Ktoś czyta półgłosem skrzące się złotem słowa:

*Cierniami słaną drogą*

*kroczyłaś dobra i czysta,*

*na krzyż złożona młodo*

*Oblubienico Chrysta.*

Cisza, słychać syk palących się świec i lekki poszum wiatru. Dopiero po chwili z szumem poruszanych gałęzi łączy się wspólny już głos:

*Dziś poprzez łez pryzmaty*

*patrzym w Twą zjawą świetlaną*

*i myśli mkną w zaświaty*

*za Tobą, hen do Pana.[[92]](#footnote-92)*

W innych parafiach „przewody” odprawiały się w miarę możności w wyznaczonym czasie. Garstka wiernych gromadziła się w Korcu, Zdołbunowie, nawet w Sarnach niestrudzony o. Ludwik[[93]](#footnote-93) organizował żałobny pochód na mocno zrytym bombami ugorze. W Ostrogu trzeba było płakać nad zniszczeniem. Szczególnie pamiętne były przewody w Białotynie-Sielcu. Na grobach pogańskim i ruskim zwyczajem zastawiano jadło. Chlebów zebrano wory i rozdawano biednym. Ale też to zapewne było przyczyną doniesień i nieprzyjemności.

Ostatni raz byłem na rówieńskim cmentarzu sam. Robiłem przegląd parafii i większość znalazłem tam pod świeżą albo już uwiędłą runią. Jest zacny Dziadek i Babcia, wiecznie kłócący się, ale gotowi za siebie iść w ogień. Opodal, obok Haneczki, p. Stanisław, szlachetny prezes, mężnie broniący Kościoła; gdzieś dalej Józef, kulawy żebrak, który ufundował ołtarz swemu Patronowi, jest Pani Generałowa - inaczej jej nie nazywano - konwertytka o mistycznej duszy, zrośnięta z kościołem od wielu lat.

Młodzi, starzy, dzieci - obok Polaków - Ormianie, Łotysze, Czesi, Rosjanie, zbratani w wspólnym uścisku krzyża.

Moja parafia.

Cmentarza nie znalazłem. Wróciłem z silnym bólem głowy.

**20 IV [1966].** Od kilku dni panuje u nas porządek niemal klasztorny. Wstajemy o świcie, choć nie ma kołatki[[94]](#footnote-94). Potem idziemy do chóru, tzn. przed ołtarzyk, gdzie bladobarwne aniołki adorują Serce Jezusowe, a napis głosi: „Beschütze uns”. Uśmiecha się też do nas śliczna Madonna z Dzieciątkiem, która przyjechała aż z Ameryki. Georgij odmawia po niemiecku ranne modlitwy, a mnie się przypomina jakiś kleryk recytujący półsennym głosem: „O najłaskawszy Boże, miłości hojna, któryś tu jest prawdziwie obecny. W więzieniu starałem się odtworzyć w pamięci cały tekst - nie wiem, czy mi się udało.

Potem oni idą do gospodarskich obrządków, a ja spełniam funkcję hebdomadarza[[95]](#footnote-95) w litanii i medytacji. Na Mszę św. przychodzi oprócz nich jeszcze jedna krewna, która grubym basem pomaga mi śpiewać *Salve Regina* po egzekwiach i kondukcie. Następuje tercja i seksta. Przygotowujemy czerwoną stułę.

Napisałem list do Maryśki[[96]](#footnote-96) i idę z nim na pocztę. Potem jeszcze raz szukam cmentarza. Chodzę długo w mylnych kierunkach. Jakiś beznosy pastuch pokazuje, że nie rozumie. Trudno się z nim porozumieć po rusku. Byłem już zniechęcony, kiedy z dala, spoza jakiejś sterty siana ukazał się krzyż. Ave crux! Cmentarz okopany jak uroczysko i otoczony wałami. Rozbite butelki i porzucone papiery świadczą o wczorajszym święcie. Na jednej z rozpostartych gazet czytam: „Horyzonty słonecznych kontynentów”. Zupełnie odpowiednio - ale teraz słońce już zachodzi i ostatnie promienie rzuca na parę dziesiątków grobów zgromadzonych na dość znacznej przestrzeni. Krzyże łacińskie, greckie - pomiędzy nimi gwiazdy, jak na dobrze zasłużonym mundurze. Na prawosławnych grobach od wczoraj jeszcze nie ruszone jadło: malowane jajka, placki, cukierki. Ktoś postawił butelkę z kieliszkiem - przynajmniej ta była pusta. Na ugwieżdżonych mogiłach też się wszędzie coś znalazło - przynajmniej cukierek! Mimo woli przychodzi na myśl: po co, jeśli tam jest tylko proch? I przypomina się przeczytany tytuł „Horyzonty słonecznych kontynentów”. Jeszcze nieraz tu wrócę.

**22 IV [1966],** Pojechali. Jeszcze przez okno pobłogosławiłem ich na drogę. Serce bije mocno i trochę się ściska. Nie przypuszczałem, że rychło po Tainczy zjawią się Szortandy. Przywieźli różności i... płaczące listy – od Frani, Heli i wszystkich. Maria zajechała po drodze i spełniła polecenia. Teraz już mam wszystko, co potrzebne do pracy. Kiedy się ona zacznie?

Albin[[97]](#footnote-97) przysłał nowy mszał i nadzieję na coś więcej. Pisze o Biblii Tysiąclecia i przesyła życzenia z okazji Millenium. Widocznie u nich to rzeczywiście ma wielkie znaczenie. Muszę mu napisać, jak dziwnie inaczej zaczęło się u mnie. A jubileusz? Obchodzi Zdzisław[[98]](#footnote-98) i jeszcze ktoś, a Władysław pięćdziesięciolecie. Mnie jeszcze daleko do tego, ale właśnie minęło 25 lat święceń, kiedy mi odebrano prawa. I jeszcze chyba łaska Boża, że mogłem sam dzień świętować, bo podobno już w lutym zapadła decyzja. A tegoroczne 33-lecie? To był szósty dzień więzienia. Już mnie oprowadzili po ambulatoriach, uznali za chorego, już tylko przejść komisję. W głowie huczy i bije jak młotem, ale trzeba jeszcze odmówić Mszę: „In nomine Patris”. Towarzysze leżą na szezlongach - nie zwracają uwagi. Szkoda, że to Msza bez niczego - nie -przecież On przychodzi - czuję Jego obecność - jakże słodko.

Dzisiaj do Mszy św. służyli Kazimierz i Gałka. Czytałem Ewangelię z Cezarei Filipowej: „Tyś jest Chrystus, Syn Boga”, a potem: „bramy piekielne nie przemogą Go”. Tak, nie przemogą! Jak dziwna wzmianka o dzisiejszym papieżu, męczenniku: „Cajus Dalmata ex genere Diocletiani imperatoris”[[99]](#footnote-99) Nie mogę wyjść ze zdumienia: na tronie krwiożerczy tyran - a w spelunkach ukrywa się jego krewny - Namiestnik Chrystusa. Nie przemogą. Napisałem Heli[[100]](#footnote-100), żeby dobijali się o kaplicę. Mają prawo oparte o konstytucję. Pracowali, krwawili się i pocili, budując dziś kwitnące osiedla. Teraz nikt im nie może bronić swobodnej modlitwy. Umierający mają prawo zaprosić kapłana, a tu na całej przestrzeni nie masz ani jednego - a jeśli się zjawi, to go sądzą jak przestępcę i to w czasie, kiedy nawiązuje się kontakt z Watykanem.

Prosiłem, żeby kto przyjechał na 3-go maja. W tym dniu nijak odprawiać przy samych Niemcach. A to przy tym Millenium!

**23 IV [1966].** Dobry Pasterz sprowadził mi trzy nowe owieczki. Jedna nawet mocno zabłąkana - aż z Polski - w niemiecką rodzinę - nie umie dzieci uczyć pacierza. Czytałem im te słodkie słowa, które nadają ton jutrzejszej niedzieli, ale dziś też są wymienione z powodu św. Wojciecha: „Jam jest pasterz dobry. Oto niegodny sługa Jego przyszedł do Was rozproszony, równie jak On gotów oddać życie za owce. Nie, tego nie powiedziałem, czuję, że byłoby zuchwalstwo - może nieszczerość. Czy jesteś naprawdę gotów?

Dzisiaj na naszym ołtarzyku św. Jerzy - rycerz na białym koniu lancą zabija smoka. Podobno przeciwstawił się Dioklecjanowi za jego okrucieństwo i za to został po okrutnych mękach ścięty.

A obok niego już w myśli tylko - bo obrazu nie ma -nieustraszony również „rycerz Chrystusowy”, biskup, mnich, męczennik - Adalbertus-Wojciech. Zawsze był gotów i oddał swe życie, kiedy przyszedł czas, aby krwią męczeńską zapłodnić pogańską ziemię. A Ty? Kiedy w ową pamiętną niedzielę zatrzymała się przede mną maszyna i uprzejmy naczelnik zaprosił mnie do wnętrza, pomyślałem: skończyło się, i byłem spokojny, jakby to była zwykła przejażdżka po mieście w trochę niezwykłym towarzystwie. Ale czy to była gotowość na wszystko? Mówili wciąż: uwolnią, i tym się żyło z dnia na dzień - nawet dopomagało losowi przez nadzwyczajny post i niespanie. A kiedy i to okazało się bezskuteczne, i przeczytano wyrok, którego nie słyszałem, jeszcze kołatała się jakaś nadzieja. Wtem oddają zabrane rzeczy - w duszy odzywa się nieśmiałe: „Te Deum”, a naraz szyderczy głos: pójdziesz w tiurmu i na zsyłkę. Czy wtedy na chwilę coś się nie buntowało: dlaczego? za co? A przecież to nie pytki, katorgi, katusze. A teraz jak słodko i spokojnie czuć się jak owieczka w ramionach Pasterza.

Właściwie wczoraj na cmentarzu zupełnie inaczej układałem sobie dzisiejsze notatki. Najpierw stanął mi przed oczyma Jerzy Rumak[[101]](#footnote-101) (jak dobrze dobrane imię rycerza do dziarskiego nazwiska), ów blady kleryk z pieprzykiem na policzku i przyklejonym uśmiechu, który po latach przysłał mi parę słów do Równego, jako świecki kapłan. Było tam coś w sensie usprawiedliwienia. Raczej ja mogłem go przepraszać, że jego brewiarz znaleziony gdzieś w drodze banderowcy porwali na papierosy. Potem zamajaczył w pamięci ten krępy, mały Georgij, towarzysz licznych dziennych i nocnych przechadzek, który w ów feralny dzień miał czekać na stacji w drodze do siostry.

Ale już specjalnie chciałem porozmawiać z tobą, bracie Wojciechu[[102]](#footnote-102), serdeczny tyniecki chłopaku z dużym nosem - i wybacz - mało ociosaną twarzą. Pamiętasz ty, jak podkasawszy habit, wspinaliśmy się po skałach Ojcowa? Może i nie - może to było jakoś inaczej. Ale cóż to słyszę o tobie, aż tu, w Korcu[[103]](#footnote-103) . Ludzie czekają na kazanie, a ty śpisz w najlepsze. Przecież nie miałeś takiego zwyczaju, Sługo Boży - wczoraj jeszcze podbijałeś serca. I oto cały kościół płacze, a nie mogą się Ciebie dobudzić. A potem leżysz na środku w majestacie, ubrany jak do uroczystej celebry, i mówisz nam wszystkim, bliskim i dalekim: „memento”.

**24 IV [1966].** „Dominus pascit me” - Pan mnie pasie. Zdaje się, że te proste słowa Dawida czy Wulgaty niepotrzebnie zmieniono na rzeczownikowe: „Pan jest moim pasterzem”. Może to brzmi trochę gładziej, ale nie oddaje sensu. Można być czy nazywać się pasterzem i leżeć bezczynnie na murawie lub czytać książkę, kiedy trzoda lezie w szkodę lub skubie uschłe wióra. Dobry Pasterz z Ewangelii rzeczywiście nas pasie: szuka, prowadzi, pokazuje dobrą paszę, a słabą zranioną owieczkę bierze na ramiona. Dzisiaj zjawiły się w komplecie, wszystkie sześć. Jak na tym amerykańskim obrazku, który leży przede mną. Niewy-słowienie słodki Jezus tuli w fałdach płaszcza malutką owieczkę, a obok niego gromada innych podnosi pyszczki ku Niemu jakby pytając: dokąd iść?

Kiedy daję im Jezusa, ogarnia mnie wzruszenie: ile to trzeba było przejść krętych dróg, aby dojść do nich! Deduxit me super semitas iustitiae propter nomen suum[[104]](#footnote-104) .

Wczoraj przyszedł list od Zofii[[105]](#footnote-105). Teraz czas go przemyśleć i przeżyć. A więc mieli rezurekcję. Włodzimierz] nie zawiódł: kazał się modlić za mnie, jak niedawno modliliśmy się za Aleksego. Kto wie, czy nie właśnie tym modlitwom wszystko zawdzięczam. W Nowogr[ódku?] też mieli gościa i to aż pięć dni. Widocznie łatwiej pozwalają. Bogu dzięki.

Siostry pytają o mnie. Bardzo serdeczna gromadka. Feli trzeba napisać, że byłem u siostry w Oktiabrsku. Do Tauty Kurgana już nie zdążyłem. W Kasperówce niech szukają innego. Rózia, Weronika, Jadwiga, Stasia, Stanisław (trzeba im napisać na imieniny), jak serdeczne chwile spędziliśmy jeszcze niedawno. Umarła Kijowska - ślepa, sparaliżowana Boża męczennica. Została również chora córka. Dobrze, że ostatnio byłem u nich. Ojciec był bezbożnik, kazał się pochować pod płotem, a one pewnie za niego cierpiały i cierpią. We wtorek odprawię za nią nabożeństwo. Czuję się jak dawniej, dusz-pasterzem żywych i umarłych - tylko pasie może ich i mnie już tylko On: „Choćbym kroczył po cieniach śmierci, nie lękam się złego, bo Ty jesteś ze mną”. „Parasti in conspectu meo mensam.[[106]](#footnote-106) Ty stół biesiadny zastawiasz przede mną na złość tym, którzy mnie trapią.

Dzisiejsza przechadzka na cmentarz nie udała się. Było tam parę kobiet, więc nie chciałem, żeby się interesowały obcym przybyszem. Zmówiłem Anioł Pański z daleka. Byłem za to na cmentarzu kazachskim. Muzułmański cmentarz widziałem już nieraz. W Bachczysaraju oglądałem groby chanów z kamiennym turbanem na mogile.

W Kazachstanie widziałem też już niejeden. Ale zawsze ta egzotyka ma pociągający urok. W Aktiubińsku i Brantyr mahometanie mają miejsce spoczynku o miedzę od naszego cmentarza. Tutaj cmentarz tubylców jest oddalony o jakieś dwa kilometry. Z daleka za wodą wygląda jakby jakie tajemnicze uroczysko. Charakterystyczne po rogach zębate czworoboki z czarnej samary wyglądają surowo i ponuro. Brak strzelistych, baniastych wieżyczek, które w takim choćby Załtyrze rzucają się z daleka w oczy jakby las namiotów, natomiast wysokie z głowiastym zakończeniem tablice grobowe są takie same, tak samo pokryte szeregiem punktów i kresek tworzących starożytne pismo. Patrząc na nie człowiek dopiero uświadamia sobie, gdzie się znajduje. Inna kultura, rasa, wiara. Na czterech rogach mogił, na tablicach grobowych - półksiężyce. Na niektórych tablicach księżyc obejmuje w uścisku gwiazdę - to już całkiem nowocześnie i aktualnie w okresie polotów i sputników. Oczywiście tutaj ma to znaczenie inne.

Ale oto świeży grób spowity szarfami, jeszcze bez księżyca i gwiazd. Napis po kazachsku, ale wiem, o co chodzi. Uczeń 10-ej klasy zamordowany w rejonie i porzucony w kloace. Ha! I takie rzeczy się zdarzają.

Jeszcze raz patrzę na tajemnicze napisy i półksiężyce. Boże mój! Wszak to tych samych wyznawców Mahometa Franciszek chciał nawracać chodząc po żarzących węglach. Piotr, Daniel i inni szli jak szaleńcy głosić Chrystusa Saracenom, a potem na katusze i szubienice. A człowiek styka się z nimi bezpośrednio i milczy. Gdyby tak poznać ich gdaczącą mowę, a potem gdzieś na zielonej runi stepu przysiąść się do czarnego pastucha z kozią bródką i mówić im, mówić o nieznanych a pięknych rzeczach, jak misjonarze gdzieś pod równikiem lub w Zanzibarze. Mają podobno swego mułłę, który ich grzebie w samarowych mogiłach i czyta Koran. Może czasem wędrują do Akmolińska jak do Mekki, gdzie nad meczetem maleńki minaret, może i z muezinem. A nasza wielotysięczna rzesza, złączona przecież z pół miliardem katolików na świecie, kryje się jak krety i odprawia nocne wigilie jak w katakumbach.

Przypominam sobie, że to właśnie dziś św. Fidelisa: męczennika, patrona propagandy. Modlimy się: Boże, przez zasługi gorejącego serafickim ogniem św. Fidelisa... utwierdź nas w wierze i miłości, abyśmy do śmierci byli wierni - fideles.

**25 IV [1966].** Dzisiaj od rana brzmią mi w duszy słowa ewangelii na dzień Ewangelistów: posłał ich po dwóch - „binos”. A więc iść w pojedynkę na podbój dusz, to nie program Chrystusowy. Św. Grzegorz ma rację, że apostolstwo musi opierać się na miłości, a miłość możliwa tylko w wspólnocie. Gdyby o tym pomyśleć w swoim czasie, ilu uniknęłoby się pomyłek!

Prawda, i nas z początku było dwóch. Nawet on, starszy, zawezwał mnie do pomocy, a poparcie otrzymał z nieoczekiwanej strony - od komisji repatriacyjnej. Podczas gdy Zaręba nalegał delikatnie na wyjazd, Wysocki przysłał już do Rokitna przestrogę, że byłaby hańba dla duchowieństwa, gdyby ostatni kapłan wyjechał. Tak podobno wyraził się rówieński pełnomocnik. Kościółek rokitniański, miły, przytulny, z grotą lurdeńską obok, od którego mieliśmy już nawet klucze - też zachęcał do pozostania. Niestety, nie można było znaleźć garstki wiernych do komitetu. Może to zdecydowało, że kiedy nadszedł dzień wyjazdu, ładowaliśmy *rzeczy* na lory. Wtedy pokazało się, że dla nas nie ma miejsca. Może to był jeszcze ostatni manewr komisji - nie wiem? Z trudem udało się wreszcie rozmieścić po rozmaitych wagonach toboły i kufry. Jakaś paka z książkami została jeszcze na miejscu. Jakieś obrazy zrzucono na tor, mnie przyjęto w kąt ogromnej węglarki i ruszyliśmy. Wagony toczyły się z brzękiem i gruchotem. W mroku nocnym mijaliśmy maleńki kościół w Klesowie, którego energiczny proboszcz, ks. Antoni Ch., niedawno został zabrany. Potem już w nocy przejechaliśmy Sarny.

Ach, te Sarny! Po raz pierwszy byłem tam, jadąc do Karasina. Ciekawa to była podróż i niezapomniana, bo właśnie wigilijny dzień. Do Równego przyjechałem z Ludwipola, gdzie byłem na wezwanie Bolesława, aby objąć Dermankę. W międzyczasie osiadł tam ks. prałat Zagórski, mnie więc wypadło wracać lub oddać się do dyspozycji rówieńskiego dziekana. W imię franciszkańskiej zasady, aby przy pługu nie oglądać się wstecz, wybrałem to ostatnie. Parę dni przesiadywałem w rówieńskim kościele w konfesjonale pod chórem. Nie wiedziałem, że będzie to moje ulubione miejsce przez długi szereg lat. Na razie na to się nie zanosiło. Duża parafia, księży trzech z dziekanem na czele, wciąż przyjezdni goście. Gdzieś już przed samym Bożym Narodzeniem ksiądz Syrewicz zaproponował: umarł ks. Reroń w Karasinie - parafia mała - trochę trudny dojazd - ale jeśli ojciec chce pracować...? Pewnie, że chcę, po to przecież przyjechałem, a więc nie ma się co namyślać.[[107]](#footnote-107)

Rozbita stacja rówieńska pełna ludzi. Pociągi przychodzą nieregularnie, okropnie zapchane. Trzeba cudu, aby się dostać. Już kilka odeszło i nie sposób było się wcisnąć. Przeszedł dzień, zapada wieczór, a następny to już Wigilia. Oczy się kleją, głowa ciąży. Wtedy przychodzi na stacyjkę dyżurujący i wypędza na mroźną platformę. Wyrywają się słowa buntu: „Przecież my nie psy!” Jak to zabrzmiało po rusku, nie wiem, ale o mało nie skończyło się fatalnie. Kolejarz sprowadził milicjanta, aby mnie aresztował za to, żem ich nazwał „sobaki”. Na szczęście skończyło się na przetrząśnięciu mojej walizki i jakichś szyderstwach. Pożegnałem ich serdecznym „Ostańcie z Bogiem”. Prawdziwa katastrofa miała się zacząć, kiedy nadjechał pociąg. Moją walizkę zmiotło z platformy i dostała się pod koła. Z rozdartego boku wysypały się wnętrzności: zapałki, mydło, książki, prowianty -już nie wiem co. Byłoż to, było. Trzeba było, podtrzymując rozsypany bagaż, biec od wagonu do wagonu, aż ktoś litościwy wciągnął.

W Sarnach plebania obok kościoła, a monumentalny z niedokończoną nowożytną wieżą obok, kościół widny z daleka. Byłem do ostatka zmęczony, kiedym stanął przy ołtarzu w tej świątyni, która potem wchłonie w swoje ponure mury tyle rzewnych wspomnień. Teraz kościoła nie widzimy. Jest zresztą pusty. Księża wyjechali wraz z większością wiernych. Na plebanii usadowił się wojenkomat. Kostopol przejeżdżamy również niepostrzeżenie. Jeszcze nawet nie wiem, że obok nowego kościoła pod wezwaniem Euchar[ystii] Serca Jezusowego znajduje się mała niepokaźna kapliczka, o którą można będzie walczyć.

W Równem dwie strzeliste wieże witają nas krzykiem milczącej rozpaczy. Jeszcze przed kilku miesiącami pytałem jednego pozostałego tam rezydenta (ks. Syrewicz w Dachau, Sikorski w Polsce): „Co masz zamiar robić?” „Ja nie wyjadę!” - brzmiała odpowiedź. I oto teraz dzwony milczą. Jacyś tankiści sterroryzowali go i to wystarczyło, żeby wierni pozostali sami. Zresztą, cóż się dziwić. Podobną rozmowę miałem we Lwowie z Ekscelencją. Kiedy po przyjeździe zastałem klasztor pusty, zaszedłem do niego poradzić się, bo był naszym przyjacielem: „Trzymajcie się, ojcze - rzekł dobrotliwie - ja nie wyjadę” - a wkrótce z Kurii nie pozostało śladu.

Dojeżdżamy do Zdołbunowa. Myśli się kłębią. Trzeba się decydować. Potem będzie za późno. Gdyby się kogo poradzić. Przypomina się jakiś głos, ach, to ks. kanclerz Szych mówi: „Ojcze! my musimy wyjechać wszyscy, może ojciec pozostanie z pełnym prawem na diecezję”. Zdaje się, że odpowiedziałem z uśmiechem: „To już tylko brak sakry”. Wtedy nie wiedziałem, że pozostaje też ks. Jan[[108]](#footnote-108) . W każdym razie miałem już przy sobie dokument podpisany przez ks. Szumana: „do wyjazdu Polaków”. W Zdołbunowie nie było już czasu się namyślać. Kiedy pociąg z trzaskiem buforów stanął, wziąłem walizkę w rękę, pożegnałem się z jedną Anielą[[109]](#footnote-109) i niepostrzeżenie przeszedłem tory. A rzeczy? Niech jadą cało do Ojczyzny. Może niedługo będzie tam moja rodzina, może i ja. Wszakże „do wyjazdu Polaków”. A zresztą: „Nie miejcie trzosa ani torby podróżnej”. Plebanię zastałem zamkniętą, ale że miałem zaproszenie, próbowałem otworzyć swoim kluczem. Nadał się wyśmienicie. Rozglądałem się po kuchence, sypialni, pokoju. Wszystko w porządku, ale widać, że gospodarza dawno brak. Jest fortepian z nutami, jakieś obrazy, portrety. Teraz zjawiają się pierwsze parafianki - obie zachęcająco uprzejme. Nie, nie opuszczę was. Ale teraz trzeba do Równego. Jest dzień św. Klary - rzeczywiście jasny, piękny dzień pierwszy nowej pracy.

Ale dzisiaj jest ponuro. Deszcz siąpi leniwie, lecz nieustannie. Znowu będzie błoto i o przechadzce ani marzyć. Czuję się okropnie samotnie. Od kiedy ks. Jan spoczął na łuckim cmentarzu, zostałem sam jeden na całym Wołyniu. W Tainczy też byłem sam, ale o tym się nie myślało, kiedy się miało zawsze skrzydła gotowe do lotu. Teraz ta samotność okrutnie spotęgowana. Nie ma komu powierzyć tajników duszy i w pamięci kołacze się trwoga Apostoła: „ne cum ceteris praedicaverim, ipse reprobus efficiar”. Jak mądrze i miłosiernie posłałeś, o Jezu, swoich uczniów parami: „binos”.

Nie pamiętam, kiedy i gdzie zobaczyliśmy się po raz pierwszy z ks. kanonikiem. Może to było w kilka dni potem na tejże samej plebanii, gdzie mieszkał, zanim przeniósł się na stałe do Łucka. Przywiózł mnie p. Medyński swoim ekwipażem, bo o autobusie jeszcze nie było mowy, a pociąg wciąż jeszcze był trudny [sic!]. Krępy, niski, trochę tatusiowaty, zawsze półuśmiechnięty ks. Jan od razu chwytał za serce. Gościnny nadzwyczaj, często był w kłopocie, czym gościa przyjąć, bo sam żył skromnie, obchodząc się bez gospodyni. Widywaliśmy się często, bo miał prawo na Zdołbunów jako dawny proboszcz tajkurski, od której to parafii Zdołbunów potem się oddzielił.

W Łucku też bywałem u niego jako u sąsiada i powiernika duszy. Te wizyty dawały wiele przyjemności i pociechy. Zawsze wyjeżdżało się stamtąd pokrzepionym na duchu, jakkolwiek sam miał wiele kłopotów. Najpierw na katedrę waliły się podatki. Zbieraliśmy wspólnie ofiary. Jakaś rówieńska dama ofiarowała złoty łańcuszek. Potem zarządzono remont na horrendalną sumę - wreszcie zamknięto. Był to cios bolesny dla całej naszej diecezjalnej resztki. Stolica diecezji przeniosła się do kaplicy na cmentarzu. Dla leciwego kapłana zaczęła się codzienna, dość długa wędrówka. Siły się nadwątliły, ale się nie skarżył i obywał nadal byle czym, zawsze gotów do usługi innym. W czasie moich chorób odwiedzał mnie i wzmacniał. Może i to nie najmniejsze, że przy wielu zajęciach pomagał w nauce dziewczynce gospodyni, u której mieszkał.

Ubierałem się do Mszy św. w Ostrogu[[110]](#footnote-110), kiedy mi doniesiono, że umarł. Cicho i skromnie jak żył. Choroba dręczyła go od dawna, a nikt o tym nie wiedział. Kiedyśmy z ks. Jasionowskim stali nad jego mogiłą, wiedzieliśmy, że w niej pochowano przeszłość diecezji.

**26 IV [1966].** „Owce moje słuchają głosu mego. Znam moje i znają mnie moje.” Czy wolno mi, o dobry Jezu, posłużyć się Twoim słowem i mówić o moich owcach? Wiele z nich, jakże wiele, już na Twoich wiecznych pastwiskach, inne w ojczyźnie lub nawet za morzem znalazły innych, lepszych pasterzy, ale zawsze to moje - te zwłaszcza, które i teraz trwają z płaczem przy sprofanowanych świątyniach. Dzisiaj odprawiałem za Kijowską, kazałem ich o tym zawiadomić, żeby wiedzieli, że i teraz mają wciąż jeszcze pasterza. „Nikt nie wyrwie ich z ręki mojej.”

Słońce trochę prześwieca przez chmury, ale jeszcze deszcz padał całą noc, drogi rozmiękły, trzeba siedzieć w domu. Odpowiedni czas, żeby zmierzyć wzdłuż i wszerz pastwiska zdeptane w ciągu długich lat.

A więc najpierw Karasin. Była już późna noc, kiedy zapchany po brzegi rozklekotany pociąg dotarł z Sarn do Maniewicz. Jakiś chłopak pokazał mi drogę i w ciemności z rozbitą walizką dobrnąłem do kościoła.

Na plebanii było już po wieczerzy. Znalazło się trochę ryżu czy kaszy. Była to chyba jedyna w swoim rodzaju wieczerza wigilijna bez opłatka. Pasterka odprawiła się w nocy w pięknie utrzymanym kościele. Ks. Jastrzębski, dobry gospodarz, postarał się nawet o lśniącą parkietową podłogę. Po nabożeństwie chciano mnie położyć na spoczynek, ale jakże tu spać, kiedy czeka nowa parafia i to na samo Boże Narodzenie. Chciałem natychmiast iść czy jechać, ale mi z przekąsem powiedziano, że to trochę daleko, a nad ranem będzie lora. Co takiego? Nie mogłem się doczekać, wreszcie o świtaniu wyszliśmy.

W dali na wąskich torach płaska platforma, do której zaprzęgają chudą szkapinę. Ach, to to! Koń z trudem pociągnął i lora potoczyła się po relsach. Zaraz za wioską wjechaliśmy w las, który od czasu do czasu przerzedzał się, dając miejsce jakimś polom czy polanie. Ludzkich osad prawie nie było. Jechaliśmy dobrych parę godzin, kiedy wreszcie zapytałem: „Gdzie ten Karasin”? Odpowiedziano, że właśnie dojeżdżamy. I oto lora stanęła przed niewielkim budynkiem z czerwonej cegły, który do wszystkiego mógłby być podobny, gdyby nie mały krzyż nieśmiało sterczący nad drzwiami. W półciemnym, surowym wnętrzu parę osób otulonych w kożuchy. Ha! Nie wiedzieli, że będzie proboszcz - pewnie się jeszcze zejdą. Nie wiedziałem, że to cała parafia.

Wioska odległa o dwa kilometry, w całości prawie ukraińska. Około kościoła mieszkali osadnicy, jeszcze z czasów Piłsudskiego, który podobno w Karasinie miał kwaterę, ale teraz nie ma po nich śladu. Została tylko obszerna drewniana plebania ogołocona ze wszystkiego po śmierci proboszcza, aż do stołowych przyborów włącznie. Do obsługi była zuchowata Irena, która raz na dzień gotowała kaszę. Prawda, że ta inopia [bieda] nie trwała długo. Przyniesiono to i owo. Zjawiła się miejscowa nauczycielka z jakąś pomocą, potem przyjechała z Ludwipola zaproszona gospodyni z rzeczami. Już więc nie straszne były nocne hałasy w ścianach, jak z początku. W kościółku aż się ożywiło, ale owieczki wciąż jeszcze można było policzyć na palcach. Trzeba ich było szukać po odległych jakichś siedmiu wioskach i to nie więcej można było naliczyć niż setkę. Do kościoła mieli daleko, a starzy, jak ta p. Wolska, którą odwiedziłem w chorobie, nie mogli się wcale do niego dostać. Taka była moja pierwsza parafia. Czasem błądząc po lasach spotykałem na drodze sarenkę, która stanąwszy, filuternie pytała: po coś tu przyszedł?

W czerwcu zaprosił mnie Bolesław na odpust do Ludwipola. Do Karasina już nie mogłem wrócić. Jakoś w parę dni po uroczystości Serca Jezusowego Niemcy bez strzału zajęli miasteczko. Wkrótce nadeszły wieści o banderowcach. Gospodyni karasińska ledwie uszła z ich rąk. Ale dla wiernych ukazały się nowe możliwości. Mnie zaproponowano Bystrzyce.[[111]](#footnote-111)

Na wzgórzu za wioską znajdowała się tam kaplica pałacowa. Smukła, piękna, ze strzelistą wieżyczką, była ukochaniem ludu, toteż z zapałem zabrali się do jej odnowienia. Wnętrze przyozdobiono zielenią, skromny ołtarzyk przystrojono wiankami. Kiedy na ołtarzu umieszczałem portatyl z relikwiami, ktoś ciekawie patrzył. Nadszedł jasny, letni dzień pierwszego nabożeństwa. Lud wypełnił kościół po brzegi: niewiasty, trochę mężczyzn i chłopców, dziewczęta wystrojone barwnie na pół z miejska, entuzjazm unoszący się w nagrzanym powietrzu, wszystko to domagało się gorących słów. I wtedy to przemówił -Słowacki, a raczej jego Piast Dantyszek. Przemówił na końcu, ale mocno:

*I choćby tyle w nas życia co w kłosie,*

*Co rośnie podle gdzieś przejezdnej drogi,*

*Złamani zawsze wstaniemy na nogi.[[112]](#footnote-112)*

Nie wiedziałem, że to będzie fatalne. Na razie jak te złamane kłosy podnosiliśmy się ku słońcu. Parę razy odwiedziłem szkołę w Niemili, gdzie pracowała katechetka. Nabożeństwo w kaplicy przyciągało coraz więcej. Ale i w Bystrzycach nie zabawiłem długo. Ks. prałat Zagórski wyjechał z Dermanki do Żytomierza,toteż parafianie zaprosili mnie, by zająć jego miejsce. I oto znalazłem się u celu wołyńskiej podróży, do którego dążyłem rok z górą okrężną drogą.

Plebania w Dermance nie była dla mnie obca. Parę razy odwiedzałem ks. prałata, który miał wiele książek, i znałem już jego gospodynię, atletyczną Antosię. Ale z parafianami miałem się zetknąć dopiero teraz. Najbliżej plebanii mieszkali Markiewicze, dwie czy trzy panny i brat żonaty. Delikatna, mała Tekla, tercjarka, najwięcej tkwi w pamięci, bo [...]. Naprzeciw kościoła Fortis Kuczyński, zakrystianin, dalej Cyrklewicze, Soroczyńscy, Nagalewscy - wszędzie rosłe chłopaki, dorodne panny. Ale kwiat młodzieży znajdował się w Budkach, gdzie przy szkole mieszkał p. Baran z rodziną. Drugi nauczyciel, p. Boons z młodą żoną we Frankopolu również bywali częstymi gośćmi na plebanii. W kościele życie się rozwijało. Odpust na św. Izydora w maju i większe święta gromadziły wiernych licznie. Niezapomniane wrażenia zostawiała kolęda. Para sań naładowanych rozochoconą młodzieżą zajeżdżała kuligiem przed chaty i pełną piersią śpiewała: „Radość nam” [sic!].

Bywaliśmy wszędzie: w Budkach, Frankopolu, [...], a dalej na [...] i najdalszych chutorach. Na ostatek w jakiejś chacie zakończenie i skromna zabawa. Omijało się tylko rodziny gorszące, co też miało pożądany skutek, budząc uśpione sumienia. Bo jad niewiary i zepsucia wciskał się w różnej formie. Były dzikie małżeństwa, znalazło się też parę rodzin sektanckich. Raz zgłosiła się do chrztu młoda Żydówka. Wiedziałem, jak ostrożnie należy te rzeczy traktować, dlatego zażądałem lepszego przygotowania. Potem już nie przyszła, ale innym mówiła ze śmiechem: ksiądz myśli, że ze mnie naprawdę zrobi chrześcijankę. Mimo to ukrywano w Budkach kilkoro prawdziwych neofitów. Była kongregacja gorliwych tercjarek z Anielą na czele, dla których odprawialiśmy specjalne nabożeństwa. Czciliśmy szczególnie też patrona młodzieży, św. Stanisława. Grupa młodzieży zbierała się wieczorem na rekolekcyjną nowennę. W niedługi czas potem miało to nieoczekiwany skutek.

W pewną niedzielę zjawiła się na plebanii ukraińska milicja ze znanym mi z Bystrzyc Igorem, synem batiuszki, na czele i zarządzili rewizję. Nie znaleźli nic prócz jakichś zagranicznych monet, ale oświadczyli, że mają polecenie mnie zabrać. Był właśnie czas nieszporny i lud zgromadził się w kościele, kiedy poprosiłem, żeby mi pozwolili jeszcze się pomodlić. Nietrudno wyobrazić sobie wrażenie, kiedy żołdak wszedł za mną, a ja upadłem na kolana przed ołtarzem, a potem milcząco wyszliśmy. W Ludwipolu przebyłem noc w jakimś żydowskim alkierzu zamienionym na więzienie, a rano stanąłem przed hitlerowskim sędzią czy śledczym.

Pierwsze zaraz pytanie było o radio. Kiedy oświadczyłem, że na plebanii jest jakiś odbiornik pozostawiony przez mojego poprzednika, wstąpiła w niego furia i myślałem, że zaraz mnie każe rozstrzelać, ale zaprowadzono mnie do kazamaty, a że miałem ze sobą brewiarz, chciałem się pomodlić. Wtem zjawia się ukraiński siepacz - potem dowiedziałem się, że to ten sam, który przypatrywał się moim zajęciom przy bystrzyckim ołtarzu - i potrącając biczyskiem jak pastuch proponuje, abym po dobremu wyjawił, gdzie u nas schowana broń itd... Kiedym mu spokojnie wyjaśnił, że nic nie ma, zamierzył się biczyskiem, ale widocznie nie miał do tego prawa, bo tylko dał czas do namysłu. Powiedziałem, że ten czas wykorzystam na brewiarz. Mimo wszystko nie wybiła jeszcze moja godzina. Jakiś Niemiec przyszedł i wypytał szczegółowo o to „radio”, które okazało się pustym pudłem, a ponieważ zbliżały się Święta, polecono mnie wypuścić. Wtedy zapytałem owego „naczelnika” pastucha: „Za co wy się właściwie na mnie mścicie?” A on, spojrzawszy złośliwie, po chwili odpowiedział: „A co, panie ksiądz, co Rusyn, to swynia, a co, złamani zawsze wstaniemy na nogi”. Za pierwsze nie biorę na siebie odpowiedzialności. Być może, że coś podobnego Kornijczuk podsłuchał pod drzwiami, ale drugiego nie mogłem się zaprzeć.

Niebo wciąż zasnute chmurami, ale deszcz przestał padać, a głowa ciąży, postanowiłem więc jednak wyjść na przechadzkę. Dobrze zrobiłem, bo spotkałem Robaczkowa, który mi powiedział, że przyjechał uczastkowy. ponieważ posieleńcy mają obowiązek co miesiąc się rejestrować, a miesiąc już się kończy, poszedłem do kantory. Był tylko sekretarz, ale to wystarczyło. Zapytał krzycząc, jak należy do głuchego, co robię. Pokiwał głową, kiedy mu powiedziałem, że nie dają żadnej roboty, i na tym się skończyło. Kiedym się znalazł nad wodą, przypomniała mi się Słucz.

W tym roku wieczerzę wigilijną spędziłem u Baranów. Czułem się tam dobrze w ciepłej atmosferze rodzinnej. Wracając na pasterkę ujrzałem daleko gdzieś nad Słuczą pożar. To płonęła szlamownia. Odtąd coraz częściej niebo różowiło się łuną. Palili Niemcy, partyzanci, banderowcy. Razu pewnego - było to po jednej z moich wycieczek do Korca, gdzie dałem do naprawy swój zegarek, zjawił się na plebanii jakiś na bandytę wyglądający osobnik z karabinem i zażądał zegarka. Byłbym może zaoponował, ale spojrzawszy na drżącą ze strachu Antosię, musiałem oddać pożyczony od ks. Godzińskiego zegarek. Myślałem, że to banderowiec i kto wie, czy na dworze nie ma całej watahy. Pokazało się, że to był zuchowaty wyczyn partyzanta i że go nawet za to rozstrzelali, ale zegarek przepadł.

Inną przygodę, już poważniejszą, miałem w Ludwipolu. Bolesława partyzanci uprzedzili, żeby się ratował, bo oni idą na ortskomendanta. Zamach się udał, komendanta zabili, a rano karna ekspedycja paliła systematycznie wszystkie domy. Pozostał tylko kościół i ksiądz proboszcz, który się pod nim schował. Potem pojawiły się wieści o bestialskim mordowaniu Polaków. Parę nowożeńców z Budek, która udała się do rejonu w celu zarejestrowania, znaleziono w lesie okrutnie poranioną bez oczu, uszu, jeszcze żywą. Opowiadano, jak została wymordowana i spalona Niemiła. Na odpust św. Izydora ks. Godziński jeszcze przyjechał, ale drżeliśmy o niego, bo po drodze grasowały bandy. Kiedy wieczorem pojawiły się łuny i to coraz bliżej, chowaliśmy się w kościele, jakby to coś miało pomóc. Aż wreszcie przyszedł alarm, że mają nas okrążyć. Wtedy cała wioska z dobytkiem przeniosła się nocą do Budek, dalej od złowrogiego Ujścia, gdzie na krzyżach wieszali płachty - sygnały śmierci dla Lachów. Koczowanie jednak nie mogło trwać długo. Ludzie powoli powracali do swoich [...], ale niebezpieczeństwo wisiało wciąż groźną chmurą. Wtedy postanowiłem przenieść się do Horodnicy[[113]](#footnote-113).

**27 IV [1966].** Wczoraj przyszła paczka od Mikołaja[[114]](#footnote-114). Jak on o wszystkim pamiętał! Pomiędzy stosami ciastek i pierników jest i butelka wina, i sporo opłatków. Jest i coś jeszcze. Dzisiaj rano dopiero na samym spodzie wygrzebano - brewiarz - pars verna. Mam wprawdzie swój, ale bez polskich oficjów - a nadchodzi wkrótce św. Stanisława. Właśnie jakiś ks. Stanisław[[115]](#footnote-115) jest podpisany. Na pierwszej karcie czytam pośpiesznie ołówkiem napisane słowa do dziekana, słowa trochę dziwne: „iam consummatum est - zaledwie parę godzin dzieli mnie od celu - ostatnie zatem ślę podziękowanie za czułą opiekę. Tam przed Panem będę błagał o nagrodę”. Tak mógłby pisać neoprezbiter, kiedy ma po raz pierwszy stanąć przy ołtarzu. Ale to „consummatum est”! A potem pożegnania i uściski ostatnie braciom w kapłaństwie, a wreszcie okrzyk: „Christus vincit ... Christus regnat”.

I oto na następnej karcie już wyraźniej: „Kochany Tatusiu i Drogie Rodzeństwo! Tylko kilka godzin dzieli mnie od śmierci niczem nie zasłużonej - obowiązkiem kapłana jest złożyć i tę ostatnią ofiarę za Chrystusa. Ginę za nauczanie dzieci religii. Nie płaczcie ani się nie smućcie po mnie - idę do Mamusi i tam wszyscy się spotkamy” - a dalej jeszcze to samo, ale inaczej i jeszcze bardziej po kapłańsku: „po trzech miesiącach więzienia cieszę się, że godny jestem cierpieć i umrzeć kapłanem”. Nie zapomina też, że jest Polakiem. Oto, co pisze do jakiejś ciotki: - „Już mnie nie ma między żyjącymi. Obecnie znajduję się w celi śmierci, a za trzy godziny - po wszystkim. Ostatnie zatem pozdrowienia i ukłony - tylko nie płakać po mnie, bo jestem spokojny - żal tylko tego, że Tej, co prędko zmartwychwstanie, - już na ziemi nie zobaczę”.

Już nie potrzebuję czytać kartki do kolegi, któremu oddaje brewiarz. Tam już całkiem drastycznie: „za 3 godziny kula przeszyje mi czaszkę” i „składam ostatnią ofiarę”, i prośba, „byś w mym imieniu pozdrowił Dzieksztę”. Ach, więc to tam - jest i dokładniejsza data: Głębokie 4 III 1942. Myślę, czy te kartki zostały przypadkiem w brewiarzu? Chyba nie. Może chodziło o przypomnienie, że dla tej samej sprawy trzeba również cierpieć, choćby to nie oznaczało kuli w czaszce.

W każdym razie w Twojej posyłce, Mikołaju, chyba to najważniejsze.

Raz jeszcze patrzę na datę: marzec 42 rok. Gdzie ja byłem wtedy? Może gdzieś w Karpiłówce czy Carowym Borze, bo z Dermanki robiliśmy wypady na wschód. Po grząskich piaskach zwiahelskich bezdroży stary Kiryłowicz lub starszy jeszcze Janek Lisowski popędzał całymi godzinami dobrze wymoszczony wóz, żeby dowieźć księdza do swoich. Byłaż to radość, kiedy po latach 20 i więcej ujrzeli kapłana. Dom zmieniał się w kaplicę. Stary Goławski od wczesnego rana do sumy śpiewał godzinki, różaniec, potem jeszcze coś bez przystanku. Tekla zaś, jak Marta z Ewangelii, troszczyła się około bardzo wielu[[116]](#footnote-116).

W Karpiłówce był kościół zbudowany przez legionistów, kiedy szli na Kijów. Drewniany, wyniosły, na wzgórzu. Rządził w nim w czasie nieobecności księdza Janek, a zacna Drapikowska wyśpiewywała ciągnąc w nieskończoność cienkim dyszkantem: „Słuchaj, Jezu, jak Cię błaga lud”. A Jezus słuchał i błogosławił żywym i zmarłym, bo i na cmentarzu radowały się kości poniżone, kiedy rozbrzmiewało tam od lat nie słyszane: „libera”. Zdaje się, że już w tym czasie odprawialiśmy pierwszą po latach kolędę w Zasimówce, [...] Hucie, Tesniwce. Coś podobnego się niełatwo zapomina. Do późnej nocy szła procesja z krzyżem od chaty do chaty, nie omijając prawosławnych, a na całą wioskę roznosiło się śpiewanie czy raczej radosny krzyk: „Wiwat Pan Jezus, wiwat Maryja, wiwat i Józef, z księdzem kompanija”. Nikt tam nie dbał o poprawność tekstu, który w książkach wydrukowano inaczej. To krzyczały i radowały się serca, którym nareszcie wolno było swobodnie chwalić Boga!

Raz, kiedyśmy lasem wracali, gdzieś za Małą Cwilą zatrzymał nas oddział Uzbeków gotowy do strzału. Wylegitymowali nas i wypuścili, ale opodal w wiosce był oddział partyzantów. Zatrzymali nas na całą noc w jakiejś brudnej chacie, nad ranem pozwolili jechać dalej, ale konie przepadły. Zamiast pary pysznych kasztanów - mój gospodarz - czy nie Wilczyński - musiał się zadowolić jakąś starą hetą. Nie żałowaliśmy jednak, bo oni przecież nas bronili przed zaciskającym się coraz bardziej pierścieniem bandery. Kiedy nam dano znać o grożącym napadzie, nie było się co namyślać. Najpotrzebniejsze rzeczy włożono na furmankę - reszta została zakopana tajemnie pod kościołem i ruszyliśmy cicho przez Frankopol na Horodnicę. Te dwanaście kilometrów dzielące oba osiedla przemierzaliśmy już nieraz - i ludzie nie byli obcy. Odprawiało się ciche nabożeństwo u Pry-maków niedaleko kościoła i u Karoliny Cieleckiej. Był już znany młody, energiczny Stanisław Świniarski i Aniela, tercjarka, z Anastazówki, którzy nas zawsze serdecznie witali, ale teraz jechaliśmy jak wygnańcy i serce zabiło trwożnie, kiedy za mostkiem na Korczyku ujrzeliśmy jakichś ludzi. Wysłany na zwiady chłopak oznajmił, że banderowcy czekają na księdza. Kazałem zawrócić furmance, a sam, przeżegnawszy się krzyżem świętym, jakimś płytkim brodem przedostałem się na brzeg. Zaczęła się wędrówka po nieznanych ścieżkach. Każdy szelest mógł oznaczać zbliżającą się śmierć. Kiedy po długich godzinach wyczerpany zbliżyłem się do miasteczka, jakiś żołnierz zapytał zdumiony: „Wie sind sie gekommen?”

W Horodnicy po prawej stronie drogi już prawie za miastem znajdował się duży, smukły budynek z czerwonej cegły - kościół. Niewielka wieżyczka jeszcze pozostała, ale wnętrze nie przypominało dawnego przeznaczenia. Dawne prezbiterium oddzielone ścianą, zarzucone rupieciem i jakimś starym żelastwem. Nawa poprzedzielana na szereg mniejszych klitek. Ale to przecież Dom Boży, a teraz inne czasy, zabierzemy się do pracy, jak owi synowie Matatiasza nad zniszczoną świątynią. Apel rozchodził się szeroko i dzień został wyznaczony, ale zjawiło się niewielu czy może nawet nikt. Przemagał strach jakiś i głęboko zakorzeniony marazm. Wtedy kilof w rękę i tynk leci aż miło. Potem cegła za cegłą. Zjawiają się ludzie z bliska i z daleka. Praca wre. Znika ściana za ścianą - wreszcie wnętrze puste, swobodne. Teraz już trzeba murarzy, cieśli. Skąd fundusze od biednych, wyczerpanych wojną ludzi? Zresztą pieniądz nie ma wartości. Trzeba płacie chlebem i oto płyną worki ze zbożem. Pudy, dziesiątki pudów z Anastazówki, Kurczyckiej i Krywalskiej Huty, i dalej aż od Emilczyna. Trzeba się spieszyć, bo nadchodzi jesień i mury nie wyschną. Już jest i wspaniały portal z dębowego drzewa, i okna świeżo wybite mają ramy. Jeszcze prowizoryczny ołtarz, koniecznie z M. Boską Szkaplerzną, bo to Patronka, i jesteśmy gotowi do poświęcenia. Nie wiem, jakim sposobem zjawiło się sześciu księży. Był ks. dziekan Pająk z Międzyrzecza i Diakowski, Henryk Niewirkowski, oczywiście też nieodzowny ks. Godziński z całą grupą pań koreckich, które przywiozły różne dary, kilimy i ozdoby do kościoła. Bagińska przyjechała z tłustą gęsią. I to było potrzebne.

Był dzień 11 października - Święto Macierzyństwa Marii.

**28 IV [1966].** W dniu św. Pawła od Krzyża staje przed oczyma w całym majestacie Misterium Crucis. „Z Chrystusem przybity jestem do Krzyża”. Czy była choćby jedna chwila w życiu, w której mógłbym to szczerze powtórzyć, jak ci bracia, którzy na krzyżu i za krzyż ginęli? Może to było wówczas we Lwowie, kiedy pod młotkiem i dłutem profesora trzeszczała czaszka i przypominałem sobie cierniową koronę? Ale to było tak krótkotrwałe, że trudno by nazwać prawdziwym cierpieniem. Wciąż znałem je tylko z opowiadania.

Za parę dni po moim przybyciu do Horodnicy przywieźli do szpitala poranioną dziewczynkę Paszkowskich z Frankopola, którzy mieli przechować moje i kościelne rzeczy. Bagaż został jeszcze cało dostawiony, ale tejże nocy bandyci wymordowali okrutnie całą rodzinę złożoną z jakichś ośmiu osób, starych dziadków, rodziców, dzieci. Najmłodszą, dziesięcioletnią dziewczynkę kłuli powoli nożami, zadając osiemnaście ran. Dziecko prosiło: „dobijcie”. Wtedy nastąpiło silniejsze pchnięcie, straciła przytomność. Odzyskała ją pod stosem trupów, kiedy się naradzali, co z nimi zrobić. Na szczęście półumarłej, porzucili je i odeszli. A ona pozostała świadkiem.

A Dermanka? Pewnie jakieś kilkanaście lat potem, już z Korca byliśmy tam z Dąbrowskim, do którego przyjechał ktoś z Polski - obejrzeć groby. Z trudem można było znaleźć ślady zarośniętego gęsto cmentarza. Na miejscu kościoła pozostały kamienne schody. Z plebanii i domów wokoło ani śladu.

Gdzieś około Bożego Ciała, kiedy zaczynaliśmy myśleć o pracy przy kościele, nad Dermanka ukazała się łuna. Szczegóły wkrótce doniesiono. W wiosce zjawił się oddział partyzantów z czerwonymi znaczkami. Uspokoili wystraszonych ludzi i kazali iść do pracy. Wtedy rozpoczęła się rzeź. Tylko nieliczna młodzież zbiegła. Starzy legli na polu, krwią użyźniając ziemię. Potem takich było na Wołyniu z górą 40 tysięcy.

Ale myśmy w Horodnicy byli bezpieczni. I oto rozkolebała się na wieży korecka sygnaturka, kościółek zapełnił się ludem i ze śpiewem litanii ruszyła procesja. Od radości wszystko się w głowie i pamięci plącze. Padają krople święcone na mury, wiją się dymy kadzidła. Potem celebra oczywiście w asyście, bo jest i ks. Śpiewak ze Starej Huty - i oto przyszedł do świątyni swojej Panujący. Przyszedł do wszystkich i dla wszystkich. Do tego ludu uciemiężonego latami milczenia, który zapomniał swojej ojczystej mowy, ale nie pacierza, i dla tych starców, co jak Symeon oczekiwali zbawienia Pańskiego, i dla dzieci tylko z wody ochrzczonych, pragnących anielskiego chleba. Ale przyszedł też jeszcze dla innych.

Raz, jeszcze w trakcie pracy przy kościele, zawezwano mnie do ortskomendanta. Starszy już, szpakowaty major czy pułkownik spojrzał poważnie i zapytał: „Sind Sie katholischer Priester?” Kiedy potwierdziłem, zaczął opowiadać, że jego brat jest proboszczem przy wiedeńskim tumie św. Szczepana, a on jest również wierzącym katolikiem. W jego głosie była gorycz, kiedy się skarżył na niebezpieczeństwa tej awanturniczej wojny. W kościele nie wiem, czy był, ale inni zachodzili często. Raz zjawił się jakiś młody Ślązak z płomienną duszą, który oświadczył, że jest prezesem katolickiej młodzieży i prosił o Komunię św. Potem przychodził prawie co dzień.

**29 IV [1966].** Od wczoraj rwie mi się wątek. Chciałem właśnie opowiedzieć o buncie Uzbeków i nowych moich owieczkach, kiedy przyszedł list od Mikołaja. Teraz oni jeżdżą swobodnie, jak ja wtedy - po Hreczanach, Gródku, Kitajgrodzie, może też będą i w Mołczanach, gdzie się starali o mnie. Ks. Kuczyński pracuje w Barze i jeszcze dwu parafiach, ks. Drzepecki w Szarogrodzie. Mnie zaś przypominają się natrętnie rano czytane słowa: „wszelką latorośl nie przynoszącą owocu odetnie” - jakże to groźna przestroga - ale dalsze pełne pociechy - „a wszelką, która przynosi owoc, oczyści, aby więcej owocu przyniosła”.

Potem przyszła posyłka od Zofii. Czy oni myślą naprawdę mnie wyekwipować na szereg lat? Kupiła nowe spodnie, jakąś bieliznę i różności. Ale czemu Zofia nie napisała, że umarła Barańska, a Medyński dogorywający?

Wreszcie przyjechała Maria, a z nią jeszcze troje: Georg[ij], Katia i Mila. Tego już się nie spodziewałem, zwłaszcza Georgija, ale dobrze, że przyjechał, bo pojedzie do Lwowa. Byliśmy razem na cmentarzu. To już nie była dotychczasowa samotna przechadzka. Zeszły się kobiety z dziećmi do chrztu, bo moje siostry zaczęły apostolską pracę. Ochrzciłem tylko jedną dziewczynkę, ale kontakt został nawiązany. Dziś po raz pierwszy na Mszy św. było dziewięcioro. Gregor [Georgij] służył w komży - ale śpiewać nie możemy, bo przez ścianę słychać, a mieszkają obcy.

**30 IV [1966].** Coś się zaczyna. Wczoraj był jeszcze jeden chrzest, a dziś rano mieliśmy piękny moment: obłóczyny Georgija[[117]](#footnote-117). Św. Konrad będzie miał swego naśladowcę. Wieczorem zaczyna się nabożeństwo majowe.

**2 V [1966].** Witaj, majowa jutrzenko! Myślałem, że trzeba będzie tylko wspominać, tymczasem zaczęła się jakaś nowa karta, może równie piękna. Ochrzciliśmy kilkanaścioro dzieci. Wczoraj św. Józef Robotnik rozbudził trochę gorliwości (wczoraj 12, dziś już 18). Nabożeństwa majowe śpiewarny najpierw po polsku, a potem schodzi się sporo Niemców. „Chata z kraju” stała się Domem Bożym „Non nobis, Domine, non nobis”. Gospodyni - była luteranka - brała ślub.

**3 V [1966].** Płakaliśmy serdecznie i rzewnie. Bo jakże nie płakać, kiedy tam daleko tak wielkie święto, a nas tu czworo w obcej niemieckiej chacie powtarza te same słowa przysięgi: „my dzieci narodu polskiego” - dodawaliśmy jeszcze: „rozproszone na dalekich, obcych ziemiach”. Iluż to razem płacze w tym wielkim dniu dzisiejszym Tysiąclecia! W Tainczy, Szortandy, na posiołkach, a i tam daleko w Równem, Zdołbunowie, Korcu. „Serdeczna Matko - niech Cię płacz sierot...” Niemcy płakali razem z nami. Może przez współczucie, a może i w ich sercach rozbudziła się tęsknota do innego życia, gdzie w maju kwitną kwiatki, ozdabia się nimi ołtarz Gottesmutter i śpiewa pełną piersią. Myśmy też śpiewali trzy dni rano i wieczór. Greorgij przypomniał piękną melodię litanii i nawet nie baliśmy się przechodzących pod oknem kazachskich sąsiadów. Podobno nieźli ludzie, szkodzić nie będą. Sami schodzą się z swoim mułłą tak samo. Ale teraz te dni minęły, a księdza mają podobno powieźć gdzieś indziej. Wciąż ściska się serce i powtarza jakże odpowiednio wypisane na naszym prowizorycznym tabernakulum słowa: „Herr, bleibe bei uns”.

Nie mogłem zaraz wracać do domu. Trzeba było iść naprzód siebie byle gdzie, by po drodze stracić wezbrany ból i gorycz. Z daleka widziałem odjeżdżającą maszynę. Ileż to razy powtarzać się będzie to bolesne pożegnanie? Już niedaleko cmentarza ujrzałem wśród zeschłej trawy, jakby jakieś zjawisko, maleńki żółty kwiatek. Rozglądałem się dokoła, czy nie ma ich więcej. Ani śladu na całym rozległym stepie. Zerwałem i podniosłem, delikatnie jak relikwię. I oto mam w ręce nie jeden, a dwa przytulone do siebie nieśmiało kwiatuszki. Znowu dwa. Misit illos binos. Nie, już nie mogę i nie chcę być sam dziś, kiedy tam są wszyscy razem u stóp Królowej.

Kiedy byłem tam po raz pierwszy? Jakoś nieśmiało wyłania się z mroku pierwsza Msza św. przed cudownym obrazem. Może to było wtedy w pierwszych latach kapłaństwa, kiedy byłem wysłany z rekolekcjami do braci szkolnych. Jakże zawiedli się, kiedy zamiast miodopłynnego Anioła[[118]](#footnote-118) przysłano im Serafina - ale bez ognia. Było to jednak dwanaście niezapomnianych dni, kiedy mogłem dokładnie obejrzeć całe sanktuarium. Paulini z o. generałem Przeździeckim oprowadzali po refektarzu, bibliotece, skarbcu. Obejrzeliśmy krużganki, wały ze stacjami. P. Borelski pokazał swoją pracownię z kopiami obrazów. Potem był czas na katedrę, Św. Barbarę z cudowną studnią. Kiedy więc po raz drugi w roku 1939 szliśmy z pielgrzymką tercjarską, wszystko[[119]](#footnote-119) to było już dobrze znane, ale kiedy w dali ukazała się wieża i zabiły dzwony, wrażenie było nowe. Nad morzem głów przemawiał Haller w niebieskim mundurze, jak brat do braci. Mówili też inni, ale to najbardziej utkwiło mi w pamięci. Potem była procesja i nabożeństwo solenne przed wyniesionym na zewnątrz obrazem. I wtedy trzeba było przemawiać z kolei po innych. Zamiast znakomitego ks. Rękasa zgromadzone wokół 180-tysię-czne tłumy usłyszały słaby głos młodego kapucyna o akcji katolickiej w tercjarstwie. Musiało to wypaść mizernie, ale zgubiło się w reszcie.

A dziś z tej samej mównicy do niezliczenie większych tłumów przemawia pewnie Prymas i inni dostojnicy. Żeby choć dalekie echo doszło tu na jakichś falach. Niestety, nasze radio cały dzień śpi bez światła, a kiedy wreszcie wieczorem się obudzi, to zacznie mleć po kazachsku.

Napisałem podanie do Moskwy. Krótko i jasno: że mnie niesprawiedliwie sądzili, skoro i teraz nie mogą dać pracy. Proszę o anulowanie wyroku i zarejestrowanie na pracę kapłańską. Niech idzie pod auspicjami Królowej. Cudowne kwiatuszki w wodzie żyją - tylko jednemu opadły dwa płatki.

**4 V [1966].** Nie płacz! Jezus przychodzi i pociesza. Wychodzi naprzeciw - jak w Naim. Dziś było ich pięć - ale wraz z nimi niezliczone rzesze jak Monika błagająca cudu. Czy żyjesz jeszcze, staruszko Mechtyldo, która od lat wypłakiwałaś oczy za oddalonym od Boga synem? A Maria? Pielęgnowała dziatki jak delikatne kwiatuszki, chroniąc od wichrów niewiary, miło było patrzeć, jak pobożnie się modlili. I oto wdarł się nieprzyjaciel, pociągnęli go, by poszedł do nich, a teraz zmuszają do bluźnierstwa. Jakże nie płakać?

W dniu św. Moniki stoją w pamięci szeregi płaczących matek. Widzę je jeszcze, te matki i babki, jak prowadzą swoje skarby do łóżka Haneczki, a ona ochrypłym od wysiłku głosem uczy je kochać Jezusa. Potem jasny dzień Pierwszej Komunii św. Jeszcze parę lat, a potem już tylko łzy i smutek. Znika dziecięca wiara, w zapomnienie idzie modlitwa i zbawienne upomnienia. Rwący potok życia pochłania wszelki idealizm. Można zrozumieć Katię, kiedy straciwszy tragicznie małego Wiktora, płacze jak matka, ale z rezygnacją oddaje dziecko Bogu, mówiąc: może lepiej, że zginął i świat nie miał czasu go zepsuć. Zupełnie jak natchnione słowa: raptus est, ne malitia mutaret intellectum eius[[120]](#footnote-120). Kiedyś pokazano mi fotografię z dziećmi i nauczanie dzieci nazwano przestępstwem. I oto matki płaczą. A my się modlimy: Pociesz, Jezu, jak ongiś Monikę!

Przyszła druga paczka od Zofii. To już chyba za wiele. Oni myślą, że przymieram głodem.

**5 V [1966].** A więc Gromyko był w Watykanie! Tydzień temu, ale nasz „Neue Zeit”[[121]](#footnote-121) właśnie tyleż się spóźnia. Świat znowu zwrócony w tamtą stronę, jak za Piusa V. Ale wtedy była wojna i zwycięstwo - ad conterendos hostes[[122]](#footnote-122), i pomocy św. Papieża wzywamy, „abyśmy zwyciężywszy zasadzki wszystkich wrogów, radowali się wiecznym pokojem”. Teraz o wrogach nie ma mowy. Jakby znikły piekielne bramy. Ścielili mu purpurowe dywany - a potem długo ściskali sobie nawzajem dłonie i uśmiechali się do siebie. Nie śmiem snuć nadziei, by ta serdeczność miała wpłynąć na los mój lub choćby setek tysięcy kazachskich katolików pozbawionych pasterzy. Ale podanie już pewnie w drodze.

Równocześnie prawie zadrżała ziemia w Taszkiencie. Ktoś złośliwy mógłby pomyśleć, że to bramy piekielne zatrzęsły się ze złości. Nie mogę się pochwalić znajomością tego starożytnego miasta - stolicy Uzbeków. Byłem tam tylko na dworcu z Barbarą w przejeździe do Aktiubińska. Był tropikalny upał. Kupiliśmy parę kilogramów pomidorów po bajecznie niskiej cenie, a potem zaczęła się nudna podróż w prawie pustym wagonie. Gdzieś po drodze wsiadło paru prawie czarnych tubylców o skośnych oczach z wzorzystymi jarmułkami na głowach. Smagła Turkmenka w długich pasiastych kieckach. Za oknami ciągnął się bezkresny, nużący oczy monotonią step. Czasem tylko ukazał się melancholijnie człapiący osioł z jakimś nędznym jeźdźcem poganiającym stado owiec. Stolica Uzbeków pozostała daleko. Nie wiem, czy wtedy pamiętałem, że to plemię odegrało rolę w moim życiu.

Kończyliśmy nabożeństwo w horodnickim kościele - było to zdaje się Niepokalane Poczęcie, kiedy rozległy się strzały. W pośpiechu zabraliśmy, co można [było] - resztą miał się zaopiekować Stanisław - i chyłkiem udaliśmy się do pobliskiego domu Karoliny. Kule gwizdały coraz gęściej. Zaczął prószyć śnieg. Bój rozgorzał na dobre. Powiedziano, że to właśnie oddział Uzbeków podniósł bunt i wspólnie z partyzantami gromią Niemców. Parę kobiet z Medwedowa zaproponowało, by schronić się do nich. Nie było czasu do stracenia. I oto owce prowadziły pasterza. Szliśmy lasem, potem polami, poprzez zniszczony Majdan, Zaborę, Sergiejówkę. Nie wiem, jak długo trwała podróż, kiedy dotarliśmy do Medwedowa.

Teraz warto wysilić pamięć, by chwytać szczegół po szczególe to życie krótkie, ale jakże różnorodne wśród ludzi oddanych całym sercem, spragnionych Boga, rozradowanych tym, co przyszło tak niespodzianie. A więc najpierw Teofila - mała, nieuczona, ledwie umiejąca czytać, zacinająca się w mowie, horrendalnie kalecząca polszczyznę, ale trzymająca wszystkie sprężyny w swoich pokręconych w więzieniu palcach. Bo więzili ją i katowali za wiarę. Kiedy nocą, po późnym nabożeństwie, ludzie rozchodzili się do domów, ona kładła się na progu izby księdza, warując jak pies, bo po nocy włóczyli się partyzanci, mogliby przestraszyć.

Kaplicę urządziliśmy w szkole. Było tam coś w rodzaju estrady oddzielonej skrzydłowymi drzwiami. Wszystko to zostało znakomicie zużytkowane. Gruby Janek Grabowski, Turowski i inni urządzili ołtarz, zrobili ładne tabernakulum, a Naścia, Michalina i innych bez liku zajęły się przyozdobieniem - wszystko pod dyrekcją Teofili. Potem zaczęły się masowe chrzty, wiele ślubów i katechizacja dzieci. Trzeba było zaczynać wszystko od nowa. Natrudziła się wiele s. Leokadia[[123]](#footnote-123), ale jakaż radość patrzeć na gromadki dzieci, jak kwiatki zebrane przy ołtarzu. Schodzili się też z innych wiosek: Zaprudy, Balarka, Mostowa Rudnia. Ale niebawem i to nie wystarczyło. Musieliśmy rozpocząć apostolskie podróże do odleglejszych wiosek. Na wóz lub sanie siadała zwykle nieodłączna Teofila, s. Leokadia i jeszcze ktoś z śpiewających do pomocy i jeździliśmy błotnistą drogą od wioski do wioski z pokojem Bożym. Ludzie wychodzili na spotkanie ze świecami i płaczem. Nabożeństwo odprawiało się zwykle w jakiejś chacie, ale bywało też inaczej. Niezapomniany był dzień w Mostowej Rudni. Ołtarz urządzili pod rozłożystym drzewem na wysokim podium. Ludu zebrało się sporo. Płacz, entuzjazm niebywały. Po nabożeństwie w Łosiowej zjawił się niespodzianie młody ruski batiuszka z Niepoznania. Rzucił mi się w ramiona i przez łzy powiedział: ,ja brat, ty brat”.

W Krywotynie był kościół podobno postawiony przez ks. Zygm[unta] Chmielnickiego, którego tam wspominali. Drewniany, ale przyozdobiony wewnątrz jakąś sztucznie rzeźbioną boazerią, przedstawiał się sympatycznie. Nie miałem czasu na oglądanie, bo pracy starczyło na całą noc. Był odpust tytularny św. Piotra i Pawła.

Główny kościół znajdował się w Emilczynie. Kiedy nam go oddano, wokół walały się jakieś beczki i stosy żelastwa z dawnej wytwórni „Citro”. Pierwszą rzeczą było postawić na dziedzińcu wielki dębowy krzyż z ołowianym odlewem wizerunku. Zajął się tym Kędzierski z Rychelska, w którego chacie odprawiało się nabożeństwo. Potem zrobiło się prowizoryczny ołtarz. Jakiś konfesjonał, parę prostych ławek, nawet ambonę. W Medwedowie suszyły się bale na solidniejszy ołtarz, który już się projektował.

Tymczasem na świecie przewalała się wojna, po lasach buszowali partyzanci. Co raz słyszeliśmy o jakichś śmiałych ich wyczynach. Raz podobno na rynku w Emilczynie podrzucili bombę. W Medwedowie rozgościli się na dobre, dlatego czuliśmy się bezpiecznie. Nie wiedzieliśmy, że niebezpieczeństwo może przyjść skąd indziej.

Było to, zdaje się, w maju, kiedy wezwano mnie do chorej w Zaprudach. Z powrotem - nie wiem dlaczego - jechaliśmy wąską drogą lasem. Przy wjeździe do wioski trwożne gromadki ludzi: „To wy ich nie spotkali?” Oto spora wataha bandery - mówią, że setki - wpadła do wsi, byli w kaplicy i szukali księdza -Lacha. Podobno obstawili drogi. Majowego nabożeństwa w tym dniu nie było. Żegnaj, miłe ustronie w szalejącej burzy, miły przybytku Boży, świadku łez i wzruszeń. Z ludźmi nie ma czasu się żegnać. Nie ma nawet Teofili. Może już idą? Trzeba wziąć węzełek na plecy i dążyć szlakiem pielgrzymów czy wygnańców z s. Leokadią. Nawet nie oglądaliśmy się, czy kto nie idzie za nami. Cóż by to pomogło? Na wieczór byliśmy w Emilczynie. Tuż prawie przy kościele mieszkał Żurowski - a w miasteczku kowal Kotwicki i jeszcze parę rodzin polskich - niewiele.

**6 V [1966].** Mnie najmniejszemu...

Dzisiaj nie odprawiłem rozmyślania. Rano trzeba było iść do Kiliana[[124]](#footnote-124), było parę osób do spowiedzi, nabożeństwo trwało prawie do południa. Ale za to cały dzień nie schodzą mi z pamięci słowa, z którymi się przebudziłem, a które po niezliczoną ilość razy przypominały się w Pierwszy Piątek, słowa o niedościgłych bogactwach Chrystusowych. „Mnie najmniejszemu ze wszystkich dana jest ta łaska.” Ile to już nawiązało się tych złotych ogniw, którymi Chrystus przyciąga do siebie? Nie licząc dwunastu lat w Równem, w ciągu których Pierwszy Piątek mało kiedy był ograniczony do jednego kościoła, ile to innych wiernych miało sposobność korzystać z Wielkiej Obietnicy. Chyba już cudownie odprawiało się w Olecku. Różne i przeliczne były przeszkody, warunki dojazdu ciężkie, a przecież złoty łańcuszek się nie przerwał. Zawsze wychodzili na czas do pociągu, czasem czekając godzinami, potem milcząco prowadzili do coraz innej chaty i wszystko odprawiało się bez przeszkody.

A te dwa lata ostatnie, prawie zawsze [...]: Taincza, Akmolińsk, Szortandy, czy to nie nieprzerwany cud łaski? Zawsze im to mówiłem i teraz może jeszcze lepiej pojmują jak dotychczas - podobnie jak i ja.

Dziś rozpoczęliśmy nową nowennę. Jak na Arykty, było dość - 17, w tym czterech mężczyzn. Oby wytrwali. Mówiłem, że i dla nich otwiera się źródło łaski.

**7 V [1966].** Dziś jest piękny dzień majowy. Tam daleko rozwijają się drzewa, rychło obsypią się kwieciem wody nad Korczykiem, u Massalskich w Zdołbunowie zakwitną jeszcze za Polski sadzone. Tutaj po ulicach skrzypią traktory, z klekotem przewalają się kombajny, a przed obdartymi, często jeszcze ziemią lub słomą krytymi chatami nikt nie dba o minimum estetyki. Aleksander, który zaszczepił przed domem parę drzewek, należy do wyjątków. Aby napaść oczy zielenią, trzeba wyjść poza osadę na rozległy, hen aż do Kembedaika sięgający step.

Ale najwięcej jej i pewno najsmaczniejsza znajduje się na cmentarzu. Tak myśli pewnie ta sympatyczna krówka, którą już dwa razy spędzałem z pobliża grobów. Pierwszy raz w sam trzeci maj, kiedy rano zaszedłem tu po owym smutnym pożegnaniu. Była owszem bardzo grzeczna i wystarczyło pokazać jej drogę, żeby odeszła, spuściwszy smutno ogon z poczuciem winy. Wczoraj zastałem ją znowu, już wieczorem, łapczywie skubiącą trawę. Nie wiem zresztą, czy to ta sama. Ostatnio na jakimś świeżym grobie leżało oderwane poprzeczne ramię krzyża. Namordowałem się, żeby je jakoś przymocować. I oto dzisiaj patrzę, a mój krzyż złamany w połowie. Czy jaka moc złośliwa, czy może wiatr? Dość, że krówce pogroziłem i acz niechętnie, musiała się oddalić... żeby za chwilę wrócić z innej strony. Musiałem jej wytłumaczyć, że taka nachalność nie jest dowodem dobrego wychowania, a cmentarz to miejsce święte i nie można go za przeproszeniem... i to wreszcie poskutkowało, nie wiem, czy na długo.

Właściwie jeden bydlak mi nie przeszkadzał, ale za nim mógł przyjść pastuch, a ja chciałem być swobodny i śpiewać. Dopiero tu, wśród grobów, na wolnej przestrzeni, pod wieczornym niebem zasnutym chmurami może się rozlegać szeroko polska litania. Kyrie elejson... niesie się ponad groby z krzyżami i gwiazdami, w których śpią nieznane kości... Kyrie elejson, hen, daleko, ponad bezkresny step.

Na majowe nabożeństwo mógłbym zebrać Niemców. Nawet parę razy odprawialiśmy w domu, ale trzeba było czytać półgłosem, bo za ścianą mieszka jakiś bezbożnik, którego gorszy śpiewanie. Zresztą mnie trzeba wołać i śpiewać do naszej Polskiej Matki Bożej z Częstochowy i Ostrej Bramy, Korca, Równego, Dubna, Starej Huty i Lwowa. Trzeba przeżywać na nowo to, co minęło i co się tam powtarza, tylko trzy lub pięć godzin później. Szkoda tylko, że nie mam tych naszych pięknych modlitw, których żadne niemieckie nie zastąpią. O Nadziejo, o ucieczko nasza, do kogóż pójdziemy? Któż nasze łzy osuszy? Nawet nie trzeba by zmieniać na liczbę pojedynczą, bo zawsze jesteśmy razem, jak ongiś. A nasze pieśni! W każdy dzień prawie śpiewaliśmy co innego i jeszcze repertuar nie był wyczerpany. W Starej Hucie Bielawska śpiewała solo *Matko Królowo!,* śpiewała cudnie i rzewnie: „gdzie pójdą Twe dzieci, jeżeli Ty odwrócisz się”, a cały kościół już prawie ze szlochem kontynuował: „ze łzami w oczach, sercem bolejącym...”, śpiewał i wołał: „okaż swą litość nad ludem cierpiącym, przemień, Maryjo, smutny nasz los”.

To znowu w Równem słyszę męski głos Zbyszka i cienki sopranik p. Róży, potem już cały chór z Sokołami, Irką, Jadzią, Mietkiem, Ryśkiem, Mikołajem, Konradem i kto ich tam wyliczy. *Pieśnią wesela, Do Twej dążym kaplicy, Ty, której berła ląd i morze słucha, Witaj, Mario śliczna Pani, Gwiazdo zaranna, Matko najświętsza, Serdeczna Matko* - *Bogorodzico Przeczysta Panno.* A zawsze jak konieczny refren wezwanie idące w szeroki świat: Chwalcie łąki, góry, doliny, źródła, strumyki, co igra z morza falami lub buja w powietrzu, wszystko, co istnieje i żyje, niech z nami sławi Maryję. Czyż może być coś cudniejszego, jak ta wiązanka kwiatów i śpiewów codziennie składana Marii?

Często czytam u Aleksandra luterańską Biblię i zwracam mu uwagę na jej niekonsekwencję. Przecież oni też wiedzą, że anioł pierwszy wymówił słowa, które my za nim powtarzamy. Mniejsza z tym, że Luter przerobił „Ave gegniBt” na „gabenedeit”, sens jest jeden: głęboka cześć oddana czystej Dzieweczce w imię Boga. To znowu Maria pod krzyżem: przecież nie tylko do Jana powiedział P. Jezus: „Oto Matka Twoja”. Albo czytamy szanowane u nich *Predigten* Gottlieba Branda. Umyślnie szukam kazania na Oczyszczenie Marii. Z pewnością tam coś będzie o Tej, która daje tytuł świętu. Ani słowa. Jakby to sam starzec Symeon znajdował się wówczas w świątyni i cieszył się Boskim Dzieciątkiem, nie wiadomo skąd otrzymanym. Bezwiednie choćby rodzi się bolesne pytanie: czemu ten syn św. Augustyna tak bardzo skrzywdził swoją matkę? Luteranów jest tutaj sporo, może większość. Nawołuję naszą wierną gromadkę do apostolstwa. Lida, która przyszła do nas sama i teraz jest jedną z najgorliwszych, dała początek. Napisałem listy do Massalskich i Mikołaja.

**8 V [1966].** Dzisiaj w Krakowie wielka procesja na Skałkę. Przez szereg lat brałem w niej udział, a w ciągu kilkudziesięciu następnych przeżywam w różnych miejscach i okolicznościach, ale zawsze z tym samym wzruszeniem. Oto na wzgórzu wawelskim rozwija się pochód. Idzie las sztandarów, bractwa ze świecami, korporacje, cechy, a potem nie kończący się podwójny szereg zakonnic w czerni, bieli, w szarych lub brunatnych habitach: franciszkanki, norbertanki ze Zwierzyńca, szare siostry św. Alberta, Felicjanki. Za nimi równie długi i barwny szereg duchowieństwa zakonnego. Idą siermiężni albertyni, fruwają czarne, narzucone na bieli habitów płaszcze dominikańskie, za nimi boso kroczą kapucyni, karmelici, potem już trzewiczkowi: jezuici, wreszcie już sama biel: klerycy w komżach, kanonicy w purpurą przeświecających rochetach. Potem szereg się zwęża, ścieśnia. Idą prałaci w kapach od złota kapiących, purpurowych, a za nimi pod baldachimem Książę Arcypasterz na purpurowej poduszce niesie Relikwię.

To Dobry Pasterz idzie raz jeszcze na miejsce swej męki pobłogosławić narodowi. Bo tam na Skałce na dziedzińcu na stokach wzgórza gromadzi się cała Polska. Prosty pracujący lud, inteligencja, uczeni, młodzież - wszyscy.

Dzisiaj Msza św. odprawiała się przy samych Niemcach, trudno ich było prowadzić na Skałkę, ale kiedy czytałem słowa Chrystusowe: „idę do Tego, który mnie posłał”, myślałem o tym, który tysiąc blisko lat temu został posłany, aby krwią męczeńską ocalić idącą ku zgubie owczarnię. I o nim też myślę wciąż, o tym drugim Stanisławie, którego brewiarz właśnie dzisiaj mam w rękach. Ty też, drogi bracie w kapłaństwie i Chrystusie, otrzymałeś posłannictwo, któreś spełnił aż do tych ostatnich słów wypisanych drżącą ręką na trzy godziny przed końcem: „consummatum est”.

Na dworze ponuro i silny wiatr, ale nie mogę siedzieć w domu. Głowa ciąży, oczy zachodzą snem czy łzami. Gdzie to był nasz zeszłoroczny św. Stanisław? Pewnie u Wołkowskiej zawsze płaczącej nad dziećmi. Była prymitywna, półkolorowa fotografia od Koludów, którą w braku innego obrazu postawiliśmy na ołtarzu. Nie lubię tych mało estetycznych, standardowych odbitek, które mało nastrajają do skupienia. Nie mogę zapomnieć Mietka z jego artystycznym wyczuciem. Nasz rówieński św. Stanisław przemawiał swoją pasterską powagą. Surowe, ascetyczne oblicze zdawało się mówić: nie wolno, ale dobre, łagodne oczy patrzyły z miłością na zebrany lud, kiedy z chóru grzmiał gromki głos: „Gaudę Mater Polonia”. - Pewnie po raz pierwszy sam jeden na obczyźnie powtarzam te triumfalne, a dziś bólem nabrzmiałe słowa: „Ciesz się, Matko Polsko”[[125]](#footnote-125).

Jakiś czaban[[126]](#footnote-126) patrzył za mną jak za szaleńcem, kiedy biegłem popychany wiatrem w stronę cmentarza. Bo wichura istotnie szalona. Teraz wiem, czemu tubylcy noszą i latem szerokie, sięgające ramion czapy i wysokie baranie kołnierze. Ale litanię odśpiewałem. Potem „O, której berła” i te zawsze wzruszające słowa, które powtarzałem nieraz w naukach majowych: „Noc mnie obeszła, biją zewsząd trwogi...”, a potem jeszcze wołanie do Serdecznej Matki - i pomogło - gdzieś podział się ból głowy, zniknęła ciążąca senność. Ale nieszpory odśpiewałem już w ciepłej chacie. Niech i moje Niemiaszki wiedzą, że dzisiaj cieszy się cała Polska prole fecunda nobili[[127]](#footnote-127).

**9 V [1966].** Pokazuje się, że wczoraj było tylko preludium. Dziś od rana zima wróciła w całym majestacie. Śnieg sypie i pokrywa dachy, na ulicy miesza się z błotem, jak wtedy kiedyśmy rano wynosili paraszę[[128]](#footnote-128), a rubaszny milicjant zachęcał do pośpiechu mówiąc coś za plecami, czego dobrze nie rozumiałem, bo w uszach huczało. Może po polsku brzmiałoby to: „czemu się guzdrasz niezdaro”, lub też coś równie uprzejmego. Może to było właśnie około św. Grzegorza[[129]](#footnote-129), który ma zimę odprawić za morze, ale zawsze ma z nią coś do czynienia. Dzisiaj jest też Grzegorza, ale nie Wielkiego, Rzymskiego[[130]](#footnote-130). Zwracamy się na wschód do Konstantynopola, gdzie teraz na stolicy patriarszej zasiada Atenagoras, a z górą półtora tysiąca lat temu rządził, nauczał i cierpiał prześladowania właśnie Grzegorz - grecki teolog, mnich, pisarz, poeta, biskup Nazjanzu. Ci greccy święci mają teraz szczególne znaczenie: łączą odległą przeszłość z soborową teraźniejszością. Ciekawy szczegół przekazuje dzisiejsza lekcja. Kiedy Grzegorz objąwszy rządy w Konstantynopolu zwalczał skutecznie arianizm, powstały spory wśród biskupów tak, że zmuszony był dobrowolnie ustąpić ze słowami Jonasza: „Jeżeli przeze mnie powstała ta burza, wrzućcie mnie do morza”[[131]](#footnote-131). Czy Atenagoras cieszy się pełną sympatią w swoim zbliżeniu do Rzymu? Jaka szkoda, że żadne wiadomości o tych ważnych sprawach do nas nie dochodzą. W każdym razie ze szczerą przyjemnością wspominam obraz pojednania, który X. Rogowski[[132]](#footnote-132) kazał sporządzić dla swojej plebanii. Najwyżsi dostojnicy obejmujący się w bratnim uścisku - wschód z zachodem i wysoki patriarszy kołpak z białą sutanną i piuską papieża.

Potem w grudniu, w ową historyczną chwilę, słuchaliśmy wzruszających słów pojednania. Ale już w Truskawcu u Bronisława. Stało się to tak niespodzianie, że dotychczas nie mogę się dość nadziękować Dobrej Opatrzności, że kieruje moimi krokami. Chciałem odwiedzić chorego przyjaciela, ale siadłszy do pociągu miałem zamiar zatrzymać się we Lwowie - może i w Drohobyczu - tymczasem obudziłem się właśnie, kiedy pociąg ruszył z Drohobycza. W Truskawcu zaledwie mieliśmy czas przywitać się, rozpoczęła się audycja. Byliśmy w Watykanie u św. Piotra. Bronisław[[133]](#footnote-133), doktor rzymski, bywalec Watykanu, słuchał wszystkiego z napięciem i tłumaczył mnie i siostrom. Dzięki temu, choć przygłuchy, mogłem ze wzruszeniem przeżyć te prawie trzy godziny nowej historii Kościoła. Kończyła się tysiącletnia nienawiść, zabrzmiały pełne hieratycznej powagi słowa: „ubi Deus ibi charitas” czy też na odwrót: gdzie miłość, tam Bóg. Bo to wszystko jedno, jak się łączy ze sobą te święte wyrazy właściwie oznaczające jedno: „Bóg jest miłością”.

„Deus Charitas est” - te cudowne w swej zwięzłości słowa przywodzą mi na pamięć proste może i nieznaczne, ale niezapomniane przeżycie.

Pewnej jesieni - było to jeszcze przy pracy w Równem -wybrałem się przez Ludwipol, obecną Sosnówkę, do Starej Huty. W ledwie jako tako odbudowanym miasteczku rejonowym, gdzie przedtem był kościół i pewnie paręset polskich domów, pozostało parę rodzin, z których właściwie jedna tylko przyznaje się do tego, czym jest. Mimo to na Mszę św. przyszło parę osób, pobłogosławiłem im i wybrałem się w drogę. Most na Słuczy był zerwany, ale rzeka zamarznięta, przeszliśmy więc na drugą stronę, pożegnałem się z odprowadzającym gospodarzem i ruszyłem sam jeden drogą dawniej dobrze znaną, ale teraz jakby nową na dawne Nowiny[[134]](#footnote-134). Po drodze przyłączył się pocztylion. Był bardzo ciekawy; nie wdawałem się więc bardzo w rozmowę i chętnie go pożegnałem, kiedy skręcił do jakiejś chaty. Wolałem być sam ze swoimi myślami. Oto idę po raz pierwszy w odwiedziny do ks. Olenia. Wybrałem się pod wieczór, bo miałem zamiar przenocować. Droga ściele się szlakiem wśród pól zieleni. W dali widać wśród drzew rozrzucone chaty - to Nowiny. Do Starej Huty jeszcze z 6 oblewanych kilometrów, ale wśród lasów i bujnych pól przy wieczornym wietrzyku przejdzie się je szybko. Przy drodze jedna, druga Boża Męka. I oto poprzez szczyty drzew widać już krzyż kościoła.

Ale teraz śnieg prószy, z Nowin nie ma ani śladu, drogi też prawie nie widać, trzeba iść na oślep, kierując się instynktem. Wreszcie jakaś ścieżyna, wpół połamany mostek, no i powalony spróchniały krzyż. No to chyba tu! Na miejscu plebanii resztki fundamentów - cały budynek przenieśli do miasteczka. Spieszę do kościoła. Serce bije wzruszeniem. Obchodzę prostokąt zarosły chaszczami i oto schody - kamienne, betonowe. Odgarniam delikatnie cienką warstwę śniegu i oczy nie mogą się nadziwić temu, co się im ukazuje. Powoli, litera za literą, odsłaniają się po rusku pisane trzy słowa: Bog jest „ ljubow”[[135]](#footnote-135) .

Może to nic nadzwyczajnego, że jakiś sekciarz umieścił na miejscu świętym swoje ulubione słowa. A może to tylko drwiny podobne temu bluźnierstwu, które usłyszałem od współwięźnia, kiedy mu opowiadałem o swoim losie: „to czemu Bóg dopuszcza”? Dla mnie to było przeżycie. Jakby z powalonego na ziemię krzyża, ponad gruzy zniszczonej świątyni rozległ się miłosny szept: „Ojcze odpuść im”.

Jednakże z Emilczyna do Starej Huty daleka droga w przestrzeni i czasie. Trzeba jeszcze przeżyć tę nocną nagłą ucieczkę, błąkanie się po lasach - potem Kowalewicze, Kozacką Hutę, Lewacze, ale już noc zapada i Gieorgij lada chwila wróci na spoczynek.

Wieczorem się rozpogodziło zupełnie. Zachodzące słońce było jakby obmyte i świeże, powietrze kryształowe, czyste. Kozacki cmentarz za wodą widać było wyraźnie jak w spektroskopie.

Wracając z cmentarza śpiewałem pieśni jedna po drugiej na całe gardło. Potem spotkałem jakieś dwie inteligencko ubrane dziewczęta. Może to te nauczycielki, które mnie uważają za czarodzieja?

Czemu ta Maryśka[[136]](#footnote-136) nie pisze? Wysłałem już dwa listy.

**10 V [1966].** „Jednemu dał pięć talentów, drugiemu dwa[[137]](#footnote-137).” Jak dobrze ta przypowieść o talentach i wiernych sługach jest zastosowana do dnia dzisiejszego.

Oto obok mądrego biskupa Florencji obdarzonego wszelkimi darami niebios, klęczy zatopiony w modlitwie prostaczek Izydor. Jego ramię błyszczy złotem, ale w rzeczywistości posiada tylko dwoje rąk do pracy, a w sercu jakby dwa talenty: miłość Boga i bliźniego. Na obrazie anioł prowadzi jego woły. Ale Święty Oracz[[138]](#footnote-138) powstanie rychło z klęczek i pokrzepiony modlitwą sam chwyci krzepko rękojeść pługa. Trzeba pracować dla Pana, pomnażać talenty, aby wraz z arcybiskupem Antoninem[[139]](#footnote-139) usłyszeć pochwałę i otrzymać nagrodę: Sługo dobry i wierny wnijdź do wesela Pana Twego.

Za św. Izydorem trzeba by znowu iść do Dermanki. Ale Dermanki już nie ma. Kościół rozebrany na wióry, a wielki obraz patrona parafii pewnie gdzieś w strzępach spalony.

A my jesteśmy w Emilczynie i to nie w maju, lecz z początkiem jesieni. Jest ostatnia niedziela października - święto Chrystusa Króla. Ludu zebrało się sporo: z Medwedowa, Balarki, Zaprudy i innych wiosek. Chrystus w cierniowej koronie, z berłem w ręku odbierał hołdy od tego ludu, który dotychczas znał tylko panowanie jego wrogów. Była jeszcze procesja z mizernymi sztandarkami z szarego płótna. Potem jeszcze nieszpory, ale trzeba było się spieszyć, gdyż mrok zapadał.

Kiedy teraz myślę o tym dniu, zadaję sobie pytanie: czemu myśmy wtedy uciekali? i to nocą przed uroczystością Wszystkich Świętych? Mówiono, że na Emilczyn mają napaść banderowcy, Niemcy gotują się do wymarszu, a wtedy zginiemy. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy tak dokładnie jak później, że Niemcy i bandera - to jedno; nie ma więc powodu obawiać się napadu ze strony nacjonalistów. Jeżeli zaś Niemcy uciekną przed partyzantami, to będzie nasze wyzwolenie. Na takie rozsądne rozumowanie nie pozwalała nie wiadomo skąd rozbudzona panika. Może też gdzieś w sercu czyimś - choćby s. Leokadii [Czesława] zrodziła się chęć: wracać do swoich. Tam gdzieś w dali wieją polskie sztandary, Biały Orzeł zrywa się do lotu -wracać, póki czas.

Zjawił się jakiś dziad przemytnik, który miał nas przeprowadzić. Powiązaliśmy naprędce węzełki z trochą odzienia. Ja włożyłem na nogi lśniące nowe buty. Resztą rzeczy miano się zaopiekować. Do dziś nie mogę odżałować o. Honorata księgi o św. Franciszku i Jego naśladowcach[[140]](#footnote-140), która przy tym nie była moją własnością. Śliwińska z Niepoznanicz po latach jeszcze z trudem wybaczyła mi stratę.

Wtedy nie było czasu myśleć o ratowaniu czegokolwiek prócz życia. Przeczekaliśmy, aż nastanie zupełna ciemność i wtedy jak dwa cienie wyszliśmy z Czesławą [s. Leokadia] bocznymi drzwiami z kościoła. Inna grupa kobiet z owym dziadem przewodnikiem miała się połączyć z nami w drodze. Noc była doskonale czarna, jakby stworzona do ucieczki. Nie widzieliśmy nic wokoło, ni siebie nawzajem. Szliśmy powoli, nasłuchując kroków z bocznej ścieżki od kościoła, ale nikt nie nadchodził. Po daremnym oczekiwaniu ruszyliśmy naprzód, myśląc, że może nas wyprzedzili. Strach pętał nogi, jakieś mary szły od cmentarza, ale żywych ludzi ani śladu. Chłód jesiennej nocy zaczął dobierać się do kości. Trzeba było przyspieszyć kroku, nie oglądając się - naprzód, naprzód. A obok szedł spokojnie czarny cień. Czyżby ona co wiedziała? Z Emilczyna do Medwedowa zaledwie dziewięć kilometrów, ale myśmy szli dobrych parę godzin, kiedy w dali coś zamajaczyło, jakby chata czy płot. Co teraz robić? Do wioski iść nie wolno - tam mogą być bandy z nożami - zimno się robi, kiedy o tym pomyśleć, okrężnej drogi do lasu w nocy nie znajdziemy, a przy tym jesteśmy tak zmęczeni. Trzeba przeczekać razem do rana tu w bruździe czy w rowie, nasłuchując wciąż czy się kto nie zbliża. Razem!

Czy właśnie tego trzeba było? Któż przeniknie straszniejsze niż noc [?] duszy?

O świtaniu powoli zorientowaliśmy się, gdzie jesteśmy. Okrążając wioskę zdążaliśmy do lasu. Gdzieś na skraju spotkaliśmy naszą grupę: parę kobiet i brodatego dziada z workiem soli na plecach. Dotychczas nie mogę rozwiązać zagadki, czemu nie szliśmy nocą razem. Na pytania nie było czasu. Zaczęliśmy przedzierać się raźno leśnymi ścieżkami. Dziad od czasu do czasu kładł się plecami na trawie i wyciągał szeroko kończyny. Nam kazał to samo robić dla odpoczynku. Około południa wyszliśmy na szerszą drogę. Naraz na zakręcie tuż przed nami ukazała się para koni i wóz, jeden, drugi. Dał się słyszeć okrzyk: stój! Nam i tak nogi odmówiły posłuszeństwa, ale okazało się, że to oddział partyzancki. Wprawdzie na nasze wyjaśnienia, że uciekamy przed banderą, powiedzieli: to my, bandera, i wyciągnęli noże, ale wiedzieliśmy, że to żart. Już mieliśmy iść dalej, kiedy dał się słyszeć nieludzki wrzask szamoczącego się na ziemi dziada, który usiłował obronić swój worek soli. Mimo to pozbawili go tego skarbu, a potem przyszła kolej na nas. Tłumoczki w mgnieniu oka rozsypano, rozchwytali z radością bieliznę, ubrania, wszystko, co mogło się przydać w partyzanckim życiu. Nawet nie próbowaliśmy bronić, bo powtarzali wciąż jakby usprawiedliwienie: wszak my za was wojujemy. Tylko trochę żal mi się zrobiło, kiedy ktoś patrząc na moje błyszczące buty, porozumiał się wzrokiem z innymi i kazał zdjąć. Chcieli zabrać i kalosze, ale jakoś uprosiliśmy, żeby nie iść boso po mokrej ziemi. Kiedy wreszcie odchodziliśmy, nasze dary pofrunęły w górę, a wśród drzew rozległ się gromki śpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Nie wiem, czy wciąż płaczącego dziada to pocieszyło, ale dla nas była to rekompensata. Człapiąc niezdarnie sznurkiem przywiązanymi kaloszami zacząłem wtedy układać w myśli jakiś powitalny hymn czy hejnał, który nigdy nie został napisany: „Idę do Ciebie Matko”.

Potem ktoś litościwy dał mi zamiast kaloszy łykowe postoły, tak więc w zgrzebnej siermiędze, którą wdziałem jeszcze w Emilczynie i tym wygodnym miejscowym obuwiu mogłem już dalszą drogę odbyć bezpiecznie. Pod wieczór przyszliśmy do pierwszej wioski Kowalewicze. Nie pamiętam, czy jeszcze uczciliśmy Wszystkich Świętych Mszą św. Pewnie było zbyt późno. Zresztą odpoczywaliśmy niedługo. Stąd do Kozackiej Huty jeszcze kawałek drogi a przecież jutro Zaduszki. Trzeba już być w Lewaczach. W Kozackiej Hucie, w domu Czesławy też nie zabawiliśmy długo. Zaledwie, aby odetchnąć i pokazać się, że żyjemy. Matka i brat Cezar żyli w ciągłym niepokoju. Potem już lasami prosto do Lewacz. Było już po nabożeństwie i ludzie się rozchodzili, kiedy przed kościołem zjawiła się grupka zmęczonych pielgrzymów.

Zrozumieliśmy od razu, że znajdujemy się w centrum partyzanckiej republiki oddzielonej Słuczą od Niemców i bandery. Zresztą już za Kozacką Hutą spotykaliśmy partyzanckie patrole. Na plebanii w Lewaczach znajdował się sztab generała Szyłowa. Sam on wysoki, trochę utykający na nogę, potem podwójny gieroj S[owietskowo] S[ojuza] pozostawał w najlepszych stosunkach z proboszczem o. Danielem[[141]](#footnote-141). Potem miałem być tam częstszym gościem, odwiedzając o. Ekierta w chorobie, ale ta pierwsza bytność nie trwała długo. Ks. Śpiewak[[142]](#footnote-142) ze Starej Huty miał zamiar wstąpić na stałe jako kapelan do partyzantki - trzeba było więc zająć jego miejsce. I oto znalazłem się w Polsce.

Kościół w Starej Hucie zbudowany, jak i cztery inne, staraniem energicznego księdza Leonarda Samosenki[[143]](#footnote-143) był poświęcony Matce Bożej Częstochowskiej. To decydowało o charakterze świątyni i parafii. Żyły jeszcze niezatarte wspomnienia parafialnej pracy gorliwego duszpasterza. Teraz zgromadziły się tu niedobitki z różnych popalonych wiosek: resztki Dermanki, Ludwipola, Zasławia, Siedliszcz, Bystrzyc i innych, hen aż gdzieś do Janowej Doliny garnęły się z ufnością do Matki Królowej, aby pod Jej płaszczem ratować wiarę i polskość. Ale obok kościoła było też inne ognisko ducha narodowego: polski obóz.

**11 V [1966].** Dzisiaj byliśmy znowu u Kiliana. P[an] Jezus pocieszał nas słodko jak uczniów: Nie smućcie się. Potem mówił nam o domu Ojca swojego, w którym jest wiele, wiele mieszkań, dla każdego się znajdzie, a On idzie właśnie przygotować miejsce potem przyjdzie i zabierze nas do Siebie. Co za słodka pociecha. Nie mówiliśmy, jak Tomasz, „nie wiemy dokąd idziesz” i nie znamy drogi, i nie prosiliśmy z Filipem: „ukaż nam Ojca”, bo my wiemy, że On tu jest prawdziwy i żywy*,* współistotny Ojcu, od którego przyszedł, żeby nam pokazać do Niego drogę. Jest w tej małej chatce i w tym ubogim - z prostej paczki zrobionym tabernakulum dla naszej trzynastki, jak ongiś dla dwunastki swych umiłowanych.

Potem widzieliśmy Starca [!] przybitego do krzyża i drugiego leżącego na ziemi z rozmiażdżonym ciałem. Już nie pytali o drogę do domu Ojca, bo się znaleźli na jego progu, i wołali gasnącym głosem: Ojcze, odpuść nam.

Czy śmierć wielu kapłanów w naszej diecezji nie była również męczeństwem?

Zdaje się, że to dziekan z Beresteczka X. Zwoliński[[144]](#footnote-144) opowiadał mi we Lwowie o pewnym proboszczu w jego dekanacie, którego przez oko i czaszkę przybito potwornym gwoździem do kościelnej podłogi. Krew się ścina na samo wspomnienie.

Równie okrutną śmiercią zginął X. Włodarczyk w K. Były proboszcz klesowski opowiadał mi potem, że ten gorliwy kapłan zakonnik pytał go o radę przy grożącym niebezpieczeństwie. Jeżeli chcesz korony męczeńskiej, to zostań - brzmiała odpowiedź. Nie wiedział, że to było proroctwo. Niedługo potem bandy okrążyły kościół i dzielny kapłan zginął okrutnie zamordowany.

Kiedyś w Starej Hucie poproszono mnie, by poświęcić groby w Niemili. Wybraliśmy się ze zbrojnym konwojem, bo za Słuczą wciąż było niebezpiecznie. Przybywszy na miejsce nie znaleźliśmy żadnych mogił, tylko na czarnych kwadratach spopielałych zgliszcz bielejące stosy kości. Potem opowiadano historię tej strasznej nocy, która wioskę zmieniła w cmentarzysko.

Mieszkańcy Niemili mając pod bokiem Niemców w Bystrzycy zwrócili się do nich o pomoc w razie napadu. Odsiecz przyrzeczono i wkrótce pewnej nocy usłyszano zbliżający się oddział właśnie od strony Bystrzycy. Ludzie byli pewni obrony, a to byli oni. Wykłuli bagnetami wszystkich do jednego a potem podpalili wioskę jak stos ofiarny. Ocalały tylko jakieś dziewczęta, które gdzieś za wioską odmawiały różaniec, bo to był, zdaje się, październik.

„Przemień, o Mario, przykry nasz los” wołaliśmy wówczas ze łzami w oczach, sercem bolejącym, a współczującego z swymi dziećmi Chrystusa błagaliśmy o miłosierdzie.

*O miłosierdzia, miłosierdzia Pani*

*dla dusz, co giną*

*dla nich Twe rany Krwią Najdroższą płyną.*

A potem dodawaliśmy spontanicznie dołączoną strofę:

*Tyś nam nakazał kochać się jak dzieci,*

*Jednego ojca, jednej matki syny.*

*O, zgaś nienawiść, którą szatan nieci,*

*Niech nas nie plamią kainowe czyny.*

I szatan nie miał do nas przystępu. Tylko od czasu do czasu pokazywały się gdzieś wysoko w obłokach, jego swastyką znaczone, nietoperzowe skrzydła.

Czy Niemcy istotnie nie wiedzieli, co się dzieje na ich tyłach niezbyt daleko z jednej strony od Równego, z drugiej od sarneńskiej linii kolejowej. Spalili wprawdzie Myszakówkę, ale dalej zapuszczać się nie śmieli. Może liczyli na swoich sprzymierzeńców, że sami sobie dadzą radę, jak myśliwi, kiedy w ostępy zapuszczają sforę psów. A może raczej to Częstochowska osłaniała swym płaszczem wierną gromadkę i obóz?

Kiedy przybyłem do Starej Huty, obóz polski był już doskonale zorganizowany. Trzeba było już dobrze wejść w głąb lasku, żeby zobaczyć szeregi usypanych jak kopce ziemianek. Kwaterowało w nich ponad 300 chłopaków zmusztrowanych sprawną ręką porucznika i kaprali. Gdzieś w gąszczach były ukryte działka. W kwaterze kapitana Wujka[[145]](#footnote-145) pokazano mi na amarantowym tle białego orła. Oczy zachodziły łzami. Boże - wszak to Polska. Kapitan na pytanie, jak to będzie dalej, odpowiadał: będziemy trwać. Na razie przygotowano się do święta niepodległości.

Nie miałem nigdy szczególnego przekonania do tych świąt o nieokreślonym pochodzeniu i treści, ale wtedy ten dzień 11 listopada miał szczególny urok. Była Msza św. polowa z mocno patriotycznym kazaniem. Zabrzmiało: Boże coś Polskę. Potem przyjęcie na plebanii, na które zaproszono cały sztab partyzantów. Panowała atmosfera przyjaznej serdeczności, śpiewano na przemian polskie i ruskie pieśni. „Jeszcze Polska” z Międzynarodówką. Szczególnie wzruszający był moment, kiedy pułkownik powstał z położonymi na płasko dłońmi i prosił, jakkolwiek „ruski czeławiek”, o błogosławieństwo. Potem zaczęły się toasty i wzajemne życzenia pobiedy i zwycięstwa. A potem - nie wiedziałem, że to taki zwyczaj - wszystkie kieliszki poleciały z brzękiem potrzaskane w kąt. Ktoś przesądny mógł zadać sobie pytanie: Czy i z przyjaźnią nie będzie to samo?

Na razie to się nie zapowiadało. Otoczeni podwójnym pasem bezpieczeństwa mogliśmy się nie obawiać napadu.

Wtedy pojawił się inny, tym groźniejszy wróg, że nie mieliśmy środków do walki z nim - zaraza. Nie darmo w suplikacjach łączy się wojnę z głodem i zarazą. Odpowiada to zupełnie rzeczywistości.

Nagromadzenie ludności a wskutek tego niedostatek, głód i przykre warunki mieszkaniowe sprzyjały rozprzestrzenianiu się tyfusu plamistego. Codziennie trzeba było zaopatrywać kilkanaście osób, nieraz pokotem leżących obok siebie. Na cmentarzu las krzyżów szybko wzrastał. Pracy jeszcze przybyło, kiedy zachorował proboszcz w Lewaczach. Gdzieś w zimie około Trzech Króli byłem u niego z wiatykiem. Cierpiał na dolegliwe kamienie moczowe. Choroba zapowiadała się na długo. Nie pamiętam, ile miesięcy pracowałem sam, zachowując środki ostrożności. Raz, przed samym Pierwszym Piątkiem wypadło jechać do chorych w odległej wiosce. Nigdy nie nocowałem w chatach, ale wtedy spowiedź przeciągnęła się do nocy i wracać nie było sposobu. Położono mnie gdzieś na piecu, bo dom był zajęty przez chorych. Rano zbudziłem się z silną gorączką. Przewieziono mnie do domu. Mszy św. już nie było. Leokadia była stale przy mnie; mówiła, żem bredził w malignie. Za parę dni przyjechał o. Daniel jeszcze słaniając się na nogach. Byłem już bezpieczny i może powtarzałem nunc dimittas[[146]](#footnote-146).

Zjawił się jednak lekarz obozowy z zastrzykami i odtąd przychodził często. Zaczęło się mocowanie ze śmiercią. Po paru tygodniach jeszcze z szumem w głowie dźwignąłem się z łóżka, ale zdolność do pracy nieprędko wróciła. A tymczasem cmentarz zapełnił się po brzegi i zbliżał się doroczny odpust.

**12 V [1966].** „Et qui abstulerunt labores eorum.” Może te słowa mają takie znaczenie, jakie im nadaje polski mszał: [owoce] prac ich odjęli, ale mnie się zdaje, że jest to groźba dla tych, którzy w ogóle pozbawiają pracy.

Dzisiejszą noc spędziłem sam, bo Georg[ij] poszedł do pracy, a żona nigdy też go nie odstępuje. Rano, wyszedłszy, zobaczyłem robotników zwijających się koło budowy nowego domu, choć to była dopiero szósta godzina. Pastuchy pędzili bydło, poganiając żwawo. Rychło rozbudzi się życie na dobre. Zatrzaskają motory, potoczą się ciężko kombajny, zatrajkocze niedaleko remontno traktorna[[147]](#footnote-147). Wszędzie kipi, huczy, przewala się praca. A we mnie budzi się coś w rodzaju zazdrości czy żalu. Kiedy patrzę na zgrabnie z rąk do rąk śmigające cegły, myślę sobie, czemu mnie nie dają jakiegokolwiek zajęcia. Wczoraj spotkałem jednak biedaka, który ze mną, czy przede mną został tu przywieziony na zsyłkę. Bieduje, nie ma z czego żyć, bo coś mu dolega i nie pracuje też. Zrobiło mi się wstyd, że mnie nic nie brakuje i obiecałem mu pomóc. Jednakże nostalgia za pracą wżera się coraz silniej. Jest w tym jakaś ironia, że zasądzony za „tuniejadztwo”[[148]](#footnote-148) zostałem skazany na bezczynność. To tak coś jak w piekle dantejskim, gdzie karę stanowi powtarzanie przestępstwa. Jednakże praca nie była dla mnie nigdy obcą.

Może dlatego, że patrzyłem na zawsze zajętych rodziców, przywykłem do niej od dzieciństwa. Kiedy nikogo nie było w domu, bo ja byłem najmniejszy, a reszta szła do szkoły, lubiłem robić porządki - jak to wychodziło - to mniejsza. Pewnie niejeden garnek czy talerz się rozdwoił. Potem zabrałem się do zegarów. Trzeba było dobrze pilnować, żeby który nie został do reszty „naprawiony”. Lubiałem też robotę w ogrodzie. Na naszym małym ostrym skrawku albo na gminnej działce sadziliśmy kartofle, groch, fasolę, jarzyny. Trzeba było ciosać, wkładać tyczki, podlewać, plewić, jesienią zrywać dojrzałe strączki. Była też robota „u księży”. Po Mszy św. szło się na plebanię, gdzie brat Łazarz[[149]](#footnote-149) dawał śniadanie - w domu się nie przelewało - i z koszykiem w ręku szło się za altanę na agrest i porzeczki. Pamiętam, że raz dostałem po uszach, kiedy po drodze skusiło mnie ukraść gruszkę. Przypomniałem to o. Tadeuszowi w Tartu[[150]](#footnote-150), jeszcze się rumieniąc po trzydziestu latach. Kiedy rozpoczęła się budowa kościoła, o. Aleksander[[151]](#footnote-151) - świeć mu Panie - zawsze znalazł jakieś zajęcie: to kamyczki zbierać, to jakieś deski - to wreszcie - dopiero później -przepisywać metryki. Kiedy stawałem do matury, myślał, że jestem jeszcze sztubakiem i przepraszał za omyłkę, że posługiwał się jak chłopcem do wszystkiego.

Ale prawdziwa pasja rozbudziła się dopiero, kiedy zabrałem się do introligatorki. Winien temu był po trosze ów gruby profesor robót ręcznych, który zresztą w nie wszystkie tajniki tej szlachetnej sztuki nas wprowadził. Bywało, że przynosił książkę, kleił, kroił, przykładał okładki, ale kiedyśmy się ciekawie przypatrywali, mówił, że właściwie tak się nie robi. Tego, jak się robi, nauczyłem się z szarego samouczka, który mi wpadł w ręce w jakiejś księgarni Bodaka czy na Batorego[[152]](#footnote-152). Odtąd zaczęła się praktyka, której pastwą stały się przede wszystkim szkolne książki. Chodziło oczywiście o obcinanie. Prasa jakaś się znalazła, zszywaczka i różne przybory też, ale nóż zawsze prawie zjeżdżał na bok i w rezultacie reszty [?] trzeba było szukać na podłodze. No, ale nie od razu Kraków... Potem przyszedłem do przekonania, że lepiej tę część roboty powierzyć maszynie - jakby dziś powiedziano - zmechanizować. Brało się więc stos zszytych i poklejonych już książek i wędrowało na Pańską do pracowni, gdzie za parę groszy książki były równiutko obcięte i brzegiem obmarmurkowane.

Robota się ożywiła, kiedy w nowym domu parafialnym powstała biblioteka. Chodziliśmy wtedy po wszystkich księgarniach i skupowali co tylko było pożytecznego. Tomów było sporo, tym bardziej, że o. Aleksander obszerniejsze dzieła kazał kawałkować, dla ekonomii. Wiadomo - od tomu się płaciło.

Jeszcze pewnie gdzieś w archiwach znajdują się księgi metrykalne, dla których z trudem znajdowaliśmy cielęcą skórkę.

Jak każda namiętność może być na jakiś czas przytłumiona, ale potem wybucha z większą jeszcze siłą, tak też było z moją introligatorszczyzną. Stało się to tak spontanicznie. Wprawdzie już przedtem u Jurkowskiej bywało, że trzeba było zreperować jakąś porwaną książkę, ale w ogóle nie było na to czasu. Teraz po owym 11-ym kwietnia a zwłaszcza po powrocie ze Lwowa -czasu było aż za wiele. Trzeba go było czymś wypełnić. I oto rozbudziła się namiętność młodości. Teraz można było to nawet poważniej traktować. W kościele znajdowała się resztka pozostawionej biblioteki, walały się stosy cennych czasopism. Prócz tego przybyło wiele z Dubna i z Korca. Żadnej polskiej kartce nie trzeba dać zginąć. Praca wrzała od rana do nocy. Raczej od południa, kiedy kończyło się ranne nabożeństwo, kaplica zmieniała się w warsztat. Oprócz tego był też elektrycznie oświetlany składzik z materiałami i narzędziami, w którym się też wykonywało różne roboty. Była też dobrowolna pomocnica, konwertytka o typie tatarskim, która zszywając książki przyspieszała robotę.

Raz - było to gdzieś przed Wielkanocą - do owej bokówki, gdzie byłem zajęty, zaglądnęła czapka z czerwonym otokiem. Pracujecie? zapytał; „a pracuję” odpowiedziałem spokojnie. Potem poszli do izby, gdzie znajdowały się dwie kobiety. Podobno modliły się, a lampka płonęła, bo był Najświętszy] Sakrament. W rezultacie był protokół, który mi teraz w Akmolińsku przeczytano, że mamy tajną kaplicę, a ksiądz ukrył się przed milicją.

Potem historia mojej pracy wplotła się w lata tułaczki. W Samborze u Żujłów na Okrężnej[[153]](#footnote-153) znalazły się na warsztacie cenne tomy niemieckich kazań znalezione na kościelnym strychu. Przy ostatniej robocie zastał mnie ten naczelnik od paszportów, kiedy przyszedł mnie nagle wyrzucić. Nawet nie miałem czasu zabrać narzędzi. Potem była już tylko robota sporadyczna w Leningradzie, Nowoaleksiejewce. W Tainczy znowu powstał warsztat, już nie dla zabicia czasu, lecz z konieczności, żeby nie zginęły do reszty strzępy chowanych jak relikwie po dziadach. Wiele tej niedokończonej roboty teraz skonfiskowano. Ach tak: więc o to chodzi: „prace ich zabrali”. Może i tak, ale to przecież nie wszystko.

Na swoich obrazkach prymicyjnych kazałem wydrukować hasło św. Stanisława: „Do większych rzeczy jestem stworzony”[[154]](#footnote-154). Teraz nie jestem zadowolony z tego napisu; brzmi on mało pokornie i ma tylko luźny związek z Tajemnicą Eucharystii. Inni umieszczają piękne modlitwy i okrzyki wdzięczności za łaskę wybrania, ale czy istotnie nie jestem już zdolny do niczego więcej, jak oprawiać książki lub siedzieć bezczynnie w Arykty?

Właściwie chciałem dziś snuć zupełnie inne wspomnienia. Wszak dziś 12 maja. Czy teraz ta data komu co mówi? A jednak trzydzieści lat temu i potem jeszcze całe lata, cała Warszawa i Polska w tym dniu okrywała się kirem, a sztandary wpół masztu spuszczone płakały.

Kiedy na rozkaz przełożonych wybierałem się do Warszawy, aby wziąć udział w nowennie do św. Feliksa, nie wiedziałem, że spotkam się z - historią. Był już trzeci dzień uroczystych nabożeństw w kościele na Miodowej, kiedy rozległa się wieść, że umarł Marszałek. Szary mundur pamiętałem jeszcze ze Lwowa, kiedyśmy stali w szpalerze z kwiatami. Nie wyróżniał się niczym od innych; niczym, tylko sumiastym wąsem i jakimś ogniem w oczach, ale już wtedy był legendą. Potem czytaliśmy o nim w książkach szkolnych i portret mieliśmy stale przed oczyma -jasny, świetlany. Potem przesłonił się dymem i oparami krwi. Cicho. Mówiono o nim niechętnie, jak o pyszałku, dyktatorze, a jednak wciąż powraca myśl... gdyby on żył...

Ale On już odszedł na wieki. I oto leży wysoko wśród biało-amarantowych sztandarów. W katedrze przez całą noc płoną światła, a my w szarych habitach pilnujemy porządku przy trumnie. Mówią, że naporu tłumów nie powstrzymałaby policja. Milczącym szeregiem wchodzą wiarusy i - po jednym klękając - płaczą.

Przyszła mi myśl, żeby dzisiaj polecić Jego duszę Bogu. Tu na dalekich stepach, wśród Niemców, gdzie nikt go nie może pamiętać ani cokolwiek o nim wiedzieć. Dla mnie chyba jednego jest Symbolem.

Spotkałem Go raz jeszcze na kwaterze u Wujka. Spoglądał srogo spod krzaczastych brwi: „coście z Nią zrobili?” Wtedy kapitan zaczął cichym głosem opowiadać. Ile oni się nacierpieli. Jedni strzelali się na ulicach, wielu zginęło w Katyniu. Spojrzawszy na portret, zawahał się. Nie, my nic nie wiemy, nie chcemy wiedzieć, chcemy żyć w przyjaźni. Twarz Marszałka była marmurowa. „Inni poszli za Andersem - ciągnął dalej Wujek - ale my myśleliśmy inaczej.” I zaczął roztaczać niejasne obrazy wymarzonej przyszłości, fantastyczne plany, nie oparte na niczym, prócz nierealnej nadziei, że przecież wojna się przewali, a potem będzie wszystko inaczej. A tymczasem trzeba krzepić ducha narodu właśnie na rubieżach. Dlatego oni tu przybyli. Przezwyciężyli tysiączne przeszkody, przedarli się przez niedostępne lasy, cierpieli głód i niedostatek, ale dostali się wreszcie do centrum polskości i zorganizowali jednostkę bojową. A co dalej? padło pytanie. „Będziemy trwać.” Na twarzy Wodza pojawił się drwiący uśmiech.

Niedługo potem, idąc rano do kościoła, posłyszałem gwałtowną strzelaninę dochodzącą nie wiadomo z której strony. Nie mogło być mowy o Mszy św. Szybko otworzyłem tabernakulum i spożyłem komunikanty. Nie było wiadomo, w którą stronę się udać. Odgłosy strzałów dochodziły jeszcze długi czas od strony obozu, wreszcie rozbiły się na pojedyncze, potem ucichły. Lasem uciekał czasem jakiś jeden, drugi cień. Siedzieliśmy cicho w gąszczach, nic nie wiedząc. Wreszcie ktoś przyniósł wiadomość, że to ucieka reszta rozgromionych banderowców.

W obozie panowała triumfalna radość. Z dumą opowiadano, jak to banderowcy przeprawili się przez Słucz, jakoś udało im się podejść patrol w Głuszkowie i z całym taborem walili na Starą Hutę. Myśleli, że nas wyrżną, jak bezbronne barany. Tymczasem obóz był mimo to zaalarmowany; dopuszczono ich na odległość strzału i rozpoczęła się masakra. Musiała to być spora wataha, skoro samych zabitych było około czterechset. Wzięto kilkadziesiąt obładowanych suto wozów i wiele broni. Łupy rozdzielono też pomiędzy sowieckich partyzantów, bo akcja była wspólna. Zdawało się, że przyjaźń została jeszcze wzmocniona.

**13 V [1966].** Boże mój, jak dobry jesteś!

Miałem właśnie zasiąść do pisania i snuć dalej nitkę wspomnień, kiedy przyszedł list od Maryśki. Teraz już z lżejszym sercem odetchnę. Niepokoiłem się już bardzo. Chciałem pisać po raz trzeci i to przez Celinograd, bo myślałem, że w rejonie zatrzymują. Ale też szedł ten list, jak piechotą, choć lotniczy, od 1 do 19, a z powrotem prawie tyleż samo.

A więc mieszkają już we własnym domku, gdzie pokoik czeka na gościa. Jest i biedna Lesia, która na nowo uczy się pisać.

Ja też zaczynam coś jakby na nowo. Może ta zsyłka to coś w rodzaju drugiego nowicjatu. Św. Kardynał Bellarmin[[155]](#footnote-155) na starość prosił, żeby go przyjęto na nowo do nowicjatu. Wychował dla nieba Anioła - Alojzego, teraz chciał iść za Nim odmłodziwszy się na duchu.

Dziś na naszym ołtarzyku znajdują się kwiatki. Skromne łąkowe, żółte i bladoliliowe. Kosztowały one trochę trudu, bo rosną aż na drugiej stronie wody.

Ale to dla Ciebie, Matko - ta wiązanka skromnych kwiatków i równie mało ważnych młodzieńczych wspomnień.

Byłem już po maturze i na stole leżało świadectwo dojrzałości, które kosztowało parę nieprzespanych nocy - kiedy przyszło wezwanie do nowicjatu. O. Gerard[[156]](#footnote-156) zapraszał do Sędziszowa na koniec lipca. Była to odpowiedź na uprzednio wysłaną prośbę o przyjęcie.

Czy wiedziałem wtedy, co znaczy opuścić świat? „Pragnąłem i dana mi jest roztropność.” Koledzy podrwiwali ze mnie z cicha, nazywając już naprzód kapucynem, ale nikt nie brał tego na serio. Obok mnie w ławce siedział syn szewca, który lubiał popisywać się swoją rozwiązłością. Zresztą koleżeństwo było na pół starozakonne. W domu, koleżanki Maryśki uśmiechały się protekcjonalnie, kiedym którąś szarmancko pocałował w rękę. Czasem półgębkiem wspominano Józię Smereczankę, miłą, skromną dziewczynkę, której niby okazywałem sympatię. Ale myśmy nigdy prawie się nie spotykali; tylko w jasełkach ona była Ewą a ja Adamem, zresztą całkiem niehistorycznie, w długich powłóczystych szatach. Na tych wspólnych próbach w ochronce flirtowano zawzięcie. Mnie to zawsze gorszyło, ale potem w samotności coś jakby przyjemność, jakby tęsknota za Kasią czy piękną Stasia budziło się nieraz. Za wiele naczytaliśmy się o Maryli i Gustawie a choćby o Tadeuszu i Zosi. Potem przyszły prawdziwe bunty i klęski. Zegadłowicz powiedziałby: „Zmory”. Niebo się zaciemniło, a w zakamarkach duszy pojawił się szept: przecież to nie grzech - głos natury. Zawsze jednak przychodził na pomoc jeden lub drugi obrońca: obaj silni i mężni, młodzieńczo niewinni. Jak się to stało, że dano mi tych dwóch młodocianych Patronów. Podobno mama życzyła sobie Kazimierza a ciotka - chrzestna matka - Alojzego. Dobroduszny o. Anioł[[157]](#footnote-157) uczynił zadość obu.

Pamiętam, że kiedy raz przy spowiedzi oświadczyłem, że mam zamiar wstąpić do zakonu, surowy jezuita naprzód się zdziwił, potem zaś dał surowe upomnienie. Wtedy gdzieś na murawie na grunwaldzkim wzgórzu upadłem twarzą na ziemię i z piersi wyrwał się szloch: „Już nigdy”.

Nadszedł dzień pożegnania; „Pipek”[[158]](#footnote-158), z małą strzyżoną bródką, ukochany gospodarz klasowy mówił ze wzruszeniem: „tylko się nie zmarnuj, przyjacielu”. W domu rodzice błogosławili: idź, jeżeli cię P[an] Bóg wzywa, ale bądź dobrym zakonnikiem. Nic mi się nie przypomina z tego pożegnania, żadne słowa ni twarze. Może i wtedy mało co widziałem.

Lecz Ty, Marysieńko, czy pamiętasz ten jasny dzień lipcowy, kiedyśmy stanęli przed furtą sędziszowskiego klasztoru. Niegdyś - osiemnaście lat temu klaskałaś w dłonie, wołając: ,ja mam brata”, teraz ten brat zginie za chwilę za surową bramą, a Ty powrócisz sama. Ale jeszcze jesteśmy razem. Serca biją głośno, jak ten dzwonek, który gdzieś się daleko rozlega w głębi korytarza.

Otworzył nam uśmiechnięty łagodnie brat Leon[[159]](#footnote-159). Potem dowiedziałem się, że jego droga do klasztoru była dziwna. Gdzieś na froncie zasypała go wyrzucona minami ziemia. W tym momencie zrobił ślub, że poświęci się Bogu, jeśli ocaleje. Nie wiem, po jakim czasie odkopali go żywego.

W rozmównicy zebrało się więcej chłopaków aspirantów z rozwadowskiego Małego Seminarium[[160]](#footnote-160). Za chwilę zjawił się o. Gabriel. Ujrzawszy mnie zawołał: Lojzek, i ty tutaj? Było to osobliwe powitanie i poczułem się zrazu trochę nieśmiało wśród nowych kolegów zżytych ze sobą w ciągu lat szkolnych. Rychło jednak zawiązała się nić sympatii, kiedyśmy się znaleźli we wspólnym chórze i refektarzu. Najstarszy z nich był Marecki[[161]](#footnote-161), wysoki blondyn z trochę chmurną twarzą, potem Nowak[[162]](#footnote-162), Strzemecki[[163]](#footnote-163), Paluch[[164]](#footnote-164), późniejszy Jacek[[165]](#footnote-165) - innych nie pamiętam. Od razu porozmieszczano nas w oddzielnych celkach i przez parę tygodni postulatu mieliśmy przywykać do milczenia i klasztornej dyscypliny. Został wybrany dziekan, który miał pilnować porządku.

Rano rozlegał się na korytarzach grzmot kołatki, który słyszeli pewnie też śpiący pod kościołem fundatorowie. Natychmiast spieszyliśmy do chóru, padając na twarz przy wejściu i całując ziemię, to czynili bracia. Potem jeden z braci odmawiał modlitwy - czytano litanię i rozmyślanie. Do medytacji przywykaliśmy stopniowo. Mszy św. słuchaliśmy patrząc w okienko nad menzą ołtarzową, przez które widać było tylko kielich. Na środku chóru znajdował się wielki pulpit z brewiarzem drukowanym potężnymi literami. Czytały z niego liczne pokolenia. Teraz my uczyliśmy się sylabizować psalmy. Bo co innego Nepos czy Owidiusz lub Cycero. Tu trzeba przywykać do często zagmatwanych tekstów, pisanych przy tym dla ekonomii skrótami. Z chóru idziemy zawsze w milczeniu do znajdującego się na przeciwległym końcu korytarza refectorium. Jest to długa sala z prostymi, ustawionymi wzdłuż ścian w podkowę stołami. Śniadanie nie trwało długo, byle pokrzepić siły. Potem następuje sprzątanie cel i ciche zajęcia. Jest to teraz modlitwa i przygotowanie się do nowicjatu. Trzeba choć z grubsza poznać życie, w jakie się wchodzi.

Na obiad wzywadźwięk blachy umieszczonej przy refektarzu. Teraz są już wszyscy razem. O. gwardian Roman[[166]](#footnote-166) otwiera szereg a za nim po kolei starszeństwa ojcowie i bracia. Na dany znak każdy z braci klęka i wyznaje winy: najpierw ogólnie a potem dodaje jakieś rzeczywiste przewinienie. Jeżeli zasłużył, otrzymuje pokutę. Wtedy z pokorą całuje ziemię i wykonuje, co polecono. Potem rozlega się głośne: „benedicite” i następuje błogosławieństwo stołu, kończące się zawsze przedziwnym zdaniem św. Jana: Deus charitas est, Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka - a Bóg w nim. Mamy sobie przez to uprzytomnić, że to wspólne zebranie jest agapą - ucztą miłości. Biorą w niej udział nie tylko ci, którzy siedzą za stołem, ale też ci, którzy byli i odeszli. Dlatego czyta się mortuologium z krótkim opisaniem ich życia i cnót. Potem następuje Słowo Boże, bo „nie samym chlebem żyje człowiek”.

Wszystko to dla nas nowe. Trochę tajemnicze. Z zajęciem obserwujemy każdy gest tej czcigodnej ceremonii, którą opracowały wieki. Każdy ukłon, pocałunek stołu czy podłogi nosi na sobie piętno pokory - ducha Ojca.

Szczególnie silne wrażenie robi pierwsza dyscyplina. Po wieczornych pacierzach zatrzaskują się nagle okiennice i wśród czarnej ciemności rozlega się zbiorowe „Miserere” - równocześnie daje się słyszeć najpierw pojedyncze, potem coraz liczniejsze klaskanie łańcuszków o nagie ciało. Z przodu, z tyłu, z boku, zewsząd. Rzekłbyś - jakaś gwałtowna ulewa grzmoci w dach klasztoru. Tak brać Franciszkowa poskramia brata osła.

Ale te średniowieczne praktyki nie wyczerpują życia w klasztorze. Jest tu też obszerny ogród-sad, gdzie wychodzi się w południe i wieczór dla odetchnienia czystym powietrzem i na cieszenie się Bożą przyrodą. Wszak mamy być dziećmi Tego, który kochał najdrobniejszą trawkę.

Postulat nie trwał długo. Niebawem rozpoczęliśmy rekolekcje do obłóczyn. Trzeba było wydobyć z zakamarków duszy wszystko złe, żeby w nowym stroju rozpocząć naprawdę nowe życie. Mnie dopomagał do tego św. Alfons, którego dzieła w starym niemieckim przekładzie znalazły się w bibliotece. Może błąkała się wtedy w duszy zuchwała myśl: muszę być świętym. Nadszedł wreszcie dzień obłóczyn. Przed ołtarz wyszła grupa młodzianów z habitem i paskiem na rękach. Na chórze zaśpiewano *Veni Creator.* Potem każdy z nas przystępował i zdejmowano z niego odzienie, jak starego człowieka; na habit spadała z błogosławieństwem święcona woda i odtąd stawał się on słodkim jarzmem, które nowy człowiek będzie nosił przez rok albo całe życie. Zapalona świeca, w rękę Reguła [zakonna], pasek około bioder i już nie ma studencika z melancholijną miną i w zgrabnym krawacie, ale jest brat Serafin. Trochę mi nie przypadło do gustu to nieznane imię. Wolałem Stanisława Kostkę, w ten sposób dokompletowałaby się trójka Świętych „Młodzieńców”, ale Stanisław już był, a zresztą to jest pierwsza próba przełamania własnej woli, kiedy się nie ma prawa wyboru. A przecież o to najwięcej chodzi w ciągu roku próby. Do tego zmierzają upokorzenia, małe pokuty, kary. U mnie było niebezpieczeństwo wyróżniania się. Sam jeden po maturze i [z] trochę innego środowiska, często stałem na uboczu. Do tego przyczyniła się też choroba. Nigdy się do tego nie przyznawałem, ale zdawało mi się, że ją sam spowodowałem - łakomstwem - po prostu przejedzeniem się poziomkami. Może przyczyna była inna, ale choroba się zaostrzała i wlekła. Pan Górka, nasz klasztorny doktór, był w kłopocie. Żadne lekarstwa nie pomagały. Trzeba było zachowywać odrębną dietę. Tu znowu kucharz brat Grzegorz[[167]](#footnote-167) był zaangażowany. O. Roman myślał słusznie: co z takiego zakonnika-cherlaka? i myślał wydalić. Wiedziałem o tym i było mi przykro, że mu tyle sprawiam kłopotu. Może interwencja o. Kosmy sprawiła, a może po prostu taka była wola Boża, żem został. Ale zawsze czułem się niepotrzebnym balastem, który lepiej wyrzucić za bort.

Niezapomniane to były dni, kiedy plącząc się w długich habitach przewracaliśmy się na schodach. Jeśli kto miał co jeszcze w ręce, musiał potem czerepy nosić na sznurku na plecach. To były praktyczne lekcje pokory. Teorię reguły wykładał i objaśniał o. Ambroży[[168]](#footnote-168). Młody, z polotem krakowiak zjednał sobie szybko naszą sympatię. Czasem wychodziliśmy poza mury klasztorne na przechadzkę. Poza tym kontakt ze światem był kontrolowany. Mimo to nasza gromadka coraz się zmniejszała. Ubył najpierw Jacek trochę zawadiacki chłopczyna, potem Michał. Parę razy do roku były scrutinia[[169]](#footnote-169). Wtedy padały białe i czarne gałki. Każdy z profesorów miał prawo sądzić, czy dany numer nie przyniesie ujmy zakonnej społeczności. Panowała doskonała atmosfera, komuna i demokracja. Zawsze byłem niespokojny o wynik. Ostatnie głosowanie wypadło pomyślnie, lecz kiedy znowu odprawialiśmy rekolekcje przed profesją, trzeba było zadać sobie pytanie: czy ten rok, jeśli nie cały, to w części nie został zmarnowany?

I dlatego może trzeba nowicjat zaczynać na nowo.

**14 V [1966].** Dzisiaj miesiąc od naszej pierwszej Mszy św. w Arykty. Takiej daty nie można zapomnieć, jak nie zapomina się prymicji. Wtedy, kiedy przyszła posyłka od Katii z winem i opłatkami, nie wiedziałem jeszcze, że to właśnie rocznica pierwszej Mszy św. w moim rodzinnym kościele[[170]](#footnote-170). Wprost cudowny zbieg dat. Cały nawał wspomnień ciśnie się pod pióro. Ale najpierw modlitwa, którą codzień odmawiam po Mszy Św.: O Jezu Najmilszy, który spośród tysiąców [!] wybrałeś mnie do niepojętej godności kapłaństwa, rozbudź na nowo łaskę, która jest we mnie przez włożenie rąk biskupa.

Dzisiaj będziemy odprawiać Mszę św. wieczorem razem z nabożeństwem majowym, jest więc sporo czasu, żeby snuć wspomnienia ab ovo[[171]](#footnote-171).

Niebo znowu zaciągnęło się chmurami, wiatr potrząsa suchymi jeszcze gałęziami skąpych drzewek. Ot, maj. Zofia[[172]](#footnote-172) pisze, że u nich wszystko pięknie rozkwitło, drzewa się rozwijają. Wczoraj był list. W Krakowie pewnie też na plantach bawią się dzieci w zielonym raju. W naszym ogrodzie stary Teofil[[173]](#footnote-173) z podkasanym habitem... nie, może już kto inny - podlewa kwiaty.

Moje okna z piętra wychodziły na ogród. Kiedy koledzy z nowicjatu na dole w salach słuchali Jelonka lub Święcickiego[[174]](#footnote-174), ja brałem w rękę Reinstadlera lub jakiś inny stary podręcznik scholastycznej filozofii i szedłem obkuwać pod drzewami. Taka to i była nauka. Z logiką byłem jeszcze trochę otrzaskany z gimnazjum, ale ontologia, kosmologia a zwłaszcza właściwa naturalna filozofia z trudem szła do głowy. Pomagał trochę Weis i Gabryl[[175]](#footnote-175), potem Tatarkiewicz, no i egzamin przed o. Paschalisem[[176]](#footnote-176) przeszedł. Jaki to zresztą był egzamin.

Po wakacjach i rekolekcjach zaczęła się teologia. Zasiadłem w ławie razem ze starszymi kolegami, którzy już przedtem rok się uczyli. Mieliśmy dwóch profesorów Hiszpanów, z którymi można się było porozumieć oczywiście tylko po łacinie. Dogmaty wykładał niski, czarny, ruchliwy o. Laureano Martinez de Las Muñecas[[177]](#footnote-177). Lubiliśmy go bardzo, bo był dobry i wyrozumiały, a przy tym próbował uczyć się po polsku, co czasem wychodziło śmiesznie. Potem umówiliśmy się, że on mnie będzie uczył po hiszpańsku, a ja jego po polsku, ale zawsze było: złońce. O. Justo[[178]](#footnote-178) od moralnej, czarny kark, był innego typu. Wysoki, dość tęgi, mówił szybko, czasem się zapalał. Prócz tego nasz już polski o. Ludwik Żołnierczyk[[179]](#footnote-179) - miał rzeczywiście w sobie coś z wojskowego, wykładał prawo kościelne, a prowincjał o. Czesław[[180]](#footnote-180) z sławnego Haczowa, z tubalnym, trochę afektowanym głosem zaprawiał nas do pasterskiej i kaznodziejskiej pracy. Pismo św. czytaliśmy z o. Ksawerym[[181]](#footnote-181), który w Rzymie otrzymał doktorat, ale był dla nas jakby starszym kolegą.

Gdzieś zaraz z początku roku otrzymaliśmy tonsurę i niższe święcenia. Przyjęcie w grono kleryków jest samo w sobie ceremonią poważną, mnie jednak wciąż się przypomina nieco humorystyczny szczegół, kiedy X. Sapieha, dotykając jakiejś łysej głowy, zamiast słów cytatu: „Dominus pars haereditatis meae”[[182]](#footnote-182) mówił: „nie ma, nie ma, nie ma.,.” Potem dotykaliśmy kluczy i księgi Ewangelii a następnie egzorcyzmów, wreszcie lichtarza i ampułki[[183]](#footnote-183) . Subdiakonatu udzielił już później w ostatnim roku biskup Rospond. Odtąd zaczęło się asystowanie do Mszy św. Asystę mieliśmy dość często i w powszedni dzień przy celebrze żałobnej.

Nastał dzień święceń moich starszych kolegów: Adam[[184]](#footnote-184), Bolesław[[185]](#footnote-185), Eugeniusz[[186]](#footnote-186), Bernard[[187]](#footnote-187) zostali diakonami. Mnie nie dostawało lat, ale wkrótce nadeszła dyspensa i wtedy wraz z Walerianem[[188]](#footnote-188), przysadkowatym, trochę rubasznym chłopcem z Pława otrzymaliśmy stułę i dalmatykę. Diakonat nie trwał długo.

Rozpoczęły się praktyczne przygotowania do Najświętszej Liturgii. Uczyliśmy się na pamięć tekstów i śpiewów. Odprawialiśmy ceremonie pod przewodnictwem profesora. Wreszcie rozpoczęły się kilkudniowe rekolekcje. Nic z tego nie pamiętam, ale zdaje mi się, że kiedy nadszedł dzień 11 marca i zgromadziliśmy się u franciszkanów przed ołtarzem w albach i ornatem podwiniętym na plecach, czułem się mocno onieśmielony. To, że święcenia zostały przyspieszone na rok i trzy miesiące, że studia były niedokończone i tak bardzo niekompletne powodowało, że kiedy wywołano moje imię, nie wiedziałem prawie, do kogo się to wszystko odnosi.

Boże mój, więc to już? A mnie się zdaje, że tak niedawno jeszcze, idąc do małego kościółka na Zamarstynowie, powtarzam uparcie: przyjmij mnie do czeladki swojej. Wtedy właściwie pewnie nie rozumiałem dokładnie, co mówił biskup. Słowa były łacińskie, wypowiedziane daleko, a przy tym w głowie szumiało. Ale naraz głos stał się silniejszy, dobitny: Synowie najmilsi, przyjmując święcenia kapłańskie, starajcie się przyjąć je godnie, a potem chwalebnie je sprawować. Kapłan bowiem ma ofiarować, błogosławić, rządzić, głosić Słowo Boże i chrzcić. Z wielką tedy bojaźnią przystąpić powinniście - A potem nastąpiły słowa upomnienia: Rozważajcie, co czynicie, idźcie za waszym powołaniem. Niechaj nauka wasza będzie lekarstwem dla ludu Bożego... budujcie słowem waszym i przykładem dom Boży, tj. lud wierny. A na zakończenie, jakby groźba czy przestroga: ani nas za to, żeśmy was wyświęcili, ani was, żeście tak szczytny urząd przyjęli, Bóg nie potępi, lecz byśmy zasłużyli na nagrodę, czego niech nam udzieli przez łaskę swoją. Per gratiam suam. Głos był starczy, wzruszony. Amen - odpowiedzieliśmy, równie do głębi przejęci ważnością tego, co ma nastąpić. Wtedy biskup wyciągnął ręce nad nami i wołał: Prośmy, bracia najmilsi, Boga Ojca Wszechmogącego, aby pomnożył w tych sługach swoich dary niebieskie...

Nabożeństwo było długie i wzruszające. Każdy z nas przystępował po kolei, otrzymywał ornat, potem po odśpiewaniu *Veni Creator,* namaszczenie dłoni, dotykał kielicha i pateny, a potem słyszał jakby echo słów Chrystusa z wieczernika: Weźmij władzę ofiarowania Bogu Ofiary Świętej, odprawiania Mszy św. tak za żywych, jako i za umarłych. W imię Pańskie. A więc w imię Pańskie - in nomine D [omiń] i - razem z biskupem wypowiadamy słowa sakramentalne: Hoc est corpus meum. Miarowo przyciszonym szeptem podnosi się z młodzieńczych ust. Po raz pierwszy. Odtąd będzie się to powtarzać codziennie - jak długo i gdzie? Nie mogę myśleć, bo z chóru rozlega się śpiew, który pozostanie w pamięci na zawsze: iam non dicam vos servos sed amicos meos[[189]](#footnote-189). To On mówi. Ten, który przed chwilą wziął w posiadanie młode oddane Mu niepodzielnie serce: już nie będę zwał was sługami, lecz przyjaciółmi. Teraz na poświęconą gromadkę zstępuje Duch Św. z łaską odpuszczania grzechów. Biskup powtarza słowa Chrystusowe z wieczernika i daje pocałunek pokoju - Pax Domini... Pokój Pański niech zawsze będzie z Tobą. Semper - zawsze! Czujemy, że to słowo ma niezwykłe znaczenie. Zawsze w doli i nieszczęściu, na wygnaniu czy w chorobie, w latach młodzieńczych czy zgrzybiałej starości masz pamiętać o tej godności, w którą dziś zostałeś przyobleczony.

Nazajutrz w dzień św. Grzegorza, ale to była niedziela postna, odprawiliśmy prymicje w naszym kościółku na Loretańskiej. Nie wiem, który z nas pierwszy stanął przy ołtarzu. Ręce pewnie drżały, głos się łamał. Zdaje się, że asystował o. Ludwik czy raczej Xaver [Ksawery] w kapie. Bałem się, żeby nie było pomyłki. Podobno nie było - tylko ojcu Marianowi[[190]](#footnote-190) nie podobały się moje szeroko rozłożone palce, a Kosma ganił jakieś niezgrabne obroty. Ale to później. Teraz w pierwszych dniach pogrążyliśmy się bez reszty w atmosferze bratniej serdeczności.

Na prymicje w miejscu rodzinnym przeznaczono Wielkanoc. Przez miesiąc czasu należało przywykać do świętych czynności, żeby przed swoimi okazać się godnie. Zresztą i w Krakowie rozdzielało się błogosławieństwa prymicyjne w kaplicach zakonnych. Potem Walerian udał się do Rozwadowa, a ja przed samą Wielkanocą znalazłem się na Zamarstynowie.[[191]](#footnote-191)

**[24 V 1966]** ... usłyszałem tę groźbę. Odpowiedziałem spokojnie: „Róbcie, co chcecie, wszyscy kapłani cierpieli i ja też cierpieć będę, jeśli trzeba będzie”. Zdawał się nie rozumieć, ale nie chciałem tłumaczyć. Powiedziałem tylko: „Czy to nieprawda?” Nasza rozmowa była skończona. W domu na Dekabrystów powiedziano mi, że wzywają do gorsowieta. Zastałem głowę i kilku nie znanych urzędników. Jeden z nich powiedział mi, że jest skarga na mnie, że nie daję ludziom spokoju, buntuję, posyłam, a przecież to wszystko bezcelowe, bo pracy nigdzie mi nie dadzą. Wobec tego radzi wyjechać do Polski. Odpowiedziałem, że nad tym się namyślę, bo wyjazd jest dobrowolny i mam prawo jako tutejszy obywatel nie korzystać z pozwolenia. Wtedy powtórzyła się groźba, że jeśli nie wyjadę, mogę się narazić na cierpienia. Lepiej decydować zawczasu, dziś jeszcze. Oni wszystko ułatwią. Wyszedłszy z gorsowieta skierowałem się do ovir'a[[192]](#footnote-192) wiedząc, że o tej porze będzie zamknięte. Noc i dzień wielkanocny spędziłem w Połonnem. Ta pierwsza Wielkanoc poza własnym kościołem musiała być niezwykle rzewna. Przeżywałem w duchu żal moich zawiedzionych owieczek, które oczekiwały świątecznej radości, a teraz płaczą przy Grobie.

W Poniedziałek rano po nocnej podróży byłem zmęczony. Po Mszy św. dano znać, że zajechała maszyna. Ledwie miałem czas na nowo położyć się do łóżka, weszło do pokoju czterech urzędników, z których dwóch widziałem uprzednio w gorsowiecie. Bagińska powiedziała im, że jestem chory, mam zawroty głowy i nie mogę z nimi rozmawiać. Mimo to ten, który przedtem prowadził sprawę, przystąpił do mnie z serdeczną perswazją, żebym wyraził zgodę na wyjazd, bo w przeciwnym razie... Powiedziałem słabym głosem, że teraz nie mogę mówić ni myśleć, a jak wyzdrowieję, to zobaczymy. Wtedy zaczął coś na boku rozmawiać z Bagińską. Potem dowiedziałem się, że proponował jej, aby za mnie podpisała zgodę na wyjazd. Te wizyty, ale już pojedyncze, powtarzały się parę razy w jednym i drugim dniu. Pytano, czy mi nie lepiej. A we mnie dojrzewał zamiar: trwać, choćby i cierpieć trzeba było dla sprawiedliwości. Sprawiedliwość jest, żeby wierni mieli kościół i kapłana. Będziemy się domagać i czekać lepszych czasów, choćby przyszło w tym czekaniu znosić wiele trudów.

We wtorek wieczór cichaczem dostałem się do Lu[dwipola]. Bałem się, że będą mnie śledzić. Przeczekałem na cmentarzu, aż przyniesie moją podróżną torbę [sic!]. Zdawało mi się, że ktoś chodzi za drzewami. Ale nie. Pojechaliśmy przygodną maszyną do Dubna, a potem dalej - już nie wiem jak - do Lwowa. To był pierwszy dzień mojej tułaczki, którą później nazwą żebractwem.

Na razie żebrakiem nie byłem. Jak zwykle, Zosia nas ugościła, potem Wanda wróciła do domu, a mnie prof. Michałowski polecił pozostać w klinice. Byłem mu za to wdzięczny, bo znaczyło to, że jakiś czas przejdzie mi spokojnie - a potem - co Bóg da. Procedury z uchem trwały długo i nie dawały rezultatów. Widziałem w tym palec Boży i nie martwiłem się zbytnio, bo klinika znajduje się naprzeciwko kościoła Św. Antoniego, a młodzi lekarze patrzyli przez palce, kiedy rano tam na godzinkę pobiegłem. Zresztą i nasze siostry ułatwiały. Było kilku pacjentów, którzy się spowiadali.

Niespodzianie zjawił się Franciszek z Rogoźnicy[[193]](#footnote-193). Był w Równem i Maria przysłała go tutaj. Potrzeba im księdza, i to prędko. Parafia duża, a ksiądz wyjechał, zostawił ich sierotami. Moje leczenie jeszcze trwało. Przyjechał drugi raz. Czekają niecierpliwie. Jak na złość, u mnie poprawy nie ma. W sam dzień wizyty profesorskiej pojawił się zawrót głowy. Może trochę przyczyny było w tym, że oddałem się forsownie angielszczyźnie. Wreszcie wypisali z poleceniem ponownego stawienia się za jakiś czas. Udaliśmy się z Franciszkiem przez Równe i Baranowicze do Grodna, a raczej wprost do Rogoźnicy. Wpierw jednak odwiedziłem proboszcza w Krzemienicy, który obsługiwał też parafian rogoźnickich. Była niedziela a do tego jeszcze jakieś święto, więc nabożeństwo odprawiało się uroczyście i długo z procesją. Po sumie zawezwano mnie niespodziewanie do rady wiejskiej. Tu się dowiedziałem, że w Rogoźnicy urządzili dla mnie owacyjne powitanie, wobec czego polecają mi stąd jak najprędzej zniknąć. Mimo to pozostałem jeszcze jeden dzień u ks. Józefa, który nawet prosił mnie, żebym jako zakonnik jemu i siostrom dał jakiś duchowy obrok. Potem cicho udałem się do Rogoźnicy. Kościół dość duży, cmentarz pięknie utrzymany, z murowaną i żelazną bramą, świadczyły, że ks. Mianowski był dobrym gospodarzem. Dlaczego wyjechał? Pewnie nie dawali mu spokoju, podobnie jak mnie. Wobec rozgłosu i zakazu ze strony władzy miejscowej, nie mogłem teraz tu jeszcze pozostawać. Poleciłem im robić konkretne starania i wyjechałem. Potem byliśmy z Franciszkiem w Grodnie u pełnomocnika. Powiedział, że jeżeli na mnie ciąży jakie przestępstwo, to nie zarejestruje. Teraz mieli starać się wszelkimi sposobami przypisać mnie u siebie i zjednać pełnomocnika, a wtedy będę mógł wypisać się w Równem i przyjechać do nich. W jakiś czas potem otrzymałem w Równem telegram, żeby przyjeżdżać, bo wszystko gotowe. Trzeba było zrobić decydujący krok. Zostałem wypisany z Równego.

Tu jednak rozpoczyna się nowa karta, której dzisiaj nie można było dokończyć. Zresztą chodzi o przyczyny wygnania i tułaczki. Kiedyś, znacznie później, mieliśmy charakterystyczną rozmowę w równieńskim domu bezpieczeństwa. Musiało to być już po zabraniu kościoła i rewizji u Zofii, bo mieli w rękach „Prosto z mostu” i moje fotografie z dziećmi. Co do czasopisma, łatwo było powiedzieć, że to nie moje i nic mnie nie obchodzi, że za polskich czasów Stalina i innych karykaturowali. Ale fotografia - to już „corpus delicti”. „Wiecie, że prawo zabrania uczyć i spowiadać dzieci.” „Nic nie wiedziałem o takim prawie - odpowiadam - a jeśli ono jest, to nikt z nas nie może się jemu poddawać.” Gwałtownej reakcji na to nie było, po chwili zaczęto znowu tonem protekcjonalnym. Myślano, że z was człowiek szczery (oktrowienny). Dałem poznać, że nie rozumiem. Ot tak, gdybyś wyszedł na ambonę i powiedział ludziom: nam niepotrzebny Papież, obejdziemy się bez Jana XXIII, on wróg Związku Radzieckiego, to i my nie chcemy mieć z nim związku - wtedy rozmawialibyśmy inaczej. Otworzyły mi się oczy. Ach, to o to chodzi! Powiedziałem, że gdybym zrobił, czego oni żądają, wierni napluliby mi w oczy i nikt nie chodziłby do kościoła, bo oni są przyzwyczajeni do katolickiej wiary, a to byłaby zdrada.

Tą rozmową przypomniał mi się papież Grzegorz VII, nieustraszony obrońca wiary i kościoła.

**25 V [1966].** Wczoraj przywieziono mi Goebela[[194]](#footnote-194). Jestem wdzięczny Albinowi, że przysłał mi tę miłą książkę, którą delektują się i świeccy koledzy. Antoni dedykował ją Andrzejowi na jubileusz. Ma też Roman[[195]](#footnote-195) w Żyt[omierzu]. Mnie przypomina ona wiele zapomnianych rzeczy.

Od czasu, kiedy otrzymawszy zaproszenie od Bolesława na lasy i wilki, wyjechałem ze Lwowa, związek z rodziną znacznie się rozluźnił. Wprawdzie otrzymałem na drogę błogosławieństwo o. Czesława[[196]](#footnote-196), ale to nie była misja ani obediencja. Nie pamiętam, kiedy zgoliłem moją kozią bródkę. Zdaje się, że w Równem jeszcze ją miałem. Pewnie w Zasławiu u Bolesława pozbawiono mnie tej franciszkańskiej ozdoby. W Maniewiczach spotkałem o. Kasjana z Lubomia, który chodził, a nawet spał w habicie i nosił brodę. To był dla mnie wyrzut. Później dowiedziałem się, że zginął zamordowany wraz z innymi braćmi w klasztorze, a porąbane zwłoki znaleziono złożone w jakiejś pace. Ktoś przyjeżdżał stamtąd do Sarn - chcieliśmy odszukać mogiłę, gdzie ich pochowano, ale nie było możliwe. My z Bolesławem ubieraliśmy habity w kościele i mówiliśmy nasz zakonny brewiarz. Tyle pozostało z klasztoru.

W Zwiahlu przy odpuście Podwyższenia Krzyża św. ks. Drzepecki jako administrator prosił, aby mu przysłać naszych księży. Przyjechał niedawno wyświęcony o. Hilary[[197]](#footnote-197). Pracował niedługo w Krzywotynie, Medwedowie i innych mniej już znanych wioskach. Potem zasądzono go i wysłano. Po siedmiu latach wrócił i osiadł w Rokitnie. Zajął się malarstwem pokojowym. Przyjeżdżał do mnie do Równego. Uradziliśmy, żeby się starał o parafię. P. Bóg mu dopomógł i zarejestrowano go w Barze. Otrzymał piękny, nienaruszony kościół. Stary Majdański, zacny prezes, który już przedtem bywał u mnie w Równem, opowiadał cudowną prawie historię. W pierwszych latach, kiedy niszczono kościoły, u nich też chciano zrobić klub. W czasie zabawy jakaś dziewczyna wyszła na ołtarz i zaczęła bluźnić Matce Bożej, której obraz jeszcze się tam znajdował. Naraz głos jej ustał, zbladła i z ołtarza zdjęto ją ledwie żywą. Podobno pękły jej wnętrzności. Kościół zamknięto i nikt nie ważył się tam wstąpić. U Wilka bywałem tam nieraz. Mieszkał w chatce obok, a potem w zakrystii. Miał wiele ciekawych, czasem dziwacznych pomysłów. Po jakimś czasie zasądzili go za jakieś naruszenia, a potem cicho wywieźli do Polski. Znowu pozostałem na Ukrainie sam jeden.

W Wilnie dowiedziałem się, że są kapucyni w Przełomie. Udałem się tam przez Grodno i znalazłem trzech braci - ojcowie dawno wyjechali. Bracia, wszyscy brodaci, w habitach, prowadzili życie klasztorne. Ernest, niedokończony kleryk, grał po wirtuozowsku na organach i innych instrumentach. Zabrałem go do Równego i przez jakiś czas obuczał chór. Dotychczas pamiętają jego kolędowe melodie, czasem własnej kompozycji. Po jego wyjeździe przyjechał Franciszek-Karol. Był przez jakiś czas zakrystianinem i pomocnikiem moim w podróżach, przy czym sam przyuczał się do służby ołtarza. Jego długa, ciemna broda nie dawała spokoju obserwatorom. Wciąż mnie pytano, kto to taki Szczepanek? Przywiózł mi z Polski nowy brewiarz, którym się cieszyłem, bo długo musiałem się zadowalać świeckim. Historia moich brewiarzy długa i zawiła - trzeba ją odłożyć. Dzisiaj, w dniu konsekracji bazyliki asyskiej, kiedy mamy się tam zgromadzić przy szczątkach Ojca, chciałbym odszukać w pamięci wszystkich współbraci, z którymi zetknąłem się w żebraczych wędrówkach.

O o. Tadeuszu[[198]](#footnote-198) w Tartu dowiedziałem się przez p. Sarapu, której mąż, Estończyk, stamtąd pochodził. Potem znalazła się też ciotka doktora Kwaszenki, wykładająca na tamtejszym uniwersytecie. Przypominamy sobie wspólnie Zamarstynów, lata szkolne, potem Kraków, pierwsze lata kapłańskie - było to marzenie nęcące, ale zrazu trudne do zrealizowania. Estonia daleko, obowiązki duszpasterskie nie pozwalają na dłuższą podróż. Nawiązaliśmy kontakt listowny i wzajemnie oczekiwaliśmy spotkania. Nareszcie, już jakoś pod jesień, wybraliśmy się z Mikołajem przez Rygę do Tartu. Do Rygi mieliśmy adres. Byliśmy w kościele Św. Franciszka przy seminarium i w kapucyńskim Św. Jakuba, przy którym jednak kapucynów nie było. Wszyscy oni wraz z przełożonym, o. Tomaszem, byli aresztowani i wywiezieni. Obsługiwali kapłani świeccy. Nazajutrz jechaliśmy dyszlem do Tartu. Zawiadomienia nie podawałem, bo chciałem zrobić niespodziankę. Byłaż to niespodzianka! Po trzydziestu z górą latach. O. Tadeusz, z długą brodą, w habicie, zdaje mi się, że nic się nie zmienił od pożegnania w Krakowie, kiedy zdecydował się pojechać sam jeden na misję do nieznanego kraju, gdzie trzeba się uczyć obcej, trudnej mowy. Teraz po estońsku mówi jak rodowity Estończyk. Przetłumaczył nawet Pismo Św. Ma dość dużą biblioteczkę niemiecką po bawarskich kapucynach. Mieszka skromnie, po zakonnemu obchodząc się bez gospodyni.

Okna wychodzą na kościół. Piękny, zgrabny, smukły, ze strzelistą wieżą - wewnątrz czyściutki, harmonijny, urządzony jak cacko. Siostry, zakonnice czeskie, pilnują go jak drogiego skarbu. Katolickich rodzin jest tu niewiele. Nawet w niedzielę ławki niepełne - a jednak podatki spłacają. Tartu - dawny historyczny Dorpat - posiada uniwersytet z pojezuickimi pamiątkami. Przy szerokiej alei na wałach widnieją pomniki uczonych i rektorów. Byliśmy też w ogrodzie botanicznym. Ta pierwsza wizyta miała się odtąd powtarzać prawie co roku. Za którymś razem z rzędu byłem tam z Zosią i Andrzejem. Przypomniały się lwowskie czasy. On był we Lwowie, ale krótko, i przyjechał niezadowolony z tego, co zobaczył.

Ostatnia misja w Tartu miała specjalne zabarwienie. Przyjechałem z Leningradu w sam dzień Porcjunkuli, żeby być we franciszkańskim kościele w tym tak ważnym dniu. Ojciec był trochę podniecony, bo otrzymał rozkaz wyjazdu do Polski, a zastępcy żadnego nie dają. Szkoda zostawić na zniszczenie dzieło tylu lat pracy. Jednak i mnie nie radzi zostawać. „Znajdą się inni, a ty tylko ludzi straszysz, a siebie narażasz. Ojciec nie ma żadnego upoważnienia ani od prowincjała, ani od biskupa.” Poczułem się jeszcze gorzej niż wtedy, gdy mi wykręcał uszy za gruszki. Rano chciałem jeszcze odprawić w kościele, ale usłyszałem naganę, że w niedzielę kapłan ma obowiązek obsłużyć wiernych, a nie wałęsać się dla swojej przyjemności. Pożegnaliśmy się jak zwykle, ale prawie ze łzami odjechałem. Zdaje się, że w Leningradzie odprawiłem u Tekli dla jednej osoby. Za jakiś czas otrzymałem z Polski wezwanie do przyjazdu wyraźnie inspirowane przez o. Tadeusza. - Raz i drugi, naglące - może oni już wówczas co słyszeli z daleka? Mój upór był tylko w części uzasadniony. Na razie nic mi nie grozi, a jeśli przyjdzie czas, wola Boża.

Chciałem jeszcze zobaczyć o. Tomasza. Elżbieta koniecznie do tego namawiała i opisała mi drogę przez Rezekne do Gajgała. Znałem już. Andrzeja, potem Piotra z Elerny i Meinarda z poturbowaną głową. Ale to ich przełożony, a przy tym rozsądny i zacny kapłan. Utrzymuje zakonną dyscyplinę i ma powagę u współbraci. W Rezekne są dwa kościoły, ale oba były w remoncie i Mszy św. nigdzie nie można było odprawić, zresztą autobus do Gajgała idzie niedługo, około południa można być na miejscu. Droga przez pola i wioski istotnie była niedługa, gdyby szoferowi nie chciało się zasnąć na dobre przy kole na jakimś przystanku. Ledwie go obudziliśmy i ruszyli dalej. Wioska na skrzyżowaniu dróg pięknie zadrzewiona, kościół z boku przy drodze.

O. Tomasz chodził z brewiarzem około plebanii. Wysoki, ale przygarbiony, chudy, z cierpiącą ascetyczną twarzą. Coś już o mnie słyszał - opowiadała Elżbieta, rad poznać. Rozmawiamy po rusku, choć jest Niemcem z Bawarii. Służył mi do Mszy św. Potem odkryłem mu moje skrupuły po rozmowie z Tadeuszem. Powiedział łamaną ruszczyzną: „Gdybym ja mógł, to bym tam pojechał”. On tam przecież był i wie, jak tam ludzie pragną Boga. Uściskałem go serdecznie za te słowa. Kamień spadł z serca. Nie żałowałem drogi do Gajgała. Dał mi jeszcze parę książek i pożegnałem go serdecznie, jak prawdziwego przyjaciela. Myślę, że o. Bernardyn Goebel, z którym stajemy przed Bogiem przy św. Franciszku, nie byłby też innego zdania, jak jego bawarski współbrat. W każdym razie trzeba modlić się jak św. Feliks: O, Franciszku, Franciszku, opiekuj się swym biednym braciszkiem - Serafinem.

**26 V [1966].** Św. Filip Nereusz lubił otaczać się młodzieżą. Brał nawet udział w jej zabawach, a potem prowadził po ulicach Rzymu do obrazów i kaplic Madonny i dał początek nabożeństwu majowemu. Był trochę niebezpieczny dla młodych penitentów, bo rozpoznawał grzechy węchem. Po prostu - nieczysty śmierdział. Pragnął młode serce zapalać miłością, która wyłamywała mu żebra. Jego rozmowa z ubogim młodzieńcem, w której powtarzało się uparte: „co potem?”, przeszła cały repertuar kaznodziejski. Powtarzałem ją nieraz, przemawiając do młodzieży.

Dziś przypominają mi się moi chłopcy. Kochana gromadka czarnych i jasnych głów, w komżach przy ołtarzu, u Haneczki lub przy młodzieńczych zabawach. A więc najpierw Zbyszek.

Zbyszek był już młodzieńcem, kiedy go poznałem. Smagły, szczupły, z zawsze poważną twarzą, zwracał uwagę klęcząc przed ołtarzem z starannie złożonymi dłońmi, wpatrzony w czarny wielki krucyfiks w bocznym ołtarzu. Potem dowiedziałem się, że jedno oko miał sztuczne, co mu zapewne przeszkadzało w nauce. Był prawą ręką s. Róży, organistki. Miał piękny, dźwięczny, już męski głos. Cały kościół słuchał z rozrzewnieniem jego pieśni maryjnych w czasie nabożeństw majowych. Do stałego repertuaru należało: *O Panie nasz, Ty Boskim Sercem swoim,* śpiewane w Pierwsze Piątki. Jeździliśmy z nim i p. Różą do Zdołbunowa i Korca. Zbyszek wszędzie jednał sobie sympatię szczerą pobożnością i grzecznym ułożeniem. Miał też swoisty beztroski humor, który zabawiał towarzystwo. Pracując w truście autobusowym, pomagał mi nieraz w wyjazdach. Kiedy zabieraliśmy rzeczy kościelne z Aleksandrii i Szpanowa, wszystkim sprawnie kierował. Za stałe bywanie w kościele spotykały go nieraz szyderstwa i jawne prześladowanie, ale nigdy nie ustępował i nie zmieniał swego postępowania.

Niedługo jednak mieliśmy się cieszyć jego obecnością w Równem. Zbyszek chciał śladem swego brata wstąpić do zakonu i uczyć się na księdza. Zdawał sobie sprawę, że droga do ołtarza będzie długa i trudna, ale był pełen młodzieńczego zapału. Po wyjeździe reszty jego rodziny do Polski pozostał z matką w Równem, oczekując powrotu ojca, który jako czynny prezes Akcji Katolickiej został wywieziony na daleki Sybir. Kiedy jednak rychłej nadziei na powrót nie było, a drogi czas uchodził, zdecydował się wyjechać. Wkrótce dostaliśmy wiadomość, że Zbyszek zabrał się z zapałem do nauki, żeby uzupełnić braki gimnazjalne i dobić do matury. P. Bóg mu dopomagał i już w następnym roku mógł zgłosić się do franciszkanów. Przyjął imię Juliana i rozpoczął teologię. Był już przy końcu studiów, kiedy do Równego wrócił ojciec.

Z ogromną przyjemnością poznałem dzielnego pana Edwarda. Nadzwyczaj miły, zgrabny staruszek mimo doświadczeń i trudów zachował pogodny optymizm. Mówił, że od lat uprawia poranną gimnastykę i to go utrzymuje w formie. Rozpoczął starania o pozwolenie na wyjazd, ale długo nie mógł go otrzymać. Dzięki temu mieliśmy teraz przy ołtarzu ładną parę ministrantów. Franciszek i ojciec Zbyszka byli prawie jednego wzrostu. Tymczasem,o. Julian skończył teologię i otrzymał święcenia. Potem przysyłał obrazki prymicyjne. Nareszcie przyszły dokumenty i pożegnaliśmy z żalem pana Edwarda. Powitał syna już w parę miesięcy po prymicjach. Pierwszy list, który napisał do nas, był wyrazem ojcowskiej radości. Wkrótce jednak rozpoczęła się tragedia. Zbyszek, teraz już o. Julian, zachorował. Ojciec pisał z troską, jakby coś ukrywając przed samym sobą. Następne listy były jaśniejsze. Pokazała się sarkoma - syn leży w szpitalu -słaba nadzieja na utrzymanie go przy życiu. Wreszcie po krótkim czasie: Julian nie żyje. Nie było żadnego ratunku. Siostra-lekarz czuwała przy nim bez ustanku, stosując wszelkie środki. Wszystko daremnie. W wielkich cierpieniach budował swoją pogodę ducha. W szpitalu do końca odprawiał Msze św. i spowiadał chorych. Umarł jak święty w sześć miesięcy po wyświęceniu.

**27 V [1966].** Mógłbym teraz urządzić sobie życie jak czcigodny Beda pomiędzy modlitwą i czytaniem: ex lectione ad orationem et vicissim[[199]](#footnote-199). Ale po pierwsze, prócz rozmyślań i brewiarza nie ma żadnych książek, a potem - to będzie brzmiało prawie paradoksalnie - nie mam czasu. Nawet stos „Życia Warszawy” przywieziony od Czajkowskiej leży nie przeglądnięty. Dzień tutaj rozpoczyna się wcześnie. Już po 6-ej zaczynamy się ruszać. Od paru dni znowu jestem sam, bo oboje chodzą na nocną robotę. [?] wyniosła swoje łóżko, żeby nie przeszkadzać, kiedy w dzień zmoże ją sen. Pacierze poranne, rozmyślanie, brewiarz - wszystko razem zajmuje jakieś dwie godziny. Potem Roza przynosi śniadanie. Tu jest zwyczaj, żeby rano dobrze się najadać. Potem zasiadam do pisania. To stało się już moją namiętnością. Od rana dręczy mnie jakiś temat, którego prawie nigdy nie mogę wyczerpać ani należycie rozwinąć. A trzeba się ograniczać, bo jeszcze czeka pisanie jakichś listów lub introligatorka.

Aleksander zrobił wspaniałą, choć małą prasę, postarał się o klej i asystuje mi przy robocie. Oprawiłem sam już Biblię jakiejś kobiecie, *Predigten i* jeszcze jakąś książkę do nabożeństwa. Mówią, że robota się znajdzie. Potem dają znowu jeść. Oni to nazywają Mittagessen - ale właściwie tego, co u nas nazywa się obiadem - tutaj nie ma. Najwięcej jedzą wieczór, co się nie zgadza z moim zwyczajem i żołądkiem. Co kraj - to kiepski zwyczaj. Msze św. teraz odprawiamy razem z nabożeństwem majowym - jak w Połonnem. Schodzi się regularnie 15 osób. Bywało więcej, ale teraz praca. Po Mszy św. odmawiamy Nowennę do Ducha Św., a potem rozważania majowe i litanię śpiewamy przy wystawionym Sanctissimum. Teraz Perpetua choruje, wskutek czego śpiew nie idzie jak należy, ale zawsze jakoś bywa. *Regina coeli* z Alleluja śpiewają krzykliwie, aż chata drży, choć za oknem chodzą ludzie. Musimy się spieszyć, bo rychło przypędzą bydło, więc gospodynie muszą być na miejscu. Na gratiarum actio, różaniec i 15 modlitw św. Brygidy pozostaje ledwie tyle czasu, ile trzeba. Potem ta niby kolacja, niby obiad i na koniec jutrznia i kompleta, już z klejącymi oczyma. I oto dzień wypełniony bez reszty. Jeden podobny do drugiego, chyba że przyjdzie coś niespodzianie.

Dziś jest do zanotowania: przyszedł list od Maryśki, a od Albina zapowiedziane książki; z Moskwy zawiadomienie o wręczeniu pisma - podpisał sekretarz. Lecz może najważniejsze to ta kobieta, która po trzydziestu latach przyszła się spowiadać.

**28 V [1966].** Maryś daje mi epitet „dzielny”, a Hieronim[[200]](#footnote-200) coś o mnie opowiada młodym. Żeby tylko nie chcieli zrobić ze mnie bohatera, bo to się nie uda. Czuję się jednak jak rozbity garnek, z którego wszystko wycieka, albo jak zwietrzała sól na wyrzucenie. Widocznie Albin nie bardzo trafnie przypuszcza, że zdołałem już przywyknąć do klimatu. Od kilku dni zaczęły się upały i dlatego moja głowa szwankuje i w uszach więcej szumi. Myślę o Lesi, która straciła pamięć i nie będzie mogła pracować. Ich wielka miłość musiała zostać wystawiona na próbę. Marysia pisze, że skończyło się ich szczęście. Chyba nie. Ziunek jest zbyt szlachetny, żeby dał jej cokolwiek odczuć z powodu braku pracy, zresztą miłość działa cuda. Muszę do nich napisać.

Dzisiaj u Kiliana było tylko dziesięć osób i to dwie przyjezdne, Ania i ta staruszka z Akm[olińska], która jest już tutaj od środy. Na jutro spodziewamy się największego „zjazdu”. Już przyjechał Symeon z rejonu z jakąś jeszcze prokokiną.

**30 V [1966].** Albin jednak ma słuszność, że step jest piękny. Rano, idąc na nabożeństwo, podziwiam szmaragdowe przestrzenie przypominające kolorem pilastry z Issakowskiego Soboru w Leningradzie. Co za przepyszna gra odcieni. Nawet białe i czarne plamki pasącego się bydła nie psują obrazu. Ale w naszej izbie nic nie przypomina Zielonych Świąt. Dominuje raczej liturgiczny czerwony kolor. Nawet świece mamy czerwone. Przywiózł je aż z Taszkientu Szuszkiewicz, który tam prowadzi swój wagon. Muszę mu podziękować, bo im teraz każdy objaw życzliwości ze strony Polaków rzadszy, tym ten gest mi droższy. Wczoraj spodziewałem się, że ktoś przyjedzie, bo i Czajkowska, i Hela „groziły”, tymczasem była tylko Emma z Teresą. Władysław podobno odradzał do mnie jechać. Może znowu obawia się, że ziemia pali mi się pod nogami. W każdym razie wyrządził mi niedźwiedzią przysługę.

Wczoraj byłem oczywiście w Równem, a trochę i w Korcu. Jak tam wszędzie zielono! Leon czy Szczupak przywieźli skądś drzewka i stoją prawie przy każdej ławce. Posadzka czysto wymyta, wyścielona szuwarem, który jakoś inaczej się nazywa. P. Maria nie szczędziła kwiatów ze swoich grządek.

Z chóru płynie Ezechielowa tajemnicza pieśń o wodzie wytryskającej w świątyni. Alleluja. Dusze wyzwolone wołają jeszcze raz, jak w rezurekcję, „Przybyłeś upragniony” - i rusza procesja. Idzie Godlewski, przepasany szkarłatną wstęgą, z wysokim wspaniałym krzyżem. Obok Szczupak i ktoś jeszcze niosą świece w kandelabrach. Potem dziewczęta w bieli ze sztandarami. Nowe, pięknie na jedwabiu naszyte obrazy chyboczą na lekkim wietrze: Antoni i Alojzy, Tereska i Królowa Maja. „Witaj, dniu radosny”, śpiewamy, stając z Mikołajem, a lud odpowiada refrenem: „Przez Twoje Święte Ducha Zesłanie”. Oto czego mi brak było wczoraj przy naszym skromnym nabożeństwie. Chciałem już sam zaśpiewać, co się gwałtem cisnęło na usta, ale Niemcy zaczęli coś po swojemu zawodzącym głosem. Potem była stacja na środku kościoła na rozścielonym dywanie: „Przyjdź, Duchu Święty, odpędź wroga z naszych stron”. Czy oni słyszą? Może gdzieś pod chórem ktoś podsłuchuje, i tak nic nie zrozumie z łacińskich słów, zresztą prosimy o pokój: i rychło pokój ześlij nam.

W Korcu bywało zakończenie Czterdziestogodzinnego Nabożeństwa. Na szkarłatnym tronie Chrystus Król przyjmował skromne hołdy od garstki wiernych przez dwa dni, lecz dzisiaj kościółek jest pełny. Przybyli ze Zwiahla, Barciłowa i dalej od Emilczyna. Jezus pod baldachimem obchodzi zielenią umajony kościół. Na końcu rozbrzmiewa *Te Deum.* Czy kiedyś to jeszcze będzie? Ześlij Ducha Twojego - „i odnowisz oblicze ziemi”.

**31 V [1966].** Napisałem list do Maryśki i Antoniego. Ant[oniego] proszę, żeby mi co poradził, ale co on może?

**1 VI [1966].** O Serce Jezusa, u Ciebie schronienia szukamy w ucisku, niedoli. Dzisiaj od rana chce mi się śpiewać. I to na tę melodię, trochę świecką, którą słyszałem w Olewsku. Chciałem nauczyć Niemców, bo mają też podobną pieśń, ale zaczęli zawodzie po swojemu. Niech tam śpiewają, jak chcą, byleśmy mogli czerwcowe nabożeństwa odprawiać uroczyście. Dziś było zaledwie 8 osób, bo może nie wiedzieli, że postanowiliśmy schodzić się wczesnym rankiem, a zresztą przeszkadza praca i gospodarka.

Jakie było moje pierwsze spotkanie z Sercem Jezusowym? Pamiętam, że silne wrażenie wywarł na mnie żywot św. Małgorzaty Marii, który się znalazł pomiędzy książkami przyniesionymi przez o. Innocentego[[201]](#footnote-201). Ten dobry ojciec, którego nazywaliśmy „Trzy kroki przez kościół”, bo miał nerwowy chód, sprawił mi tę prawdziwą ucztę duchową. Widocznie już wtedy wyczuwał mola książkowego. Były tam różności: jakieś podróże, żywoty, ale najcenniejsze to właśnie *Objawienie* i *Miesiąc Czerwiec* X. Smolikowskiego, z którym długo się nie rozstawałem. Może też nie przypadkiem p. Kostkiewiczówna w nagrodę pilności ofiarowała mi śliczny obrazek Serca Jezusowego. Taki sam ma teraz Zofia w Zdołb[unowie]. Ile razy na niego spojrzałem, rozbudzała się tkliwość lat dziecięcych. Oprawiony w wiśniową ramkę, wisiał w domu nad moim łóżkiem. Gdzie się teraz znajduje?

Ale najsilniej przypomina mi się dzisiaj szpital Św. Zofii. Jakoś w rok po tragicznej śmierci Józia pochorowaliśmy się wszyscy na szkarlatynę. Najpierw zdaje się Maryśka, potem Janka[[202]](#footnote-202), a na końcu, ale już najsilniej, ja. Przyszły komplikacje nerkowe i trzeba było odwieźć do szpitala. Stan był ciężki, bo dołączyło się zapalenie nerek. Nic z tego nie pamiętam, tylko tyle, że mój sąsiad obok umarł i cicho go wynieśli. Ze mną musiało też być źle, kiedy do łóżka dopuszczono Tatusia. Pochylił się nade mną i posłyszałem jego wyraźny głos: „Synu, teraz będzie już wszystko dobrze, bo poświęciłem cię Sercu P. Jezusa”. Do dzisiaj nie wiem, czy było to wpisanie do Apostolstwa Modlitwy, czy jakieś szczególne wotum. Zdrowie rzeczywiście wracało. Pobyt w szpitalu się dłużył. Co dzień niecierpliwie czekaliśmy wyniku analizy. Nawet pamiętam, że byłem już za bramą w szpitalnym chałaciku z zamiarem ucieczki.

Te dziecinne i późniejsze czerwcowe wspomnienia można by snuć długo - poprzez Kraków z procesją z Rynku na Wesołą, Rozwadów, intronizację u młodej pary, Korzec, Równe z statuą przed kościołem. Wszędzie to samo, ukochane, tkliwie, pełne miłości Serce Jezusa. Ale rano trzeba wstać wcześnie, więc pora na spoczynek. Jeszcze jedno spojrzenie na napis umieszczony na ścianie: „Heiligste Herr Jezus, beschtitze unsere Familie”, a nad nim słodko uśmiechnięty Jezus zdaje się mówić: „Ja śpię, ale serce moje czuwa”.

**2 VI [1966].** Wczoraj przyszedł list od Józefy - dzisiaj Maria przysłała list i życzenia świąteczne od Maryśki. Nareszcie się dowiedziałem, że Jaś oczekuje potomka. Pisze też Mania B. - u nich radość -  
tylko ja im ją niby psuję - całkiem niepotrzebnie. Przyjechała Katia z wiadomością o Julii. W Sz[ortandy] było wiele dzieci. Dzięki Bogu.

**3 VI [1966].** Po dwóch miesiącach z górą jestem w podróży bez eskorty. To też wydarzenie i to jeszcze w Pierwszy Piątek. Rano 14 osób - mało - trzeba szukać. Na poczcie napisałem naprędce do pana Antoniego. Bo jest Antoni i Pan Antoni, który budzi niezwykle rzewne wspomnienia.

Przybywszy do Równego nie miałem zakrystianina. Dawny Papierz (sic!) wyjechał razem z proboszczem. Było więc zupełne vacat. Nie chciałem zadowolić się żeńską obsługą lub ministrantami. Od jakiegoś czasu zwrócił moją uwagę starszy, łysy jegomość, który jak drugi Celnik modlił się zawsze gorliwie przy drzwiach. Dowiedziałem się, że jest to fryzjer, teraz już niepracujący, chyba tylko po sąsiedzku. Mieszka samotny - miał jakieś familijne kazusy, ale teraz to wszystko przedawnione. Wymawiał się, że nic nie umie, ale że był zdolny i chętny, rychło wciągnął się do wszystkiego. Był inteligentny, a przy tym subtelnie dowcipny. Jego niektóre powiedzonka zdradzały umysł nastrojony nieledwie filozoficznie. Tak np. pouczał kogoś, kto lubił zaglądać do kieliszka, że teorię Darwina należałoby odwrócić, bo niejeden wchodzi do szynkowni człowiekiem, a wychodzi małpą. Swój niski wzrost objaśniał tym, że wiele chodził po świecie. Gdzie on nie bywał i czego nie przeżył! W austriackim wojsku dostał się do niewoli, przedtem o mało nie zginął. Potem wrócił do swej rodzinnej Skały i zastał dom spalony. Wszystkie te perypetie opowiadał z niezwykle interesującą swadą. Kiedy pomylił się w jakichś ceremoniach lub mu się coś nie udało, pokornie się usprawiedliwiał. Wszyscy lubiliśmy go, tylko z panią Marią wstąpił od razu w szranki bojowe. Jedno drugiemu nie mogło dogodzić. Zasadniczo chodziło o drobnostki -jakieś kwiaty nie tak postawione, jakiś nieporządek przy ołtarzu i już kwasy. W imię zasady „de mortuis nisi bene” trzeba wszystko położyć na karb starczego dziwactwa.

W owym feralnym 11-ym kwietnia pan Antoni stał się faktycznym zastępcą proboszcza, a kiedy p. Maria zamknęła oczy, też i jedynym rządcą kościoła. Posiadał klucze, utrzymywał porządek, odprawiał nabożeństwa, starając się drobiazgowo wykonywać to, co sobie zapamiętał. W niedzielę, w czasie dawnej sumy, kładziono na ołtarz ornat i [?] w komży przy ołtarzu śpiewał [?], suplikacje, czytał Ewangelię, przy czym dorzucał parę słów pouczenia, które wyglądały jak kazanie. Nie mogłem go od tego odzwyczaić. Po prostu czuł potrzebę wypowiedzenia się i nie można mu było tego brać za złe. Przewodniczył też w pogrzebach i innych nabożeństwach, nie opuścił żadnej nowenny ani nabożeństw dodatkowych, których mieliśmy wiele. Nieraz był wzywany i musiał się usprawiedliwiać, ale na stanowisku trwał niezłomnie. Myśleliśmy wszyscy, że przecież jednak przetrwamy i doczekamy się swobody. P. Bóg zarządził inaczej - przyszła większa jeszcze próba. Niespodzianie w kościele zjawiła się komisja, spisali inwentarz, nie pozwalając ruszyć najmniejszej rzeczy. Antoni chciał bronić Najświętszego] Sakramentu przed profanacją, ale nie pozwolili mu przystąpić do tabernakulum. W gorsowiecie zabrali mu przemocą klucze kościelne i oświadczyli, że kościół grozi ruiną, wobec tego należy go zamknąć. Wtedy pan Antoni zaczął się starzeć, jak człowiek, który nagle stracił posadę, a z nią cel w życiu. Jeszcze pozostał cmentarz, grób Haneczki, wreszcie czasem ta „chatka z kraju”, ale już siły nie dopisują. Przykazałem, żeby mi dali znać w razie jego poważniejszej choroby - lecz teraz na co by się to przydało?

**5 VI [1966].** Wspomnienia o panu Antonim zaczęte w Kurg[?] w poczekalni fryzjerskiej, kontynuowałem w Żenteke również u Antoniego, nawet u dwóch Antonich, jakichś wujków Katii.

Żenteke - nazwa brzmi tajemniczo, podobnie jak jakiś We-ka- ka lub inny nowoczesny kryptonim, ale dla mnie oznacza ona - radość. Już na wstępie miłe zdziwienie wywołuje szereg piętrowych budynków, gdzie przedtem były tylko kazachskie jurty z trawą na dachu. Przy chatach spotyka się trochę zieleni. Gospodarstwo Antoniego urządzone wzorowo. Znaliśmy się już trochę z moich poprzednich wizyt i z Akmolińska, toteż przy powitaniu znalazła się w oku jakaś łezka. Lecz mnie naprawdę zebrało się na płacz, kiedy zaczęli śpiewać. To już nie zawodzenie, ale męskie silne głosy. I młodzież, i dzieci, Boże, co za radość. Musiałem im powiedzieć, że w więzieniu tęskniłem za takim dniem. Tak rozpoczęliśmy Pierwsze Piątki, choć wedle czasu moskiewskiego, bo trzeba było wyspowiadać do pięćdziesięciu osób. Dziś rano była prawie ta sama liczba i trochę więcej dzieci. Pociechą napełnia widok modlącej się wspólnie rodziny, jak właśnie u Antoniego. Dzieci przywykają na zawsze. Miłą gromadkę widzieliśmy też w miasteczku u Kelberów.

Psuje mi humor odjazd gości, którzy przyjechali z daleka i nie doczekali się nabożeństwa. Powtórzyło się to, za co mnie ganił Bronisław. Znowu będą narzekać, że mnie trudno zastać. Było pięć osób - mężczyźni i kobiety. Szkoda. Ale mieli własną maszynę, bo on jakiś naczelnik. Mogli poczekać.

6 VI. Chciałem, Nuśko, dzisiaj cały dzień spędzić z Tobą. Najpierw snułoby się wspomnienie owych zaduszek - Dziadów na Łyczakowie, kiedy szliśmy razem w tajemniczym mroku, a pod nogami szeleściły listopadowe liście. Może już wtedy byłaś tylko cieniem. Gdzieś w dole migało morze świateł i donosił się śpiew. Potem przy mogile Orląt słyszeliśmy ślubowanie, potem jakiś starczy głos wołał: precz z Hitlerem, na latarnię ze Stalinem - a wreszcie jakby ite missa est tajemnej celebry, słowa przestrogi: a teraz, bracia, rozchodzimy się, bo wróg czuwa.

Potem odprowadzałaś mnie na stację. Poprzez ciżbę ledwieśmy się przepchali. Nie było kiedy się żegnać. Po latach krwawych mordów - Honorat[[203]](#footnote-203) kazał na mnie położyć krzyżyk - spotkaliśmy się znowu i potem byłaś u mnie na Gogola. Jak dobrze nam było razem, kiedy kulawa Barlińska wyniosła się ze swymi gratami i mogliśmy się swobodnie urządzić, choć w ciasnym mieszkaniu. Czy pamiętasz, kochanie, tę starą żebraczkę, którą chcieliśmy przygarnąć, ale strasznie krzyczała? Nie wiedzieliśmy, że ją żarły wszy, i dotychczas nie mam spokoju, że umarła gdzieś pod schodami. Potem ta „siostra księdza”, szarlatanka, która nas okradła. Potem jeździliśmy do Aleksandrii i Szpanowa, wywożąc z niszczących szponów resztki świętości. Każda figura i obraz, każdy ornat wkładany do Mszy św. Ciebie mi przypominał. Ale czemu dziś brzmią mi w uszach Twoje słowa, na które nie miałem odpowiedzi: „Ot, lepiej umrzeć!” Gdzie je słyszałem i kiedy? Nie lubiłaś się skarżyć, ale słowa same zdradziły ból zawiedzionego życia. Czy to było przy naszym ostatnim pożegnaniu?

Boże mój! Jak straszne były te miesiące oczekiwania. We Lwowie już was nie zastałem. Kościoły pozamykane, klasztor pusty - tylko jak jedna wierna stróżka naprzeciw - Sawkowa[[204]](#footnote-204). Nawet od Św. Elżbiety ks. Załuczkowski wyjechał pod presją. Chciałem dążyć za nimi.

Wtedy u św. Antoniego spotkaliśmy się z Zosią. A w Równem byli moi biedacy. Zostałem. A listu nie ma i nie ma. Wreszcie przychodzi - czarny. Co się działo ze mną wtedy, kiedy się dowiedziałem, że Ty już spoczywasz w Rozwadowie.

Trzeba było, żeby Ci tam miejsce obrano, skąd ja wyjechałem. Nuśko kochana - to wszystko mogłoby zająć cały dzień i zapełnić księgę. Ale dziś wstałem z bólem głowy. Może to od tego zęba, z którego starła się koronka i dręczy mnie od kilku dni. Do Kiliana szedłem na chwiejących się nogach. Potem trzeba było jeszcze wysłuchać dwóch synów Georg[ij]a, którzy przyjechali z daleka. Rocznicową Mszę św. odprawiłem na pół cicho. Potem było codzienne nabożeństwo czerwcowe. W domu zastałem paczkę z Korca, jeszcze jeden dowód troski o mój żołądek. Chciałem czytać [...], ale opanowała mnie senność. Wieczorem przyszedł list od Zofii, a wcześniej jeszcze od Niny Ostrowskiej. Zofia jest nieoceniona ze swoją reporterską dokładnością. Dzięki niej mogę włączyć się w ich troski i bóle. Pan Kazimierz już na progu wieczności. W Połonnem modlą się za mnie. Ninka pisze, że mój list był śliczny. Nie wiem, co ją tak zachwyca[[205]](#footnote-205).

[W rękopisie brak stron 211-236; 7 VI -9 VI 1966 r.]

**9 VI [1966].** Quantum potes - tantum aude, ile możesz - tyle się wysilaj! Czy myśmy tę świętą noc spędzili w myśl wskazań św. Tomasza? Ile możesz! Boże mój, cóż ja mogę dla Twojej chwały?

Kiedy wczoraj przybyliśmy do Żenteke, myślałem, że nic się nie uda z naszych planów. Z Akm[olińska] nikt nie przyjechał, monstrancji nie ma, opłatków mało. Trudno - będziemy robić, co można. I tak trzeba dziękować za wczorajszą noc: 20 osób, ślub, parę chrztów. Byłem trochę zmęczony. Budzą mnie z drzemki, że przyjechali. Nie wiedziałem, że jest jeszcze drugi autobus. Jest wszystko - będzie wystawienie, są opłatki, nowy mszał, ornat - a przede wszystkim wiadomości. Maria wróciła z M[oskw]y. Kazali mi się starać o sprawkę, że nie mogę pracować, jest więc jakaś nadzieja, że wygnanie się skróci. Otwierają wiele kościołów. Wszyscy mają wiele pracy. U mnie też czas zaczyna się wypełniać. Odprawiliśmy nieszpory z wystawieniem. Antoni zrobił ładne tabernakulum z tronikiem. Parę godzin trwała adoracja, trochę śpiewali. O trzeciej zaczęła się Msza św. i „Ecce panis”. Szkoda tylko, że do Komunii św. nie wszyscy przystąpili. Nie ma należytego zrozumienia; trzeba im wiele mówić o bezgranicznej Miłości. Cztery Ewangelie też odśpiewaliśmy, a potem *Te Deum* i już świt zaglądał przez okna. Engel Gottes halte Wacht liber uns die ganze Nacht. Przypomniały mi się słowa zapisane w naszym pokoju. Całą noc! Dzięki, Jezu, że ją od nas przyjąłeś.

**11 VI [1966].** A jednak przypomnieli sobie, i to jeszcze w tym czasie, kiedy zaczęła świtać nadzieja. We środę rano pod moją nieobecność przychodził milicjant, potem Robaczków - gwałtownie mnie szukali. To popsuło nam Święto. Kiedy wróciliśmy, wszystko było podniecone - mówili, że już, już mogą się zjawić. Byłaby szkoda, bo Ania przyjechała z dziewczynkami i przywiozła jeszcze jakąś kobietę wychowaną w pryjucie, nigdy nie spowiadaną. Biegałem trzy razy z domu do kościoła. Wreszcie późnym wieczorem zrobiliśmy, co można było, i zostawiłem P. Jezusa do rana, bo wczesnym rankiem T. i Sz. chcieli wyjechać.

W nocy chwycił mnie gwałtownie skurcz nogi - myślałem, że zacznie się paraliż, ale przeszło i przespałem do rana. Wstałem z opóźnieniem. Nie było jak należy - trzeba było się spieszyć - ale na Mszy św. byli wszyscy w komplecie. Zostawiłem „Chleb Euch[arystyczny]” dla Tainczy i nie bardzo się pożegnałem. Miałem zamiar wrócić i jeszcze przyjąć Anię do III Z[akonu], bo tego pragnęła. A oto zaczęła się nowa karta. Po śniadaniu przyszła Mila - zganiłem ją za smutną minę. Przecież powinniśmy dziękować P. Bogu za to, co przeżyliśmy. Nie mogliśmy wiele rozmawiać. Zjawił się uczastkowy[[206]](#footnote-206) i kazał wybierać się w drogę. Zabrać rzeczy - a więc to już - Georgij żegnał się z płaczem, Roza też, Emilia wyszła bez pożegnania. Nie miałem nawet czasu dobrze przeczytać listów, które przed chwilą nadeszły: dwa od Zofii i od Massalskich. Dziwiłem się, że tak przyspieszyły życzenia, a może to właśnie było przeczucie, że później nie będzie można. Jadąc na maszynie sam jeden, mogłem zrobić porządek w kieszeniach. Kto wie, co znowu mnie czeka. Znowu znalazło się do stu rubli. Te pieniądze mnie prześladują - jak złoto Kadmosa. Trochę ukryłem w pierniku, który Roza włożyła do torby. Poza tym miałem tylko parę bielizny i brewiarz. Tę już ostatnią pozostałą część. Jesienną zabrali w Równem, zimową i wiosenną w Tainczy - może nawet teraz i ta przepadnie.

Nic jednakże nie zabrali - owszem, oddali zegarek, pieniądze i paszport z zaznaczeniem, że wolno mi mieszkać w kurgaldżyńskim rejonie przez czas zsyłki. Ale gdzie, jak? Naczelnik powiedział, że wyślą mnie do jakiegoś odległego sowchozu na półczabana. Nawet nie na całego. To znaczy, że trzeba będzie na koniu uganiać się za owcami, jak te czarne figury z kapturkami na głowach, które widuję na stepie. Powiedziałem im, że jeżeli

chcą się mnie pozbyć, niech posyłają, ale moje zdrowie długo na taki sposób życia nie pozwoli. Chodziliśmy z milicjantem do głównego lekarza. Zażądała oczywiście jakichś sprawek, a kiedy oświadczyłem, że wszystko jest w obłaści[[207]](#footnote-207), a mnie na ręce nic nie dali, porozmawiali cicho z moim konwojentem, z czego nic nie wiedziałem. Udało mi się skoczyć szybko do Kel[?], może co pomogą? Wieczorem wracaliśmy do Arykty. W drodze milicjantowi coś się przypomniało i kazał zawrócić prawie z połowy drogi, wskutek czego wróciliśmy już w nocy. Nie wiedziałem, że tak serdecznie będę płakać - teraz już z radości. Córka Georg[ij]a przybiegła zaraz i mówiła, że cały dzień było jej tak smutno, jakby jej umarło dziecko. Ania była nieutulona.

Dziś rano u Lidy było zamknięte. Nie spodziewała się. Ale św. Barbarę uczciliśmy należycie. Usłyszeliśmy, że Jezus posyła nas jakby owce między wilki i mamy być roztropni jak węże, lecz też jak spokojne gołębice zdani na dobrą Opatrzność, bo kto wytrwa do końca - ten zbawion będzie. Nic nie wiadomo, jaki dalszy ciąg i koniec. Kazałem na jutro zrobić zielony ornat, bo tamten w popłochu moja płacząca gromadka zabrała z powrotem. Tymczasem mówią, że w poniedziałek jednak mnie wywiozą - byłoby to w sam dzień św. Antoniego. O św. Antoni - niech nas Twa prośba broni!

**12 VI [1966].** Kończy się jeszcze jeden dzień w Arykty - może ostatni. Będzie on łatwy do zapamiętania, bo to dzień wyborów. Wczesnym rankiem byłem w klubie. Budynek od zewnątrz niepokaźny, wewnątrz był jeszcze prawie pusty. Tylko za stołami siedział cały szereg młodzieży z listami wyborców. Moje nazwisko nie znalazło się na liście, więc zapisano je dodatkowo, jak ostatnio w Równem. Ale tam była muzyka, komfort, a tu ktoś mozolnie montował odbiornik - może też co z tego wyszło. Myślałem, że nie zwrócę na siebie uwagi - ale gdzie tam -jakiś uprzejmy jegomość wybiegł za mną aż na ulicę, aby się dowiedzieć, czy głosowałem. Widocznie uważał mnie za fajtłapę.

U Kil[iana] byli prawie wszyscy w komplecie, tylko on sam gdzieś wyjechał. Była za to po raz pierwszy jakaś głucha staruszka. Przy Ewangelii gwałtownie zakręciła mi się głowa, silniej niż dotychczas i cały czas ledwie stałem na nogach. Może to dlatego, że nabożeństwo zaczęło się dość późno, a odwykłem już od dawnego niedzielnego postu. Po Mszy św. dałem Oleje św. tej staruszce i Georg[ij]owi, a Lidzie bierzmowanie. Potem byłem jeszcze raz na cmentarzu. Teraz tam piękny kobierzec utkany żółtymi kwiatkami. Było jednak nieznośnie gorąco, a step wokoło spowiły tumany nadciągającej burzy - więc tylko spaliłem wota na jakimś grobie - to jedyne moje sakrarium - i spiesznie pożegnałem to święte miejsce, gdzie przeżyłem wiele wzruszających chwil. Teraz czekam na Anię, żeby jej przekazać moje *Strzępy* z Arykty. Nie spodziewałem się, że te dwa miesiące obejmą prawie 100 stron drobnego pisma i wcale się nie zastanawiam, na co to się komu przyda. Mogłoby mieć jakieś znaczenie dla mnie samego jako autoanaliza czy mnemotechniczna praca, ale teraz właśnie trzeba się rozstać, jak z ukochanym dzieckiem.

*Dumy moi łycho meni z wami,*

*Wyrastał was, dokładał was...*

**13 VI [1966].** Czy to św. Antoni uprosił mi ten spokojny, beztroski dzień? Rano modliliśmy się długo ze starym ojcem Marcinem z Kohem[[208]](#footnote-208), który swoim wielkim „złotym kluczem” otwiera wszystkie niebieskie zamki. Powiedziałem przy tym o naszym równieńskim odpuście i płaczących teraz resztkach parafii. Niespodzianie przyszło mi na myśl pójść do doktora i przedłożyć mu sprawę mojego czabanowania. Boli mnie serce, plecy, a szczególnie nogi jak z ołowiu. Młody lekarz zamyślił się, potem zaczął sumiennie badać. W rezultacie znalazła się hypotonia. Naznaczył dziesięciodniowe leczenie - zastrzyki. Można się zabrać spokojnie do książek, których znajduje się coraz więcej. Już nawet nie chce się myśleć o przeszłości, choć to dzień bogaty wspomnieniami.

Oczy się kleją, wyobraźnia śpi jak dziecko ukołysane dobrym głosem matki, a w sercu błogi spokój. Patrzę na małą fotografię przysłaną nie wiem przez kogo i zdaje mi się, że On jest przy mnie - z Boskim Dzieciątkiem na jednej ręce - z chlebem w drugiej.

**17 VI [1966].** Czuję się jak uczeń, który opuścił parę lekcji, a potem nie może nadążyć. Napływają listy i paczki przedimieninowe. Z Korca, jeszcze jedna od Jakubowskiej, była dla mnie niespodzianką, ale pokazało się, że to sprawa p. [...]. Napisała list poważny, powściągliwy w tonie. Podpisała też Lila, Józefa i jeszcze jakieś dwie, Aniela, Zofia i Jadwiga. Pewnie to ta Jakubowska. Sentencjonalnie brzmi życzenie: spokojnego o nasze życie jutra. Niech Dobry Bóg nam przebaczy i wysłuchać raczy. Pewnie, że ma wiele do przebaczania. Muszę się jej odwzajemnić na św. Jana.

Teraz dopiero przeglądnąłem podarki duchowe od Zofii. Jest to prawdziwa uczta zastawiona obficie dla wygnańca albo litania miłości. W poniedziałek przyszedł list od Maryśki z dokładnie opisanym domkiem. Chce widocznie, żebym przynajmniej wyobraźnią tam się przeniósł. Równocześnie wysłała kartkę do Zofii, bo się obawia, że jej pisma nie dochodzą - tymczasem teraz nasza poczta sprawia się wyśmienicie. Czasem otrzymuję listy rano i wieczór. Wczoraj niespodzianie przyjechała Czajkowska. Nie miałem nadziei, że teraz ktoś mnie odwiedzi, skoro nie wiedzą, czy jestem na miejscu. Dzisiejsze nabożeństwo było wzruszające. Nie mogłem się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć epizodu z dzieciństwa - tego poświęcenia Sercu Jezusowemu. Nikt nie wiedział, że to dzień moich urodzin. Tym serdeczniej dziękuję P. Jezusowi, że mogę Jemu wszystko ofiarować. Powiedziałem Emilii, że nie zapraszam nikogo, jeżeli to ma być tylko moja przyjemność. Może przyjechać, kto szuka P. Jezusa.

**18 VI [1966].** „Nikt nie stawia światła pod korzec”. Oczywiście ten ewangeliczny korzec nie ma nic wspólnego z naszym rówieńskim, ale mnie każdy Doktor Kościoła przypomina tę przemiłą nad graniczną mieścinę, której każdy kamyk jest dla mnie pełen wspomnień. Teraz zwłaszcza trwa oktawa św. Antoniego i ślą mi stamtąd listy i paczki. Nazwa pochodzi od księcia Koreckiego, którego podobno hajdamacy wbili na pal. Ruiny zamku coraz bardziej się rozpadają, ale jeszcze wciąż sterczą nad Korczykiem, wiążąc teraźniejszość z przeszłością. Prehistoria ma tu wiele do powiedzenia.

W środku miasta wznosi się wspaniały kościół franciszkański zamieniony na żeński monastyr. Byłem tam raz z Bagińską u starej kościstej mniszki, której się podobało moje zakonne imię. One też czczą swojego Serafina. Nad łóżkiem wisiał portret cara i jego rodziny. Na cmentarzu jest wielka mogiła, gdzie pochowano zebrane z podziemi zwłoki ojców i fundatorów. Lubiłem grzebać się w resztkach franciszkańskiej biblioteki, która znajdowała się w skarbcu przy kościele. Były tam stare - może cenne foliały kazań i dzieł teologicznych, jakaś biblia gdańska, dawne scholastyczne podręczniki pisarskie, książki łacińskie, polskie, trochę francuskich, bogaty materiał muzealny - teraz wszystko przepadło. Sławny fajans korecki jeszcze dziś nadaje nazwę skrajnej części miasta. Właśnie na Fajansie mieszka P. G., zrośnięta z Korcem przez wspaniały dom przy głównej ulicy, zaraz na początku zabrany, i przez mogiłę rodzinną z płaczącym aniołem, którego teraz rozbito.

Mój pierwszy pobyt w Korcu pozostawił niezapomniane wrażenia. Byłem tam zaproszony już w Równem przez ks. Rafała G[odzińskiego][[209]](#footnote-209), którego tam spotkałem, toteż skorzystałem z pierwszej sposobności, żeby go odwiedzić jadąc z Ludwipola. Kościółek tonący w zieleni, otoczony murem, tchnął ciszą i spokojem. Na ołtarzu Matka Boska, malowana przez księdza Sobolewskiego, zasłaniała cudowny obraz św. Antoniego, największy skarb Korca. Prócz tego był jeszcze św. Roch z nieodstępnym psem liżącym jego rany. Św. Franciszek ustąpił miejsca swojemu Synowi i poszedł na dalsze miejsce na bocznym ołtarzu. Może wstydził się, że Go ubrano w tak bogatą, srebrną szatę. W bocznej kaplicy była św. Anna Samotrzecia, również ze starą srebrną sukienką. U góry nad wszystkim triumfował zmartwychwstały Zbawiciel, a naprzeciw św. Piotr z Pawłem oddawali Mu pokłony. Przed kościołem, z boku, znajdował się drugi kamienny ołtarz św. Antoniego, a w górze nad nim św. Franciszek, już w swojej naturalnej postaci biedaczyny. Z drugiej strony, pod ścianą kościelną pochowano proboszcza, też Antoniego, który zginął jako ofiara miłości, zarażony przy chorych. Z drugiej strony biały orzeł otulał skrzydłami mogiłę bohaterów z 1920 r. Potem jeszcze stary obraz Przemienienia Pańskiego, a pod nim na kamieniu wyryta strofa: „Opoko wiary, gwiazdo niebios złota”. Za ścianą prezbiterium Chrystus na Krzyżu i Matka Boska z Janem - Kalwaria.

Wszystko to świadczyło, że duszpasterze kochali swój kościółek i starali się go przyozdobić. Ks. Rafał też był w nim rozmiłowany. Kiedy go usunięto z nowej, niedokończonej jeszcze plebanii, zamieszkał w pobliskiej chacie i trwał wiernie przy świątyni, prowadząc skromne życie. Pracy miał wiele, bo napływali wierni zza dawnej granicy. Zdaje się, że byłem na odpuście i miałem kazanie. Była to podniosła uroczystość. Nie wiedziałem wtedy, że za parę lat w zmienionych warunkach przyjdzie mi zająć miejsce ks. Rafała.

**20 VI [1966].** Odpust korecki nie daje mi spokoju. Bo też to było przeżycie, którego oczekiwało się z roku na rok. Wkrótce po wyjeździe proboszcza korecka delegacja zarejestrowała nową obszczynę - dwudziestkę i został ustalony dzień pierwszego nabożeństwa. Kościół zastałem ogołocony. Z ołtarza zniknął św. Antoni, w zakrystii prócz starego kielicha i równie podstarzałego ornatu nie było prawie dosłownie nic. Trzeba było zaczynać na nowo życie w ciasnych ramkach. Dziękowałem Bogu i za tę szczupłą garstkę wiernych, która pozostała na straży nadrubieżnej stanicy. Ks. Godz[iński] myślał zapewne, że z jego wyjazdem wkrótce wszystko ulegnie likwidacji, toteż zabrał nawet monstrancję z Dermanki i piękne, prawie nowe szaty z Myszakówki, które dałem do przechowania. Po co mają ginąć. Tymczasem nam wszystkiego było brak, bo rozpoczęliśmy uroczyste nabożeństwo.

Wprawdzie oficjalnie można było odwiedzać parafię tylko kilka razy w roku na specjalne pozwolenie, ale na wszystko jest sposób. Jeździło się do chorych, na pogrzeby lub przy jakichś innych okolicznościach. Każdy przejazd był problemem, bo czasem godzinami trzeba było czekać na [...], zanim jakaś litościwa maszyna nie zdecydowała się zabrać. Wtedy gramoliło się na gruzowik naładowany żelaziwem lub prowiantami i osłaniało się czymś od wiatru czy śniegu. Bywało, że maszyna w drodze się psuła, wtedy ludzie w kościele czekali niecierpliwie, a nawet się rozchodzili szemrząc. Bywało, że kilka dobrych kilometrów trzeba było iść pieszo. Raz, w sam W. Czwartek po nabożeństwie w Równem, przyjechałem do Korca o północy. Wszystkie te trudy jednak wynagradzało, kiedy wreszcie po godzinach uciążliwej jazdy w dali pokazała się wieżyczka, a naprzeciw wychodziła grupka młodzieży. To była największa radość.

Kiedy po raz pierwszy wybierałem się do Korca, myślałem, że zastanę tam samych staruszków, tymczasem zaraz wkrótce pojawiły się granatowe mundurki. Jula, Hela i Berta *-* starsza Mania trzymała się trochę na boku - i ich ciotki do pary z tym samym imieniem tworzyły miły zespół śpiewaczy. Pomagali i inni: Kazio Stefanowski, Zosia, ale bez nich nie odbyło się żadne nabożeństwo. Byłem zaskoczony, kiedy wszystkie trzy zapragnęły wstąpić do III Zakonu. Może to był wpływ starszej Julii, która już była tercjarką. Wahałem się, bo to już było za wiele, choć często [się] komunikowały. Były trochę kapryśne, po dziecięcemu niezdyscyplinowane, wychowane bez ojca, który dawno ich porzucił, mogły kierować się fantazją. Jakże jednak było odmówić? Bywałem w ich chatce przyczepionej do zbocza wysokiego brzegu nad Korczykiem jak kurza stopka. Czasem chodziliśmy po ruinach zamku. Kiedyś Hela rzuciła melancholijne pytanie: jak to będzie, kiedy się rozstaniemy?

Tymczasem byliśmy w Korcu razem jak w jednej rodzinie. Matką była Bagińska. Z Marią Konstantynowną zapoznałem się jeszcze na plebanii u ks. Godz[ińskiego]. Wysoka, jeszcze postawna, z obfitym doświadczeniem w życiu, a przy tym niezwykle uczynna, już wtedy zainteresowała się losem kapłana włóczęgi. Była w Horodnicy z ową sławetną gęsią. Po wyjeździe proboszcza ich mieszkanie na Pożarnej stanęło dla mnie otworem. Zawsze znajdowałem tu dobre słowo, przyjęcie i odpoczynek. Pan Kajetan - wzór dobroci - cichy i spokojny, siadywał zwykle w konfesjonale pod chórem. Lubiłem go serdecznie, toteż kiedy go zabrakło, nie mogłem się do tego długo przyzwyczaić. Był doświadczonym lekarzem, choć tylko z rangą felczera, wielu chorym pomagał bezinteresownie. Kiedy mu udzieliłem Ostatniego Namaszczenia i potem pytałem, jak się czuje, odpowiedział szeptem: „Chwała Bogu” i wkrótce cicho skonał. Jego pogrzeb też był dla mnie pamiętny. Wybrałem się po południu i długo czekałem za Miastem. Wreszcie wgramoliłem się na jakiś gruzowik, szczęśliwy, że jadę. Wtem maszyna stanęła i ani rusz dalej. Do Korca przyjechałem wieczorem, aby się dowiedzieć, że już po pogrzebie. Wtedy padłem przy kościele twarzą na murawę jak bez życia. Opanował mnie taki jakiś głęboki żal do wszystkiego, że kiedy przyszła Julia, nie mogłem przemówić słowa.

Do pierwszego odpustu przygotowywaliśmy się stopniowo i długo. Najpierw przyjechał św. Antoni z Aleksandrii. Nie był ubrany w srebrną szatę jak tamten, ale młodzieńczo świeży, uśmiechnięty, wniósł nowe życie w obumierający kościół. Potem trzeba było postarać się o pozwolenie u Wołuszkiewicza, a wreszcie rozesłać zawiadomienia na wszystkie strony. Tym ostatnim zajęła się p. Maria tak skutecznie, że już z wieczora zjawili się ludzie z Medwedowa, Zaprudów, Zwiahla. Była oczywiście nieodzowna Teofila i inni znajomi z lat wojennych. Po nieszporach spowiadanie trwało dość długo i wystarczyłoby na całą noc, ale ludzie byli zmęczeni. Od wczesnego ranka kolejki stały przy konfesjonale na zewnątrz kościoła. Wykorzystywaliśmy do tego wnękę odgrodzoną drzwiami, gdzie była kapliczka. Po rannej Mszy św. spowiadanie trwało do sumy, którą wskutek tego trzeba było opóźnić. Były dzieci do pierwszej spowiedzi i śluby, wszystko to zabierało wiele czasu. Na sumie śpiewał chór z pomocą równieńskich gości. Pewnie jeszcze była p. Róża i Zbyszek. Baldachim zrobiliśmy prowizoryczny na dwóch drążkach - monstrancja wysoka, piękna z Aleksandrii. Sztandary fruwają na wietrze, dzwony rozkołysały się radośnie, aż dzwonnica się chwieje, a z boku pytają: skąd tyle ludu? Jakby echo ewangelicznych faryzeuszów: „Nic nie pomoże, wszyscy idą za Nim”. Idziemy do św. Antoniego, który czeka przy furcie kościelnej. Ostatnie modły i *Te Deum.* Chwalimy Cię, Boże, dziękujemy za ten piękny dzień.

Po sumie ustawiają się naokoło kościoła wieńcem do chrztu. Jest ponad 130 dzieci. Bywa i więcej. Czasem trzeba chrzcić ponad 200, ale i to nie bagatela. Ręce mdleją, pot leje się z czoła. Krzyk niemowląt zagłusza słowa liturgii. Trzeba się spieszyć, więc zbiorowo wszyscy razem odrzekają się ducha złego i wszystkich jego grzesznych spraw, a potem krzyczą: wierzę, wierzę. Ale podwójne namaszczenie i sam Sakrament zabiera wiele czasu, a trzeba odjeżdżać, bo na wieczór nie zdążę, a maszyny kołchoźne nie do swobodnego rozporządzania. Jakby chciało się każdego z osobna przycisnąć do wezbranej piersi i powiedzieć parę dobrych słów. Kiedy daję im do ucałowania św. Antoniego i błogosławię na drogę, płaczą. I ja też. Może za rok się zobaczymy.

Ten obraz powtarzał się z różnymi wariantami przez szereg lat. Potem nabierał jednak coraz ciemniejszych odcieni. Śmierć nieubłaganą kosą zabrała zacnych obywateli. Najpierw odszedł p. Pióro, mecenas, którego żonę w okrutny sposób zamordowano, potem p. Kajetan, wreszcie długoletni prezes komitetu, p. Sadowski. Pochowaliśmy też szereg przywiązanych do kościoła niewiast: Rozalię Popł[...], Helenę, Janinę. Tę litanię powtórzyłaby na pamięć p. Maria, gdyby żyła, bo wszystkich odprawiała, zanim sama za nimi poszła.

Z falą nowych wyjazdów było coraz smutniej. Wyjechał nowy prezes Stefanowski i cały szereg innych rodzin. Potem znikły mundurki. Zresztą ich już dawno nie było. Z podlotków panny, które miały doznać ostrza ludzkich języków. Raz Jula przyszła do mnie z rzewnym płaczem, nic nie mówiąc. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale niebawem miałem się dowiedzieć, kiedy i mnie spotkały drwinki i szykany. Trudno. Zawsze będą ludzie, którzy nie mogą zrozumieć, że co się zdarza często, nie musi zdarzać się zawsze.

**22 VI [1966].** Autobus stanął na parę sekund na zakręcie, jeszcze czyjeś ręce wyciągnęły się przez okno w żałobnym geście, a potem widziałem go, jak przewijając wyboistą wężownicą rozpłynął się w stepie.

Ta wizyta Polski w Arykty przyszła nagle i niespodziewanie, jak promyk słońca, który na chwilę przedrze się przez chmury.

Dziś rano, jak już kilka dni z rzędu, od kiedy zaczęto mnie kłuć glukozą, czułem się źle. Przy Mszy św. zaledwie coś mogłem powiedzieć o św. Paulinie, który poszedł w niewolę jako ofiara miłości, ale też cudownie został wyzwolony. Nie myślałem o tym cudzie. W ogóle dziwię się, na jakiej podstawie X. R. oparł pocieszające słowa, że „pokuta nie potrwa długo”. Potrwa, jak długo P. Bóg zechce, i zdaje się, że jest mi to już obojętne. Nawet nie przejmuję się tym, że do wioski przyjechał uczastkowy i może do mnie zajdzie. Trzeba poszukać sprawki od lekarza i oto pokazuje się, że gdzieś znikła. Może została wyrzucona z papierami. Przychodzi Aleksander z telegramem od Andrzeja i Mikołaja. Niedawno pytałem się, czemu od niego nic nie ma. Wczoraj przyszedł list z R[ównego], zredagowany przez Łuk[?] w imieniu całej grupy - nawet z kwiatkiem, choć zasuszonym. I oto pokazuje się, że wysłali właśnie wczoraj, aby zaszedł na czas, ale nasza poczta tak się cudownie sprawuje, że telegram doręcza się na drugi dzień. Sprawki nie znalazłem.

Wtem Rosa ukazuje się z tajemniczą miną - pewnie uczastkowy. I oto - Polska - i to prawdziwa, pachnąca morzem z Gdyni. Polska czy Polka - to dla mnie wszystko jedno. Ktokolwiek by stamtąd przyjechał, wnosi aromat swojszczyzny. A p. Cz. jest przy tym sympatyczna, choć mówi trochę za cicho. Od jakiegoś czasu odgrywa to dużą rolę w moim ustosunkowaniu się do otoczenia. Mimo to jednak porozumieliśmy się zasadniczo, że skontaktuje się z Marysią - choć nie może odwiedzić Stalowej osobiście.

Właśnie przyszedł list stamtąd i od Zofii. Wszystko naraz. Marysia zabrania mi płakać. Też coś. Choć moi goście nastrajają molowo. Jaka pustynia, jaka dzicz, tam i tu, niebo i ziemia. Próbuję mówić, że się już do tego przyzwyczaiłem. Trzeba było zobaczyć Arykty na wiosnę w czasie roztopów.

Czas do wyjazdu mija szybko. Teraz właściwie dopiero się orientuję, że nie dowiedziałem się niczego, co by mnie interesowało. Prawda, był Georgij, i to dwie niedziele pod rząd. Teraz nikt mi już nie przeszkadza. Trzeba było poprosić, żeby mnie odwiedził, ale nie miałem śmiałości. Nie mogę sobie darować, że nie prosiłem, żeby wysłały telegram do Jasia. Marysia przysłała mi jego ładny list na pocieszenie: „są sytuacje, zdawałoby się, bez wyjścia, a potem jakoś się układa. Wiemy, że tak będzie, jak Bóg przeznaczył”. To Matka przemawia przez niego. Za te słowa chciałem go serdecznie uściskać. Autobus spóźnił się dobrą godzinę. Zastałem moje panie (obie Cz[?], choć nie krewne) jeszcze pod magazynem. Gawędziliśmy do samego przybycia, a potem jeszcze to ostatnie pożegnanie - serdeczne, bo to przecież moja siostra Elż[?].

**24 VI [1966].** Et tu puer. Niewysłowioną tkliwością tchnie to Dziecię z kędzierzawą główką, które dzisiaj obchodzi urodziny. Zapomina się, że to ma być prorok, surowy głosiciel pokuty, a ta głowa spocznie kiedyś na krwawej misie Herodiady. Teraz jest to mały Janek, który pieści się z barankiem. Takim był na ołtarzu w Równem, kiedy gromadziłem przed Nim dzieci, takim dziś w maleńkim obrazku na naszym skromniutkim ołtarzu. Jest mi smutno. Myślałem, że dziś stawią się wszyscy, jak na święto -tymczasem było dziewięcioro. Nie mogę mieć do nich pretensji. Chorują albo mają swoje zajęcia. Wszędzie przy chatach spotykam czarne bryły nawozu suszące się na słońcu. To ten sławny kiziak, dla niejednego jedyny opał na zimę. To i inne sprawy gospodarskie zabierają czas wszystek. Wczoraj Lida nie przyszła nawet na Mszę Św., tak zaabsorbowana jakąś robotą. Trudno marzyć o kościele w Arykty. Co innego było w Równem, Zdołbunowie lub Korcu. Tam przynajmniej czasem jakaś babka Szawkowiczowa mogła wykraść swoją wnuczkę i przyprowadzić do kościoła a [...] swego Tolka. Haneczka na takie święto jak dzisiaj szykowała całą armię z Marysią Białą i Różową. Kiedyś na św. Jana była Pierwsza Komunia św. dzieci. Staraliśmy się tę uroczystość urządzać pięknie.

**25 VI [1966].** „Stokroć więcej otrzyma”. Znowu miła niespodzianka. Wczoraj zjawił się Hajdumowicz. Od Romanówki szedł pieszo, potem szukał w Kembedaiku, spotkał znajomego, wreszcie dotarł. Jestem do głębi wzruszony. Doprawdy, ci ludzie okazują mi stokroć więcej życzliwości i współczucia, niż na to zasługuje moje mizerne cierpienie. Nigdy tak dobrze, jak właśnie teraz, nie rozumiałem słów Ewangelii: „Każdy, kto by opuścił dom albo braci, albo siostry, albo ojca, albo matkę, albo żonę, albo syna, albo rolę dla imienia mego, stokroć więcej otrzyma”. Można by po kolei analizować każde słowo i wszędzie to „stokroć więcej” będzie miało zastosowanie. A więc i dom zamienia się na przybytek Boży - lepszy dzień jeden w przedsionku domu Twego, braci, siostry - czyż ta gromadka, która się przyoblekła w szkaplerz i pasek, nie okazuje braterskiej i siostrzanej miłości ojca - teraz już prawdziwie mogę wołać: Ojcze, któryś jest w niebie - matkę - oto matka Twoja; żonę, synów - życie rodzinne - czyż ojcostwo duchowe, to tkliwe słowo ojciec w ustach setek i tysięcy - czyliż to też nie owo „stokroć więcej” – wreszcie rola - jak się rozszerza w nieskończoność pole pracy – wdzięczna lub opoczysta rola serc leżąca odłogiem. Ten Józef, idący pieszo 8 godzin, jakby w pielgrzymce narzuca mi takie refleksje. Teraz on spokojnie zasypia, a mnie w głowie kotłuje to, z czym przybył. A więc jest krewnym, i to bliskim, po matce, marsz[ałka] Malinowskiego. Sam go odprowadził do ministerstwa. Skarżyli się, że nie ma podań o domy modlitwy i szkoły. Zaczął się ruch. Wreszcie zbierają podpisy.

**26 VI [1966].** Żal mi, że nie mogłem odprowadzić Józefa. Parę razy uściskaliśmy się, prawie z płaczem. Ma w domu żonę, dwadzieścia parę lat sparaliżowaną. Nosi ją na ręku jak dziecko. Właściwie w Donieckiem on jeden o wszystko się stara. Nabożeństwo bywało i gdzie indziej, ale księdza sprowadzał Hajdumowicz. Wujek Malinowski zarzucał mu, że zrobił z siebie hajdamakę, już lepiej było z „kajdanami”. Zdradził mi tajemnicę, że nazywa się właściwie Kajdanowicz, ale że w Fedorówce jest wiele takich rodzin, więc w armii zmienił nazwisko. Druga ciekawa rzecz, którą mi powiedział, to to, że Malinowski uczył się w Żytomierzu na księdza. Rozpędzili ich - i co z tego wyszło! Ale Józef jest dziecięco nabożny. W Wilnie dostał podręcznik adoracji. Sam sobie przepisywał różne pieśni i modlitwy. Nadaje się na apostoła i takim już zaczyna być. Wszędzie rozsyła formularze otrzymane w Moskwie. Na kilku posiołkach podpisało się już ponad 2400 samych mężczyzn. A mają posyłać zewsząd.

Żegnaliśmy się rzewnie: my nigdy nie zabudiem. Wzruszony język się plącze. Chciałem jeszcze wyjść zobaczyć się przy autobusie, ale przyjechali z posiołka z dziećmi do chrztu. Przywieźli sześcioro, a dołączyło się jeszcze czworo miejscowych. Dzisiaj czytaliśmy ewangelię o cudownym połowie. Próbuję matki zatrzymać na ranną Mszę św. Nie wiem, co z tego wyjdzie. Do Lidy przyjechali goście - jakichś 10 osób - wszyscy luteranie. Musimy Mszę św. odprawić w domu. Pewnie nikt nie przyjdzie i nie można śpiewać, bo za ścianą... Popsuje nam to koniec czerwca. Ale za to wczoraj przyjeżdżali z Kemb[edaika]. Może tam wreszcie się coś ułowi.

**27 VI [1966].** Św. Władysława nie ma w brewiarzu, ale dla nas, rówieńskich, jest to dzień pamiętny ze względu na Władka. Kiedy mówiło się „Władek”, każdy wiedział, że chodzi o Sokoła. Krępy, barczysty, pomagał ojcu w kuźni, a w kościele basował razem z Krzemionowskim. Prawda, żona Krzemionowskiego też była Władysława. Chodziła długi czas z rakiem na twarzy i od tego umarła. Władek potem ożenił się z Rózią. Ślub był uroczysty z całym splendorem, a potem byliśmy z całym chórem na weselu. Dałem im na nowosiele obraz Serca P. Jezusa. Jeszcze za jego kawalerskich czasów miała miejsce afera z motocyklem. Teraz w Arykty motocykle różnych marek, z kolaską i bez, śmigają często naładowane dziećmi. Prawie co drugi mieszkaniec ma własny motor. Wtedy dostać motocykl to nie była łatwa sprawa. Postanowiłem posłać Władka do Lwowa. Sprawił się szybko. Za dobre pieniądze - już nie pamiętam, ile mu dałem – przyciągnął starą wojskową maszynę - bez pokwitowania. Znaczyło to, że nie można jej zarejestrować, a więc i jeździć. Mimo to dostaliśmy jakoś numer, ale pokazały się defekty i maszyna poszła do rupieci.

**28 VI [1966].** Wczoraj z cmentarza wypędził mnie chłodny wiatr, niebo zaciągnęło się chmurami. W nocy pewnie zaczął się deszcz, który teraz leje bez przerwy. Patrzę z żalem przez okno na rozmiękłe drogi, bo to może oznaczać, że autobus nie pójdzie, a jutro przecież święto, a potem Pierwszy Piątek, którego będą Czekać w Żenteke. Ale też od rana nie daje mi spokoju pytanie, które Jezus postawił nie tylko Piotrowi: „Zali miłujesz mnie?” Jeśli tak, to spełniaj swoje duszpasterskie zadania, ale pamiętaj, że to moje owce i powierzam je według swojej woli temu, kto więcej miłuje. Jakże wstydzę się teraz tego, co pisałem o moich owcach. Teraz rozumiem, że ten zaimek nie ma sensu. Są tylko owce Chrystusowe, odkupione Jego Krwią, dane Mu przez Ojca, i nikt nie wyrwie ich z ręki Jego. Wobec tego cóż się martwić, że goście Lidy może nieprędko wyjadą i czerwcowe nabożeństwo będziemy musieli zakończyć cicho w domu u Georg[ij]a?

**2 VII [1966].** „Rozradował się duch mój w Bogu!” Gdyby nie wróg za ścianą, śpiewałbym głośno *Magnificat.* Czuję się jak kapryśne dziecko, któremu matka wszystko daje, żeby tylko nie płakało.

We środę zbudziłem się z silnym bólem głowy. Może dlatego, że wczoraj nie udało mi się pojechać i cały dzień pracowałem nad książkami. Msza św. „odpustowa” była smutna. Byłem duchem w kościele zd[ołbunowsk]im, który na ten dzień zapełnił się gośćmi z Równego, Ostroga, Sławuty i innych różnych miejscowości. Od rana do sumy był zwykle wystawiony Najświętszy] S[akrament] do adoracji. Śpiewał chór rówieński i śpiewacy miejscowi. Niezapomniany, miły głos Mirki: „O Święty niebios Odźwierny”. Dziś musieliśmy śpiewać przyciszonym półgłosem, a modlić się po niemiecku. Przed domem maszyny grzęzły w błocie, ale miałem nadzieję jakoś pojechać. Powiedziano, że autobus już poszedł, ale pokazało się, że to przyjechał teatr. Wróciłem wyczerpany i z zawrotem głowy. Widocznie już z jazdy nic nie będzie. Trzeba było zrezygnować i odpocząć. Za godzinę budzę się i widzę przy łóżku nie znaną kobietę. To przyjechała z synem owa Dyczyńska, która się dawno już wybierała. Jest już więc pierwsza pociecha - polskie słowo. Nagle przyszła chęć jechać do Kembedaika. Autobus poszedł jednak niedawno i będzie wracać. Aleksander ofiarował się towarzyszyć. Niech to będzie znamiennym faktem, że luteranin prowadzi katolickiego księdza. Autobus nam uciekł, ale wieczorem szła maszyna Dyczyńskiego. W Kemb[edaiku] znajomy Aleks[andra] okazał się dobrym katolikiem. Tak w imię św. Apostoła rozpoczęliśmy służbę w tym ważnym punkcie.

Jest to jakby mój obecny Zd[ołbunów], bo od Ak[molińska], odległy również 12 km. Można by było zjawiać się w nim częściej jak tam, tylko że w Zd[ołbunowie] trzeba było mieć pozwolenie, a tu potrzebna tylko dobra wola. Wieczorem byliśmy z Marią z Kurg[?] w Żenteke. Czekała już Katia z Wiktorią. Przywiozły wszystko, co potrzebne, a ponadto 01[?] i książki od Władysława. Przestrzega przed konkursem Frdelskich[?], ale z wielką życzliwością. Do Uczty stawili się prawie wszyscy - oby wytrwali i krzepli. Rozpoczęliśmy miesiąc Najdroższej Krwi. W domu czekała Maria z Rosą. Nowa radość, bo przywiozła mi polskie serca i słowa. Pociągi teraz przepełnione, ale ich jakoś przeprowadził św. Rafał czy Antoni dla mojej pociechy.

**4 VII [1966].** Teraz z nieba leje się żar, ale rano jazda była przyjemna. Mknęliśmy na motorze jakby po asfalcie, tylko czasami na wybojach przypominało się, że to nie zdołbunowska szosa, ale stepowa droga, zależna od pogody. Zresztą i tam nie było jeszcze asfaltu, kiedyśmy na naszej maszynie tłukli się do Ostroga.

Nasze niedzielne nabożeństwo w Kembedaiku nie wyglądało entuzjastycznie. Dopiero po Mszy Św., już po północy, zaczęli śpiewać, i to ładnie. „I któż jest, co by wam zaszkodził, jeśli w dobrym gorliwi będziecie.” Słowa Pierwszego Papieża były pełne znaczenia. Trzeba rozbudzać gorliwość. Już to dobre, że zaprosili na następny raz. Dałem im litanię o Najdr[oższej] Krwi, którą Georgij niestrudzenie przepisuje. Pożegnaliśmy się rzewnie z Marią i Rosą, które odprawiały nocną adorację. Wciąż te pożegnania, ale znowu biorę ze sobą Pociechę. Jeśli uda im się dostać na samolot, będą mogły być jeszcze dzisiaj w domu. Dałem pismo do gen[eralnego] prokuratora, żeby wysłali, jeśli uznają za stosowne. Napisałem też do Władysława, bo właśnie była przyjezdna z Kar[asina]. Zawsze niespodzianie dobrze się składa.

**7 VII [1966].** Żenteke. Patrzę przez okno - aż oczy bolą - w z dala migające słońcem szyby autobusu. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie odchylić firanki, kiedy przejeżdża obok. Widzę wyciągnięte na pożegnanie ramiona. Było ich cztery: dwie Wiktorie, Katia i Jaworska. Święciliśmy rocznicę dwóch małych Wiktorków, ofiar karygodnego niedbalstwa nowoczesnych budowniczych. To już dwa lata. Katia mówiła wtedy: może dobrze, że go P. Bóg zabrał. Na pogrzebie było mnóstwo dzieci właśnie z Żenteke. Wczoraj też było kilkoro. Dzisiaj odprawialiśmy również żałobne nab[ożeństwo] za Piechnę [?] Kazimierza. Miał szczęście, że na trzy godziny przed śmiercią przyjechał niespodzianie kapłan - pewnie Włodzimierz. Zofia nie pisze wyraźnie.

Z Wilna przywieźli wzruszający list od o. Świątka. Przypomina mi Apostołów: „Erant gaudentes”. Nie bardzo się to nadaje, bo trudno mi pozować na męczennika. Karol[[210]](#footnote-210) jedzie do Polski. Muszę do niego napisać.

W Arykty czekały dwa listy, od Maryśki i od Albina. Umarł Władysław[[211]](#footnote-211) i br. Leoś - owieczka Boża.

**8 VII [1966].** Władysława mało znałem. Wiem tylko, że w pierwszych dniach wojny gdzieś przepadł, potem się odnalazł. Niedawno obchodził jubileusz. Dziś odprawiłem za niego Mszę św. cicho, bo Lida nam odmówiła. Skończyły się ranne przechadzki. Nie wiem, co było powodem. Może ta luterańska rodzina, która pewnie jej robiła wymówki. Szkoda, bo to może oznaczać odstępstwo - a każda dusza droga. Ile to nam przychodzi opłakiwać strat. Choćby ta Wiktoria. Katia opowiada, że u nich było to bardzo nabożne dziewczę. Matka pokazywała mi jej obrazki, pamiątki, ofiarki; Włodzimierz[[212]](#footnote-212) pielęgnował ją jak kwiatek. A teraz przyjechała z ruskim nieślubnym mężem i wcale się nie modli. Dobrze, że dziecko chrzcili. W Nowokuźniecku nawiedza ich Aleksander[[213]](#footnote-213).

**9 VII [1966].** Zrobiono mi miłą niespodziankę. Po Mszy św. miałem się zabrać do listu do Weroniki, kiedy dano mi znać, że są dzieci do chrztu. Pokazało się, że przywieziono jakieś 15, od niemowląt do 12 lat i to prawie wszystkie wcale nie chrzczone, nawet z wody, co się rzadko zdarza. Musi już być duża obojętność, żeby do tego dopuścić. Kazałem im się przygotować i sprowadzić mnie do siebie. Byłby to już piąty punkt.

Teraz mogę już powrócić do Weroniki. Nie wiem, czy ta dzisiejsza Stygmatyczka jest jej patronką. Chyba nie, bo skądże mogliby wiedzieć o świętej kapucynce, skoro i III Z[akon] był im nieznajomy. Dziwno mi, że i Ewelina nie była tercjarką, i w ogóle nikt z Olewska.

**12 VII [1966].** Historia się powtarza. Anna przyjechała w niedzielę z Georgiljjem i żoną z Paust[?], a ja tym samym autobusem odjechałem, spotkawszy go w drodze. Znowu będą się zrażać. Za to u Wadug[?] było jak należy. Wczoraj w domu czekała Katia z Franią. Też niespodzianka, bo nie myślałem, że też mnie odwiedzi po Wilnie. Był u nich Michał, ale szybko wyjechał. Dziś P[an] J[ezus] jest z nami cały dzień. Święty, błogi czas. Georgij klęczy, adorując; rano słyszeliśmy wezwanie: „bądźcie doskonałymi”. Za godzinę jedziemy do Anny.

**13 VII [1966].** To była moja pierwsza wycieczka poza rejon. Byłem wzruszony, bo jechał z nami ukryty pod białą chustą Frani Pan Jezus. Zawsze jestem przejęty, kiedy daję im na drogę Najlepszego Towarzysza. A zdarza się to częściej. Niedawno wyprawiłem Marię, a teraz Frania zabiera na cały miesiąc. Zdarzyło się nawet niespodzianie, bo parę dni temu był u nich Michał, ale nagle wyjechał. Nie śmiem myśleć, że to dla mojej pociechy. W autobusie ścisk - do Kembedaika trzeba jechać stojąco. Tylko Frania znalazła miejsce. Nikt nie wie, że u niej na piersi - najważniejszy Pasażer. Tylko Katia pewnie cichutko adoruje.

Za Kembedaikiem już wszyscy siedzimy. Po obu stronach drogi ciągną się bezkresne pola - teraz już puste, bo rychło zajdzie słońce. Przypomina się Szymonowie, ale tu żeńców nie ujrzysz i kłosy jakieś niskie, nie podobne do naszych szumiących łanów. Za Czetkarem mijamy miejscowy cmentarz. Czarne czworoboki, a w środku oślepiająco biała kapliczka - meczecik. Widać robią remont, bo otwarta i wokół jakieś materiały. Dawniej tego nie było. Dżangiz Kuduk powinien być blisko, ale droga kręci się wężownicą omijając wyboje. I oto w dali pokazuje się osada. Nawet dość spora. Jakieś nowe budynki - wszystko zdaje mi się nieznajome, ale autobus staje i wychodzimy. Pytamy kogoś o cmentarz, bo Blumy niedaleko cmentarza - mówią coś o tym niewyraźnie - potem wspominamy nazwisko. Blum? Nie, takich tu nie ma. Ależ to przecież Dżangiz Kuduk! Gdzieżby tam! Jakiś Mozuk Mamaj - a do celu naszej podróży jeszcze 18 km. No i jest przygoda. Na szczęście na bazie stoi maszyna, która nas weźmie. U Blumów znaleźliśmy się już późnym wieczorem. Dzieci wybiegają naprzeciw, ale witamy się dopiero w domu. Czuję się jak w rodzinie, bo wszyscy serdeczni. Katia i Lena grają po ukraińsku *My choczem Boga.* Nauczył ich Georgij, którego list z Moskwy dają mi czytać. Jest swobodny w tonie i pełen werwy. Jedzie do Saratowa, a u nas będzie przy końcu miesiąca. Jest mi troszkę nijako, bo przypominam sobie niedawne podróże. Trudno. Pokutę trzeba odprawić do końca.

Dziś rano odprawialiśmy familijną Mszę św. w całym tego słowa znaczeniu. Wszyscy modlą się i komunikują. Najpierw dziewczątka - potem starsi. Tylko Ani Melita jeszcze nie przygotowana. Dobrze, że znalazła się tutaj - nauczy się i przywyknie do szczerej pobożności.

**14 VII [1966].** Od jakiegoś czasu zachwycam się cudowną rytmiką modlitwy św. Bonawentury *Transfige[[214]](#footnote-214)*. Jest w niej zawarta cała gama uczuć rozpływającej się w miłości duszy. Zdaje mi się, że żaden język nie wysłowi mistrzostwa oryginału. Z początku płynie jakby zaśpiew w falistym rytmie - prośba o ranę miłości. Dusza tęskni i wzdycha jak gołębica, rytm się ożywia, mnożą się coraz dobitniejsze określenia przedmiotu miłości: Panem angelorum, refectionem animarum sanctarum; panem nostrum quotidianum... Dalsze określenia brzmią słodko jak szept: habentem omnem dulcedinem et saporem et omne delectamentum suavitatis -wszelką rozkosz słodkości. Dusza pragnie jak jeleń: *źródła* życia, źródła mądrości i wiedzy, źródła wiekuistej jasności. Powtarzanie tych samych słów wyraża wytrwałe trwanie i wzrost tęsknoty zatopionej w strumieniu rozkoszy. Ale postawa oblubienicy nie może być zgoła pasywna - toteż gromadzi się cały szereg czynnych orzeczeń następujących w przyspieszonym tempie: Te semper ambiat, te quaerat, inveniat, tendat, perveniat, aż wreszcie, osiągnąwszy cel, może zatopić się w spokojnej kontemplacji: meditetur, loquatur. Rytm się zwalnia i skanduje w przedziwnych dwuśpie-wach. Dusza przechodzi do czynu, a praca jest trudna, trzeba stopniowo zdobywać coraz wyższe szczeble:

cum humilitate et discretione,

cum dilectione et delectatione,

cum facilitate et affectu,

aż do finału w wieczności - usque in finem. Teraz następuje cała kaskada dźwięków, barw, określeń, jakby litania rozmiłowanej duszy, która sama jedna wystarczyłaby na godziny rozmyślań: spes, fiducia, divitiae, delectatio - w różnych odcieniach jedno i to samo, ale przecież różne określenia. Trzeba być mistrzem słowa, aby nagromadzić tyle synonimów i metafor.

Nie wiem, czy poezja Doktora Serafickiego została opracowana. Żałuję, że się tym nie zajmowałem, zamiast tracić czas i energię na jałową dysertację o estetyce, o której Pigoń powiedział, że się niczego nowego nie nauczył. Była to koncesja na rzecz Kołaczkowskiego - może też trochę próżności, żeby się popisać włoszczyzną, zresztą z trudem zdobywaną. Croce był dla mnie obcy i właściwie nigdy go nie rozumiałem. Gentile z swoim idealizmem i intelektualizmem wykraczał poza chrześcijańską ideologię. Czytałem ich za biskupią dyspensą, właściwie zupełnie niepotrzebnie. Nie mogę odżałować, że nie wziąłem u Chrzanowskiego pracy o Kajsiewiczu. Byłby jakiś pożytek dla mnie - może i dla innych[[215]](#footnote-215). Może jeszcze będzie czas zająć się św. Bonawenturą i w ogóle poezją franciszkańską.

**16 VII [1966].** Dzisiaj jestem u Karmelitów we Lwowie. Niedługo po wyświęceniu miałem tam kazanie. Jest to największy odpust w tym kościele, przy tym było wielu znajomych z Zamarstynowa, ale nie miałem tremy. Lubię kazania o Matce Bożej. Może dlatego, że przy nich nie trzeba krępować fantazji i można beztrosko pofolgować uczuciu. Zwykle zaczynało się od jakiegoś tkliwego przykładu, a potem snuły się myśli bez żadnego schematu, po prostu jak z kłębka. Jakieś aktualne zastosowanie, na końcu modlitwa, czasem skandowana prostym powtarzaniem odpowiednio do uroczystości.

*Matko Potężna, Matko łaski Bożej,*

*Ty, coś na swe skronie*

*koronę polską wzięła przed wiekami,*

*módl się za nami.*

Szkaplerz przywiódł mi na pamięć ryngraf rycerzy, którym chronili piersi przed wrogiem. Teraz my szeregujemy się w obronie wiary i moralności. Dzieci Marii są silne w wierze i czyste. Potem była procesja po stokach wzgórza dominującego z daleka nad miastem.

Przed nami w pobliżu wznosiła się kopuła Dominikanów, obok kościół seminaryjny Św. Kazimierza, na wprost czarne mury cerkwi wołoskiej. Mój kochany Lwów - miasto z górą czterdziestu świątyń. Dziś cisną się na usta skargi Jeremiasza: quomodo mutatus est color optimus[[216]](#footnote-216); z czterdziestu kościołów pozostały dwa - Katedra i Św. Antoni. Inne - dobrze jeśli konserwują się jako zabytki - w przeciwnym razie tracą swój dawny wygląd. Klasztor Karmelitów przeznaczono na przytułek dla prostytutek.

Marysia pisze, że byłem silny i pogodny, obawia się, żebym teraz nie upadł na duchu. Jeżeli chodzi o siły fizyczne, to rzeczywiście teraz czuję się słabo, ale wieczorna przechadzka robi dobrze. Dziś przy jutrzni był śliczny zachód słońca. Rozpalone grało jakiś czas na szybach maszyn oślepiającym blaskiem, a potem szybko schowało się za ciemne już kontury kombajnów. Łagodny wietrzyk muskał mi twarz, kiedy usta szeptały: „Domine, quam admirabile est nomen tuum”.

Wieczorem przyszedł jeszcze jeden list od Maryśki, ale niech poleży do jutra. Nie mogę się zdobyć na inną ofiarę.

**17 VII [1966].** Anna naplotkowała do Maryśki, że ludzie cieszą się jej bratem. Oczywiście, wszystko należy przypisać P[anu] J[ezu-sowi]. On tu jest wszystkim. Dziś znowu jest z nami cały dzień. Georgij chciał jechać do dzieci, ale pozostał i cieszy się Gościem. Rosa też adoruje, ile może. Myślałem, że przyjedzie kto z dalszych, ale nie ma. Rano było 11, brakowało jeszcze kilkoro, Kiliana z Lida i innych paru. Lida jest rzeczywiście chora i niesłusznie podejrzewać ją o złą intencję. Głośny śpiew rozstraja jej nerwy. Jeżeli wyzdrowieje, powrócimy tam znowu. Zachęcałem, aby ją odwiedzali. W ogóle do dobrych uczynków, czyli rodzenia dobrych owoców. W dzisiejszej Ewangelii powtarza się pięć razy słowo „rodzić”. W oryginale jest „fructum facere”, ale nasz polski język woli dosadne wyrażenia. A mnie się plączą w głowie reminiscencje. Barbary córka ma już dziesiąte - sicut vitis abundas. Hala Szewczyk jest w poważnym czy odmiennym - jak pisze Nina - stanie. Jasiowie[[217]](#footnote-217) też spodziewają się pociechy we wrześniu, zupełnie normalnie - 8 sierpnia rocznica ślubu. Z drugiej strony ta Sulamitka „prawego Dawida grzejąca”, której „non cognovit”, Henryk żyjący z Kunegundą jak brat z siostrą lub, jak pisze Goffine, jak Józef z Marią - no i ten dzisiejszy Aleksy, syn Eufemianów, w poślubną noc rzucający małżonkę. Co komu lepiej albo raczej - jaka komu wola Boża.

Ten św. Aleksy, namiętny wędrowiec-pątnik, jest mi znany jeszcze z lat gimnazjalnych. Szkoda, że teraz nie mam tego tekstu, na którym uczyliśmy się dawnej polszczyzny. Obecnie jest mi on znacznie bliższy przede wszystkim dlatego, że mnie sądzono właśnie za żebractwo. Gdybyś Ty, św. Awanturniku, (avant tour - nie musi mieć pejoratywnego znaczenia), żył w naszych czasach i wędrował nie po Azji Mniejszej, ale po nieobjętych przestrzeniach Kraju Rad, nie dano by Ci tak łatwo umrzeć nie poznanym przed progiem ojcowskiego domu. Byłbyś wielokrotnie opisany, fotografowany, badany, odbito by na więziennym papierze odcisk Twoich palców i całej dłoni, jak to się czyni z notorycznymi złoczyńcami, potem usłyszałbyś, że jesteś darmozjadem i dotychczas nie zrobiłeś nic pożytecznego dla społeczeństwa. Potem wodziliby cię po różnych instytucjach, których za Twoich czasów nie było - oglądaliby Cię w najdrobniejszych szczegółach (dyspanser weneryczny!), wreszcie byłbyś ostrzyżony, ogolony, wykąpany razem z czeredą podobnych Tobie (teraz wstydu nie ma), wreszcie wywieziono by Cię do jakiegoś Arykty na pokutę za lata wędrówki. Po wtóre, jest to dzień imienin mojego poprzednika. Niestety tutaj nie ma nikogo, z kim mógłbym go wspomnieć, bo do Arykty w apostolskich wędrówkach nie dotarł.

Wreszcie: przypomina się Żmerynka[[218]](#footnote-218). Dziś tam uroczysty odpust. Kiedy byłem ostatni raz, nabożeństwu przewodniczył sędziwy zakrystianin. W przepełnionym kościele panował rzewny nastrój. Na ołtarzu położono ornat, ozwały się organy jak do Mszy św. ale kapłana nie było. Ks. Olszowskiego wywieziono prawie przemocą do Polski. Zresztą nie wiem, jak to było. Może go zmuszali do wyjazdu jak mnie. Był dobrym gospodarzem i proboszczem. Kościółek za jego czasów przybrał piękny wygląd. Św. Aleksy - z pielgrzymią laską i bukłakiem spogląda zdziwiony na ozdobione obrazami ściany. Tego dawniej nie było. Ale też za to podobno parafia straciła proboszcza. Mieliśmy się wybrać tam kiedyś z p. Teklą Okm[?], która była tamtejszą czynną parafianką. Dziś odprawia się tam pewnie uroczyste nabożeństwo. Może jest Ernest, a może Józef - a może kilku na raz. Szczęść Boże w pracy. Mnie czeka Kembedaik[[219]](#footnote-219).

**18 VII [1966].** W dniu św. Kamila tłoczy się w pamięci cały szereg obrazów zachodzących na siebie jak w migawkowym filmie. Oto cmentarz zamarstynowski gdzieś na samym krańcu. Długi szereg mogiłek sypanych widocznie na prędce, o które potem nikt nie dbał. Jest to pamiątka strasznych dni cholery. Jak legendę opowiadano nam w dzieciństwie o o. Alfonsie[[220]](#footnote-220), który w białym chałacie chodził wszędzie i niósł pociechę zarażonym. Ale oto już jestem w Korcu przy grobie młodego proboszcza, ks. Dargiewicza. Zginął jako ofiara miłości, zarażony przy chorych. Nawet Żydzi go wspominali z szacunkiem. Stara Huta dziesiątkowana tyfusem. Cmentarz w krótkim czasie zapełniony. Ale najżywiej stają mi w pamięci wędrówki do chorych z Elżbietą.

Ach, ta Elizawieta Pawłowna[[221]](#footnote-221)! Choć młoda, zna ją nieledwie cały Leningrad - zwłaszcza ten cierpiący. Jako lekarz terapeuta dostała za zadanie odwiedzać chorych w domach. To jej daje sposobność do tkliwej akcji charytatywnej. Leczy metodą homeopatyczną ciała i dusze. Czasem byłem zawstydzony tym, co mówiła: „Czemu wy nie macie miłości?” Litowała się nad pijakami walającymi się w rynsztokach. Sama miała w rodzinie brata alkoholika. Kiedy zachorował na serce, prosiła, żebym go odwiedził i wyspowiadał. Pomogło na niedługi czas. To była jedna z jej delikatnych bolączek. Miała ich wiele, bo każdy chory, którego raz odwiedziła, zapadał jej głęboko w tkliwe serce. Nie robiła przy tym różnicy wyznania czy rasy. Komunistom radziła w ciężkim stanie wyspowiadać się. Cierpiała przez to szyderstwa i nagany, ale metody nie zmieniała. Sama chora na serce, czasem wlokła nogę za nogą, przystając na każdym stopniu. Mnie prosiła, abym kładł ręce na chorych i modlił się. Jej wiara miała w sobie coś z mistycyzmu. Zanim powzięła jakąś decyzję, musiała Jego zapytać. Twierdziła, że słyszy Jego głos. Nigdy nie modliła się z książki, może dlatego, że łotewskiego języka matki prawie nie znała. W czasie Mszy św. leżała twarzą do ziemi. To była jej modlitwa. Czasem jadąc godzinę w elektryczce słuchałem jej opowiadania o młodości. Ojciec porzucił ich w dzieciństwie. Ją i dwóch braci wychowywała matka. Ile się nacierpiała ta biedna kobieta zmuszona borykać się z alkoholizmem męża, a potem pozostawiona przez niego na pastwę losu! Opowiadała, że kiedy miała wydać na świat córeczkę, słyszała we śnie ludowy śpiew o św. Elżbiecie. To zdecydowało o imieniu, a może potem i o kierunku życia dziewczynki.

Pewnego niedzielnego popołudnia poszliśmy razem do szpitala „chroników”. Elżbieta była tu dobrze znana. Kiedyśmy weszli do żeńskiej pałaty, zwróciły się na nią wdzięczne spojrzenia. Znaleźliśmy się w kręgu wszelkiej nędzy, nie kończącego się cierpienia. Ciała powykręcane, przykute do łóżka lub podrzucane nerwowym ruchem. Elżbieta obchodziła je ze słowem pociechy. Mnie kazała kłaść ręce na chorych i błogosławić. Czyniłem to nieznacznie, prawie w milczeniu. Nie umiem pocieszać. Zresztą cóż można powiedzieć tym nieszczęśliwym, z których słownika zostało na zawsze wykreślone słowo „zdrowie”.

Nie schodzi mi z pamięci Rita, dziewczę kilkunastoletnie cierpiące nieustanne konwulsje. Z trudem stara się utrzymać w zniekształconych palcach ołówek, którym gryzmoli list do koleżanek. One teraz gdzieś biegają po parku lub zachwycają się kinem, a ona... Nie wiem, czy jej co mówiłem, czy tylko usługiwałem do kolacji, ale potem zawsze wspominała „dziadzia”. U chroników bywaliśmy potem częściej. Zresztą dla wielu, którzy raz tu przyjdą, staje się to potem nałogiem. Jakiś staruszek chciał się nawet wyspowiadać, ponieważ ich batiuszka tam nie miał przystępu. Byłem na to zdecydowany, bo tam wobec ostatecznej nędzy opadają wszelkie bariery. Nosiłem się nawet z myślą stanąć tam do pracy i stać się jakby kapelanem tej kolonii nieszczęśliwców. Trudności były jednak nie do przezwyciężenia, bo to nie czasy św. Kamila, kiedy do heroicznej ofiary potrzeba było tylko dobrej woli. Nawet wśród chorych można było natrafić na wrogą podejrzliwość. Służba w szpitalu czekała na mnie gdzie indziej i innego rodzaju.

**20 VII [1966].** Mała Ida przyniosła romany do ołtarzyka. To miłe dziewczątko o kędzierzawych czarnych włosach sprawia mi wiele radości. Często wybiega naprzeciw, kiedy wracam do domu, i tuli się jak do dziadzi. Dzisiaj właśnie czytaliśmy, jak Pan Jezus błogosławił dzieci. „Dopuśćcie do Mnie.” Jak boli serce, że nic nie można dla nich zrobić, kiedy rodzice ograniczają się często do tego, że dziecko ochrzczone. Trzeba wyjątkowej gorliwości Blumów, żeby wypielęgnować takie kwiatuszki jak Lena i Katia. Teraz uczy się tam Melita Ani. U Kolb[?] też są dziewczynki, które trzeba zbliżyć do P[ana] J[ezusa]. Obiecuję się nimi zająć i wciąż trudno.

**21 VII [1966].** Zaszło niecodzienne zdarzenie. Pożar. Po południu byłem zajęty, kiedy Rosa przyszła z wiadomością. Tener. Pali się siano na fermie. Myślałem, że prędko zlikwidują. Mają wszelkie środki techniczne. Nie myślałem już o pożarze, kiedy wybrałem się na cmentarz. Chciałem na mogiłkach pomodlić się za Bagińską. Nagle zrozumiałem, że właściwie nikt poza Haneczką nie okazywał mi tyle przywiązania, co ona. Przy jutrzejszym zaczynającym się święcie odczuwam dotkliwie jej brak. Te myśli plątały się, przeszkadzając w brewiarzu, który odmawiałem po drodze. Jakaś dziewczynka przystanęła ciekawie, patrząc, co czytam na polu o tak późnej porze. Musiałem schować brewiarz, bo i tak dobrze się ściemniło. Wtedy ujrzałem niedaleko kłęby dymu.

Z cmentarza widać było ogniste języki, ale cała panorama ognia roztoczyła się dopiero, kiedy zbliżyłem się z boku od wody. Byłem zdumiony, że pozwalają bezkarnie buszować żywiołowi. Stały dziesiątki maszyn z sikawkami i przybywały coraz to nowe, ale robiły wrażenie zabawki wobec góry ognia, który wżerał się coraz głębiej w obficie nagromadzone sterty siana. Na tle zapadającej nocy widok był wspaniały. Stałem dłuższy czas myśląc „o ogniu nieugaszonym”.

**22 VII [1966].** Dziś - nie wiem dlaczego - śniła mi się Łukomska. Spotkaliśmy się na ulicy wielkiego miasta i od razu poznali nawzajem, choć ona trochę się zmieniła. Była nieco pełniejsza, jak wówczas w szkole, ale równie żywa. Przystąpiła, podała rękę i pocałowała - swoją poniżej łokcia. Chciałem coś powiedzieć, ale odeszła śpiesznie, choć biegłem za nią w poprzek jezdni. Było jakieś święto. Prawda, dzisiaj święto Polski Ludowej. Dawno już zwróciłem uwagę, jak odpowiednio został na ten cel wybrany dzień wielkiej Pokutnicy. Było to zdaje się w Krzemieńcu, gdzie odprawialiśmy odpust. Dziś miasto Słowackiego odżywa w pamięci w całej krasie. Góra Bony pyszni się w słońcu jak jej imienniczka, która podobno nie była tak zła, jak nas uczono. W Krzemieńcu wobec cudów przyrody zapomina się o ludzkiej brzydocie. Wszyscy tu byli mi drodzy, począwszy od p. Zofii Majewskiej, aż do żebraczki pod kościołem, która mnie zawsze głośno witała.

Moje wizyty tu były półoficjalne. Ale dość częste, zwłaszcza kiedy ks. Marceli wyjechał do Winnicy. Za każdym razem p. Zofia ładowała koszyczek i udawała się do żony pełnomocnika. Potem wszystko szło gładko. Zastrzegał się tylko, żeby inni nie wiedzieli. Mimo to raz Wołoszkiewicz zagadnął mnie znienacka w rozmowie: „W Krzemieńcu pięknie, prawda?” Odpowiedziałem z głupia frant - że cudownie, a jest nawet rzeczka, w której mógłby popróbować swojej wędki, jako zamiłowany w rybołóstwie. I na tym się skończyło, ale to był Wołoszkiewicz. Byłem nadal jakby nieoficjalnym proboszczem na przemian z ks. Mir[ecki?]. Nasze nabożeństwa były niezapomniane - zwłaszcza w dni uroczyste. Ołtarz rzęsiście oświetlony, monstrancja wysadzana drogimi kamieniami. Na stopniach zacny p. Kulesza i jeszcze ktoś do pomocy. Na chórze p. Irena z grupą śpiewaczek. Przed ołtarzem zatopiona w modlitwie, nieodstępna, jak jeszcze jeden z rekwizytów kościoła, niezapomniana p. Kańska. Gdzie jesteście teraz, obrazy moich wspomnień? P. Majewską odwiedziłem parę razy w chorobie, a potem odprowadziliśmy ją na cmentarz. Spoczęła w zacisznym grobowcu obok doktora Majewskiego. Niedługo poszedł za nią pan Kulesza. Panią [?] widziałem ostatnio w jej sadybie, do której prowadziła uciążliwa ścieżka. Staruszka wytrwale schodziła każdy dzień rano otwierać kościół - aż jej siły odmówiły i poszła po zasłużoną nagrodę. Tylko p. Irena pozostała pewnie na swym dawnym stanowisku, reprezentując godnie służących Bogu i Ojczyźnie humaniaków.

A mnie jak najdroższa pamiątka pozostał Słowacki z kościoła podpisany przez całą grupę. Z Równego pojechał z Bagińską do Korca. Czy go kiedy zobaczę? Melita przyjechała od Ani, a z Polski przyszedł Dobraczyński od Janiny, *Drzewa chodzące.* Rano mają przyjść dziewczynki Ani. Zawsze ta Anna, bo powieść rozpoczyna się też tym imieniem.

**26 VII [1966].** „Zrozumieliście to wszystko”? My nie możemy odpowiedzieć, Panie - po prostu, jak w Ewangelii - tak. Jeszcze w niedzielę, to może łatwiej, ale w powszedni, roboczy dzień. Trudno nam pojąć to, co mówisz o skarbie ukrytym w roli, o drogiej perle. W Żenteke drogi rozkopane, trzeba iść kawałek od szosy. U Antona stawiają nową werandę. Na garstkę ludzi trzeba czekać długo, aż do wieczornego udoju. Będzie jeszcze jednak Msza Św., bo rano u Blumów miał Georgij. Trzeba uczcić św. Jakuba, który zaszczepił wiarę w ultrakatolickiej Hiszpanii, a też wspomnieć i o jego matce. Ta Salome, prosząca Jezusa o specjalne względy, pobudza do refleksji: matko, nie wypuszczaj spod opieki dorosłych dzieci! Skończyliśmy zaledwie przed północą. Dziś zebrali się prawie ci sami, tylko Anny nie było, bo poszła do pracy.

Teraz jest jeszcze czas przenieść się do Równego. Ołtarza św. Anny tam nie zastałem, ale skoro przywieźliśmy duży obraz ze Szpanowa czy Aleksandrii, należało pomyśleć o jego umieszczeniu. Zmontowaliśmy prowizorycznie szeroką drewnianą [?] ramę, zawieszono jakieś draperie, przystawiono mensę skądinąd wziętą, jakichś potrzebnych rekwizytów nie brakło i oto św. Anna znalazła siedzibę dla siebie i swego Małżonka na dalszym planie. Później na tymże ołtarzu umieściliśmy też w ruchomych ramach Piusa X i św. Walentego.

Naprzeciw w lewej nawie był św. Franciszek, obok św. Teresa i Stanisław Kostka przywieziony ze Lwowa od Sawków [?]. Ktoś mógłby zapytać, po co gromadzić tyle świętości, jak w panteonie. Chodziło o to, aby ten centralny kościół, pozostały po wielu innych, posiadał atrakcyjny wygląd. Dlatego też okna w prezbiterium, zabite deskami, zostały oszklone kolorowymi szybami (o remoncie witraży nie mogło być mowy), a od stropu w głównej nawie zawisły pająki. Staraliśmy się zużytkować wszystko, co uratowano od grabieży. Włączyliśmy też do naszego repertuaru święta poszczególnych kościołów.

Świętą Annę odziedziczyliśmy od Aleksandrii. Była to pamiętna wyprawa, kiedyśmy z Janeczką i Zbyszkiem zajechali przed kościół z poleceniem zabrania wszystkiego z opuszczonej świątyni. Po wyjeździe ks. Kossarzeckiego kościół był zamknięty i nienaruszony. Takim go zastała przed kilku dniami p. Marysia z komisji, która w moim imieniu z polecenia Wołoszkiewicza zawiadomiła rajispołkom[[222]](#footnote-222), że będziemy kościół likwidować. Jakież było nasze zdumienie, kiedy w tymże rajispołkomie usłyszeliśmy, że świątynia została obrabowana przez jakieś oddziały wojskowe, nie mówiono zresztą dokładnie. Łotrostwo było widoczne, więc zanim udałem się do kościoła, zażądałem przedstawiciela władzy. W kościele przedstawił się smutny widok zniszczenia. Z zakrystii zabrano wszystko, co mogło się na coś przydać. Nawet baldachim wydarto ze środka ramy. Pozostało tylko parę ornatów i kapa. Pomiędzy obrazami największa była św. Anna.

**28 VII [1966].** Od św. Hanki... Przysłowie sprawdziło się jak najdokładniej. Jeszcze w poniedziałek z Dżangiz Kuduka jechaliśmy w skwarze, ale w Żenteke rano było dobrze chłodno i żałowałem, że nie wziąłem płaszcza. Na szczęście nie czekaliśmy długo, bo trafiła się taksówka do rejonu. W domu nic nie przygotowali i czekał już motocykl do Kembedaiku, kiedy zjawiła się Katia z Choptyńską. Georg[ij] nie przyjechał. Usprawiedliwiał się w liście, ale zawód zrobił mi znaczny, bo miałem zamiar dowiedzieć się czegoś więcej o Zofii i w ogóle. Tymczasem i ona napisała parę zdawkowych słów.

O[...] G[...][[223]](#footnote-223) zredagował obszerną skargę, którą ma zamiar odesłać do prokuratury w M[oskwie] i Ałma-Acie. Zakończył prowokacyjnym wezwaniem o rozstrzelanie. To już trochę za dużo. O. R[emigiusz] przysłał *Pana Tadeusza.* Od razu przeczytałem wstęp [początek Epilogu]. „O czym tu dumać...” Tak, o czym? Jeśli jemu na paryskim bruku było ciasno i uciekał w kraj lat dziecinnych, to o ileż bardziej mnie w Arykty. Ale nie wiem, czy będę miał wiele czasu delektować się Mickiewiczem, bo mam zamiar zabrać się do kazachskiej mowy. Na starość niech będzie jeszcze coś świeżego - wszystko dla Bożej chwały. Wciąż marzę o kontakcie z muzułmanami. Teraz wszystko jest możliwe.

**31 VII [1966].** Płaczący nad Jerozolimą P[an] J[ezus] jednak nas pocieszył. Przyjechała Emma z mężem, Weingart jest już trzeci dzień. Potem przyszła niespodzianie Lida. „Gdybyś i ty poznała co jest ku pokojowi twemu.” Właściwie tych słów nie stosowałem tylko do niej, ale być może, że dobrze trafiły, bo zaprosiła nas na piątek wieczór do siebie. Jeśli więc P[an] Bóg pozwoli, cały tydzień będzie pięknie zapełniony. We wtorek mają czekać siostry u Blumów - może to Porcjunkula. Ta mała kaplica z figurą św. Franciszka dobrze się na ten cel nada. We czwartek ma być żałobne nabożeństwo u Kelb[?], potem pojedziemy do Ż[en-te]ke. Może jeszcze wieczorem pochwalimy św. Dom[inika], a potem rozpoczniemy Pierwszy Piątek w Żenteke trzeci, w Ar[ykty] czwarty, a w Kemb[edaiku] po raz pierwszy. „Wszystko na większą chwałę Bożą.”

Właśnie dziś dzień św. Ignacego, brzemienny we wspomnienia, bo to było moje kazanie na Wesołej, jedno z ostatnich w Krakowie. Mówić u Jezuitów przedstawiało niemało trudności, bo zbierała się tam elita i przemawiali wyborowi kaznodzieje, ale o. Marian mnie posłał. Miałem zdaje się wtedy świeżo w głowie „Ofensywę Katolicką” o. Plus. Przedstawiłem św. Ignacego, jako szermierza za sprawę Bożą, który wpierw podbił samego siebie. A więc samozaparcie. Wkrótce potem polecono mi przygotować rekolekcje dla kleryków w warszawskiej Prowincji. Przedtem jednak miałem pojechać do Lwowa na odpoczynek.

Ostatnie wspomnienia z Krakowa wiążą się z Wawelem. Był to zjazd legionistów czy Dni Krakowa, kiedy wieczorem znaleźliśmy się na szczelnie wypełnionym dziedzińcu królewskiego zamku. Przed oczyma rozgrywały się sceny z *Pana Tadeusza.* Zajazd, spowiedź Jacka - wszystko niejasno przewija się w wyobraźni. Zresztą, nie to było najważniejsze. Nie wiem, jak się to stało, że widowisko przeszło w antyhitlerowską demonstrację. Dopiero tam uświadomiłem sobie, że zbiera się jakaś groźna nawałnica. O. Marian, żegnając się, powiedział smutne słowa: odjeżdżasz, nie wiadomo, czy się jeszcze zobaczymy. Miał przeczucie: nie zobaczę się ani z nim, ani z o. Aniołem, ani z Czesławem, ani z Kosmą, ani - litania się wydłuża - może nie zobaczę też Krakowa.

**1 VIII [1966].** Miałem dobre natchnienie, że nie pojechałem wczoraj do Blumów. Czasem trzeba kierować się przeczuciem. Byłem natomiast wieczorem na cmentarzu. Równocześnie ze mną tylko z innej strony poprzez wały przeszedł jakiś mężczyzna, a za nim dwie kobiety. Był to pewnie ten prorab, któremu niedawno umarł syn. Przystąpili do świeżej mogiły i zasadzili czy postawili kwiaty. Może byliby niezadowoleni, że ktoś ich obserwuje, więc stanąłem z dala przy nowym ogrodzeniu, wewnątrz którego znajdował się krzyż, niedawno jeszcze połamany, teraz doprowadzony do porządku. Jednak myślę o swoich zmarłych. Obok, na mogiłce pewnie dziecka - ktoś położył cukierki i ciastka. Nie mogłem się modlić w skupieniu. Tak przyzwyczaiłem się do samotności na tym zawsze cichym miejscu, że oglądałem się, kiedy nareszcie odejdą. Nie trwało to długo, ale robiło się coraz chłodniej i nadciągały chmury i acz niechętnie, musiałem zrezygnować z brewiarza na wolnym powietrzu. Zdążyłem tylko odmówić nieszpory i *Anioł Pański.*

I wtedy właśnie zjawiła się natrętna myśl o owym Michale z Hołoska, który zmarł szybko na „galopujące” suchoty i to gardła. U mnie w ową noc pożaru przed Marią Magdaleną pojawiła się krew przy kaszlu - potem były znowu jakieś odpryski. Myślę o owym starszym koledze ministrancie, a potem o ks. Płoszyńskim, zmarłym na raka gardła - może to coś podobnego lub to samo - czemużby u mnie miało być inaczej? Zaczyna się od chrypki i kaszlu, a potem... Ale jak się nazywał ten Michał? Ta myśl nie dawała mi spokoju. Odpędzałem ją, ale powracała natrętnie. Wciąż trwało jakby odgrzebywanie w korze mózgowej tego, co dawno w niej ukryte.

Przypomniałem sobie różne tajemnice mnemotechniczne -wszystko na próżno. Myślę, że to jakiś rodzaj choroby psychicznej, jakaś żrąca idee fixe, kiedy umysł męczy się przypominaniem właściwie niepotrzebnej rzeczy. Bo na co mi w istocie to nazwisko starszego, mało nawet znanego kolegi ministranta. Nastawiłem radio, żeby rozproszyć uwagę. Nagłe światło zgasło. Kompletę mogłem odmówić zaledwie przy świeczce. Michał K.., Michał K. - brzęczało mi nieustannie przy wieczornym pacierzu. Musiałem się jeszcze przed zaśnięciem pomodlić za tę natrętną duszę. Rano po przebudzeniu myśl była jeszcze bardziej dręcząca. Nie mogłem się spokojnie modlić. Po prostu jakby jakiś wrzód wzbierał w mózgu, miałem świadomość, że prędzej się nie uspokoję, aż się przerwie. I oto - było to w czasie litanii do W[szystkich] Świętych - na powierzchnię świadomości wydobyły się, jedna po drugiej, głoski: K-i-n-cz-el. Tak, M[ichał] Kinczel - i trzeba było tyle trudu. Może ta tytaniczna praca mózgu była przyczyną, że dziś nabożeństwo się przeciągnęło. Zresztą miałem powiedzieć coś o św. Alfonsie, którego szanuję jeszcze z niemieckiej lektury w nowicjacie. Przypomniał się też o. Franciszek, zacny, sparaliżowany kapłan w Wilnie, no i o. Jurij. Potem w zjednoczeniu z nim rozpoczęliśmy miesięczne nabożeństwo do Niepokalanego Serca Marii.

Następnie kazałem sprowadzić dziewczynki. Melita i Irena przychodzą już od paru dni na przygotowanie. Mówię im o miłości i cudach P[ana] J[ezusa], w czym pomaga mi G. Dore. Odczuwam trochę trudności, bo katechizacją zajmowałem się mało, zostawiając to innym, zwłaszcza Haneczce. A tu przy tym trzeba posługiwać się ruskim językiem, którym nigdy dobrze nie władałem, zwłaszcza kiedy chodzi o tak subtelne rzeczy. Dziś patrzyliśmy na Jezusa karmiącego cudownie rzesze na puszczy. Właśnie przeszliśmy stamtąd do Wieczernika, żeby mówić o Chlebie anielskim, kiedy niespodzianie przyszła Maria z Rudnicką - obie z wnuczkami. Dzieci przybiegły witać się jak z ojcem. Nie masz większej radości - tym bardziej, że stało się to tak niespodzianie. Gienia też podobno chciała jechać i płakała. Inne też. Moje kochane dzieciaki. Zbliża się rocznica ich Pierwszej Komunii Św. Był to rzeczywiście wzruszający dzień – raczej noc, kiedy po przybyciu na Wniebowzięcie zastałem przygotowaną i dość starannie wyuczoną gromadkę. Zdaje mi się, że kochają Pana Jezusa, a to najważniejsze.

Przypomina mi się epizod z *Pamiętnika wiejskiego proboszcza,* gdzie dziewczynka prawie do łez jest wzruszona głosem i wyglądem młodego katechety. U nas o katechizacji nie ma mowy, trzeba się zdać na zdolności i dobrą wolę babek. Na Rudnickiej można polegać. Jej Ludwinia przygotowuje się na jutro do swego święta. Dzieci są przemęczone, bo całą noc jechały pociągiem, a potem znowu od rana autobusem, a tu znowu czeka podróż powrotna. Ale widocznie sam Pan Jezus lituje się nad ich słabością. Autobus odszedł godzinę wcześniej. Pojedziemy jutro.

**2 VIII [1966].** Dzisiaj odczuwa się brak kościoła. Żeby choć maleńka kapliczka, moglibyśmy przeżywać Porcjunkulę. U Blumów czekała już Frania z Teresą. Może jeszcze przyjdzie kto z Pasłodradki. P[an] Jezus zamknięty w ciasnej bokówce robi wrażenie więźnia. Zresztą On wszędzie jest Więźniem Miłości. Teraz dziewczynki z Anią pojechały do O[?] C[?] do Ałma-Aty, więc jest bardziej osamotniony. Odprawiliśmy powitalną adorację i cały dzień trwa modlitewna cisza, jak we wszystkich franciszkańskich kościołach. Na niebie ukazała się śliczna tęcza. Pokój spływa do duszy. Pokój i dobro!

**4 VIII [1966].** Chciałoby się wołać z Eliaszem: „Dosyć, Panie! Zabierz duszę moją!” - ale tu nie ma nawet krzaka jałowca, gdzie można usiąść i pragnąć śmierci. Na dworze deszcz siąpi, niemiłosiernie smutno, a ja patrzę bezmyślnie przez okno i widzę, jak walą się równie niemiłosiernie wszystkie piękne plany. Owa tęczowa noc w Dż[angiz] K[uduku] ma pozostać może na długo najmilszym wspomnieniem aryktyńskiego okresu.

Właśnie Anton zawołał taksówkę, którą mieliśmy się udać do Żenteke, kiedy przyjechała Rosa. Wczoraj w nocy przyjeżdżała za mną milicja, jakoby z obłaści. Niezwłocznie udałem się na poliklinikę. Po chwili zjawiło się dwóch milicjantów i podeszli do mnie. Jeden z nich oświadczył, że jest komendantem sowchoza odległego o 300 km, dokąd mają mnie przesiedlić. Powoływałem się na skargę do prokuratury oraz zdrowie - ale teraz nie pomogło. Wszakże tam także ludzie żyją. Najgorsze, że Rosa zabrała wszystkie rzeczy. Jutro Pierwszy Piątek, a nie będzie można odprawić Mszy św. Nawet brewiarza nie mam, tylko różaniec, jak wówczas w więzieniu. Tak rozpoczyna się szósty miesiąc.

**6 VIII [1966].** Znowu składa się dziwnie. Właśnie pięć miesięcy temu byłem zabrany i to po odczytaniu tej samej ewangelii, co dzisiaj. Ale to była druga niedziela postu, a dziś jest święto -odpust w Sarnach - a ja idę do Arszatyńska. Widocznie to był skutek mojego podania do prokuratury, że przysłali w szybkim tempie rozkaz mojego przesiedlenia. Dać jakąkolwiek robotę. Naczelnik mil[icji] powiedział mi wyraźnie, że wypełniają rozkaz. Tym razem powierzyli zadanie młodemu komendantowi, który jakoś wybawi z kłopotu. Sasza jest nawet sympatyczny. Dzięki niemu oglądałem po raz pierwszy egzotyczny obraz życia tubylców. Nie troszczę się zbyt wiele o komfort. Jedna izba nie różni się niczym od stajni - chyba tym, że pełno w niej bezładnie porozrzucanych gratów, wśród których nowoczesnością odznacza się umywalka. Przy okrągłej niskiej platformie stołu siedziały na niskich stołkach dwie kobiety barwnie ubrane. Trzeba przyznać, że ich narodowe powłóczyste stroje mają swoisty urok. Sasza przysiadł się do nich i patriarchalnym zwyczajem, jak niegdyś Saul u Samuela, obgryzał obficie umięśnione kości. Była przy tym już nie tradycyjna czarka, którą kozaczki wychylały równie śmiało. Chcieli i mnie ugościć.

Potem ruszyliśmy w drogę -jak się pokazało, własną maszyną komendanta, który sam ją prowadził. Po drodze opowiadał mi, że kształci się zaocznie w państwowym Instytucie na prepodawatiela. Byłem mu wdzięczny, kiedy dojeżdżając do Arykty, powiedział, że pojedzie do Kembedaika, a ja mam czekać na niego. Tego tylko pragnąłem. I oto Eliaszowi zjawił się Anioł Pański. Teraz już mogę iść dalej, dokąd mi P[an] Bóg przeznaczy. Pożegnanie [...] Ania nie mogła utulić się w płaczu. Przyszła i Melitka z zasmuconą twarzyczką. Georg[ij] pytał bezradnie: a co teraz będzie z nami? Pocieszałem, że ktoś przyjedzie - może ja, choć nie bardzo w to wierzę. Już z maszyny posłałem im znak krzyża, ale nieznacznie, bo jechało za nią wesołe towarzystwo. Jakaś rodzina kazachska - sama młodzież, widocznie dobrze znajoma Saszy. Była nieskrępowana swoboda, potem biesiadka z wódką, na którą znowu mnie zapraszali. W rejonie komendant kazał mi przylecieć nazajutrz samolotem, a sam zabrał moje rzeczy i pojechał. Znowu miłe zrządzenie [losu]. Droga z aeroportu do Kalb[...] nie była zbyt ciężka, skoro towarzyszyła jej nadzieja na drugą Mszę św. Było tylko 11 osób, ale wszak to Pierwszy Piątek - a rano Przemienienie. Teraz czekam na samolot, ale znać nie dają. Niedobrze, bo Sasza będzie czekał, a nie chciałbym zawieść jego zaufania.

A jednak bilet dostałem i jestem w Arszatyńsku. Zaczyna się wcale interesująco. Przede wszystkim niepotrzebnie martwiłem się o Saszę, bo w aeroporcie wcale się nie zjawił i w ogóle do Arsz[atyńska] z moimi rzeczami jeszcze nie przyjechał. Poza tym to, co mówił o sowchozie, już na pierwszy rzut oka wydaje się przekoloryzowane. Arszatyńsk[[224]](#footnote-224) nie robi wcale innego wrażenia niż Arykty. Różni się chyba tym, że naokoło nie ma wód, tylko niewielkie wzgórza, na których pewnie wypasają się owce. W kantorze obiecali znaleźć mieszkanie, ale na próżno czekałem aż do zamknięcia. Spróbowałem, jak tam, szukać Niemców. Pokazuje się, że katolików nie ma wcale i w ogóle żadnych starszych, tylko sama młodzież. Najstarszym okazał się właśnie ten w sile wieku szofer, do którego mnie skierowano. Młoda para z dziećmi. Przyjęli mnie i opowiedziałem im swoje dzieje. Aleksander z Arykty jest ich znajomym czy jakimś krewnym.

A teraz może najciekawsze. Na samym krańcu wioski wznoszą się dość interesujące czarne ściany meczetu uwieńczone trzema kopułami. Myślałem, że czynny i mają mułłę. Gdzie tam! Wejście zatarasowane, wnętrze zawalone gruzami, wygląda raczej na nowy niewykończony budynek. Naraz świta myśl: może zrobić z tego kościół? Choćby tylko jednemu, nieznanemu tutaj Bogu?

**7 VIII [1966].** Jakaś ptaszynka siadła na wąskim oknie i przypatruje się dziwnemu gościowi. Ale i ona odleciała i wtedy zostałem sam. Może z szczelin i załamań czarnych ścian patrzyły równie zdumione dusze wyznawców Proroka. Jeszcze nigdy nie odprawiałem takiej sumy. „Jak miłe przybytki Twoje, Panie Zastępów.” Słowa psalmu brzmiały jakby urąganie, gdyby nie ten krzyż -tak w górze nad kopułą dwie skrzyżowane belki. Wnętrze dzieli się na trzy części: jest jakby przedsionek, potem jakby główna nawa i wreszcie oddzielone dwojgiem drzwi okrągłe prezbiterium. Ołtarza nie zdążyłem zbudować, ale można było wszystko urządzić w niszy okiennej. „Wszakże i wróbel znajduje gniazdko sobie.” Chciałem śpiewać, ale głos nie wychodził.

**8 VIII [1966].** U Gauera jest czworo dzieci, a wszystkie rozpuszczone, podnoszą nieznośny hałas, a przy tym przyszedł jakiś sąsiad i patrząc przez ramię, powiedział, że piszę jak Puszkin. W takich warunkach trzeba było pisanie odłożyć i bawić się z dziećmi. Żal mi ich, bo nieochrzczone i w ogóle o Bogu nie ma tu mowy. Pewnie patrzą ze zdziwieniem, kiedy się żegnam przy stole. Jakiś ciekawy młody lekarz, który tu przyjechał w gości, chciał zobaczyć katolicki znak krzyża, jak curiosum. Czuję się jak w pogańskim kraju. Gdyby nie ten meczet, nie miałbym gdzie się pomodlić. Dziś rano byłem w szpitalu, dokąd zawieziono moje rzeczy. Stało się właściwie tak, jak mówiłem, że zawiozą mnie prosto do szpitala. Sasza wyjechał na aeroport, kiedy miałem już odlecieć do Barszyno. Zrobił mi wymówkę, że nie przyjechałem w umówionym czasie. Zrobił głupią minę, kiedy mu powiedziałem, że czekam na niego już dobę. Zrzucili mój bagaż, przy czym pokazało się, że zginęła moja torba z prowiantami, którą u Wohnów włożyli na maszynę. Nawet nie wiedziałem, co tam było, toteż nie ma mowy o odszkodowaniu. Muszę napisać gospodarzom, że mi bardzo smakowało. Swoją drogą, przydałoby się przy tutejszym codziennym menu, które mi się już daje we znaki. Ale trudno mieć pretensje, kiedy karmią bezinteresownie. Proponują mi stanąć od razu na robotę do zaprawiania maszyn. Znaczyłoby to jednak przywiązać się na stałe, bez możności wyjazdu nawet w niedzielę. Zamiast tego poszedłem do kantory. Dyrektor - młody człowiek z nastroszoną czupryną - zapytał o moją zawodową profesję. Kiedy powiedziałem, że pracowałem jako nauczyciel języków, oświadczył, że dla mnie tu miejsca nie ma. A więc - odyseja nieskończona. Tymczasem rozpadał się deszcz, a mnie trzeba dziś jeszcze odprawić rocznicę Mikołaja, syna Weingarta. Boże, wspomóż!

**9 VIII [1966].** Jednakże tajemnica meczetu nie ukryła się długo. Wczoraj, idąc tam, spostrzegłem grupę brodatych starców, a za nimi kobiety w białych, powłóczystych chustach, zdążające w jednym kierunku. Myślałem, że to będzie pogrzeb, bo wśród starców był jeden wyglądający na mułłę. Zatrzymałem się i wtedy nadszedł ten ciekawy wszystkiego młodzieniec. Powiedział, że to swadźba, przy tym spoglądał zainteresowany na moje ukryte pod płaszczem zawiniątko. Zaledwie skończyły się egzekwie, ukazała się spoza filara jego kędzierzawa głowa. O dalszym ciągu nie było już oczywiście mowy. Na drodze czekały maszyny. Trochę podgazowany Bruno - mój gospodarz - rozpoczął dyskusję na temat różnicy wiary, potem zawiózł mnie do domu. Miałem tego dość i wymknąłem się z powrotem do swojego „kościoła”.

Msza św. skończyła się już w ciemności. Myślałem, że jestem niepostrzeżony, ale dziś powiedziała mi Gilda, że Bruno po pijanemu chciał wczoraj jechać za mną. Ktoś podpatrzył. Szkoda, bo przepadł urok tajemnicy - i mogą rozpowiadać nie wiadomo co. Przy tej całej sprawie pokazało się, że jest tu Polak z Winnickiej - Unicki. Bruno przedstawił go obcesowo, ale on był zażenowany, bo po polsku nie rozumie, a przy tym ma żonę ruską i to już czwartą. Takie tu życie: wódka i to drugie. Dowiaduję się coraz nowych rzeczy i dlatego czytam z przejęciem *Drzewa chodzące;* ta lektura skraca mi teraz czas oczekiwania nie wiadomo na co. Bo właściwie już trzy dni upłynęły beznadziejnie jałowo. Ale mimo to podkreśliłem zdanie Dobraczyńskiego: „Bóg wziął mnie za rękę jak krnąbrne dziecko i kazał iść drogą, którą sam dla mnie wybrał. „Dzisiaj, siedząc w moim prezbiterium na czarnych cegłach samaru, starałem się wmyśleć w słowa Jezusa: „Kto chce iść za mną, niech się zaprze samego siebie”, i trudno mi je zrozumieć w całej pełni. Czy to zaparcie, to właśnie więzienie, a potem Arykty i Arszatyńsk? Co tu jest z mojej ofiary, kiedy wszystko wymuszone? Czy nie słuszne jest pytanie owej Krystyny Dobraczyńskiego w przededniu wielkiego nieszczęścia: czy najpiękniejsza droga nie utraci swej piękności, gdy nią trzeba iść i gdy żadnej innej obrać nie można?

**10 VIII [1966].** Św. Wawrzyniec przybył do nas z Tajkur. Został stamtąd okrutnie wygnany wraz z resztką parafian, którzy zdołali ujść rzezi. Przyjęliśmy go tym chętniej, że właśnie Jego dniem liczyliśmy lata naszej powojennej egzystencji w Zdołbunowie. Tak jakby On mnie przyprowadził do tej garstki trwającej przy na wpół opuszczonym kościele. Niedługo potem przywieziono resztki obrazu, którym pewnie zatykali komin, bo był prawie zupełnie spalony. Zachowaliśmy go jak relikwię, a do ołtarza przywiózł z Wilna świeżo namalowany wizerunek św. Diakona brat Lucjan, który nie szczędził trudu, żeby nam zrobić przyjemność a Jemu przysporzyć chwały.

Pierwszy odpust był wzruszający, bo przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy tym obumarłym ziarnem, o którym mówi dzisiaj Pan Jezus. Kiedy ukaże się plon? Pytaliśmy wtedy i powtarzamy dzisiaj. Wszystko wokół zielenieje i dojrzewa, a u nas trwa okres obumierania. Ładnie nas obronił! - mówił podobno Medyński, kiedy zabierano kościół - nasz ostatni już z sześciu. Jeszcze czepialiśmy się nadziei jak pajęczej nici, że ten jeden zostawią. Kazałem jednak zawczasu zabrać, co można [było], i św. Wawrzyniec został uratowany. Nie widziałem go jednak od tego czasu. Dopiero dziś mi się ukazuje w jaskrawej, zielonej dalmatyce z nieodstępną kratą przy boku, z obliczem niebiańsko spokojnym. Chętnego - nie - „wesołego dawcę Bóg miłuje”. Po co przeinaczać - „hilaris” to wesoły. Każdy jak postanowił w sercu swoim, nie ze smutkiem albo z musu. Św. Wawrzyniec miał zmysł humoru, kiedy żądnemu bogactw tyranowi przedstawił obdartą biedotę - oto skarby. Wesołość nie opuszczała go nawet na rozpalonej kracie: obracaj i żryj - mówił.

Dziś przy Mszy św. spłynęła na mnie jakaś cicha rezygnacja. To nic, że mówiąc: „Dominus vobiscum” obracam się do pustych ścian meczetu. To pozdrowienie idzie w dal poprzez stepy i góry, i rzeki do was, bracia i siostry, równie ze mną rozciągnięci na kratach smutnej rzeczywistości, czekania wyzwolenia. „Gdzie ja jestem, tam i sługa mój będzie.” Wczoraj, błądząc po arszatyńskich ugorach, o mało nie nadepnąłem na węża. Może to nawet była żmija. Ale przeszedłem mimo spokojnie i zaraz przypomniały się słowa Komplety: „po... żmijach stąpać będziesz”, „ponieważ ufał we mnie, wybawię go”. Po południu polecę do Barszyno.

**11 VIII [1966].** Teraz już jest widoczne, że Arszatyńsk ma się stać dla mnie aresztem. Nawet sama nazwa do tego się nadaje. Wystarczy wstawić jedną literę. Choć znowu, kiedy błądzę po skalistych ugorach przypomina się szatan kuszący Chrystusa. Zdaje mi się, że chyba ducha zła więcej tu wzywają, jak Boga.

Wczoraj przy samolocie powiedziano mi, że nie mam prawa wyjeżdżać - milicja zabrania. Ach, więc to tak - chodziło o to, aby zagnać mnie w ciasny kąt jak króla na szachownicy, skąd już nic nie uratuje przed matem. Ale oni są tylko pionkami w palcach Wielkiego Gracza, nie tracę pogody ducha. Ugory są tak obszerne i urozmaicone. Idę na oślep poprzez skąpą murawą pokryty step. Na krzakach zwieszają się gdzieniegdzie jak draperie spore płaty papieru zrzucone z samolotu. Na każdym z nich napis Kara-[?] Boże, gdzie ja jestem? Czemu wciąż prześladuje mnie to słowo, którego treści nie znam, ale mające coś ponurego w brzmieniu: dawniej Kara-ganda, Kara-adyr, a teraz znowu Kara.

Gdzieś na horyzoncie, na samym cyplu wzgórza widnieje grzebień skał. Ciągną się długim pasmem, jakby sztucznie usypany wał. Leżą wspaniałe ciemnobordowe bloki inkrustowane malachitem, opalem i już nie wiem, jaką inną barwą z apokalipsy. Siedzę na złomie skały, jak Jan na Patmosie, i patrzę w dal, wypatrując wizji. Zdaje mi się, że skala drży, jakby pływała po morzu. Przede mną rozciąga się dolina obrzeżona delikatną smugą wijącej się wśród zarośli rzeki. Wzdłuż niej przegina się w przegubach biały wąż kamienistej drogi. Niedyskretny wiatr usiłuje przewracać karty leżącej na kolanach książki *Drzewa chodzące.* Czytam jeszcze raz przed chwilą podkreślone słowa: „Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Chrystus uzdrawiając ślepego, musiał aż dwa razy dotykać jego oczu”. Ja się też zastanawiam nad tą wyjątkową ślepotą, ale tym razem Dobraczyński zawiódł, zrobił się jakiś sztuczny. Widocznie lepiej mu „robić świętych”.

Do domu wróciłem późno. Myślałem, że już będzie po wieczerzy. Szumiało mi w uszach i byłem wyczerpany, ale pokazało się, że oni też nic nie jedli. Czekając, napisałem list do Wohnów. Niech wiedzą coś o moim losie. W nocy czułem się niedobrze. Nawet gorzej jak dotychczas. Myślałem, że przyjdzie omdlenie i chciałem wołać, ale nad ranem zasnąłem. Czułem się jednak słabo i kiedy dyrektor wezwał mnie do kantory, poszedłem na chwiejących się nogach. Przedłożył mi zajęcie przy ważeniu zboża. Zasadniczo praca nieciężka, ale dziś czuję się słaby. Bruno nie pozwolił pisać na swój adres. Widocznie chce się mnie pozbyć.

**12 VIII [1966].**

*Padłszy kornie na kolana*

*Błagać będę mego Pana –*

*Zachowaj nas, zachowaj nas,*

*O słodki Jezu, zachowaj nas.*

Nigdy tego nie słyszałem - a dzisiaj te proste słowa i melodia zbudziły mnie i brzmią nieustannie. Żebym tylko nie zapomniał tej rzewnej melodii do niczego niepodobnej. Śpiewała jakby Januśka, ale była też jakby jakaś cała rodzina. Byłem czymś zajęty, może przygotowaniem do Mszy Św., ale na słowa pieśni uklęknąłem razem z nimi. Jestem sam. Bruno nie wrócił wieczorem z roboty. Gilda szukała do późnej nocy zaginionej krowy, a potem - może przez dyskrecję - nie przyszła spać w tym samym pokoju. Mogę dziś rano nie wychodzić z domu. Te moje codzienne odwiedziny meczetu zaczynają zwracać uwagę. Wczoraj przez okno zaglądało kilku młodych Kazachów, kiedy - na szczęście - było już po Mszy św. Uprzedziłem rocznicę Haneczki, bo dzisiaj św. Klary, a jutro.... zdawało mi się, że niedziela - a to wolny dzień i można by odprawić rocznicę w swoim czasie, jak należy - ale może właśnie tak trzeba było. Nigdy nie jestem pewien, czy jeszcze będę mógł odprawić w następnym dniu. Dlatego korzystam z okazji według natchnienia.

Dzisiaj wstałem, kiedy dzieci jeszcze spały, i w domu była cisza. To też jest szczęście, bo cały dzień brzmi dziecinna muzyka. Kiedy mówiłem ranny brewiarz, zaglądnęła Gilda. Pewnie już nie przyjdzie. Szybko stanął prowizoryczny ołtarzyk. Kiedy wznosiłem Hostię, słyszałem słowa św. Klary: „ne tradas bestiis”[[225]](#footnote-225). Drżałem, żeby kto nie wszedł. Bo oni nic nie wiedzą, a potem mogą rozgłaszać. Byłbym już naprawdę nieszczęśliwy, gdyby mnie pozbawiono nawet tego. Wczoraj po Komunii św. taka niewysłowiona słodycz zalała duszę, że wszelkie udręki rozpłynęły się jak mgła. Dzisiaj nie było czasu na skupienie. Trzeba było wszystko szybko uprzątnąć i po gratiarium actio iść do kantory. Chcę mimo wszystko stanąć na tego wiesowszczyka. Ale dyrektora nie ma.

**13 VIII [1966].** Na ścianie u mnie w maleńkim pokoiku obrazek Pana Jezusa z dziećmi. To jest szczególny objaw życzliwości, że mi dali oddzielne mieszkanko. Dziś mogłem spokojnie odprawić Mszę św. przy zamkniętych drzwiach, choć było już trochę późno. Wczorajsza przeprowadzka, porządki, kupowanie potrzebnych rzeczy w magazynie - wszystko to sprawiło, że wieczorem byłem wyczerpany, a jutrznię trzeba było mówić rano, bo światło było marne. W kantorze był już u dyrektora Sasza. Myślał pewnie, że będę nadal wymawiał się chorobą, a może go też sumienie dręczyło przez torbę z produktami, bo był uprzedzająco grzeczny. Oświadczyłem, że jestem gotów do ich rozporządzenia. Potem napisałem list do Maryśki, mimo pogody, w tonie melancholijnym, bo czuję się jak ryba wyjęta z wody. Jutro będzie druga niedziela w samotności, a w poniedziałek Wniebowzięcie. Boże mój! Jak ja to wszystko przeżyję. Właśnie w ten uroczysty dzień trzeba będzie iść po raz pierwszy do roboty.

Trochę cieszą mnie dzieci. Już parę razy przybiegły odwiedzić dziadzia. Matka przysyła to z tym, to z tamtym, za każdym razem dostają cukierki, to może trochę też działa na ich dziecinne serduszka. Ale Ola i Gała to już starsze dziewczynki. Ich interesuje moja znajomość języków, którą niepotrzebnie się popisuję. Dzieci! Przesuwają mi się przed oczyma Białe, Różowe Marysie przy trumnie Haneczki. Wszak to dziś zanieśliśmy ją ubraną w białą jedwabną suknię, obsypaną kwiatami do dolnego kościoła, aby tam ją odwiedzało całe miasto. Leży w majestacie dziewiczej piękności i śmierć zdaje się nie mieć do niej przystępu. To tylko dusza odeszła z udręczonego chorobą ciała, ale ta ziemska powłoka nie ulega zniszczeniu mimo sierpniowych upałów. Kakaja krasiwa! Komisja sanitarna z Rybakową przyszła sprawdzić śmierć, bo doniesiono, że ksiądz położył żywego człowieka dla propagandy cudu. Patrzyli, czy nieobłożona lodem. Czy to był rzeczywiście cud? Nie szafujmy tym słowem. Nam zresztą to nie było potrzebne. Wszyscy uważaliśmy ją za świętą. Haneczko, czy i teraz nie pamiętasz o tym wygnańcu, któremu przez tyle lat powierzałaś tajemnice swej udręczonej duszy?

**14 VIII [1966].** Jestem umęczony do ostatka, ale dzisiejszej wycieczki nie żałuję. Bo to można tak nazwać. Wybrałem się jak zwykle na ugór, byle w dal. Żar był nieznośny, pot spadał kroplami nie wiadomo skąd, jak deszcz. Po drodze zbierałem płaty papieru zrzucone z samolotu. Wszystko się przyda. Na zwałach kamieni odbyła się pierwsza lekcja kazachskiej mowy. Kazak tili. Dobrze, [że] u Kelberów dali mi książkę - teraz się przyda. Alfred mówił: po co uczyć się jeszcze po kazachsku, kiedy już znacie dziewięć języków. Jak on to wyliczył! To ten chłopak, który dał mi klucz od mieszkania. Klucz okazał się do niczego, ale Alfred jest sympatycznym młodzieńcem - zadowolonym, że może porozmawiać po niemiecku. Lekcja nie trwała długo. Gęsto zielenią zarosłe brzegi rzeki, a w dali widniejące skaliste wzgórza kusiły do dalszej wędrówki. Przypominały się Tatry, a choćby lwowska Czartowska Skała lub beztroskie wędrówki po lasach karasińskich, ale nie wiedziałem, że napotkam coś naprawdę ciekawego. Skalisty, prawie prostopadły brzeg spadał wprost do rzeki ukrytej zdradziecko w zaroślach dzikiej róży. Nasze rodzinne eci peci obsypywały gęste krzewy koralami. Były też i inne czarne jagody mocno kuszące, ale nie wiem, co się w nich kryje.

Poprzez chaszcze nad brzegiem rzeki dobrnąłem do skalnej ściany i po załamaniach, jak po schodach, stanąłem na szczycie. W dali widniały masywy skał tworzące jakby olbrzymią bramę, coś jakby trójkąt prostym kątem zwrócony w niebo. Przypominały się Panieńskie Skały lub Ojców. Szkoda, że uroczy zakątek zdołał już zwrócić na siebie uwagę. Przy samej skalnej ścianie na wysokich palach budują jakąś gospodę czy dom turystyczny. Teraz jest tam na szczęście cicho. Mogę spokojnie pochodzić po niedokończonym tarasie i snuć wątek wspomnień. Oto biały, czysty pokoik sercanek w Zakopanem. Okna wychodzą wprost na Giewont, u podnóża pasie się stado białych owieczek, a na szczycie również biel, ale nieruchoma i wieczna. Tutaj skały odcinają się od zielonej polany czernią. Tylko z bliska można na niej ujrzeć rude, rdzawe plamy. Czarne są też zębate mogiły na cmentarzu opodal. To już drugi cmentarz mahometański, równie stary i zaniedbany, jak ten w wiosce.

A gdzie chowają chrześcijan? Bo przecież i oni umierają, choć zostali tu przygnani losem zaledwie parę lat temu. Gilda mówiła, że znajduje się gdzieś w polu jakiś mały cmentarzyk, ale już parę dni szukałem go bezskutecznie. I oto dziś, wracając znużony, ujrzałem w dali mały, biały krzyżyk. Znowu *Ave crux* jak w Arykty. Ale tu jest zupełnie co innego. Pięć mogiłek, zaledwie wystających nad ziemią i tylko ten jeden mały, pochylony krzyżyk nad mogiłką kilkumiesięcznego dziecka. A co znaczy ten świeżo wykopany dół, kiedy nikt nie umarł?

**15 VIII [1966].** Assumpta est Maria, gaudent angeli[[226]](#footnote-226). Cieszą się aniołowie, a mnie tak smutno upłynął ten oczekiwany, wypełniony planami dzień. Chcieliśmy przeżyć rocznicę zeszłorocznej nocy w Tainczy. Melita z siostrą i dwie dziewczynki z rejonu przygotowały się na spotkanie z Panem Jezusem. Tymczasem... Ale ranek nie był pozbawiony radości. Skądże mi to? Nie ma czasu na obce drukowane słowa, zresztą prawie nic się nie mówi, a niewysłowiona słodycz zalewa serce. Potem trzeba było iść do kantory. Dyrektor chciał mnie postawić na stróża, ale kiedy mu powiedziałem, że przeszkadza słuch, odesłał mnie do rabkoma na koczegara. Trzeba było pisać zajawę[[227]](#footnote-227) i autobiografię. Nie wiem, czy wszystko pojęli z mojego bujnego życiorysu, ale w końcu dostałem siekierkę w rękę i mandat palić w piecu przy Lubię i drugiej kobiecie, które wypiekają chleb dla stołówki. Po paru polanach jestem zmęczony, a co będzie dalej? Na domiar wszystkiego nie ma światła. Piszę przy świecy - a trzeba oszczędzać.

**16 VIII [1966].** Z poobiedniej drzemki zbudził mnie trzask wypadających okien. Szyby potrzaskały się na drobno. Upadły przy samym łóżku. To jeszcze jedna szkoda w moim mieszkanku: nie ma światła, zamek popsuty, a teraz jeszcze wieje przez okno. Można by jeszcze dodać, że piszę, siedząc na wiaderku. Jak to brzydko brzmi! W ogóle trzeba się pożegnać z estetyką. Dlatego taki nieprzeparty urok wywiera Boski twór - przyroda. Dziś znowu byłem „pod trójkątem”. Ta skała, widoczna z daleka, działa jak magnes. Na wysokim tarasie myślałem o Haneczce. Wszak to dzisiaj dziesiąta rocznica tego uroczystego wieczoru, który przeżywało całe miasto. Na kilometrowej przestrzeni wstrzymany ruch uliczny. Setki świateł goreją spokojnym płomykiem przez cały czas obrzędu. Nie mogę śpiewać, szloch dławi w gardle, kiedy mówię ostatnie słowa. Trumnę okryto deskami. Może przyjdzie czas, że trzeba ją będzie na nowo wydobyć? Mirabilis Deus in sanctis suis.

Świeca się dopala, a myśli teraz dopiero zaczynają płynąć.

**17 VIII [1966].** Przyjechała „abmołabka”[[228]](#footnote-228) z książkami. Ponieważ maszyna stanęła niedaleko piekarni, mogłem przez cały czas przypatrywać się rozprzedaży. Cisnęła się spora grupa czarnych dzieci i młodzieży. Czuje się zbliżający rok szkolny. Ja już swoje lekcje rozpocząłem i już wiem, że „aman ba” znaczy pozdrowienie, a jeśli się chce wejść do kogo, mówi się: „kiruga ruksat pa!” Staruszek Jasieniecki mówił, że oni chcieli przyjąć pismo arabskie, bo narzucono im ruski alfabet daleki od azjatyckiej kultury. U niego na drzwiach był napis łacińskimi literami, ale nie pamiętam, co znaczy agronom. Nieraz wspominam jego dobre słowa o tubylcach. Podziwiałem zwłaszcza szacunek dla starszych. Jak na razie, nie mam z nimi bliższej styczności poza kantora i milicją.

Dziś św. Jacka. Podobno docierał w wędrówkach apostolskich daleko na wschód, ale wątpię, czy był tu, gdzie słońce: kun -zapada trzy godziny wcześniej niż w Europie. Pan Jezus mówił uczniom: „Głoście, mówiąc: Przybliżyło się Królestwo Niebieskie”. Czy i do nich się kiedy przybliży? Zastanawiam się nad tymi słowami: a więc nie my się zbliżamy, ale ono przychodzi do nas - zupełnie nieoczekiwanie przybliża się, choć zwykle jest daleko. Przybliża się z Nim, bo ono jest w Nim. On nim rządzi, króluje, rozkazuje.

**21 VIII [1966].** Wiedziałem, że nie zostawisz mnie bez pociechy, ale jednak przyjazd Emmy był niespodziewany. Wybierała się do Karagandy, ale to Ty sprawiłeś, że właśnie wtedy przyszedł list. Jak dobry jesteś! Przyjechała z płaczem i bólem głowy, bo podróż samolotem niejednego kosztuje trochę zdrowia. A tu też żadnej wygody. U Gauertów odmówili przyjąć na noc, dobrze, że doktorka okazała się bardziej ludzka. Dzisiaj mieliśmy wzruszające nabożeństwo. Pismo Św. jakby zastosowane do profesji Emmy. Św. Paweł upomina, że duch ożywia martwą literę. Trzeba żyć duchem Św. Ojca - duchem pokory, cierpliwości, miłości. Przede wszystkim miłość. Być miłosiernym samarytaninem dla wszystkich bez wyjątku. To czyń, a będziesz żył. Emma w dniu swojej profesji[[229]](#footnote-229) spełniła swoim przyjazdem samarytański miłosierny uczynek. Powiedziałem jej, że jest pierwszą wysłanką Boga, erste Gottesgesandte.

Co ona mi nawiozła! Jabłka, pomidory, winogrona, a najcenniejsze - opłatki i świece. Będzie tego na dłuższy czas. A przy tym ta błoga świadomość, że nie jestem sam, choć tak bardzo osamotniony. Właśnie za parę minut odleci, jeśli samolot się nie spóźni. Niech cię aniołowie strzegą, dobra duszo.

W domu nastała cisza. Zdaje się, że ja jeden pozostałem w całym obszernym budynku. Młodzież przyjeżdża i odjeżdża. Niedawno znowu łóżka i pościel na maszynę i odprawili ich pewnie na żniwa. Czasem pełno wszędzie roześmianej buńczucznej gromady komsomolców. Wtedy na białej zasłonie okna mam do późnej nocy jakby ekran telewizora. Lecz dzisiaj cicho i pusto. Nie mogę znieść tej samotności. Wybrałem się jednak drugim brzegiem rzeki i dobrze zrobiłem, bo po przeciwnej stronie kąpały się dziewczęta. Mogłem za to obejrzeć skały ze wszech stron. To tylko z frontu uderza jakby geometryczna regularność. Z boku widzi się jakby olbrzymie reliefy, które wyobraźnia może łatwo uzupełnić. A więc sylwetka jakiegoś baja tłoczącego się mozolnie wielkim brzuchem pomiędzy inne figury. To znowu jakby do połowy skamieniała maska - olbrzymia twarz z nastroszonymi brwiami i sumiastym wąsem - a tutaj tors kobiety z podkulonymi kolanami.

Byłem zły, kiedy nadjechała maszyna, potem druga i jeszcze parę. Wysiedli jacyś ludzie, pewnie się kąpać. Słońce już się zniża, a ja siedzę wciąż jeszcze na najwyższym cyplu pagórkowatego wzniesienia i znowu przychodzi mi na myśl niemądre porównanie z prorokiem na wyspie Patmos. Co ja mam z nim wspólnego, z tym ulubionym synem Marii, o którym z taką zazdrością pisze Bellarmin? Chyba wygnanie i tę cudowną ciszę, która zbliża do Boga. W oddali za rzeką rozsiadły się brunatne mogiły kazachskie. Hen na horyzoncie rozpływają się w szarej nagle jakieś pagórki, skały i wzniesienia rzucają coraz dłuższe płachty cienia. Trzeba wracać: kun bitti. Jeszcze tylko po drodze zbiorę wiązankę liliowych kwiatów, których nazwy nie znam. Wszak jutro Święto Serca Marii.

**22 VIII [1966].** To Serce Dobrej Matki pocieszyło mnie nadobficie. Przyszło naraz pięć listów, Georgij odesłał cztery, a sam dopisał piąty. A więc familijny z Wrocławia. Nic jeszcze nie wiedzą, gdzie się teraz wujek obraca i jakie przeżywa przemienienie. Trzy z Ukrainy, Garbowska wysłała paczkę, a teraz biada nad sieroctwem. Będzie się smucić, że posyłka utknęła w Arykty i musieli skonsumować, bo by się popsuło. Tak jakoś nie mam szczęścia do tych ich darów; widocznie tak trzeba, żeby inni cieszyli się tym, co było dla mnie przeznaczone prawem czy lewem. Sasza uraczył się porządnie: Georgij wymienia, co było w sumce.

**26 VIII [1966].** Szare życie snuje się jak przędza na kołowrocie na wpół śpiącej prządki: leniwie i beznadziejnie. Co godzinę zachodzę do koczegarki zobaczyć, czy nie ma co nowego. Właściwie jeszcze nie pracuję. Czuję nieustanny szum w uszach, nie mogę znieść gorąca i popielnego pyłu. Ale doktora nie ma, a zresztą cóż mi on pomoże, kiedy trzeba pracować. Porównuję Arszatyńsk z Dźwińskiem, piekarnię z tubdyspanserem[[230]](#footnote-230). Pod pewnym względem jest tu lżej; nie trzeba co dzień rozpalać, co tam kosztowało wiele zdrowia i nerwów. Czasem dym napełniał cały dziedziniec. Wtedy trzeba było wzywać do pomocy Misze i wspólnie jakoś skierować dym na właściwą drogę. Potem opłacało się to jakąś pożyczką albo zgoła gratyfikacją i dzieło szło. Tutaj ogień utrzymuje się stale w dzień i noc, trzeba go tylko co jakiś czas podsycać. Dzisiaj od rana obserwuję, jak często trzeba napełniać gardziel rozżarzonego molocha. Chciałem przy tym, żeby mnie zastał kierownik piekarni, ale się nie zjawił.

Mój przyszły kolega-palacz ma żonę Polkę. Oboje pochodzą z baranowskiego rejonu. On jest szewcem i pije jak szewc. Powiada, że przy tej robocie inaczej nie można. Ładna perspektywa dla abstynenta. Księże Wojciechu, szlachetny proboszczu z Sidziny, co byś na to powiedział? Już drugi raz czytam *Kościół w Chochołowie* i mam w tym dużo pociechy, choćby dlatego, że tak jak pleban z Sidziny, nie przystaję do otoczenia. Nie, żebym miał coś z jego abnegacji lub gorliwości. Zawstydza mnie jego twarde łoże i te zimne kartofle w mundurkach, którymi się karmił jak jego pierwowzór w pasterzowaniu, proboszcz z Ars. A już jego metoda spowiadania całkiem nie przystaje do naszej stereotypowej rutyny. Tylko ten jego upór. Mimo wszystko i wbrew wszystkim. Można nie budować kościoła, lecz mieć równie silne przekonanie: taka jest wola Boża.

**28 VIII [1966].** Właściwie winienem, jak ten trędowaty, upaść na kolana i rozpływać się z wdzięczności. Wczoraj przyjechała Maria z Władzią, a potem do Gauertów przyszedł Aleksander i Rosa. Czyż trzeba większej radości? A oni przywieźli jeszcze cały szereg listów, pozdrowień, nie mówiąc już o prowiantach, które wystarczają na tygodnie. Ale właśnie dlatego tak mi ciężko żegnać, jak nigdy dotychczas. Tam miało się nadzieję, że to niedługo. Zresztą na miejscu zostawali życzliwi. Tu mimo Niny - nie ma właściwie nikogo i znowu czuję się sam, może jeszcze więcej niż przedtem. Na dwa dni moja izdebka napełniła się życiem. Władzia wymyła podłogę, wyczyściła ubranie. Maria krzątała się wokoło bardzo, a potem mieliśmy wspólne przyjęcie.

Wieczorem byliśmy w „kościele”. Nie wiem, jakie wrażenie na nich sprawił, ale ja zawsze na nowo przeżywam tajemnicze chwile pierwszych dni. Dziś rano na „sumie” była delegacja z trzech parafii: Tainczy, Szort[andy] i Arykty - prócz tego był przedstawiciel luteranów. Nie mogłem sobie odmówić satysfakcji stwierdzenia, że Luter był augustianinem, a dziś właśnie dzień św. Augustyna. Potem były ostatnie rozmowy, ale krótkie, bo pisałem listy, jak apostolskie posłania: Błogosławiony Pan i Bóg, P[rzenajświętszy] J[ezus] Chrystus, który pociesza nas w każdym utrapieniu naszym. Kiedy dawałem Marii na drogę Pana Jezusa, było mi bardzo ciężko. Właściwie nic nie mówiliśmy, ale tylko zdawkowe słowa, o których się wie, że bez nich można by się obejść, bo nic nie znaczą. Byłoby mi lżej, gdybym mógł ich jeszcze pobłogosławić na drogę w samolocie. Oby nie było im tak ciężko, jak Marii i Władzi w tę stronę - kiedy samolot kosztem pasażerów wyprawiał ekwilibrystyczne sztuki. Niestety, zanim napisałem tych parę zdań, przyszła poczta, a samolot odleciał. Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak błądzić bezcelowo po ugorach, żeby gdzieś na krzakach i skałach wytrząsać smutek.

Nic, trzeba iść na Alwernię. La salita al monte Alverna. Subida al monte Alverna.[[231]](#footnote-231)

**30 VIII [1966].** Jest jasna, księżycowa noc. Z różańcem w ręku błądzę po pustych już ulicach i myślę: Boże, jak dobry jesteś, żeś zawiesił tak nisko, nisko nad nami tę jasną lampę, której światło przenika w duszę niewysłowionym spokojem. Bo na cóż mi się właściwie skarżyć? Rano robotnica w piekarni powiedziała, że za wiele ciepła, nie trzeba się tak wiele trudzić. Potem jakiś nieznany jegomość, widocznie przyjezdny, zagadnął mnie nie spodzianie „o dieła”. Być może, że to on przyjechał z tą branżą obsługi, której zawdzięczam, że już nie muszę oczekiwać Gałki lub Bełkota z maszynką. U komendanta wziąłem paszport. Wczoraj zrobiłem zamek do drzwi. Wszystko jest więc przygotowane do wyjazdu we czwartek. Co dzień proszę o tę pociechę dla siebie i tamtych, ale czy taka będzie wola Boża?

Napisałem do p. Józi.

**31 VIII [1966].** Przyszła posyłka od Popielowej, ale teraz nic mnie nie cieszy, ni jabłka, ni witaminy. Po co to zdrowie, jeśli nie można go dla nikogo zużytkować. Quasi insipiens dico.[[232]](#footnote-232) Dzisiaj zbudziłem się z bólem w iersiach. Ktoś śpiewał *Wyznawca Wielki* do św. Andrzeja Boboli, a mnie gdzieś szukali. Nieprzyjemny sen. Rzeczywistość okazała się nie lepsza. Ponieważ niedawno bolał mnie ząb, poszedłem do med-siostry, żeby mi dała skierowanie do rejonu. Okazało się, że nie mam w niej przyjaciela. Uprzedzono ją, żeby mi żadnej sprawki nie dawała, bo jestem niepewny człowiek, mogę uciec. Powtórzyło się to samo, co przedtem przy samolocie. Napisałem skargę do rejonu, ale co to pomoże? Zacieśniają pętlę coraz bardziej, jak na niebezpiecznym przestępcy. Nie mogę liczyć na żadne zrozumienie. Kiedy oświadczyłem, że takie postępowanie jest nieprawne, med-siostra orzekła: „Wy też wiele zdiełał niezakonno”. A więc już ją dobrze nastawili. Quousque Domine?[[233]](#footnote-233)

**3 IX [1966].** Jak się stało, że jestem tu znowu u Emmy w Kemb[edaiku]? To zdaje się takie proste: siąść w samolot, a potem w rejonie na autobus i przyjechać. Dawniej to tak było, ale teraz... Po rozmowie w szpitalu było mi całkiem ciemno, prawie żadnej nadziei. Mimo to jednak nie przestawałem prosić: przecież Ty wszystko możesz! We czwartek zaledwie po modlitwie wyszedłem z mieszkania, ujrzałem milicjanta. Był jakiś inny, choć podobny do Saszy. Oni wszyscy są do siebie podobni. Przywitał się uprzejmie i przedstawiłem sprawę. W kantorze przeczytał moją autobiografię, zobaczył paszport i napisał polecenie na wydanie biletu. Zjawił się nowy szkopuł: dyrektora nie było, a zastępca odłożył sprawę na później. Czwartek więc przepadł. Wczoraj rano w kantorze nie było nikogo, ale med-siostra dała skierowanie bez sprzeciwu. Nie wiem, czy dostała jakieś nowe rozporządzenie? Chyba to nie był skutek mojej skargi wysłanej do rejonu. U Kelb[?] było serdeczne przywitanie. Georgij płakał ze wzruszenia czy radości. Stary Weingart cieszył się jak prawdziwy Symeon. Było dwanaścioro jak na Wieczerzy Pańskiej. Dziś modliliśmy się do PiusaX. Być może, że On dopomógł przezwyciężyć trudności. Mam do niego szczególne zaufanie, od kiedy otrzymałem od o. Tadeusza jego biograficzną powieść: *Ignis ardens.* Dziś patrzył na nas swym rozumnym, pełnym miłości wzrokiem. Ale teraz będziemy się modlić za Hieronoma. Jeszcze tamtego razu był razem z nami, a w poniedziałek go pochowali. Zmarł nagle w drodze.

**4 IX [1966].** „Błogosław duszo moja Pana...” Dziś chyba wszyscy byliśmy wzruszeni. Bo i jakże nie poddać się błogiemu uczuciu, że nadprzyrodzona moc nami kieruje, kiedy patrzymy na czworo dziewczątek przystępujących jednak pierwszy raz do Komunii św. Ile to trzeba było przezwyciężyć trudności, żeby do tego doprowadzić. A jednak są wszystkie: dwie Marysie, Melita i Irena. Barbara, Perpetua i jeszcze parę śpiewają: *Lasset Kleinen kommen.* To Pan Jezus słodko się odzywa w niskiej chacie Kiliana. Lida uściskała mnie serdecznie, co nie jest w ich zwyczaju. Aryktyńscy parafianie stawili się prawie w komplecie, prócz tego przyjechał Józef Wokna.

Piękny dzień się kończy, ale jeszcze po raz trzeci staniemy przy ołtarzu, by usłyszeć wezwanie: „Szukajcie królestwa Bożego”. Gdzie ono jest, że trzeba go szukać? Czy też w tych beznadziejnych, smutnych wioskach i sowchozach można je jednak znaleźć?

Uśmiałem się szczerze, czytając, co napisał O. R[emigiusz]: „proszę nie nazywać siebie darmozjadem, bo tacy są kandydatami do Com[mune] Mart[yrum] lub Confessorum”. Boże mój! oni może myślą naprawdę, że mnie można nazywać pokutnikiem, kiedy jestem właściwie zwykłym niedołęgą, a przy tym mocno upartym.[[234]](#footnote-234)

„Trzeba się wznosić” - mówi ten franciszkański biskup, za którym usiłuję choć trochę postąpić od tego czasu, kiedy znalazła się w moich rękach jego książka o Alwerni. Ale jakże trudne to wznoszenie się, kiedy człowieka ogarnia marazm. Czy można sobie w takim Arszatyńsku stworzyć odpowiednie środowisko? A jednak zdaje mi się, że właśnie poprzez Arykty i Arszatyńsk idzie droga na Alwernię.

Dzisiaj czytam o pracy: praca na serio, praca wytrwała, szczera, radosna i sumienna jest cudownym twórcą dobrego środowiska. I właśnie dla pracy jestem w Ar[szatyńsk]u. Każdą chwilę trudu mogę uświęcić. A tymczasem Robert, ten który mnie widział u Gauertów, powiada, że jestem leniwy. Może to prawda.

**5 IX [1966].** Ta staruszka, u której wczoraj zakończyliśmy niedzielę, jest siostrą tego Antona z Krasnoarmiejska, który umarł śpiewając. Nigdy tego nie zapomnę, co mi opowiadał Georgij. Do ostatniego momentu śpiewał i to tak przytomnie, że poprawiał innych. Potem, po jego śmierci przychodzili do Pauliny z moją fotografią, podobno w kapłańskich szatach. Skąd mogli [ją] wziąć, kiedy ja się tak mało fotografowałem - jest dla mnie tajemnicą. Może to było to zdjęcie z pogrzebu X. Sam[olewicza], które mają w żytomierskich domach? Dość, że Paulina sprzedała dom i wyjechała. I oto niedawno przyszła od niej posyłka do Aleksandra w Arykty. Byłem zdumiony, że pamięta o mnie aż gdzieś w Syrdarskiej obłaści. Adres podały jej Rosa i Ania. A teraz znowu ta siostra jej męża, tak niespodzianie spotkana! Tak się wszystko splata i wiąże, bo oni są rozrzuceni na wielkich przestrzeniach, jak ptaki na wszystkie strony wyrzucone z gniazda. Przez parę lat byłem pomiędzy nimi jakby łącznikiem. Teraz jedni drugim podają adresy, dzięki czemu nie mogę nadążyć z odpisywaniem na listy. W ostatnich tygodniach przyszło chyba siedem paczek. Ostatnio z Szep[ietówki] od Wiktorii. Czy to nie było inspirowane przez Mik[ołaja]? Ale czemu on nie pisze? Zofia się skarży, że nie zachodził do niej, choć był w Zd[ołbunowie]. Jakaś niepokojąca zagadka, bo przecież chyba nie zapomniał.

Drugie źródło niepokoju - to te pieniądze, które Zofia wysłała nie wiadomo po co, a dotychczas nie przyszły. Na co mi one? Jestem tym balastem przytłoczony jak ten mityczny król z Krety, któremu wszystko zamieniało się w złoto. Ale dla nas to raczej błoto. Zazdroszczę tym, którzy mogli rozdawać, jak ten Wawrzyniec, patriarcha wenecki zadłużający się dla biednych. Prawda! To wszystko niemal z Messgeld, ale tym bardziej niepokojące, że życie niepewne. Coś się popsuło na czystym rysunku od ostatniego rentgena. Ta plamka nad trzecim żebrem to może odpowiednik krwi z nocy pożaru w Arykty? A jednak nie dają żadnego leczenia, tylko skierowanie do laryngologa. Co z tego wyjdzie?

**7 IX [1966].** Wczoraj rozpoczęło się w Równem czterdziestogodzinne nabożeństwo - i właśnie w tym dniu przyszła posyłka od Konrady. Zawsze ta Konrada: niespokojna, nerwowa, przez swoich podejrzewana, przez tamtych może wykorzystana, zrośnięta silnie z kościołem, jak jedna z tych płyt na podłodze, po których można deptać, ale jeśli się wyrwie, to powstanie szpetna dziura. Odżywają gwałtownie wszystkie wspomnienia: kościół przez trzy dni otwarty, pełen mistycznej ciszy, festony zwisające od szczytów filarów - Leon i Władek Sokół niemało się przy tym natrudzili - wreszcie ołtarz rzęsiście oświetlony, a nad nim z wysoka spoglądający Pan Jezus. Staraliśmy się przynajmniej dwanaście godzin spędzić wspólnie w adoracji i śpiewach. Przez resztę czasu trwała osobista audiencja u Tego, który ma zawsze cierpliwość wysłuchać choćby najnudniejszej prośby.

Od wczoraj przeżywam to wszystko na nowo. Zamiast ołtarza jest prosty stół na krzyżakach, a nad nim mały obrazek Jezusa błogosławiącego dziatki - to wszystko. Ale On jest tam sam. Nie mogę pomyśleć o tym bez wzruszenia. „W tej Hostii jest Bóg Żywy, choć zakryty, lecz prawdziwy” śpiewa lud, wznosząc oczy w górę ku złotej monstrancji, a ja słyszę te głosy z oddali, kiedy w drżących rękach w samotnej celi trzymam biały krążek. Poza białą zasłoną okna zaczyna się budzić codzienny ruch. Jakaś maszyna ciężko sapiąc przewaliła się ulicą w stronę kantory, ktoś przeszedł szybko, idąc do pracy. Nikt nie myśli o Tym, który i tam, i tu woła: „Pójdźcie do mnie”.

Siedząc przed koczegarką rozmawiałem z kolegą - nazywa się Iwan - o tutejszych ludziach. Prawie wszyscy przyjezdni są tu przysłani przemocą na określoną ilość lat. Bywało, że ktoś kończył swój termin - wtedy ofiarowywano mu sutą zapłatę (300 rb) i mieszkanie, żeby tylko pozostał. Nikt się nie skusił. Przyszło mi na myśl, że dawniej wysyłano na galery, potem w katorgi Sybiru - teraz jest trochę inaczej, ale zawsze ta sama niewola.

**8 IX [1966].** Wczoraj wieczorem chodząc po ugorach śpiewałem: „Zdrowaś Mario”; potem napisałem o tym do p. Heleny, ale dziś jest mi smutno. Rano nie odprawiałem, mając nadzieję, że pojadę, tymczasem w kantorze dyrektora nie było. Wieczorem zapijali pomyślne zakończenie żniwa, ale rano pojechał znowu. Szkoda, bo jest okazja: Bruno jedzie do Celin[ogradu], więc mógłby mnie zabrać i Urodziny Matki Bożej byłyby radosne. Czy nie chcesz tego, Matko?

**9 IX [1966].** Takiego odpustu jeszcze nie miałem.

**10 IX [1966].** Znowu Żenteke, ale jak trudno było się dostać! U Niny dowiedziałem się, że trzy maszyny jadą przez Celinograd do Atbasaru. Jedzie Bruno, Robert i jeszcze jeden Kozak. Robert zgodził się mnie zabrać, ale już w drodze wyjaśniło się, że jadą najpierw na fermę załadować zboże, a potem stamtąd jeszcze 160 km. Już się coś zaczyna zaciemniać horyzont: czy my jeszcze dzisiaj zdążymy choćby do rejonu. Po godzinie jazdy - postój. Tamci, którzy jechali naprzód przed nami, czekają na murawie z butelką, która wkrótce została wypróżniona. Biesiada przeciągnęłaby się dłużej, ale nadjechał główny agronom, więc trzeba było wszystko sprzątnąć. Zaczęliśmy się dalej kolebać w górę i w dół po pagórkowatej okolicy, której końca nie widać. Na skalistym, pofalowanym gruncie, który był może kiedyś dnem wielkiego morza, grają jesienne barwy: wypłowiała zieleń urozmaicona czasem krwawym pasem wrzosów. Z rzadka mijamy na pół rozwalone chyżyny czabanów. Gdzieś nad małą wodą kierdel owiec z pastuchem i czarnym psem owczarkiem. A oto czarne znane już kazachskie mogiły. Gdzie żyli ci ludzie, którzy tam są pochowani, kiedy wokół nie ma żadnych Siedliszcz?

Po prawie dwugodzinnej mozolnej jeździe z przyczepą daleko na horyzoncie ukazał się jasny, prawie biały pas rżyska. Jedziemy już równą, jakby wyasfaltowaną drogą wśród nieprzejrzanych pól, po których wczoraj jeszcze pełzały jak wielkie żuki - kombajny. Zmiętoszone ogromnymi zębcami barłogi słomy znaczą ich niszczący pochód. Arszatyńscy odznaczyli się, że żniwa zakończyli najwcześniej. I oto jesteśmy na fermie. Na boku w czworobok złożone zwały zboża. Mechaniczne zsypaczki zaczęły pracę, która jednak posuwa się leniwo. Godzina mija za godziną. Wreszcie skrzynie maszyn pełne i można jechać, a już najwyższy czas, jeśli mamy zdążyć przed północą. I wtedy pokazuje się, że maszyna Roberta nie w porządku. Długo naradzali się, szukali, próbowali - wreszcie stanęła decyzja: trzeba nocować. Im to łatwo było powiedzieć, ale mnie się serce ściska - taki dzień stracony! Dobrze, że przynajmniej w międzyczasie odmówiłem nieszpory.

Rano uprzejma gospodyni, która ustąpiła nam izbę w baraku, pytała mile, czy nas nie gryzły pluskwy. Nie, zresztą co to znaczy, byle prędzej jechać, bo trzeba wreszcie odprawić Mszę św. Robert mówi: tamci pojechali wcześniej, a my pojedziemy pomaleńku,. Mała pociecha. Jechaliśmy rzeczywiście nieskoro i dopiero po godzinach jazdy pokazały się jakieś zagrody - ferma somalińskiego kołchozu. Do samego sowchozu dojechaliśmy już około dziesiątej. Maszynę naprawiono i dalszych 90 km można by jeszcze zrobić do południa, gdyby nie... Za wioską rozłożyli się do śniadania. Był tylko suchy chleb z masłem. Ale na nieszczęście nadjechała jakaś znajoma maszyna, ktoś coś poradził, zaszli do jakiejś i wyszli rozpromienieni z butelkami. Parę kilometrów za wioską zaczęła się biesiada. Tego już było za wiele. Przesiedziałem tę sporą godzinę w kabinie, jak na mękach. Gdybym umiał, mógłbym kląć, ale takie to już było zrządzenie, żeby wypróbować cierpliwość. Do rejonu zajechaliśmy już po drugiej. Niewiele czasu pozostało do odprawienia autobusu, ale jesteśmy już razem w sporej gromadce.

Salve Sancta Parens[[235]](#footnote-235) - rozpoczyna się Msza św. i odpust choć trochę spóźniony. Boże mój, jak dobry jesteś. W głowie mi szumi, serce przenika jakiś ostry ból, ale w duszy rozlewa się radość, że przecież możemy uczcić Najlepszą Matkę przy Jej Narodzinach. A ja myślę przy tym o mojej Marysieńce.

**11 IX [1966].** „Póki czas macie”. Przy młodzieńcu z Naim nie trzeba myśleć o śmierci. Młody może umrzeć, lecz stary musi - tak stało dużymi literami wypisane lapidarne zdanie w „Wieczornej gwieździe” (Abendstern) Rosy.

Mnie zaczynają traktować jak chorego. Mam już cały szereg karteluszków, gdzie przed moim nazwiskiem stoi znaczące: b-noj.[[236]](#footnote-236) Najpierw to skierowanie do terapeuty, gdzie przez pomyłkę wliczono mi całych 60 lat. W rejonie dano mi polecenie do laryngologa w mieście, z czego się cieszyłem, że będę miał sposobność tam pojechać. Trzeba pecha, żeby wczoraj ta lekarka przyjechała do Kurgaldzino. Zaordynowała zastrzyki i jakieś tabletki, a najważniejsze, że kazała się potem stawić na komisję. Znaczy to, że znowu mogę mieć nadzieję na kilka dni wśród wiernych. Czy to nie Tobie zawdzięczam, Matko, że się tak dzień po dniu układa jak kamyczki w mozaice, ostre obok gładkich, w jeden ręką mistrza tworzony obraz? Jutro dzień Twoich Imienin - ale jeszcze dziś wieczór będziemy patrzeć na Ciebie, jak idziesz płacząc za marami dziecka. Ile to ich jest, tych, których opłakujesz, a my nic Ci pomóc nie możemy.

**12 IX [1966].** „Imię Twe, Mario, litością słynie”. Tak mi już tęskno za naszą rodzimą pieśnią. Dziś mówiłem Niemcom o królu Sobieskim, ale co oni rozumieją z tego, co jest naszą narodową dumą. Może więcej znaczenia ma to, że żyjemy wśród muzułmanów, którzy zaszli aż pod Wiedeń. Teraz my z ewangelią wdarliśmy się w głąb ich ojcowizny. Trzeba podbijać mieczem miłości i modlitwy wyznawców Proroka i kłaść ich do stóp Miriam. Ale słabi i nędzni jesteśmy: „My tacy biedni, kiedyśmy sami” więc nie chcemy być samotni - zawsze z Tobą i przy Tobie, o Matko! Jestem trochę niespokojny, co mnie czeka w Arsz[atyńsku], ale serce pełne wdzięczności za łaski ostatnich dni. Czy można pragnąć jeszcze więcej. Opiekują się mną jak dzieckiem. Antoni mnie wczoraj przywiózł, a dzisiaj odprowadził na aeroport. Mam wiele czasu do odlotu. Niedaleko znajduje się cmentarz. Jestem na cmentarzu kurgaldżyńskim, który tym się różni od aryktyńskiego, że jest trochę większy i więcej zapuszczony. Leżą połamane krzyże na grobach, o które nikt nie dba. Ale też spotyka się curiosa: na dole gwiazda a na szczycie krzyż lub też na odwrót - gwiazda na szczycie krzyża - jakby przysłowiowa świeczka i ogarek.

**13 IX [1966].** Jak dziwnie sprawdzają się przeczucia. Wczoraj przy moich drzwiach zastałem kłódkę. Skąd się wzięła? Zjawia się sto myśli: rozbili mieszkanie, może mnie szukali? Ten milicjant tak podejrzliwie wypytywał w aeroporcie, dokąd jadę, a potem pilnowali, czy jadę istotnie do Kon Kocku [?] - a może jeszcze co innego? A to byli moi braciszkowie z Sz[ortandy], którzy nie żałowali trudu, żeby w tym dniu i mnie, i siebie pocieszyć. I oto byliśmy jeszcze na zaprawie, kiedy oni przylecieli, Bruno ich widział, ale nic nie powiedział. Czemu tak się stało? wciąż pytam i nie mogę znaleźć innej odpowiedzi, jak tylko, że trzeba było nas doświadczyć, i ich, i mnie. Może za wiele byłoby ludzkiej pociechy?

Nawieźli znowu wszystkiego, a prócz tego płytkę [maszynka elektryczna] i różne drobiazgi. Władzia pamiętała nawet o miotle. Ale kiedy patrzę na to, żal mnie nie opuszcza. Czy jeszcze kto zaryzykuje tę niepewną podróż?

**16 IX [1966].** Już dwie godziny błądzę po zaroślach i nie mogę znaleźć zagubionej myśli. Bo cóż tu będzie najważniejsze? Czy to, że w sam dzień Krzyża Św., kiedy miałem zamiar snuć wspomnienia o odpustach, zjawił się niespodzianie Sasza i dał mi marszrut na leczenie w dniach, które sam wybrałem. Była to reakcja na moją żałobę i powinna mnie ucieszyć, tymczasem niespodzianie zjawiła się przygnębiająca myśl o niewoli. W przepustce wyraźnie wymieniono: stąd-dotąd i nigdzie więcej. Nawet do Żenteke nie będzie można skoczyć. Ten Sasza usiłuje grać rolę dobrodzieja, w gruncie rzeczy krępuje, jak może. W każdym razie jutro może będziemy czcić Stygmaty razem z Georgijem, jeśli przyjedzie. Co jeszcze ważne: listy, posyłki? Znowu dwie paczki: z Korca i od Anny. Teraz już starali się przysłać coś trwałego. Olewsk przypomniał się grzybami. Marysia powściągliwa, jakby nic nie zaszło, ale czuje się głęboki smutek. Waleria pisze o śmiejących się jabłuszkach i kogucikach na Marysinym podwórku. Ale oto dzisiaj Georgij przysłał listy od Mikołaja i Albina. Żaden nie wie jeszcze o Arszatyńsku.

Słońce zachodzi, a ja jeszcze nie wpadłem na trop. Bo to wszystko jak porwane nitki, które się dalej nie snują... może dlatego, że ma się coś zacząć na nowo?

**17 IX [1966].** I oto nareszcie coś, coś jak silny impuls nadaje myślom kierunek. Dziś od rana byłem pod wrażeniem wyjazdu. Parę razy zaglądałem do kantory, czy nie ma dyrektora. Spora gromada ludzi  
oblegała buchalterie - pewnie to dzień zapłaty - ale biuro dyrektora było puste. Mając marszrut w kieszeni niewiele o to dbałem. Trzeba zrobić porządek na parę dni, żeby zapasy do reszty się nie zepsuły. Jak to dobrze właściwie nic nie mieć - przypomina się przepis Konstytucji, żeby nie robić zapasów. Albin pisze, że mają cośzmienić - czyżby i to? Chłopcy w sąsiedniej izbie dziwili się, kiedy im rzuciłem parę jabłek. Dostały też i dzieci Niny, choć Bruno zakazuje je rozpuszczać. Klucz zostawiłem u niej i ostatnie auf Wiedersehen - nie do swidania, bo oni tacy Niemcy.

Bagina zapytała o sprawkę i bilet dała. Samolot zamiatał jeszcze skrzydłami, kiedy nadjechała maszyna. Nie zwracałem uwagi, stojąc w kolejce, że z maszyny wysiadał przysadkowaty jegomość, który już raz mi się przedstawił jako główny agronom. Jakież było moje zdumienie, kiedy trąbiąc do prawego ucha, na które zresztą nic nie słyszę, powiedział, że bez pozwolenia nie wolno mi jechać. Dumnie dałem mu marszrutny list, będąc pewnym konfuzji, ale i to nie poskutkowało. Powiedział, że lekarze z Celinogradu będą w tych dniach w sowchozie, znajdą więc chorobę na miejscu. Samolot zatrzepotał skrzydłami i z chimerycznym śmiechem motoru ruszył kręgiem po murawie, by za chwilę wznieść się w górę. To już drugi raz ordynarnie mnie wyśmiał.

Trudno mi skupić myśli - a przecież czeka droga na Alwernię, właśnie jeszcze dzisiaj w samotności. Trzeba rozłożyć na nowo spakowane szaty, przykryć stół splamionym obrusem, zapalić świeczki w zardzewiałych, czarnych rurkach - w uszach bije jak młotem - czy serce mi nie pęknie? Bracie Leonie, owieczko Boża, gdzie jesteś? Wszak i na Alwerni nie było samotności?

Jak mogłem choćby na chwilę zapomnieć, że Ty pocieszasz w strapieniach, a jeśli wkładasz brzemię, to jest ono lekkie i łagodne. Jedna chwila Twojej obecności wynagradza wszystko. Teraz myślę sobie, że ten szepleniący Kozak działał też z Twojego polecenia.

W czasie Mszy św. ktoś pukał do drzwi, a za ścianą słychać było hałasy szurgających nóg. Ciekawe zestawienie, tu Kalwaria i Alwernia, a tam tańce i zabawa. Pod jednym dachem Jezus i Belial czy Satyr.

**18 IX [1966].** Czy to był przypadek, że właśnie w czasie podniesienia zapłonęła jasnym blaskiem nad moim ołtarzykiem lampka? (Nasze dynamo pracuje, kiedy chce). Od razu zapanował uroczysty nastrój parafialnej sumy. Już nie jestem sam. Równe, Zdołbunów, Korzec - wszystko się skupia w adoracji. Taincza, Szort[andy], wszystko. Kazałem im w każdą niedzielę brać udział w naszym wspólnym misterium. Wołam do nich poprzez tysiące kilometrów: „Proszę was, abyście nie upadali na duchu w moich uciskach za was - tak za was - mogę to jeszcze raz powtórzyć i to jest właśnie chwała wasza”. Ale tych ostatnich słów sam dobrze nie pojmuję: czy chwałą tego ludu rozrzuconego na ogromnych przestrzeniach może być, że skupia się w żarliwym memento jakże niedołężnego pasterza? A przecież, choć na ostatnim miejscu, ale jednak jesteśmy zaproszeni na Gody. Czy przyjdzie kiedyś gospodarz i powie „posiądź się wyżej? Z psalmistą proszę duchem uniżonym: „Tyś mnie, o Boże, uczył od młodości mojej, więc też i na starość, aż po wiek sędziwy nie opuszczaj mnie, Boże”. A jednak - starość. Znowu biorę w rękę Morstinową.

**19 IX [1966].** „Iustorum animae in manu Dei sunt”[[237]](#footnote-237). Dzisiaj po Komunii św. przyszło mi silne przeświadczenie, że Bóg mi dlatego wszystko odbiera, żebym wreszcie zrozumiał, że On jest dla mnie wszystkim. Napisałem szczerze do o. R[emigiusza]: te godziny ranne wynagradzają mi wszystko. Tylko, że teraz jestem tak ociężały. Zaledwie przed siódmą wstaję. Msza św. nie może być wcześniej jak o ósmej, a i tak z rozmyślaniem trzeba się spieszyć. Zresztą jak się ono odbywa? Zwykle łapię jakieś zdanie i wałkuję je na wszystkie strony. Dzisiaj np. cieszyłem się, że św. Paweł każe rozbudzać wspomnienia przeszłości: „Wspominajcie dni dawne”. Jest to jakby aprobata moich „Strzępów” przynajmniej w tym, co się odnosi do „wielkich potyczek, utrapień” - już to, gdyście na zniewagi i uciski jawnie byli wystawieni przypomina się hitlerowskie więzienie, potem tułaczka - Już to, gdyście się stali towarzyszami podobny los cierpiących. Bo i z więźniami cierpieliście pospołu, i grabież majętności waszych przyjęliście z weselem (tylko książek im nie daruję), wiedząc, że macie majętność lepszą i trwałą”. Potem to samo, co mi R[emigiusz] wciąż powtarza: „nie traćcież tedy ufności waszej, która ma wielką odpłatę”. Wreszcie najważniejsza nauka: „cierpliwość bowiem jest wam potrzebna, abyście czyniąc wolę Bożą, dostąpili obietnicy”. Bo jeszcze chwila niedługa...

Trudno wyczerpnąć wszystkie soki żywotne z tych słów, jakby do mnie zwróconych w ciągu kilkunastu minut, jakie jeszcze pozostają.

**21 IX [1966].** Parę dni trwał u nas jakby karnawał. Za moją ścianą rozlegały się śpiewy, krzyki, tańce do późnej nocy. Dziewczęta w roboczych gimnastiorkach, chłopcy na pół lub zupełnie pijani używali pełnej swobody. Z przykrością patrzyłem, jak jakiegoś ciągnęli koledzy na pół przytomnego. Moje drzwi otwarły się nagle z trzaskiem i na środek izdebki runął jakiś nieszczęśnik dobrze podchmielony. Zaledwie zdążyłem ochłonąć z przykrego wrażenia, kiedy rozległo się natrętne pukanie do drzwi. Tym razem było już coś innego. Człowiek jeszcze stojący na nogach zaczął się żegnać po prawosławnemu i prosić o błogosławieństwo czy list do żony, bo jutro wyjeżdża. Odbył 7 lat i wraca. On z pochodzenia Rumun ona Niemka. Nie wiem dokładnie, po co przyszedł. Może się pożegnać. W każdym razie wie, kim jestem. I nie on jeden.

Wczoraj sąsiadka Niny prosiła, żeby ochrzcić dziecko - tę dziewczynkę, której dałem jabłka, czekając na samolot. Nazywa się Szołudko tak, jak „Mała” Zosia. Zainteresowała się, kiedy zobaczyła to nazwisko na mojej posyłce. Dziecka naturalnie ochrzcić nie mogę, bo prawosławne, ale była to pierwsza rozmowa religijna. Dziewczynka urodziła się w Żółkwi, ale nie można było ochrzcić bez pisemnej zgody ojca. Matka umie tylko Ojcze Nasz; prosi, żeby ją nauczyć więcej. Niny mała też nie ochrzczona. I takich jest pewnie więcej.

Przypominają się słowa P. Jezusa na uczcie u Mateusza: „Nie potrzebują zdrowi lekarza”. Ale co dla nich możnaby zrobić? Może teraz w dobie ekumenizmu nie uwzględnia się wszystkich przegród. Może na takim terenie jak tu lepiej się uświadamia, że jest jeden Chrystus, którego oni i tak nie znają, a chrzczą dzieci dlatego, że są jakieś niespokojne, chorowite, a nie ochrzczonych nie można prowadzić do babki - i to wszystko.

Odwiedził mnie dziś także w mojej izdebce dyrektor sowchozu. Przedtem zwymyślał, że nie pracuję i samowolnie rozjeżdżam. Zabrał marszrutny list. Nie wiem, co dalej będzie, ale jest mi to jakby obojętne. Już drugi dzień ryję się w „Kopcu wspomnień”. Zacząłem naturalnie od Bodnickiego. Pamiętam go z rozmów na temat jakichś psychicznych zboczeń, no i z okazji „Wzlotu”[[238]](#footnote-238), do którego dał wierszyk. Szkoda, że zmienił „idealistyczny pogląd na świat”, nie wiem w jakiej mierze.

Listy przychodzą teraz codziennie. Marysia widzi „postać mizerną, może głowę zbolałą, serce osłabione”. Nie pomaga „robiono humor. Drugi od Wiktorii.

Dziś wieczór zapadł cichy i głuchy. Po młodzieży i zabawach zostały tylko powybijane okna i kupy śmieci. Jakby na znak jakiejś żałoby zastrajkowało dynamo i światła nie dają. Na niebie zawisła czarna chmura.

**23 IX [1966].** Ale deszczu nie było ani wczoraj, ani dziś. Wczorajszy silny wiatr nie pozwolił na dalszą przechadzkę. Przez powybijane okna i pootwierane na przestrzał drzwi baraku hulał szalony przeciąg i pewnie temu zawdzięczam, że dziś kucie młotów o kowadła w prawym, a odgłosy syreny w lewym uchu nie ustają cały dzień. Dopiero na powietrzu nieco się uspokoiło i mogłem odczytać jutrznię z ewangelią o niepłodnej fidze. Tutaj nie ma nawet najlichszego drzewka tylko gdzieniegdzie kępa krzaków lub jakieś białogłowe osty, a zeschła ziemia pokropiona jakby kropelkami ciemnej krwi. Są to drobniutkie kwiatuszki uczepione zeschłych gałązek wrzosu. Wracam do domu z całą ich wiązanką myśląc po drodze o krwawej wizji, którą przypomniał „Kopiec”. Oto na pociąg pełen uciekającej w popłochu ludności padają niemieckie bomby. Parę wagonów rozbitych zatrzymuje cały eszelon. Wszystkim grozi zagłada. Wtedy ktoś idzie prosto w ogień, pod gradem oskołków wciska się pomiędzy płonące wagony i pada zraniony - ale odczepione wagony ruszają naprzód spod linii ognia - setki ludzkich istnień ocalone krwawą ofiarą ks. Mariana Luzara. Na rówieńskim cmentarzu leży prosta kamienna *płyta* z nagrobkiem, na którym jest tylko nazwisko i data 1939. Dzisiaj czytam we wspomnieniu J. A. Grzesiaka drużynowego 13 Harc[erskiej] drużyny: „zostaliśmy przyjęci do plutonu prowadzonego przez Mariana Luzara”, a w przypisku: „Późniejszy Naczelny Kapelan ZHP”.

Warto grzebać w „Kopcu wspomnień”.

**24 IX [1966].** Letowoczne! Byłem tam zaledwie jeden raz, a jednak pamiętają. Dziś przyszła stamtąd posyłka tym cenniejsza, że oni przecież też te okazałe jabłka skądś dostali. Ten posiołek był przez długi czas niedostępny, jak niezdobyta twierdza, a przecież byli tam staruszkowie spragnieni Boga. Bali się W[...]o, a raczej własnego cienia, jak wszędzie. Trzeba było dzielnej Stasi, żeby utorować drogę. Już nie pamiętam, jak się nazywał ten ciężko chory, dla którego trzeba się było narazić nawet na ryzyko. Jakaż była jego radość, kiedy wreszcie ujrzał księdza. Potem zeszło się kilkunastu chorych, ślepych, kalek, jakiś nawet głuchoniemy. W małej izdebce był dla nich po wielu latach kościół. Musieliśmy wszystko odprawić w ciągu kilku godzin, ażeby odjechać autobusem. Był to jeden z niezapomnianych dni, które wiązały się w długie miesiące i lata. I może to jest właśnie ta pociecha, której oczekiwałem jakimś tajemniczym instynktem, że przecież musi przyjść.

Wieczór był łagodny i cudownie piękny. Orientacyjna wieża rysowała się w pomarańczowej łunie zachodzącego słońca, jak krzyż na Golgocie. Błądząc po wyschłych ugorach śpiewałem litanię. W powrotnej drodze znalazł się przypadkiem cmentarzyk. Nic dziwnego, że długo na próżno szukałem krzyżyka. Leżał wraz z innymi powalony na ziemię. Czy to zrobił ten silny, przedwczorajszy wiatr, czy jakaś inna zła moc? Trzeba go na nowo postawić i mocno utwierdzić. I znowu rodzi się jakieś fantastyczne marzenie: na tej niewdzięcznej kamienistej glebie zatknąć krzyż, choćby tak skromny i maleńki, jak ten, który na spiżowej kolumnie umieszczam na ołtarzyku w czasie Mszy św. Dziewczynka Szoludka była dziś u mnie i dałem jej parę jabłek. Może ta mała to pierwociny czegoś, co Bóg zamierza?

**25 IX [1966].** „Proszę Was - ja więzień w Panu”. Przyszła mi myśl pisać listy w duchu Pawiowym: przede wszystkim do Tainczy, ale niech się rozchodzą wszędzie. Teraz mogę im więcej powiedzieć niż przedtem. Może to być dalsza służba Boża. Dziś rozpoczyna się nowenna do św. Franciszka. Na szczęście uratowali przed grabieżą i przywieźli świetne dzieło Cuthberta. Właściwie dotychczas żadnego z życiorysów nie doczytałem solidnie do końca. Swego czasu zachwycałem się Joergensenem, miałem w rękach Sabatiera, w naszej krakowskiej bibliotece czytałem albumowe dzieło francuskie, ale może dopiero eseje Ewy Zarębiny o „Zakochanym w Miłości” rozbudziły zażenowanie, że tak mało znam Ojca w Jego najgłębszych przeżyciach.

Nowennę będziemy odprawiać wspólnie, choć rozdzieleni przestrzenią - oni tam razem z brewiarza, jak w ubiegłych latach, a ja sam jeden z pamięci „Coelorum candor splenduit”[[239]](#footnote-239).

**27 IX [1966].** Dzisiaj - zdaje się po raz pierwszy w życiu kapłańskim - odprawiałem o świętych lekarzach Kosmie i Damianie. Dotychczas ich miejsce zajmował w naszej liturgii szlachetny tercjarz Eleazar. Teraz przywrócono im poczesne miejsce - może dlatego, że byli Arabami? Święci również przeżywają swój renesans.

Nasz Kosma miał też coś z Araba. Tak mi się zdaje, choć Arabów - raczej Beduinów - znam tylko z młodzieńczej lektury Maya. Niski, krępy o twarzy pociągłej i śniadej podobny był raczej trochę do Tatara, ale w rzeczywistości był góralem, gdzieś podobno od Maniowych. Kapucyni mało posługują się nazwiskiem zwykle przy imieniu zakonnym kładzie się miejscowość, skąd pochodzą. O. Kosma był znany z pełnego nazwiska: Lenczowski może dlatego, że był kapelanem I Brygady Legionów, wszędzie znanym i wspominanym. Jego niepokaźna figurka w legionowej maciejówce figuruje we wszystkich albumach z tamtych czasów. Zetknąłem się z Nim po raz pierwszy w czasach gimnazjalnych. Przybył on do nas prawie razem z Aleksandrem i tworzyli ze sobą nierozdzielną dwójkę nawzajem się uzupełniającą. Przypominają się Pat i Patachon, ale to porównanie nieprzystojne. O. Aleksander - wysoki, trochę zrzędny i surowy; O. Kosma - mały, niepozorny, ale chwytający za serce dobrocią i nieskrępowanym humorem. Obaj bywali w naszym domu na Mirtowej. Była wielka radość, kiedy który z nich zagościł, a większa jeszcze, kiedy przyszli razem. Zawsze było wiele do opowiadania. O. Chmura miał stały temat, który go absorbował: budowę kościoła i klasztoru. Cieszył się, jak dziecko, kiedy widział, jak mury rosną.

Kosma poświęcał wiele czasu mojemu przygotowaniu do zakonu i kapłaństwa. Wtajemniczał mnie w zawiłą naonczas kazuistykę brewiarza, zaznajamiał ze zwyczajami zakonnymi. Po moim wyjeździe do nowicjatu pozostał nadal przyjacielem rodziny. Dzielił ich smutki i radości, odwiedzał w chorobie. Kiedy miałem wydać w Krakowie ów jedyny „jubileuszowy” numer „Wzlotu” jakoś nawinął mi się były legionista Holaender - pewnie Żyd - z fotografią legionową o. Kosmy. Numer miał być poświęcony naszemu życiu zakonnemu, toteż wspomnienia kapucyna-legionisty były na miejscu. Ostatni raz widzieliśmy się przy zjeździe legionowym w sierpniu przed wojną, ale wtedy był zaangażowany przez swoich byłych kolegów. Coś jak przez mgłę przypominam sobie, że przysłał pozdrowienia na mój 25-letni jubileusz, a potem wzywał do powrotu. Nie wiem nawet, czy mu w dniu pogrzebu grały surmy legionowe?

Dziś, a raczej wczoraj wieczora, wspominanie drogiego przyjaciela ciśnie się gwałtownie pod pióro. Zdaje mi się, że gdyby żył, poruszałby wszystkie sprężyny, żeby mnie wyzwolić. Ale spoczywa już od kilku lat na rakowickim cmentarzu w gronie braci.

**28 IX [1966].** Wczoraj wieczorem znowu nie było światła, a na dodatek przyszedł ten nieszczęśliwy pijaczyna z pobożną miną, którego koledzy przegnali, aby szedł do „katolika”. Jest to trochę niewyraźna figura - niby Niemiec o ruskim nazwisku. Ale musiałem go przyjąć i na parę dni stracić spokój. Tymczasem tyle nagromadziło się materiału, który należy uporządkować, jakby to było coś ważnego. Dla mnie teraz wszystko wydaje się ważne? Nawet to, że do sąsiedniej pałaty w naszej ruderze zaszły dwie krowy i w najlepsze wyciągały siano z łóżek. Teraz jestem jakby w zaczarowanym kole: Letowaczne, Astrachanka, Szort[andy], Drohobycz, Stryj, [...?], Zwiahel, no i co jeszcze: Szepietówka, wreszcie Arykty - wszystko to wywołała na ekranie pamięci wczorajsza poczta i nie mogę ochłonąć z nadmiaru wzruszenia. A więc Jadwiga szukała mnie w Stalingradzie [obecnie Wołgograd]! Nie, to chyba pomyłka, ale jaka szkoda. Znowu jakiś chochlik wlazł w drogę. Coraz jaśniej widzę, że droga do mnie zastawiona przez jakieś tajemnicze dobre czy złe moce. Do Georgija napisałem: „widerwastige Macht”. Jeśli chodzi o tego Kozaka z agronomii wygląda to zbyt patetycznie, ale on jest tylko ogniwem w łańcuchu. I jak to długo będzie trwało? Hela pisze, że Antoni robił jakąś dobrą nadzieję, nie wiadomo na czym opartą. To samo lubi powtarzać Roman -ale mi się zdaje, że więcej realizmu wykazuje Józia, która pisze po prostu: tyle lat... A potem to frapujące pytanie: za co? Ja już go nie stawiam. Wiem, że w ich rozumowaniu było za co i to właśnie podtrzymuje siły ducha. Bo ciało słabnie coraz bardziej, jak zwykle bywało w bezczynności.

Miałem rozmowę z dyrektorem - z czego właściwie mam żyć i jak? On właściwie też nie wie. Ale coś mruknął wrogo, czego nie zrozumiałem.

Kurt - tak kazał się nazywać ten Mikołaj, mój lokator -wyjechał w gwałtownym tempie. Ledwie miałem czas dać pismo do Rydwanieckich i [jego] żony w Rużajewce. Zostawił mi w podarku koc, a czapkę zapomniał. Byłem z nią na aerodromie, ale samolot ruszył. Toteż zostanie mi pamiątka. Czemu mi tak ciężko? Może dlatego, że mój drugi sąsiad z Mińska wyjechał na urlop całomiesięczny? a mnie kiedy puszczą?

Św. Michale Archaniele, broń nas w walce! Już dzisiaj chronię się pod potężne skrzydła Niebieskiego Księcia. Pierwsze nieszpory odśpiewałem na polach, a duchem przenoszę się na Skałkę. Coś niewyraźnie przypomina mi się kazanie ks. Machaya. Ciekawe, że właśnie dziś przyjechała szukać tu pracy Michajłowa, której mąż Michał spalił się dwa miesiące temu na motocyklu, a ona jutro obchodzi urodziny. Gdyby była wierząca, uważałbym to za zbieg okoliczności, ale nic o tym nie wiem.

**29 IX [1966].** Jednak zapomniałem jej powinszować, choć przyszła i wyprawiłem ją samolotem z listem do rejonu. Po co ja tym ludziom głowę zawracam? Zresztą ta prośba o zaświadczenie lekarskie nie ma najmniejszego sensu - jest tylko dowodem mojego niepokoju.

Jestem prawie zadowolony, że dzisiaj poczty nie było. Tyle czeka nie załatwionej korespondencji. Przede wszystkim do Słowianki. Choć tam nigdy nie byłem, przysłali mi paczkę z listem jakże rozkosznie rozpoczętym: Kełoń sai lesus Kristus. Ktoś by myślał, że to co najmniej esperanto albo język Hotentotów. A to zrobiła mi niespodziankę Paulina, żona owego Antona, który umierając śpiewał. Jest to fakt tak niezwykły, że nie wstydzę się go powtarzać przy każdej sposobności. W rejonie jest też staruszka Doepperschmiedt, której brat Antoni umarł, a miał żonę Paulinę. Wszystko się zgadza - myślałem, że to jedna rodzina. Tymczasem nie mają ze sobą nic wspólnego. Tamta Paulina żyje w Karagandzie, podczas gdy moja dobrodziejka w Słowiance Syr-Darskiej obł[asti].

Czeka też Astrachanka z Anną na czele. Jej mąż nawet nie chciał mnie widzieć, a ona prawie płakała. Zresztą wspomnienia ciekawe i różnorodne wymagają osobnej karty.

Wreszcie - Rychalsk. Może dzisiaj poszli na odpust do Michałówki. Nie! tam Aniołów Stróżów w niedzielę. Ks. Koziński gotów mi odstąpić tę parafię (pisze Roman). Co za wspaniałomyślność.

Mam też ochotę napisać do Aktfiubińska], ale na to wszystko nie wystarczy nocy. A jeszcze trzeba na chwilę przenieść się do Portiunkuli. Przy nowennie szukam porównania z życiem pierwszych braci - i trudno mi znaleźć. Bo próbuj tu w sowchozie żyć z użebranej jałmużny lub z pracy, kiedy jej nie dają. A z drugiej strony ta absolutna samotność - chyba oni byli szczęśliwsi, żyjąc zawsze razem.

**30 IX [1966].** Przedziwna rozmowa św. Hieronima z Dzieciątkiem Jezus przypomniała mi się spontanicznie po Komunii św. Jezus żądał ofiary. Cóż Ci dam? pytał starzec, czy moje umartwienia, posty, niespania? Nie, daj mi swoje grzechy, abym je zniszczył.

I ja też pytam, cóż Ci dam, o Jezu? Czy to wygnanie, samotność, ucisk serca? Czy moje niedołęstwa, roztargnienia, rozproszone myśli? Zdaje mi się, że się ze mną dzieje podobnie, jak z tym chlebem, który zastałem po owej wizycie z Szort[andy]. Był biały, słodki, prawie świeży. Po kilku dniach zaczął pleśnieć od zewnątrz, a teraz pleśń wżarła się do wnętrza i niszczy sam miąższ. Już dwa miesiące minęło od widzenia się z Georgijem (raczej Juryjem) w Dż[angiz] K[uduku]. Jak to długo jeszcze trwać będzie to pleśnienie. Na Antoniego też nie można liczyć. Weź, o Jezu, moje grzechy i zniszcz.

Dziś od rana myślę o tym chłopcu z Małego Hołoska (Janek czy Franek, już nie pamiętam - chyba Lonia), który wstąpił do nowicjatu, kiedy ja już byłem po święceniach - a teraz jest prowincjałem. Zazdrość? Gdzie tam! Patrzę tylko ze zdziwieniem na ten ogromny szlak drogi, który przebyliśmy - on i ja w tak różnych kierunkach. Stosunkowo niedawno - pewnie dwa lata temu była u niego p. Józia. Prosił, żeby odszukać jego rodzinny grób na hołoszczańskim cmentarzu, ale nie odnalazłem, choć chodziłem długo. (Teraz i nasza mogiłka będzie zaniedbana, chyba, że Zosia i Sawkowie będą doglądać).

Wyobrażam sobie nasze ewentualne powitanie w Krakowie lub Rozwadowie. Może mieć pretensje, że go nie posłuchałem, kiedy polecał powrót. Uważałem, że jest to polecenie - nie nakaz, bo w tym sensie napisał pewnie w porozumieniu z Nim Albin: Jeśli uważasz, że jesteś konieczny lub pożyteczny”... Teraz nie jestem ni jednym, ni drugim, ale wtedy myślało się inaczej i przeżyło jeszcze rok. Dziś Hieronim rozjeżdża maszyną (o tempora!), angażuje Marysię do obuczania nowicjuszów (też to trochę dziwne w stosunku do przeszłości), a ja chodzę po arszatyńskich wzgórzach. „Dziwne sprawy Pańskie”.

Druga dzisiejsza wycieczka w przeszłość: do św. Antoniego na Łyczaków. Tam był też Hieronim, nawet za przykładem Patrona zatopiony w Piśmie św. Tylko, że zamiast do Betlejem trafił do - Norylska, zresztą nie na długo. Jego dzieje są dowodem zmienności losu. Proces był głośny w całym Lwowie i „Zapadnej” [Zachodniej Ukrainie] - wyrok surowy, a jednak obecnie już na dalekim Zachodzie pracuje i niepokoi. „Tempora mutantur”, ale czy na tym można budować nadzieję? Ze wzruszeniem czytam dzisiejszy psalm: „zbudź potęgę swoją, a przyjdź, abyś nas zbawił”.

*Boże, okaż łagodne oblicze, abyśmy byli wolni.*

*Oto karmisz nas chlebem łzawym, poisz obficie płaczem.*

*Staliśmy się pośmiewiskiem - szydzą z nas nieprzyjaciele.*

A dalej wspomnienie, jak to było dawniej błogo, kiedy winnica rozrastała się pięknie od Jordanu aż do morza, a teraz - „czemu zburzyłeś jej płoty i dzikie świnie ją pustoszą?”

I naraz jakiś zwrot osobisty: „wyciągnij rękę nad mężem prawicy swojej, nad synem człowieczym, którego umocniłeś sobie”. Niewątpliwie jest tu odgłos mesjański, ale czy tej prośby o wyzwolenie nie może powtarzać zwykły śmiertelnik? „Okaż łaskawe oblicze” i „zbaw nas”.

**1 X [1966].** „Radowali się, że mogli zelżywość cierpieć.” Te słowa jeszcze w czerwcu napisał mi o. Świątek, pragnąc mnie pocieszyć, a dzisiaj znalazłem je znowu w „Naśladowaniu”. Ale mnie trudno się cieszyć. Mimo woli zjawia się natrętna myśl, z pewnością nic nie uzasadniająca, ale budząca niepokój: wszakże Oni byli razem, krzepili się nawzajem i umacniali - a tu ta hermetyczna samotność, która jeszcze się wzmaga, bo wszędzie widzi się obce twarze albo zgoła pustki. Bywają dni, że ani jednego słowa nie ma do kogo przemówić. Wtedy jedyną pociechą przenosić się w przeszłość, przypominać drogie twarze, rozmowy, przeżycia, albo lepiej jeszcze - uświadomić sobie, że i teraz tam gdzieś daleko bracia wspominają, modlą się, niektórzy współczują.

W kalendarzu Remigiusz następuje po Hieronimie, ale w naszej Prowincji było odwrotnie. Remigiusz wyprzedził w prowincjalstwie Hieronima na kilka lat poprzez Alojzego[[240]](#footnote-240). Wysoki, postawny, powściągliwy w mowie miał w sobie jeszcze jako kleryk coś zagadkowego. Zawsze miałem wrażenie, że czegoś niedomówił. Nie pamiętam doprawdy, czy został wyświęcony przede mną czy po mnie - w każdym razie był starszy - na rok czy dwa. Potem był związany z Ostrogiem i właściwie to jest najważniejsze w moich wspomnieniach. Choć wtedy nie miałem z nim styczności.

Jadwiga opowiadała niemal z uwielbieniem o bohaterskiej obronie klasztoru i miasta zorganizowanej przez ks. Krańca. Potem powędrował na Wschód - a stamtąd po latach do Polski. O Ostróg już nie zawadził, ale dziś w dniu jego imienin moje myśli kierują się do grodu Halszki.

Ostróg był ostatnią pozycją, jaką zdobyliśmy po wojnie. Już dwa lata przeszły, jak po Zdołbunowie ożywił się Korzec i Dubno, nawet Sarny miały, mimo ciężkich warunków, regularne nabożeństwa, a z Ostroga nikt się nie dowiadywał. Czasem tylko ktoś przyjechał z Orenina lub Sławuty - wiedzieliśmy więc, że kościół jest zajęty na skład zboża, ale jak go odzyskać i czy jest, kto by się tym zajął? Wołoszkiewicz chętnie dał pozwolenie i sam zachęcał, aby tam pojechać. Pewnego - zdaje się jesiennego dnia - wybraliśmy się z jakąś młodą, bliżej mi nie znaną kobietą, która udawała się w tamte strony. Miasteczko w gruzach, przedstawiało smutny widok, ale kościół był cały, choć obdarty miejscami z tynku i zamknięty prowizorycznymi, z desek zbitymi drzwiami. Trzeba było odszukać wiernych. I oto ktoś przypadkiem wskazał mieszkanie Jadwigi Pieńkowskiej. Wybór był trafny, a raczej nie było wyboru, bo była to właściwie jedyna osoba, na której współpracę można było liczyć. Pamiętam jej wzruszenie, kiedy powiedziałem, z czym przybyłem. Jej wielkie czarne oczy rozszerzyły [się] i rozbłysły zapałem. Opowiadała mi, co przeżyli, kiedy zabrali ks. Krańca. Jaki ból, smutek, żal, kiedy Polacy masowo wyjeżdżali. Ona pozostała na rubieżach bronić i trwać. Miała jakieś widzenia, przeczucia. I oto... Ustaliliśmy program kampanii, bo trzeba było zbierać podpisy, walczyć z miejscową władzą, a więcej jeszcze z marazmem i inercją, która opanowała garstkę pozostałych wiernych. Jadwiga zabrała się z zapałem do pracy. Nawoływała, prosiła, biegała po okolicznych wioskach i w rezultacie zebrała ponad 500 podpisów, co nawet nie było potrzebne do odzyskania kościoła. Powoli zaczął się udzielać entuzjazm i innym. Trzeba było przystąpić do uporządkowania świątyni. Kiedy przyszliśmy tam po raz pierwszy, w nawach było jeszcze zboże. Kiedy je usunięto, ściany okazały się w opłakanym stanie, ale ołtarze były zachowane dostatecznie, tylko w wielkim ołtarzu brakło krucyfiksu, a piękna alabastrowa statua z grobu znajdowała się w muzeum. Taki sam los czekał też białą Madonnę w przeciwległej kaplicy, ale uratował Ją może ciężar i trudność przeniesienia. Nie było też ławek, które zabrano gdzieś do jakiegoś użytku, ale nie bardzo o nie zabiegaliśmy, bo kiedy zaczęły się nabożeństwa, w niewielkim stosunkowo kościele lud nie mógł się pomieścić. Kiedy odprawialiśmy po raz pierwszy, dziś już nie pamiętam. Może to było na Wniebowzięcie, jako w dzień odpustowy. Całą historię tych wzruszających lat, miesięcy i dni mogłaby opowiedzieć chyba ona, która z każdego nabożeństwa musiała zdawać sprawę przed różnymi czynnikami. Bo wrogie moce musiały mieć wgląd w każdą sprawę. Niemniej życie jednak zaczęło się rozwijać. Na każde nabożeństwo ściągali ludzie z bliższych i dalszych wiosek jak na odpust z Chełma, Szelca, Bielatyna i dalej od Krzywina i Sławuty. Przywozili setki dzieci do chrztu i pierwszej spowiedzi. Trzeba było na prędce przygotować i pouczać nieraz do późnej nocy. Przy zjazdach cały plac przykościelny był obstawiony podwodami. Z dalszych stron przybywały maszyny.

Szczególnie uroczyście odprawialiśmy śluby, zawsze przy Mszy św. z błogosławieństwem. Wielu prawosławnych przechodziło na katolicyzm. Raz zgłosiła się para, w której on nie był odpowiednio przygotowany do wyznania katolickiej wiary. Odebrałem tylko przysięgę jako przy małżeństwie mieszanym bez błogosławieństwa i obrzędów. Ale im to nie wystarczyło. Zaraz za drugim razem zjawił się znowu ten barczysty szofer i oświadczył obcesowo: ja chcę być katolikiem. Pamiętam też chłopczyka o śniadej twarzyczce, który przyszedł sam i powiedział: ja Korejczyk [Koreańczyk], ale chcę być ochrzczony. Nazywał się Li.

Raz w drodze, jadąc autobusem czy przygodną maszyną na Ożenin, rozmawiałem z prawosławnym batiuszką z Rozważa. Znaliśmy się już przedtem z Korca, więc rozmowa była serdeczna. „Ojciec będzie miał dużą zasługę, że pozostał” - powiedział. Wtedy odrzekłem, że zasługi P. Bóg będzie odmierzał nie wiadomo komu większe: czy tym, co wyjechali, czy mnie, żem pozostał. A on po chwili z namaszczeniem: jednak tak myślę, że kościół katolicki to potęga, i zacytował: „bramy piekielne nie przemogą go”.

Ta potęga rosła w naszych oczach. Lud, który powrócił w swoje rodzinne strony i na miejscu zniszczonych wiosek budował nowe chaty, odnawiał też dawny obyczaj.

**2 X [1966].** Wczoraj był mroźny deszcz, a dzisiaj rano już bielił się dobry mróz. Czułem go już w nocy, nie mogąc spać. Jak bardzo jestem niewytrzymały i nieumartwiony. Właśnie wczoraj czytałem, jak św. Franciszek dla zwyciężenia pokusy chodził nago po śniegu i lepił kukły. Trudno zrozumieć. Zdaje mi się, że i do tego można by odnieść słowa dzisiejszej ewangelii: „dał moc ludziom”, co wyraża też modlitwa: „Niech miłosierdzie Twoje kieruje nasze serca, bo bez Ciebie nie możemy się Tobie podobać.” Wszystko jest łaską Bożą i dlatego ze św. Pawłem „trzeba dziękować”, żeśmy zostali z Chrystusem ubogaceni... i na żadnej łasce nam nie zbywa. Dla mnie chyba największą łaską jest, że choć się czuję niezdolnym do umartwień, przecież jakiś krzyżyk P. Bóg sam wybiera i delikatnie kładzie mi na ramiona, dlatego powtarzam codziennie szczerze: cokolwiek na mnie ześlesz, wszystko to z rąk Twoich ochotnie przyjmę. A więc nie trzeba skarżyć się na zimno. Zresztą teraz mróz znika i południowe słońce zaczyna dyskretnie przygrzewać. Tak, tu już południe, ale tam zaledwie rozpoczęły się ranne nabożeństwa. Rozbrzmiewają godzinki: „Zawitaj, ranna Jutrzenko”, a potem różaniec - uroczyściej jak zwykle, bo to przecież dziś pierwsza niedziela października - Święto Różańcowe.

Na Zamarstynowie odprawiała się procesja, jak w Boże Ciało. Ołtarze były u Walczaka, Sawki, Wojnarowicza i już nie wiem gdzie, może u Smereki? Jesienne święto miało również wielki urok, jak letnie - tylko śpiewano inne ewangelie i bractwa różańcowe były licznie ze świecami.

W Równem próbowaliśmy to imitować na mniejszą skalę. Procesja odbywała się w kościele.

**3 X [1966].** Czy to Ty, „Mała Święta”, uprosiłaś mi to wszystko. Wiedziałem, że mnie wysłuchasz. Najpierw Sasza dał mi drugą przepustkę, przy czym był i ten agronom, i jakiś niby dyrektor. Czyżby tamtego zmienili. Nie było mowy o żadnych moich „przestępstwach”. Potem przyleciała Władzia z Choptyńską. Trochę się spodziewałem, ale zawsze radość ogromna i pokój, który na nowo wstąpił w skołataną duszę. Teraz jesteśmy razem.

**10 X [1966].** Upłynął tydzień obfity w zdarzenia - a tak różnorodne, że przypominają się Norwidowe „Czarne i białe kwiaty”, albo to, co Morstinowa przepisała z Michała Anioła, że szczęście splata się ściśle z tym, co nazywamy nieszczęściem, a granica pomiędzy nimi jest płynna. (Szkoda, że nie odpisałem tego.) Teraz książka pojechała już do Władysława.

Zaczęło się spotkaniem Emmy na aerodromie. Zrobiło mi się dziwnie, kiedy niespodzianie ukazała się w otworze samolotu obwiązana białą chustką na pół żywa głowa. Trzeba było szybko zdecydować, co robić. Wracać nie mogliśmy. Emma pojechała z powrotem. Potem byliśmy z św. Teresą w Arykty. Mimo, że przyjechaliśmy niespodzianie - bezpośrednio z samolotu autobusem, wierna gromadka stawiła się prawie w komplecie. Była nawet Melita z Ireną.

Wtorek był też jasny, mimo że nasza franciszkańska familia razem ze mną liczyła pięć osób. Czytałem po niemiecku regułę. Kto wie, czy się coś nie rozbudzi: „Wszakże duch wieje, kędy chce”. Byłem niezmiernie wdzięczny, że nie musiałem odprawiać sam. Rano nasz dzień zaduszny rozpoczęliśmy wcześnie, bo chciałem być w Kembedaiku. Mozolnie ułożyłem plany, żeby wykorzystać możliwie najlepiej krótko dany mi czas, zwłaszcza Pierwszy Piątek; już naprzód się cieszyłem, że w nocy będę w Arykty, rano w Kembedaiku, a może jeszcze uda się - jeżeli samolot przyjedzie na czas, zatrzymać się z godzinę w rejonie. Tymczasem wszystko to przekreśliła fatalna „otmietka” komendanta[[241]](#footnote-241). Co go skłoniło, że nakazał natychmiastowy wyjazd z Arykty? Jakakolwiek była przyczyna, ryzykować już nie można było. Do rejonu jechaliśmy już razem z Anną B. i Józią z Kalinówki. Przypomniała się Taincza. U Dept[?] było jak zwykle, z dodatkiem gości. Jeszcze raz wspomniałem zmarłych braci. Ania z Józią odjechały rano, a po południu przyjechał Georg[ij] - raczej dwóch, Teresa i Katia. Od razu rozproszyły się wszystkie smutki. Mszę św. Różańcową poprzedziliśmy różańcem. Potem Katia z Teresą odjechały a Georg[ij] odprowadził mnie na samolot. Tak się przedstawia szkielet zdarzeń, które należałoby wypełnić czymś w rodzaju refleksji czy rozważań, ale do tego dziś nie jestem zdolny. Może dlatego, że mnie boli głowa i przypominam sobie ranną rozmowę w kantorze. Dyrektor był w futrze i w czapce - podobnie też otaczające go grono sowchoznych dygnitarzy. Zima doskonale usprawiedliwia brak etykiety. Miałem się przekonać, że zamraża też ludzkie współczucie. Podałem dyrektorowi wynik badania: bronchit, wada serca, emfozema płuc, ropny [...]. Rzucił okiem, ale nie bardzo pewnie się zorientował. Zaczął z góry, że nie pracuję (niby dawał to i owo - a ja wszystko odrzucałem), chcę w Kazachstanie zakładać seminaria duchowne, a oto jest prykaz: pracować - a więc stróżem i to nocnym - a jeżeli kilogram przepadnie - to pokazał na szyi. Satelici skwapliwie aprobowali, zwłaszcza ten agronom. Na moją replikę, że pracowałem bezpłatnie, znalazła się wymówka, żeby przynieść sprawkę.

Emma była kwaśno-gorzka. Może dlatego, że wkrótce będzie „w dekrecie”. Do zastrzyków nie ma nowokainy.

U Karambaja jest nowokaina, ale on na urlopie. Na szczęście zjawia się niespodzianie. Jest też uprzedzony, jak oni wszyscy, ale diagnozę studiuje uważnie raz i drugi. Myśli długo. „Gdyby była choroba niebezpieczna, musieliby zwolnić do domu”. Pierwszy raz to słyszę. Mówię, że wczoraj był krwotok i jeśli pójdę na noc, to nie będzie sprzyjało leczeniu. To idźcie odpoczywać. Obiecał mówić z dyrektorem. Ach, przedtem była mowa o „starusze”. Był zdumiony, że u mnie takiej nie ma.

**11 X [1966].** Frania nie szczędzi epitetów do męczennika włącznie. Swoją drogą to pierwsze powinszowanie jest miłe. Ciekawym, czy jeszcze kto będzie pamiętał o Serafinie? Jaworska zdaje się nic o Nim nie wiedzieć, choć należy też do naszej Rodziny. Za to alarmuje Połonne i razem płaczą.

Mnie też łzy same napływajądo oczu, kiedy po Komunii św. myślę, że On jest ze mną! Nawet trudno mi zdobyć się na słowa.

Dziś rocznica poświęcenia kościoła w Horodnicy. Czy nie 25 lat upłynęło od tego czasu? Pamiętam tylko datę kalendarzową. Lata jakby nie istniały. Tak wszystko dziwnie się przybliża. A jednak tamtych ludzi już nie ma na świecie. Chmielnicka z Anastazówki, Bagińska, panie z Korca. Pewnie już i celebry zabrakłoby. Bo gdzie jest ks. Dziekan Pająk i Rafał Godziński? Miałbym ochotę dowiedzieć się, czy jeszcze żyją.

**12 X [1966].** Exsilii mei vias tu notasti, Ps. 55 *Drogi wygnania.[[242]](#footnote-242)* Dziś czuję się rzeczywiście wygnańcem. Nie dlatego, że nie było żadnego listu. Może nawet i był, ale nie bardzo chciałem dzień po dniu dopytywać się na poczcie; zresztą nie wiadomo kiedy samolot przychodzi.

Cały dzień myślę o podaniu, które mam zamiar znowu napisać do Moskwy, ale już imiennie do Priedsiedatiela Sowieta po diełam religii Kurojedowa Władimira Aleksiejewicza w związku z jego wypowiedziami w „Izwiestiach”. Zupełna słuszność jest w tym, że prawa odnoszące się do spraw religijnych nie były konkretne. Ja np. dotychczas nie wiem, za co mi odebrano prawa. Dalej: sprawa dyskryminacji - nie dawali pracy, odmawiali przepisami, przymuszają do pracy bez względu na stan zdrowia.

Wreszcie, czy Republika Kazachska w odniesieniu do religii rządzi się tymi samymi prawami?

**14 X [1966].** Był-li to sen? Wczoraj niespodzianie zjawiła się Barbara. Była objuczona nadludzkim bagażem, toteż zaraz zwróciła na siebie uwagę tego kozaka, który okazuje się jakimś złym aniołem stróżem. Przyszedł nie wiadomo po co, popatrzył i poszedł. Teraz już nie mam wątpliwości co do jego funkcji.

Barbara zaraz zabrała się do porządków: przede wszystkim polepiła piec, wymyła podłogę, nawarzyła kaszy - całkiem dosłownie. Obawiam się, żeby nie było tego też w przenośni, bo nie grzeszy roztropnością, a ma przyjechać jeszcze z Antonim. Przy tym zostawiła swoje książki i okulary. Teraz wszystko mi ją przypomina i zaprasza - bielizna i mnóstwo zostawionych specjałów i to aż nawet zbytnie ciepło. I jeszcze jedno - zostawiła mi fotografię o. Franciszka, który okazuje mi zbyt wiele współczucia. Właśnie dzisiaj przyszła od niego paczka, a na wierzchu sweter zostawiony w Grodnie. Powoli wracają do mnie rozrzucone rzeczy. Gdyby wszystko pościągać, byłby niemały magazyn. Ale nie myślę o tym. Wszystko mi ciąży i właściwie szczerze się cieszyłem, kiedy w Równem przepadły mi wszystkie rzeczy. Teraz znowu jestem obarczony i nie można wytłumaczyć miłującym duszom, że już tego dość. Zaczynam gubić się drobnostkach i szukać wygód. A za ścianą nocują jacyś czarni brodacze z pewnością nie w takim komforcie, jak u mnie. A św. Franciszek nie mógł znieść biedniejszych od siebie.

**15 X [1966].** Jakiś pech mnie prześladuje. Trzeba było, żebym objuczony trzema paczkami spotkał się w drzwiach z tą antypatyczną figurą. Nie omieszkał wyrazić swojego zdziwienia: tak mnogo? Rzeczywiście trochę za wiele, ale co ja na to poradzę? - i to z różnych stron: jeszcze jedna z Wilna od Zofii i z Akt[iubińska]. Nie miałem czasu jeszcze rozpakować, kiedy przypytał się pijaniusieńki mój kolega szewc i koczegar w jednej osobie. Dałem mu trochę jabłek.

Dyrektor ma mnie widocznie już dość, bo nie chce nawet ze mną rozmawiać. Polecił mnie jakiemuś satelicie - podobno agronomowi, żeby się krótko załatwił. Ten byłby widocznie rad, gdybym wymawiał się od pracy. Chcą mnie się widocznie pozbyć. Kiedy oświadczyłem, że będę pracował, kiedy się wyleczę, odesłał mnie z powrotem do dyrektora. Teraz wziął mnie ten mały czarny, który mnie spotkał w rejonie na aerodromie. Zapytał, czego żądam od sowchozu. Pytanie mnie zaskoczyło; powiedziałem, że nie mam do nich pretensji, tylko niech dadzą się leczyć. Nie wiem, co z tego wyniknie, bo odłożył do poniedziałku.

Wieczorem przyszedł jakiś nieznany, z inteligencka ubrany osobnik zobaczyć, jak żyję. *Zaczynają* się interesować.

Tymczasem w Żenteke czekali na nabożeństwo za Klemensa. To pewnie już druga rocznica od tej nocy, którą spędziliśmy przy zwłokach młodego szofera - jednej z niezapomnianych nocy.

**23 X [1966].** Zima przyszła prawie niespodzianie i od kilku dni moje okna są pokryte prześlicznym deseniem. Aż szkoda, że ta ornamentyka znika pod wpływem słońca, które dziś już uśmiecha się dobrotliwie, jakby przeprasza za tę porę przykrych dni, któreśmy przeżyli: najpierw była wichura, że trudno było wyjść za próg - potem jakaś pluta - deszcz ze śniegiem, wreszcie mróz. Ja o to wszystko mało dbałem, bo wróciła Barbara. Przyjechała w niedzielę i chyba sam P. Bóg jej nie puszcza cały tydzień, bo nie ma samolotu. Co dzień wychodzimy na aeroport w różnych porach, a jego jak nie było, tak i nie ma. Podobno gdzieś w drodze silne burze. Tymczasem moje mieszkanko zmieniło ponury wygląd. Barbara napracowała się solidnie: pobieliła ściany, pozalepiała dziury, przez które myszy miały wygodny spacerek, postawiliśmy drugie łóżko, skleciło się stół. Teraz nie wiem, jak się obejdę bez niej albo innej gospodyni. Ale kto tu zechce przyjechać. Arszatyńsk w zimie przedstawia prawdziwe więzienie. Już drugi tydzień nie mamy poczty ani żadnej wiadomości ze świata. Moje podania do Moskwy wciąż leżą u Barbary w węzełku. Do Kurojedowa pisałem mozolnie prawie cały tydzień. Obawiam się, że nie będzie miał cierpliwości czytać tak obszernej gryzmoły, choć mu trochę podkadziłem. Do prokuratora sporządzono maszynopis, ale trzeba dopisać czy też cały przepisać. Znowu zejdzie parę miesięcy. Trzeba się uzbroić w cierpliwość.

**25 X [1966].** Już trzeci dzień jestem znowu sam pogrążony w swoich myślach i w dolce far niente. W niedzielę nie wychodziłem już do samolotu, bo byłem dziwnie ociężały. Na poczcie było pełno ludzi. Nic dziwnego, każdy czekał niecierpliwie, kiedy wreszcie co przyjdzie. Ja znalazłem Stalową i Białystok, a w poniedziałek odebrałem paczkę od Mroczkowej. Właściwie posyłkę fundowała Maria. Zaraz im odpisałem, bo nie spodziewałem się, że i oni będą pamiętali. Nina przysłała swoje zdjęcie z reperkusją[!]. Co za skomplikowana machina. Jak to na tym grać. A ona robi sukcesy. Dziwi się, że się nie załamuję. Skąd wie? Może już jestem załamany? Mam jakieś dziwne wrażenie, że wokół mnie nic się nie dzieje. Ludzie chodzą, siedzą, pracują, jak manekiny. Nawet księżyc dzisiaj jakiś niemrawy.

Byłem w buchalterii, bo mi kazali zgłosić się po tę „zapłatę” za dwa tygodnie w piekarni. Odsyłał mnie jeden do drugiego - wreszcie stanęło na tym, że na sprawce brak pieczęci. Czuję, że będą jeszcze inne braki i wolę już nie chodzić. Tak mnie to wszystko męczy. Maryśka dobrze przeczuwała, że mi się kulinarna sztuka nie wiedzie. Wczoraj kasza przypaliła się do szczętu. Stanowczo się do tego nie nadaję, ale do stołówki już nie chodzę.

**29 X [1966].** Znowu pewnie niebieskiej interwencji zawdzięczam, że wszystko poszło, jak z płatka. Dyrektor był nawet grzeczny, agronom przynajmniej obojętny. W otdiele kadrów dali mi sprawkę i jadę. Mam szalony katar i w uszach szumi, ale to nic nie znaczy. Wczoraj Iglatowska przysłała nową serię wiktuałów i życzenia, abym podtrzymywał zdrowie, bo się wszyscy martwią. Z Dubna przyszła elegancka bielizna. Na co mi to wszystko.

**1 XI [1966].** „Gaudeamus diem festum celebrantes”[[243]](#footnote-243). W Arykty było nas wraz ze mną tylko jedenaścioro i to jeszcze z Katią, która już mnie oczekiwała. A jednak była radość, bo nie trzeba było zwracać się do głuchych ścian. Teraz cieszę się choćby i jedną asystującą duszą i obojętne mi jest, do kogo przemawiam. Rozumiem trochę pod tym względem św. Franciszka, który z równym zapałem głosił kazania do jednostek, jak i do tłumów. Ale chodzi o ten zapał, a u mnie jest jak w arszatyńskiej izdebce - zamiast ciepła „dym”. Dzisiaj jednak z wielkim wzruszeniem czytam słowa: „Szczęśliwi jesteście, kiedy was prześladować będą”. Sasza niepokoi się pewnie, że im uciekłem i nie żałował drogi do Arykty, a w tym samym czasie myśmy spokojnie odprawiali w Ż. T. K. [Żenteke?]. Czy nie cudownie? Albo dziś ta niespodziana maszyna, która się wzięła nie wiadomo skąd, kiedy wszyscy inni na próżno oczekiwali autobusu. Wszędzie ta Dobra Ręka, która wszystkim mądrze kieruje. Berichowie - choć luteranie - zgodzili się mnie przyjąć na czas leczenia.

**4 XI [1966].** Czy można nie cieszyć się ze zdrowia? A jednak... Wczoraj doktorka-internistka ledwie spojrzawszy na wynik analizy oświadczyła, że nic mi nie jest. Powiedziane to było tak szybko i zdecydowanie, że od razu wzbudziło się podejrzenie: albo poprzednia diagnoza i receptura była mylna, albo nastąpiło cudowne wyzdrowienie bez lekarstw i zastrzyków, w co ja mogę uwierzyć, ale oni nie, albo też ... I ta trzecia ewentualność nie daje mi spokoju. Jeśli już i lekarze są zwerbowani, to po ludzku sądząc, odpada wszelka możliwość leczenia, a co za tym idzie wyjazdu z sowchozu. Tym goręcej trzeba dziękować P. Bogu za to, co nam daje - za Święta, Zaduszki i dzisiejszy Pierwszy Piątek. U Dep[?] nie ma światła - trochę ponuro - ale i wieczór, i rano odprawialiśmy jak można uroczyście. Potem byliśmy na cmentarzu. Przy kawalerskim mrozie obchodziliśmy groby. Wie czorem u Maja były dwie Msze św. Na sam początek zjawiły się niespodzianie Mila i Helena. Co za niespodziana radość – zwłaszcza, że przywiozły cały worek wiadomości. Maria była w M[osk]wie z świadectwem mojej choroby wystawionym w Tainczy. Potraktowano to, jak igraszkę. Nie mam co liczyć na pomoc z tamtej strony. Kaplicy ni obszczyny nie rejestrują. Trudno zrobić początek - wierni jednak nie ustępują. Grożą, że pójdą się modlić do rajispołkoma. Antoni podobno zarejestrowany we Frunze, ale to już nie Kazachstan.

W środę przyjechała Ania B[...], a dziś rano był też Georgij. Razem z Tainczą była więc czwórka tercjarzy. Przy nich czuję się, jak w rodzinie. Georg już pojechał, ale może przyjedzie wieczór Rosa. Jutro się rozjeżdżamy nie wiadomo na jak długo. Już teraz czuję gorycz pożegnania.

**5 XI [1966].** Aleksander zrobił nam miłą niespodziankę swoją pierwszą spowiedzią. Był nawet nieźle usposobiony, ale u mężczyzn wciąż małe zrozumienie dla częstej Komunii św. Nie wiem, jak do nich przemówić. Tym więcej byłem zdumiony, że chłopak przyszedł także dziś rano, choć odprawialiśmy wcześnie. Ania i Emma spieszyły do autobusu. Zawsze jestem wzruszony, kiedy im daję na drogę Jezusa.

Potem czekaliśmy parę godzin na samolot i nie przyszedł. Jutro też podobno nie będzie i może też przez całe październikowe święto. A potem - Nie, nie chcę myśleć, że będę znowu sam. Wstydzę się po prostu swojego mazgajstwa, a jednak tak mi jakoś ciężko. Berichowie dobrzy ludzie - zgodzili się nawet, żeby u nich była Msza św. W mieszkaniu jest Najśw. Serce Marii. Co na to powiedziałby Luter?

**13 XI [1966].** Msza św. odprawiła się rano. Oboje gospodarze modlili się razem klęcząco. Potem Taincza odjechała z P. Jezusem. Zawsze ten Najświętszy Łącznik Pasterz z owieczkami. Mimo mylnej informacji samolot jednak był, ale powiedziano mi to już po odejściu. Następny pójdzie dopiero 9-go, a więc jeszcze czas na wędrówkę po magazynach i bezmyślną włóczęgę nad rzeką. W czasie poobiedniej drzemki przyjechał Bruno z pijanym kuzynem z Karagandy. Wieczorem byliśmy u wdowy po Weingarcie. Aleksander okazał się gorliwym apostołem - zaraz wybrał się zwoływać wiernych, ale jego młodszy brat - jedenastoletni Mikołaj - powtarza, czego nauczono go w szkole, że nie ma duszy. Trudny, spaczony typ. Rano odprawialiśmy za zmarłego tragicznie ojca. Tymczasem spadł śnieg, popsuły się drogi i była wątpliwość, czy Bruno pojedzie. Przy tym nie bardzo miał ochotę mnie zabrać, bo jechał i ten stale pijany kuzyn, ale jednak wybraliśmy się i w niespełna cztery godziny sprawnej jazdy byliśmy na miejscu. Wszystko odbyło się nadzwyczaj odpowiednio, bo w ciemności nikt nie widział, z jak wielkim bagażem przyjechaliśmy. Jestem po prostu przytłoczony nadmiarem produktów, a do tego jeszcze ta kura od Ani B. Co ja z tym pocznę, kiedy nie ma komu porozdawać. Dobrze to śpiewać: Jak się kura ugotuje, zjemy po kawałku”. Ale tu trzeba zjeść samemu całą.

Ale dziś już koniec z kłopotami i wszystko to wygląda śmiesznie głupio: i ta kasza z mlekiem, które wykipiało, roznosząc swąd na całą ulicę, i ta kura, która cały tydzień przeleżała, jakby na witrynie wystawowej, na oknie, i ta ława porąbana dla zgotowania obiadu.

Dziś przypomina się dewiza św. Stanisława: „do większych rzeczy jestem stworzony”.

Jestem prawie zadowolony, że to Jego święto wypadło w niedzielę i liturgia milczy o świętych. Wybawia mnie od kłopotu z wyborem: Dydak czy Stanisław? Zawsze gorszyłem się, czemu nasz zakonny kalendarz nie uwzględnia polskich świętych, ale co do św. Stanisława bez skrupułu dawałem Mu pierwszeństwo. Nie wiem, jak to wygląda liturgicznie, ale czciliśmy Go wszędzie uroczyście.

Moja znajomość z Stasiem Kostką sięga lat gimnazjalnych i może jeszcze dalej. Niezapomniana była akademia, do której Pipek[[244]](#footnote-244) wydelegował mnie z elaboratem na temat życia i znaczenia św. Stanisława. Miałem wtedy oczywiście Badeniego i jeszcze jakiś szkic o lwowskich dziejach św. Stanisława. *Żywot* Badeniego wypożyczył w śmiertelnej chorobie dyrektor Nogaj. Dziś jeszcze widzę tę znaną sarmacką postać, która mi przypomina Winc[entego] Pola. Św. Stanisław przeprowadził go może do wieczności. Moje marzenia o tym, żeby do dwóch Młodzieńców Patronów przyłączyć jeszcze trzeciego w zakonie nie spełniły się, ale pamięć o „stworzonym do większych rzeczy” towarzyszyła mi w latach studiów i jego dewiza znalazła się na pamiątkach prymicji. Nabożeństwa do „Anioła ziemskiego bez winy” należą do najmilszych duszpasterskich wspomnień. W Dermance rekolekcje dla młodzieży, poprzedzające Święto, miały następstwa omal tragiczne, ale pozostały zapewne długo w pamięci tej garstki chłopaków, która przy ołtarzu Św. Patrona uczyła się kochać czystość i Polskę. Do Równego przywiozłem statuę zachowaną u Sawków z naszego klasztoru. W Kazachstanie spotkałem niejednokrotnie „Św. Stanisława” X. Augustynika - modlitewnik, który dopomagał rozbudzać cześć dla Patrona młodzieży u rozproszonych wygnańców. Szczególnie uroczyście odprawiała się nowenna w Sz[ortandy] W pierwszym roku Święto było połączone z I Komunią Świętą kilku młodzieńców.

A dziś? pogoda jest znośna, mróz zelżał, można więc było wybrać się na przechadzkę i przemyśleć wszystko, co przeminęło. Przez cały tydzień nie przyszło mi na myśl, że to nowenna -nie mam ni obrazka, ni modlitwy. A przecież właśnie na początku nowenny uradował nas Aleksander, a na jego jasnym tle zamajaczył zagadkowy Mikołaj. Młodzież - podwójny problem: zachować, co szlachetne - ratować, co ginie. Napisałem do Tainczy, żeby modlili się do św. Stanisława.

*O Ty, Święty nasz Patronie,*

*Marię proś Niepokalaną,*

*Niech od złego nam obroni*

*Naszą młodzież ukochaną.*

Przez ściany słychać - śpiewać nie mogę - ale usłysz jęk serca.

**16 X [1966].** To przyszło tak niespodzianie, że nie mogłem się nawet zdziwić. Od kilku dni rosło we mnie przekonanie o winie nieposłuszeństwa. Trzeba było natychmiast robić starania o wyjazd. Żadne wymówki nie usprawiedliwiają uporu. Wszystko stało się próżne i bez treści, jak pusty balon [w rękopisie dwa nieczytelne wyrazy], w którym nic nie zostało. Trzeba było Arszatyńska, żeby to zrozumieć. Powtarzałem ze skruchą: to prawda, ale co teraz robić, jak naprawić zło. I oto przyszła odpowiedź: oswobodzenie. Kiedy zawezwano mnie do komendanta, byłem przygotowany na najgorsze: może będzie pytał, czy byłem w Arykty. Sasza był uroczysty: Pozdrawlaju was z oswobożdienijem. Przez moment wyglądało to na drwinę, ale nie - była już przygotowana odpowiednia sprawka i skierowanie do Celinogradu.

Więc jestem wolny - dziś upływa równo osiem miesięcy.

Kilka dni temu miałem sen, w którym było coś podobnego, choć w innych okolicznościach. Wtedy jeszcze we śnie przyszło mi na myśl, żeby to nie był sen. I rzeczywiście z przykrością przebudziłem się do smutnej rzeczywistości. Dziś na przechadzce walczyłem po prostu z myślą, że może to też sen i odruchowo szukałem w kieszeni zbawczego świstka papieru.

**21 XI [1966].** Ostatnie dni w Arszatyńsku nie były podobne do wszystkich poprzednich. Nie sposób było normalnie myśleć; cóż dopiero coś rozsądnego przedsięwziąć. Przede wszystkim zaczęło się rozdawanie produktów, których nagromadziło się bez liku. Iwan Iwanowicz dwa razy przychodził z workiem. Mikołaj nie mógł się nadziwić, że go coś podobnego spotyka. Spory worek z pieczywem ucieszył brać z sąsiedniej pałaty, za co nie miałem już kłopotu z opałem.

We czwartek przyjechała niespodzianie Władzia z Barbarą i jeszcze ta gospodyni przysłana z Tainczy, która miała zamiar dzielić moją dolę. Było to wprost opatrznościowe, bo nie wiem, jak dałbym sobie radę z nadmiernym bagażem. Aż wstyd mi było, że wyjeżdżam tak triumfalnie. Wciąż mi stał przed oczyma skromniutki proboszcz z Ars, który biedny swój węzełek ciągnął na wózku. U nas nie było wózka, ale Barbara z Władzią musiały dwa razy, objuczone tobołami, wędrować tam i z powrotem na aerodrom. Byłem wzruszony, kiedy opuszczałem swoją izdebkę, w której przeżyło się tyle różnych dni. Teraz wyglądała ona, jak porzucona w nieładzie rupieciarnia, bo spieszyliśmy się nie wiedząc dokładnie, kiedy przyjdzie samolot. Tymczasem czekaliśmy na próżno, wyglądając na pogodnym niebie pożądanego ptaszka. Widocznie trzeba było lepiej jeszcze poznać, skąd dobra Opatrzność mnie wyprowadza. Pokazało się, że w całym sowchozie już trzy dni nie ma wody. Owa niedoszła gospodyni załamywała ręce: Jak dobrze, że ojciec stąd wyjeżdża”. Ale przed nami stanęła młodziutka księżna Elżbieta, którą też wygnano. Właśnie w Jej dniu odlecieliśmy wreszcie szczęśliwie całą piątką, bo na aerodromie zjawiła się jeszcze Maria. Przywiozła do Arszatyńska pierzynę i jeszcze jakieś prowianty, a teraz musiała to wieźć z powrotem. Ci ludzie już nie wiedzieli, jakie mi stworzyć wygody.

Byłem zdumiony, jak się w ciągu tego niespełna roku rozbudował celinogradzki aeroport i autostrada. Teraz wszystko zdolne człowieka oszołomić. Ale u Kati i Emmy wszystko, jak dawniej przed ośmiu miesiącami: dzieci, trochę młodzieży, parę przybyłych kobiet. Tylko staruszki z obwiązaną głową wyglądam na próżno. Zdaje mi się, że przyczłapie znowu swoim niezdarnym krokiem i zacznie głośne wyznanie: ich arme Sünder... Nie, od miesiąca już spoczywa zadowolona, że odeszła w sam Pierwszy Piątek dostąpiwszy Obietnicy. Spotkamy się, kiedy „ukaże się znak Syna Człowieczego”.

Boże mój! Jak wzruszające to pierwsze nabożeństwo po tylu miesiącach. A jeszcze te słowa introitu: „ja was wysłucham i wyprowadzę z niewoli” albo św. Pawła: dziękując Bogu, „który nas wyrwał z mocy ciemności”. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że moje wyzwolenie nastąpiło w dniu M. B. Ostrobramskiej. Matka Miłosierdzia spogląda na mnie z ołtarzyka. Dziś przypomnieliśmy sobie Jej dziecięcą służbę w świątyni. Dzieci przyszły przed szkołą, żeby uczcić trzyletnią Maryjkę ofiarowaną na służbę w świątyni. A jak pięknie śpiewały: Maria, Maria hilf.

Sokołow nie otrzymał jeszcze dokumentów - kazał czekać do pojutrza. Jutro św. Cecylii - dalekie echo chóru, młodzieży, zebrań u Haneczki już teraz budzi wspomnienia: „O, Cecylio Bogu miła!”

**26 XI [1966].** „Et ab omni perturbatione securi”[[245]](#footnote-245). Te słowa Kanonu przypominają mi się często w tym tygodniu. Bo czyż to nie prawdziwa perturbatio, że już cztery razy chodzę za dokumentami i wciąż słyszę jedno i to samo, że jeszcze nie nadeszły, a dzisiaj Sokołow nawet się nie zjawił. Przychodzą różne niepokojące myśli, ale właściwie może chodzi o to, żeby odpocząć przed pracą. Taka noc, jak na św. Jana od Krzyża, wystarczy, żeby wyczerpać na całą dobę, a prawie to zdaje się wracać. Wszakże zaczyna się adwent: „Pora, abyśmy ze snu powstali”. Bo właściwie wielu spokojnie sobie śpi. Byli w gorsowiecie i u pełnomocnika, ale z tego nic nie wyszło i opuszczają ręce. W radzie miejskiej podobno ich zbesztali. W Szort[andy] znowu zadowoleni, że mają nabożeństwo bez trudu i kłopotu, i może się gorszą, kiedy im powiedziałem, że tak dalej być nie może. „Nikt nie stawia światła pod korzec”, a my się wciąż kryjemy. Jutrzejszy apel jest bardzo znamienny: „Podnoście głosy, bo się przybliża zbawienie”.

Śnił mi się dzisiaj po południu Antoni Ch[?]. Był okrwawiony, prawie konający, mówił jakieś dziwne słowa, o których już teraz nie pamiętam. Wiem tylko, że mówiliśmy o mistyce, która jakoby graniczy z erotyką, a potem on powiedział coś bardzo tajemniczego o cierpieniach Boga.

**22 XII [1966].** Myślałem, że moja powieść z wygnania już się skończyła, tymczasem rozpoczyna się nowy rozdział: po Aryktach i Arszatyńsku - dom inwalidów. Nie byłoby to tak rozpaczliwe, gdyby nie zwlekali z tym do samych świąt. Nie wiem, czy to było zamierzone, ale tak wygląda, że to nieprzyjacielowi zależało na tym, żeby nam popsuć wspaniałe plany. A może to też potrzebne dla upokorzenia mojego samopoczucia. Bo tak pięknie się wszystko zapowiadało. Odżyły Szort[andy] i T[aincza], już nie mówiąc o Akm[olińsku], gdzie przebywałem prawie stale z przerwami miesiąc. Prawda - był jeszcze 11-y z piękną nocą św. Łucji. I to wszystko ma być tylko epizodem?

Teraz w 47-ej pałacie cicho, bo dwóch wczasowiczów już śpi, a reszta poszła do kina, które się niebawem zacznie. Nie mam ochoty na ten kulturalny przysmak, którym darzą moich nowych nieszczęsnych towarzyszy, ale byłem tam mając nadzieję spotkać jakąś pokrewną twarz. Jest wiele poczciwców, ale kto wie, co w ich duszy się mieści. Niemożliwe, żeby wszystkie były zamknięte dla Boga. Ale jak je odnaleźć - te, dla których może właśnie tu się znalazłem?

Kiedy Katia dziś rano przyszła do Heli z oznajmieniem, że mnie mają wywieźć - w pierwszej chwili zdawało mi się, że tracę równowagę. To jeszcze tego trzeba było? Staruszka radziła jechać od razu do M[oskw]y. Nie! zdobyłem się na rezygnację - zresztą z jakąś jeszcze nadzieją, że przecież będzie inaczej.

Powiedziano mi, że jest postanowienie obłispołkomu[[246]](#footnote-246). Musieli mi dać przeczytać. Sokołowowi trzęsły się ręce, kiedy w miejsce 3-ej grupy - wpisał drugą. Wyszedł stąd taki brak konsekwencji: niezdolny do pracy inwalida 2-ej grupy złowiestno ukłoniajetsa ot truda[[247]](#footnote-247) - postanowiono wysłać do domu inwalidów, przy czym data 25 listopada, a więc po moim uwolnieniu. W takim razie dlaczego trzymali mnie cały miesiąc w niepewności, wyczerpując nerwowo ciągłym wzywaniem.

Miałem satysfakcję, że przyznali pomyłkę w poprzedniej decyzji roboczej komisji. W takim razie cały sąd i wyrok był jedną omyłką, która w dodatku nadszarpnęła mi zdrowie. To wszystko można będzie zużytkować, ale teraz idą Święta! Jak je przeżyć, żeby naprawdę nie poddać się depresji. Tak mi trudno się modlić. Brewiarz zmówiłem po kryjomu, ale jak urządzić Mszę św. Trzeba wyśledzić moment, kiedy wszyscy wyjadą lub zaśpią, ale to będzie trudne.

**23 XII [1966].** Nie - to się nie udało. Zaledwie wyszli na śniadanie, przyszła sprzątaczka, a potem oni wrócili. Ale jak dobry jesteś, Jezu! Trzeba było, żeby ten staruszek otworzył drzwi, właśnie kiedy przechodziłem zatroskany, szukając gospody, jak Józef. Mnie się lepiej poszczęściło, bo Michała i Aleksandra przyjęli uprzejmie i obiecali zawiadomić Polaków. Wieczorem byliśmy jednak sami - jak trudno przełamać obojętność czy też bojaźń. Dla tych ludzi zjawienie się księdza musiało być czymś nieprawdopodobnym, a może i niepożądanym. Mają względne wygody, rozrywki - kino, karty. Cóż im więcej potrzebne? Mnie dziś wieczorem ogarnęło silne przekonanie, że właściwie nic mi więcej nie potrzebne, kiedy mam Jego. Może właśnie dlatego tak się stało, żebym ten najuroczystszy czas spędził sam. Maryśce napisałem, że serce mi się krwawi. Może to trochę zbyt drastyczne. Byłem trochę podrażniony rozmową z dyrektorem i jego towarzyszką czy żoną. Ona powiedziała, że mnie w ogóle nie puszczą, a on obiecał, kiedy pociepleje. Znaczy to, że okres świąteczny stracony. Żeby przynajmniej było coś uczciwego do czytania. Nie mogę sobie darować, że nie wziąłem przynajmniej „Przed Bogiem”, ale ten Kozak u Kati chodził za mną i niecierpliwił się. Nie chciałem go pociągnąć za sobą do Emmy, a zresztą obiecywał, że mnie wkrótce puszczą, a dom inwalidów niedaleko. Nie bardzo to się sprawdziło, podobnie jak wtedy w sierpniu u Saszy. Jechaliśmy dobrą godzinę, drogą krętą i mało ujeżdżoną. Dyrektor mówił, że taksówka tędy nie pójdzie, a ich maszyną trzeba ryzykować postój w drodze, co grozi zamarznięciem. Nie ma więc podstaw do nadziei, żeby ktoś prędko przyjechał, choć posłałem telegram do Kati i Marii. Znowu zaczynam alarmować, ale telegramy pewnie pójdą pocztą, więc nie ma się co łudzić.

Jest tu wpół do jedenastej - moi nowi koledzy podnoszą głowy, że się jeszcze świeci, a ja myślę z żalem nad tym, co dopiero czytałem „Mane videbitis gloriam Domini”[[248]](#footnote-248). Czyżby?

**24 XII [1966].** Cicha, święta noc... Katia mówiła, że jeszcze nigdy tak smutnych Świąt nie mieli. W jej słowach była niemal rozpacz. Bo oto najęli specjalną maszynę, szofer namarzł się czekając i odjechali z niczym. Radzili jechać bez pozwolenia, ale dyrektor groził, że zawiadomi milicję i był nieustępliwym. Widocznie dobrze mu nakazali pilnować mnie w swoim domu.

I oto zbliża się północ. Przed kilku godzinami wieczorem odprawiła się wigilijna Msza św. u Michała i Aleksandry, ale na noc nie można było tam zostawać. Prześpiewaliśmy „Stille Nacht” u Ady, która swoją chorobą i pobożnością przypomina mi Haneczkę, choć jest luteranką. Wczoraj rozmawialiśmy długo i serdecznie. Opowiadała, że jest sierotą. Niedawno odwiedził ją brat, a potem zaraz wkrótce i on umarł. Miała łzy w oczach, ale na smutny los nie narzekała - choć nie może chodzić i rękami słabo włada: alles von Gott. Dzisiaj zaprowadziłem do niej Katię, żeby się zapoznały. Teraz powiedziałem jej „Frohliche Weihnachten”; brzmiało to niepewnie i przyjęła z rzewnym uśmiechem. Teraz odmówiłem jutrznię i czekam północy, jak Józef, który szukał gospody. Gdzie będzie moja stajenka?

**25 XII [1966].** Wśród nocnej ciszy... nie rozszedł się żaden głos. Czasem tylko pojawił się jakiś cień i szedł dalej zdziwiony, jakby ujrzał nocną zjawę. Jakiejś babce, która ciekawie zatrzymała się dłużej, powiedziałem, żeby milczała, choć raczej trzeba było wołać jak anioł: ogłaszam wam wszelkie wesele - pójdźcie. Wam biedakom, kalekom, biednym. Z litości zebranym w jedno miejsce, jak kupa śmiecia, wyrzuconym za bort życia odpadkom społeczeństw rodzi się dziś radość - pójdźcie. A jednak byłem sam. Za parę godzin, kiedy się rozwidni, zgromadzi się tu wielu. Dla zabicia wlokącego się ociężale czasu grać będą w karty, śmiać się na pół przytomnie, a może prowadzić jakieś frywolne flirty. Nikomu nie przyjdzie na myśl, że o północy był tu kościół, ołtarz, duchy niebieskie - Betlejem. Kto wie zresztą, czy ta niezwykła pasterka w otwartej auli przeszła niepostrzeżenie. Po Mszy św. zjawiła się większa grupa ciekawych, ale było już za późno. Świeczki były już pogaszone. Druga i trzecia Msza św. była u staruszków.

Teraz już na nic nie czekam. Pamięć i wyobraźnia śpią czy obumarły. Nie mam siły nic wspominać. Może się to jeszcze obudzi, ale teraz nic nie potrzeba. Ten trzykroć podsycany ogień powinien przecież wszystko wypalić. Przyszło mi to na myśl, kiedy się zastanawiałem, dlaczego dzisiaj trzy Msze św. może odprawić każdy kapłan, choć nie ma wiernych. Dlatego dziś serce przepełnione, jak czara. A tamci, którzy płaczą śpiewając kolędy? Czyż nie czerpią z tej samej pełności? Tak samo, jak gdybym był na wygnaniu. Prawda, tam przyjechałaby przynajmniej Maria, czy kto jeszcze i podzielilibyśmy się opłatkiem jak szczerym sercem; byłoby wiele listów i moglibyśmy po cichu kolędować. Ale czy tego wszystkiego nie można ofiarować Dzieciątku, jak daru do kolebki?

**27 XII [1966].** Co tobie do niego? Ty idź za mną. Te tajemnicze słowa tak dokładnie zapamiętane przez św. Jana mają teraz dla mnie specjalny sens. Znaczą one: idź tą drogą, którą ci P. Bóg wyznaczył, a nie oglądaj się na innych. Mówisz i piszesz: wszyscy pracują na parafiach, czemu ja jeden mam być tu? To pytanie nie ma sensu i brzmi, jak skarga. Wczoraj byliśmy z Katią i Barbarą u Ady. Biedna męczennica ożywiła się, pokazywała nam obrazki. Na jednym z nich był Chrystus z Krzyżem, a przed Nim dusza dźwigająca z trudem swój własny. Napis głosił: tak daleko nie zajdziesz - idź za mną. Ada jest pogodna, niemal uśmiechnięta, mimo że cierpi nieznośne bóle głowy. Opowiadała, że kiedy dowiedziała się o moim przybyciu, chciała koniecznie się zobaczyć. Myślała, że pastor, ale to wszystko jedno. Cudowne było też spotkanie z Margaretą. To ta staruszka, którą w Żenteke prowadziłem z autobusu. Wypędzili ją z domu i od trzech miesięcy przebywa tutaj pełna goryczy. Teraz już jednak pogodziła się z losem, a nawet dziękuje Bogu, że tu przybyła. Witała mnie, jak ojca czy syna. Na Mszy św. razem z przybyłymi były więc już trzy dusze. Może będzie więcej. Jutro ma przyjść ten staruszek, który się nie spowiadał już pewnie 40 lat. Sam zagadnął mnie niewyraźnie, mocno wzruszony. Jest też jeszcze ta niewidoma Łucja i jeszcze ta Polka z Celinogradu, która mi zapowiada, że „w wolnym czasie porozmawiamy”. Żeby tylko znaleźć odpowiednią izdebkę.

Barbara z Katią - moje „kuzynki” zainteresowały cały dom. Gdziekolwiek pokazaliśmy się, okrążała nas gromada ciekawych. Przywiozły mnóstwo łakoci, ale co najważniejsze - N[owy] Testament i „Naśladowanie”. Teraz już nie boję się nudy.

Kiedy wychodziliśmy razem z domu, biegła za nami jakaś stróżka zatrwożona, że uciekam. Nie, nie ucieknę, skoro taka wola Boża, ale podania do Moskwy pójdą: do prokuratury i sowieta kultów w walce o sprawiedliwość.

**28 XII [1966].** O. Mateo mnie zawstydza. Trzeba naprawdę apostołować. Ten staruszek ledwie mówiący sam nie przyjdzie. Mar-gareta też się nie zjawiła, dlatego dzień przeszedł niemrawo. Tyle tylko, że napisałem list do Anny i Mik[ołaja]. Przyszło mi na myśl, że mógłby się starać wziąć mnie na utrzymanie jako wychowanek. Nie wiem, czy z tego co wyjdzie.

**29 XII [1966].** Nie wiedziałem, w jakim celu brnę za wioskę śnieżystym polem, kiedy w dali ukazały się krzyże. To już trzeci po aryktyńskim i kurgaldżyńskim - nie licząc stepowych mogił w Kara Kucku - cmentarz. Tutaj jest on nawet liczebnie dość zasobny. Spod śniegu sterczy nieśmiało las białych krzyżyków - to pewnie ostatni oddział domu inwalidów, który jest zasadniczo domem przedpogrzebowym. Jakby jakiś matecznik, gdzie przychodzą złożyć kości weterani życia. Tego charakteru nie odbiera mu trochę młodych kalek czy wstrzymanych w rozwoju, którzy się tu dostali przedwcześnie.

Dziś już drugi raz przychodził na pogawędkę ten Jan, któremu obcięto zgangrenowane palce. Ojciec jego był carskim sołdatem w Kokczetawie, który był wtedy małą osadą. Staruszek przebywa tutaj razem z żoną. Jest wierzący i lubi rozmawiać o Bogu. Takich spotyka się tu wielu. Mój sąsiad z pałaty żegna się przy stole zamaszystym potrójnym krzyżem. Może to obecność „batiuszki” tak ich ośmieliła. Ale połów dusz idzie opornie. Dziś próbowałem zagadnąć Łucję, która sama powiedziała mi, że jest „katholisch”. Powiedziałem jej, że Jezus jej oczekuje - to nic, że już piętnaście lat nie spowiadała się - pomogę. Zaprowadziłem ją do Michała i za chwilę już jej nie było. Czego on ode mnie chce - ja miałam muzyków - powiedziała do Aleksandry - ta zaś dodała swój komentarz: „to pustyj czełowiek”. Żeby jeszcze mi nie zaszkodziła. Nie mam powołania na apostoła. Zresztą trudno z jednym i to kiepskim uchem rozmawiać choćby z tym Tomaszem, którego trzeba przygotować do spowiedzi z 40-tu lat.

**30 XII [1966].** „A Bóg pokoju niech prędko zetrze szatana pod nogami waszymi”. Te słowa tak ostre, że prawie nie Pawłowe, zostały we mnie, jak kolący cierń. Powracam do nich, już nie wiem po raz który i miałbym ochotę rozesłać je jako życzenia noworoczne.

O jakiego szatana chodzi w liście do Rzymian? Wyjaśnia to sam Apostoł, kiedy przestrzega przed tymi, „którzy robią niezgody i zgorszenia na przekór tej nauce”, „Panu naszemu Chrystusowi nie służą, ale brzuchowi swemu, a przez słodkie mowy i gładkie słowa zwodzą serca prostodusznych”. Sapienti sat. Wiemy, jak te słowa przełożyć na język współczesny. Czyż to nie on właśnie, ten „nieprzyjaciel od początku”, nie popsuł nam Świąt, pomieszał zbożne zamiary i wycisnął wiele łez? Myślę uparcie, jakby to było, gdybym wówczas zamiast iść do Sokołowa pojechał wprost do Moskwy lub Tainczy. Miałem do tego pełne prawo, ale przecież łudziłem się, że jednak będzie można liczyć na jakiś pozór sprawiedliwości i dadzą swobodnych choć parę dni świątecznych. Tymczasem poza krętactwem urzędowych słów ukazał się śmiech szatana.

Ale w takim razie, co znaczy Ala, ta dusza gorąco kochająca Jezusa, na którego czeka z tęsknotą? Czy nie dla niej te moje przymusowe rekolekcje wśród kalek? Dzisiaj zwierzyła mi się, że jedynym jej pragnieniem jest jeszcze raz przyjąć „Abendmahl”. Pierwszy raz było to jakoś dziwnie: pastor dał pozwolenie jakiemuś bratu i ten przywiózł im Komimię. Było jakieś czytanie - nie wiadomo, czy spowiedź. Co można dla niej zrobić teraz, kiedy leży już latami przykuta do łoża, dręczona obawą, że może stracić świadomość. Jakże na miejscu byłby tu o. Mateo. Może i on miałby trudności, bo w pałacie znajdują się jeszcze trzy chore, z którymi trzeba się liczyć.

Serce Najświętsze], dopomóż! Otuchy dodaje mi też fakt, że pomiędzy obrazkami chorej znajduje się też obrazek Niepokalanego] Serca Marii. To już wiele znaczy.

**1 I [1967].** Właśnie pisałem skargę do obłispołkomu, kiedy przyszedł „dziad Mróz” z życzeniami. Nie wiem, czy mnie tylko ta komedia wydaje się tutaj nie na miejscu. Widocznie tych nieszczęśliwych starców i kalekich usiłują traktować po dziecinnemu, ale to się słabo udaje. Udekorowany w mikołajską szatę staruszek powiedział parę zdawkowych słów; na co równie niemądrze bąknąłem podziękowanie i orszak ruszył dalej. Potem przechodzili jeszcze obok izby, gdzie był Kazimierz z Marią i P. Jezus. Boże mój! Gdyby oni wiedzieli, że tu jest Ten, który jedynie może dać szczęście w Nowym Roku! Ale nie. Nie było nawet światełka, a Jezus był ukryty i niewidoczny. Jak się to stało, że N[owy] Rok rozpoczęliśmy razem?

Wczoraj przed drugą turą obiadu wyszedłem na okrężną przechadzkę wokół domu. Z dala nadjechała maszyna. Kiedy stanęła, wyszło dwoje ludzi. Nie wierzę oczom: Kazimierz i Maria. Od razu mój długo wypracowywany spokój prysnął jak bańka. Gdyby maszyna zaraz nie odjechała, może bym uciekł z nimi z powrotem, nie oglądając się na nikogo. Ale maszyny już nie było, natomiast zjawiło się paru ciekawych komsomolców. Ich zawsze nadniesie. W gościnnej rozwiązał się tłumok wiadomości. Przede wszystkim listy. A więc napisał sam Prow[incjał], ale nie jakbym chciał stanowczo - delikatnie i nieśmiało. Jednakże w konkluzji: Wola Boża, abym wracał. O moim obecnym życiu jeszcze nic nie wie ani on, ani Maryśka. W Kurg[aldzino] zdjęli z uczotu. Można by się przypisać, gdybym siedział na miejscu. Znowu popełniłem pomyłkę, jak wiele przedtem. Często z tych pomyłek wychodzi jakiś pożytek - czy i teraz tak będzie? Oby tylko nie było, jak z proboszczem Sidziny, który szukał chwały Bożej a znalazł własną. Żegnaliśny się może rzewniej, jak zwykle. Kazimierz wspomniał o śmierci, że ma we krwi raka. Któż to wie? Rozrzewnił mnie bardzo, bo się kochamy, jak bracia. Stałem jeszcze, patrząc z daleka, aż skryli się w lesie. Teraz pewnie zmęczeni podróżą odpoczywają, jak Maria niosąca Jezusa do Elżbiety. Ja zaś myślę o tym nowym znajomym, który sam mnie zagadnął i oświadczył, że strzeże polskości i wiary. Utinam! Na noworoczny koncert nie poszedłem, dość już mam tego „Nokturnu”, który szarpie nerwy i kołysze zmysły. A jeszcze na końcu to „rozkrzyżowanie”!

**2 I [1967].** „Wy macie tutaj wielu przyjaciół”. To było powiedziane zbyt poważnie, żeby mogło być wzięte za zdawkowy frazes. A przy tym ta kierowniczka stołówki wcale mnie przedtem nie znała. Trochę niepotrzebnie rozwodziłem przed nią swoje żale, ale ujęła mnie swoją uprzejmością. W ogóle wszyscy są dla mnie dobrzy. Może czują, że kocham ich, jak braci; tym więcej, im kto nieszczęśliwszy. Kogóżby nie wzruszył choćby ten biedak, który wiecznie klęczy na swych kikutach i wciąż coś mówi, jakby się modlił, albo ten staruszek leżący nieruchomo, ilekroć zaglądam przez oszklone drzwi. A ileż nędzy kryje się w pałatach, gdzie leżą nie podnoszący się z łóżek kaleki! Gdyby ich wszystkich można było ofiarować Jezusowi, a ich cierpienia uświęcić krzyżem.

Tymczasem w Tainczy rozwijają bezbożną propagandę. W samym okresie świątecznym było zebranie, gdzie się popisywali szatańską robotą. O rejestracji kaplicy nie ma mowy. I oto trzeba ich zostawić samych w ogniu walki. Słowa Hieronima są łagodne, ale niedwuznaczne: Wola Boża. A teraz zbliża się Pierwszy Piątek i Objawienie. Ostatni piątek z nowenny w Arykty. Czy można prosić, Królu, o jakiś cud, żeby na ten dzień się wydostać? Jezu, Ty wszystko możesz!

**3 I [1967].** Teraz z zapałem czytam *Listy* - te pisane przed wiekami. I zdaje mi się, że wiele zdań można by prawie bez zmian przepisać w mojej korespondencji z Tainczą, Szortandy czy z którąkolwiek z parafii na Ukrainie. Taki choćby *List do Filipian* odpowiada - oczywiście w miniaturze - mojej sytuacji. A więc najpierw dziękczynienie i prośba: Dziękuję Bogu przy każdym wspominaniu was - za współudział wasz w Ewangelii Chrystusowej od pierwszego dnia aż dotąd, ufając iż ten, który rozpoczął w was dobre dzieło, dokona go aż do dnia Chrystusa Jezusa. Jakże słuszną jest rzeczą, żebym takie uczucia żywił względem was wszystkich dlatego, iż was mam w sercu, a w moich więzach i w obronie, i w umocnieniu ewangelii wy wszyscy towarzyszami jesteście łaski mojej (wesela). Albowiem świadkiem jest mi Bóg, jak tęsknię za wami... I oto proszę, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała. A dalej: „Chcę, bracia, żebyście wiedzieli, iż to, co się ze mną dzieje, obróciło się raczej ku postępowi ewangelii, tak iż okowy moje w Chrystusie stały się znane wśród całej straży i u wszystkich innych i więcej braci w Panu ufając okowom moim, nabrało większej miłości”. Tu mogę dodać tylko: oby tak było. Ale to zdanie, które nie daje mi spokoju: „nie wiem, co bym miał obrać. Ściśniony jestem bowiem z obu stron: pragnę być rozwiązanym i być z Chrystusem, co jest o wiele lepiej - ale pozostać... potrzebne dla was”. Dla św. Pawła znaczy to: śmierć czy życie, dla mnie: powrót czy trwanie, ale jedno z drugim prawie się pokrywa. Jakże chcieliby pewnie ci moi biedacy, żeby im powtórzyć i dalsze słowa: „zostanę i przetrwam dla was wszystkich, dla waszego postępu i wesela z wiary, aby chluba wasza obfitowała w Chrystusie Jezusie z powodu mnie, przez moje ponowne przybycie do was”.

Św. Paweł pisał to z Rzymu do Filipian w M[ałej] Azji. Gdyby te słowa napisać choćby do Olewska, miałyby pełny sens tak [jak] i dalsze wspomnienia: „Tylko się sprawujcie w sposób godny ewangelii Chrystusowej, abym czy to przybędę i ujrzę was, czy będę nieobecny, usłyszę o was, że stoicie w jednym duchu, jednomyślnie współpracując około wiary Ewangelii, i że w niczym nie dajecie się zastraszyć przeciwnikom, gdyż wam dane jest dla Chrystusa, nie tylko, abyście weń wierzyli, ale abyście też dla niego cierpieli”. Następująca potem nauka o miłości, pokorze i bojaźni Bożej ma ogólne zastosowanie. Ale oto na zakończenie słowa znowu aktualne: „Ucieszyłem się wielce w Panu, że znowu przecież zakwitło w was staranie o mnie... Nie jakoby wskutek niedostatku to mówię: ja bowiem nauczyłem się poprzestawać na tym, co mam. Umiem i biedować, umiem i obfitować (wszędzie i we wszystko jestem wtajemniczony), i nasyconym być, i łaknąć, i obfitować, i niedostatek cierpieć. Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia. Jednakże dobrzeście uczynili przychodząc z pomocą uciskowi mojemu”. Apostoł skarży się dalej delikatnie, że tylko oni w Filippach o nim pamiętali: „żaden kościół nie dzielił się ze mną na rachunek: «dano i otrzymano», jeno wy sami”.

Ja tego powtórzyć nie mogę, bo poczta w Kara Kacka czy Tainczy energicznie by przecież o tym zaprotestowała (7 paczek przedświątecznych!). Ale o to nie chodzi ani Jemu, ani mnie: „nie, żebym szukał datku, ale szukam owocu, który by się pomnażał na dobro wasze. Mam zaś wszystko i obfituję, jestem napełniony otrzymawszy, od - oczywiście Marii i Kazimierza - coście posłali „wonność, wdzięczność, ofiarę przyjemną, Bogu miłą”; trochę prozaiczniej to wyglądałoby: koguciki, miód, góra ciastek. Toteż „Bóg niechaj wypełni wszystkie pragnienia wasze według bogactw swoich w chwale w Chrystusie Jezusie”. Czy kiedy taki list napiszę? Nie wiem, ale dla mnie samego jest tu wiele do przemyślenia.

**4 I [1967].** „Inimici crucis Christi”[[249]](#footnote-249). Czyżby do takich trzeba zaliczyć Alę, to biedne stworzenie, które kocha naprawdę Jezusa i żywiołowo pragnie Komunii św. A jednak kiedy próbowałem z nią zrobić znak krzyża Św., zmieniła się widocznie na twarzy i powiedziała, że tego zrobić nie może, bo przysięgła umierającej matce, że wiary nie zmieni. Kiedy usiłowałem wytłumaczyć, że taka przysięga nie obowiązuje, bo to nie jest zdrada wiary, tylko powrót do dawnej, że my z protestantyzmu nic nie odrzucamy, tylko dodajemy nowe prawdy - może wskutek wewnętrznej walki - przyszedł gwałtowny atak - i musiałem ustąpić. A tak się pięknie zapowiadało zwycięstwo Króla nad tą biedną. Wszystkie dogmaty: prymat, tradycja, cześć Marii, Eucharystia zdawały się być jasne i łatwe do przyjęcia. Tylko ten krzyż! Ostatecznie nie było to może najważniejsze, gdyby odrzucenie tej praktyki nie było negacją wszystkiego. Dałbym wiele za poradę, jak nie stracić tej duszy, bo jestem bezsilny. Dziś we Mszy św. polecałem ją Jezusowi: „Ty tylko to możesz”.

Dyrektora w kantorze nie było - a jutro już czwartek. Trudno mi zdobyć się na spokój. Przychodzi chęć iść pieszo, ale to ryzykowne. W głowie czuję szum - może to po kąpieli. Tomasz już robi rachunek sum[ienia]. Niechże przynajmniej to będzie.

**5 I [1967].** Okna znowu zamurowane na cal. W pałacie chłodnawo. Mnie od nocy boli głowa - może to grypa? Tak się wszystko składa, że z planów nie będzie nic. Dyrektor znowu będzie się bał, żebym nie zamarzł w drodze. Ale Tomasz już wyspowiadany, Margareta też. Co za radość nas czeka! ich i mnie![...]

Ta radość była nawet trochę większa, bo przyjechała Emma. Byliśmy więc we trójkę jak Trzej Królowie. Boże mój, jak mały i nędzny czuję się wobec ogromu Twej dobroci. Jak trudno zdobyć się na prawdziwy poryw serca. Przecież to wszystko jest cudowne: i ta izdebka zamieniona w kościół, i tych dwoje starców, którzy ledwie mogli się przywlec, oczekujących Zbawienia, jak Symeon i Anna.

Teraz już właściwie mało mnie obchodzi, jaki będzie skutek mojej rozmowy z dyrektorem. Zatelefonował do Sokołowa i kazał czekać na decyzję. Jeżeli otrzymali już moją skargę - musiała chyba dojść - będą musieli dobrze się zastanowić, co nadal przedsięwziąć, chyba że zignorują - a wtedy będziemy dalej się borykać.

Po południu w drzemce widziałem się z Marysią. Była to serdeczna pieszczota. Czy to jest w mojej podświadomości, jak też i Kraków z braćmi ubiegłej nocy. Ale Prowincjałem był Czesław, a gwardianem Marian, jak ich zostawiłem. Trudno mi wyobrazić sobie nowe porządki.

Emma przywiozła list od Tekli Iwanowny czarujący Leningradem. Moja sąsiadka przy stole jest też z Leningradu, raczej z dawnego Petersb[urga]. Gdyby nie mój kiepski słuch, moglibyśmy prowadzić serdeczniejsze rozmowy. Opowiadała wiele o swojej rodzinie, a nawet zademonstrowała szereg dawnych fotografii jeszcze z dzieciństwa. W ogóle miła staruszka, jak wszyscy jej rodacy. Dzisiaj nawet przyniosła mi pastylki od bólu głowy. Tekla jest również uosobieniem dobroci. Bardzo religijna - ma przy tym wielkie zmartwienie, bo syn żyje z Żydówką, a córka wciąż choruje na serce. Ona też mocno zapada. W Aglonie odwiedzałem ją beznadziejnie chorą, a potem w domu na [...] też nie lepiej się czuła, ale zawsze była niezwykle gościnna. Teraz też zaprasza. Pewnie, że pojadę, jeśli tylko będzie można. Cieszę się, że i poczciwa Apolinia mnie sobie przypomniała. W najcięższych chwilach była dla mnie, jak matka i nawet - choć z trudem - odwiedzała mnie w szpitalu. Może też miała nieprzyjemności. Szkoda tylko, że o Lizie nic nie wiem. Wygląda na to, że nie ma z nimi kontaktu.

Wspomnienia snują się, a czas upływa. Mróz znowu zapowiada się silny. Jak Emma odjedzie?

**6 I [1967].** Surge, illuminare...[[250]](#footnote-250) Nagle gdzieś na dole zabłysło światło. Poprzez szyby migotały gwiazdy. Bezwiednie szukałem tej jedynej. Nie, nie mogę spać. Wszak to dzisiaj ten dzień... Gwiazdko złota promienista, gdzie prowadzisz, gdzie? To Frania wyciąga starczym sopranem. Wyschłe - jakby kościane - palce biegają nerwowo po klawiaturze. Siwe włosy a la garçonne spadają na szyję. Do stajenki Jezu Chrysta, chcesz powiodę cię? Pewnie, że chcę i to całą duszą, lecz gdzie ta stajenka.

Józef jeszcze spał, Margareta też - aleśmy ich rozbudzili: ja jego, Emma ją: powstań, oświeć się. Inaczej nie bylibyśmy we trójkę, jak Trzej Królowie. A przecież trzeba było im powiedzieć: my tak samo przychodzimy złożyć hołd Dziecięciu. Zamiast stajni czy ubogiej chaty jest równie nędzna pałata, a Jezus ukryty tam i tu: o mój Jezu, jakżeś mały, ubożuchny tak, płaczesz z zimna. Nie, w małej izdebce jest aż nazbyt gorąco, ale Ty przecież żądasz innego ciepła. A ci staruszkowie poszli na śniadanie, jakby ich mało obchodziło, co się u nich dzieje. A za ścianą Ala, która boi się Twojego znaku - symbolu wiary i miłości. A my, co Ci oddamy? Czemu serca nie płoną tylko się jarzą, jak ta skąpa świeczka na nędznym ołtarzyku? Złoto, kadzidło - nic; chyba najwięcej, to już tej gorzkiej mirry cierpienia. Margareta naprawdę z trudem się wlecze na dwóch szczudłach. Tomasz płacze ze wzruszenia i też się ledwie rusza. Jeszcze akt poświęcenia i odejdą już do siebie - ale chyba już inną drogą. Emma też poszła, bo podobno zjawiła się jakaś „Wołga”. Oby ją P. Bóg szczęśliwie odprowadził. Mnie trzeba czekać na to „reszenie”. Przychodzi na myśl Herod knujący spisek. Co oni teraz uradzą?

Byłem naiwny, łudząc się, że będą szukać pozoru sprawiedliwości. Im wystarcza, że mnie mają pod kluczem. Sokołow przeczy własnym słowom. Od początku do końca oszukuje. Napiszę mu to, kiedy trochę ochłonę. Bo teraz dławi mnie złość, że jeszcze się na nich nie poznałem. Nie ma żadnych względów, jeżeli chodzi o zgnębienie wiary. Trzeba być - równie jak oni -”chytrym jak wąż”. Ale teraz muszę czekać na jakąś odpowiedź z Moskwy - może też i listy coś przyniosą. Właściwie dziś już kończy się okres świąteczny. Jeszcze tylko oktawa, a potem tylko dwa tygodnie i Septuagesima. Nadzwyczaj krótki karnawał. Oczywiście kolędy trwają do Gromnicznej, ale co mnie to obchodzi? Czy kiedy wejdę jeszcze w normalny tryb życia wierzących. Św. Paweł w więzieniu rzymskim układał plany, a tymczasem przyszła śmierć. To zawsze może się zdarzyć, choć teraz inne czasy. Ale czy już teraz nie jestem na pół umarły w tym „Martwym” domu.

Kto to jest ten Karol z Seti? Nie mogę się o tym dowiedzieć, choć już pisałem do Albina. Może myślą, że mnie takie rzeczy nie interesują, ale tu wszystko jest ciekawe, co wiąże z Rodziną.

**7 I [1967].** Miałem już napisany okrutnie złośliwy list do Sokołowa, kiedy mi przyszło na myśl, że lepiej „zażyć go z mańki”. Nigdy tego nie praktykowałem i nawet nie wiem, skąd pochodzi to powiedzonko, ale dzisiaj wraz z tą myślą wstąpił we mnie jakiś dziwny spokój. Po co się źlić i odwoływać do sprawiedliwości, jeśli ta na nic się nie przyda? I oto Sokołow się dowie, że jest mi tu bardzo dobrze, mam wielu przyjaciół, świetne warunki życia, w ogóle jak w raju, dlatego rozpływam się w dziękczynieniach, że mnie tu wprowadził. Cóż, kiedy wzywają do Polski. Rad nie rad muszę się starać o dokumenty...

Jeżeli nie wyczuje drwiny, to może to co podziała, a trudno liczyć na subtelność uczuć tego kanciastego człowieka.

Mam też zamiar napisać do Gromyki, ale to już większe dzieło i trzeba się dobrze zastanowić. Tymczasem ogarnia mnie złość, że się dałem złapać, jak mysz w pułapkę.

**8 I [1967].** Mało mam jeszcze Sokołowa w życiu - trzeba go jeszcze oglądać w kinie. Bo wczoraj na tym „Cienkom lodzie” od początku do końca widzieliśmy tylko jego i jemu podobnych. Aż mi się niedobrze robiło i ledwie dosiedziałem do końca, bo wciąż mi przychodziły rozmowy, jakie miałem w Równem, Samborze i Celinogradzie. Obłudne słowa i obleśne uśmiechy. Ciekawym, jak wyglądałby film, gdyby przedstawili polowanie na wielkiego przestępcę, obieżyświata, zakończone triumfalnie na uliczce w Akmolińsku. A potem sąd, więzienie, zsyłka, wreszcie ostatnia rozmowa i jazda do inwalidów. Myślę, że to byłoby może nawet więcej interesujące, niż detektywistyczne sztuki w pogoni za bandytą.

Może pod wpływem tych refleksji dręczy mnie myśl o ucieczce. Wiem, że jest to nierealne, ale zamiar siedzi we mnie, jak kolący oścień. Byleby tylko jakoś wydostać paszport, bo potem mogą robić trudności z wyjazdem. Ale nic mi nie przeszkadza snuć fantastyczne plany.

Tymczasem zrobiłem ciekawe odkrycie, że mój sąsiad w pałacie nosi na szyi krzyżyk. Znaczy to, że nas wierzących jest tu większość. O dwóch pozostałych nic pod tym względem nie wiem, ale zdaje mi się, że i na ogólną liczbę mieszkańców domu większość jest wierząca. Może temu należy przypisać, że mam wielu przyjaciół. Nie mogę im ofiarować swojej duchownej pomocy, ale może nadarzy się sposobność nawiązać ściślejszy kontakt. W każdym razie poproszę, żeby mi przywieźli jakieś ruskie książki liturgiczne.

Ale oto teraz właśnie idzie „Czarne koło”. Może to nie jest tak groźne, jak nazwa, ale zawsze coś diabelskiego. Na korytarzach i w pałatach cisza. Wszyscy poszli. Można spokojnie odśpiewać egzekwie na jutrzejszy dzień: „Przebacz mi, Panie, bo dni moje są niczym”.

Sąsiad z krzyżykiem wrócił i już śpi. Widocznie „Czarne koło” go nie pociągnęło, ale innych jeszcze nie ma. Jest cisza odpowiednia do rozmyślania. Z o. Bern[...] przenoszę się do Nazaretu. Jezus 30 lat pogrążony „w głębokim milczeniu”. Ale to milczenie pełne treści, wzniosłe i święte. Milczy też w Tabernakulum.

„Dziękuję Ci, że w Tabernakulum uwieczniłeś swoje pokorne, ofiarne i pełne skupienia milczenie Nazaretu”.

**9 I [1967].** Do galerii tutejszych typów przybywa jeszcze jeden: półnagi człowiek-szkielet wlecze się korytarzem, co chwila przyklękając na jedno kolano, jakby w jakiejś pokutnej pielgrzymce. Nie wiem, co to ma znaczyć, ale takich tajemnic ludzkiej nędzy kryje się pewnie po pałatach wiele. Czasem tylko wywlecze się na zewnątrz jakiś koszmarny stwór na połamanych nogach lub bez nich, lub Karzełka z Andersenowej bajki. Ale to nie bajka, lecz okropna rzeczywistość - to bytowanie jakby bez sensu tych milionów połamanych ciał, bo przecież nasz dom to jakaś milionowa cząstka całości. I trzeba silnej wiary, żeby sobie powiedzieć, że to przeogromne cierpienie nie jest bez znaczenia. Inaczej i krzyż Chrystusa nie miałby sensu, bo wszakże On wszystkie cierpienia skupia w sobie, jak w ognisku. Ale jakże im to powiedzieć, tym moim serdecznym braciom, z którymi coraz silniej wiążą mnie losy. Na każdym kroku wspominam tu Elżbietę. Jej pomoc jest mi gwałtownie potrzebna, choćby dla tej Aleksandry, której obiecuję ulgę w bólu głowy. Ale teraz mam już słabą nadzieję nawiązać z nią kontakt - chyba tylko przez Teklę Iwanownę.

Ja sam czuję się też niewyraźnie. W nocy i potem po południu pojawia się ból głowy i szum w uszach. Może to jakaś zatruta atmosfera pałaty nigdy nie wietrzonej tak działa, a może po prostu grypa? Jutro ma być poczta. Czy ona wreszcie mi co przyniesie? Napisałem do T[ainczy?] o dokumenty. Nie można liczyć na pozwolenie, trzeba coś przedsięwziąć.

**10 I [1967].** Wstydzę się tego, ale czuję, że coraz bardziej pogrążam się w atmosferze marazmu. Po prostu myśli nie mam o co zaczepić. Próbowałem czytać gazetę w lektorium, ale były tylko przedkilkudniowe numery komsomolskiej „Smieny”. Tajemnicza biblioteka wiecznie zamknięta. Ranna przechadzka tylko mnie rozgoryczyła, bo widziałem całą czeredę przeważnie Kozaków cisnących się maszyną do miasta. Im wolno! a ty siedź jak skazaniec i czekaj zmiłowania. Poczta też nic nie przyniosła. Może dlatego byłem do reszty załamany, kiedy wchodziłem do Lidy. Dzisiaj rozmawialiśmy dłużej o jej chorobie, która zaczęła się w 58 r., a w marcu zeszłego roku pojawiły się kataleptyczne ataki. Te daty przypominają mi dziwnie moje przeżycia. W 58 r. początek katastrofy, a w marcu więzienie. Tak jesteśmy, jakby związani jakimś tajemniczym fatalizmem. Lida twierdzi, że jej przypadki nasilają się przy nowiu księżyca. Jest to więc jakby ewangeliczny lunatyzm. Tym bardziej chciałbym jej pomóc. Napiszę jeszcze do Lizy, może się wreszcie odezwie, albo znowu do Tekli Iw[anownej], którą obarczyłem już wielu sprawunkami. Czuję, że chyba tylko w tej samarytańskiej służbie mógłbym znaleźć jakieś ukojenie, ale jakże jestem niedołężny! Patrząc na wlokące się na szczudłach kalectwo, wstydzę się, że chodzę prosto. Czasem zdobywam się na uprzejmy uśmiech lub datek, ale co to wszystko znaczy, kiedy nie mogę dać prawdziwej pociechy. Dziś moi staruszkowie właśnie podczas podniesienia prowadzili jakąś rozmowę - a potem wyszli a przecież to też chrześcijanie i to wierzący. Może, jeśli nasze lekarstwa pomogą co Aleksandrze, to będzie można pomówić także o tych sprawach. To znowu ten Michał - czy jak się tam pisze - obiecuje przyjść na rozmowę, ale nic z tego nie wychodzi, a tyle czasu i łaski Bożej idzie na marne.

Boże mój! Ten Michał z Równego odkrywa cudowne perspektywy. Żeby to tylko nie był złudny miraż.

**11 I [1967].** Ten widok powtarza się tu pewnie nierzadko. Biała trumna na saniach. Melancholijnego konia prowadzi jakiś inwalida. Drugi zgarbiony niesie z tyłu na ramionach dwie łopaty. Ot i pogrzeb. Dziś do orszaku przyłączył się kapłan. To nic, że zmarła była prawosławna. Tu nie ma różnicy. Również nie dziwne, że proboszcz pomodliwszy się po cichu, pomagał zasypywać grób. Tutaj to nikogo nie dziwi - nawet tego młodego inwalidę, który stał obojętnie z boku i patrzył. Kiedy oni odjechali, wypisałem na krzyżu datę. Może to tak się zaczyna moja funkcja duszpasterska. Michał obiecał pomagać. Dzisiaj ma mnie zaprowadzić do chorego, który pragnie spowiedzi, ale najpierw sam musi się przygotować. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że to Równe przychodzi do mnie. Bo podobno zawchoz [kierownik działu gospodarczego] jest też Polką z Równego. To mi tłumaczy coraz dokładniej tajemnicze słowa usłyszane w stołówce, że mam wielu przyjaciół.

Szkoda tylko, że ten Michał wygląda trochę na pomylonego, a przy tym za wiele pije. Chciał się znowu niby spowiadać, ale nic z tego nie wyszło. Zapoznał mnie z drugim Polakiem, którym - okazuje się - jest noworoczny Dziad Mróz. Co do religii, przedstawia się mętnie. Najciekawsze może curiosum dnia, to moja rozmowa z wicedyrektorem, która powinna mieć następstwa. Śmiał się z moich dokumentów. Nareszcie przyszedł pierwszy list - oczywiście od Zofii. Mieli Pasterkę i Święta. Włodz[imierz] dobrze ich pilnuje. Ja nie mogę się pochwalić, żebym mu się odwzajemniał.

**12 I [1967].** Przede mną pojawiła się zagadka. Obawiam się, że jest to swego rodzaju „Misterium iniquitatis”. Wczorajsze odwiedziny nietrzeźwych przyjaciół mogły same w sobie zadziwić serdecznością. Wieczorem zauważyłem brak futerału na okulary. Była to drobnostka, mógł się gdzieś zarzucić. Ale wraz z nim przepadł notes z pieniędzmi i intencjami. To okazało się dopiero dziś rano i wyprowadziło mnie z równowagi. Bolesny jest nie tyle fakt straty, ile dręczące podejrzenia, z którymi muszę walczyć, jak z rojem os. Radzono mi donieść o tym dyrektorowi, bo właśnie przyjechała milicja, ale co oni mają do tego? Dobrze, że znam choć w przybliżeniu liczbę intencji.

A wszystko leżało rozrzucone na drodze. Czy to też nie cudowne, że przez całą dobę nikt tamtędy nie przechodził. Idąc na cmentarz walczyłem z myślą, że ktoś wyciągnął - ale jak? Trzeba być nie lada specjalistą, żeby tego dokonać tak zgrabnie. A wtedy runęłaby cała moja ufność gruntowana na dobrej woli biednych współtowarzyszy. Dzięki Ci, Boże, że oddalasz ode mnie czarne myśli o pocałunku Judasza.

**13 I [1967].** Moja zguba wyszła na pożytek, bo wielu ze mną chwali Boga. Spotykam się z wyrazami szczerej sympatii. Jeszcze wczoraj, zaraz rano, przybiegła całkiem nieznana mi sanitarka i radziła zgłosić nieszczęście do dyrektora, zanim milicja odjedzie. A dzisiaj ten sąsiad Białorusin, którego posądziłem o wolnomyślność, z szczerym zachwytem zawołał: Sława Bogu. Coraz więcej przywiązuję się do tych ludzi, do których zbliżyła mnie Opatrzność.

Tymczasem idą poważne starania o moje zwolnienie. Maria z Franią przyjechały, żeby mnie stąd zabrać. Nie myślałem, że Pietrówka tak się tym interesuje. Frania „jest” moją kuzynką po matce. Chcą mnie wziąć wraz z mężem na swoje utrzymanie. Nie wiem, co się z tego uda, bo właśnie poszły do dyrektora. Ale niech będzie, co chce. Po raz już nie wiem który odczytuję „modlitwę” Lermontowa:

*„I* *wierytsia i płaczetsia*

*I tak legko, legko”.*

Lecz im pewnie wcale nie idzie lekko, kiedy cały dzień nie wracają. Przypuszczam, że pojechały do miasta, bo cóż by innego z nimi się stało, ale kiedy i czemu jeszcze ich nie ma, i z czym wreszcie przyjadą?

Aż mi wstyd, że moje sprawy tyle ludzi kosztują czasu i trudu. Tylko że to właściwie nie moje sprawy, ponieważ i ja nie należę do siebie. To, co Jezus powiedział w świątyni, ma i dla nas znaczenie: „potrzeba mi zajmować się sprawami Ojca mego”.

Zaczyna się ożywiać korespondencja. Dzisiaj przyszedł list z Aktiubińska. Więc Jezus ich nie opuszcza. Wspominam tamtejsze nocne wędrówki. Ciekawy incydent przy chorym, kiedy wzięto mnie za bibosza i inne ciekawe przygody w Rudnikowce. Serdeczni ludzie i rzewne wspomnienia. Czy jeszcze będzie nam dane to odnowić?

Tymczasem zawarliśmy bliższą znajomość z Maksymem Iwanowiczem, tym, który przy stole żegna się wielkim krzyżem. Czytałem mu listy od wnuków, bo sam pisanego nie czyta. Mieszkają w Szortandy. Wszystko się kręci w niewielkim kółku, ale staruszek spędził 30 lat w Chinach. Nie byle co!

**14 I [1967].** „Wy nie odjeżdżacie od nas?” W jej głosie była jakby prośba, choć z tym biednym stworzeniem prawie nigdy nie rozmawiałem. Na korytarzu jakaś zagadnęła: kiedy u nas Jordan - to znowu inna: kiedy Pascha. Nie mogłem im dokładnie odpowiedzieć, ale obiecałem. Widocznie rozchodzą się już plotki o moim odjeździe. Aleksandra mówi z żalem, że będzie płakać. Może dlatego właśnie nic jeszcze nie wychodzi. Przyjechały dziś wreszcie i to we trójkę, bo przyłączyła się jeszcze Emilia - lecz wyzwolenia nie przywiozły. To nie tak łatwo. Miałem zamiar po prostu uciekać, ale jeszcze mam trochę zdrowego rozsądku. To mogłoby wszystko popsuć. Tymczasem to moje niezdecydowanie pozbawiło mnie brewiarza, bo przez pomyłkę zabrały. Pojechały z nimi też rozmyślania i o. Mateo, myślę jednak, że nie na długo, bo Maria ma szybko przywieźć dokumenty. Jestem zły, że nie zatrzymałem tych trzech dusz na jutro. Smutno wesele w Kanie wspominać w pojedynkę. A gdyby tak rano: per pedes apostolorum? „Ukaż mi, Panie, drogi swoje”.

**15 I [1967].** Przez nasze okno widać dobrze kałamaszkę pocztową, która właśnie zajechała przed ganek. Kulawy pocztylion gramoli się z tułubów i za chwilę będzie roznosił listy po pałatach. Miałem zamiar wyjść na przechadzkę, ale jeszcze poczekam. Może i o mnie Merkuriusz pamiętał. Czekam na wiadomość od Maryśki z Żytomierza i od Mikołaja. Ciekawym, kto najlepiej się spisze. Tymczasem myślę o swoich listach do ministerstwa ubezpieczenia w Ałma-Ata i może do Gromyki. Wiem, że to wszystko skutku nie odniesie, ale: „scripta manent”.

Nie, nic nie było. Bezwiednie powtarzam za Lermontowem:

*„I tęskno, i smutno, i nie ma komu podać ręki”.*

Ale ostatnie słowa nie mają sensu. Nie, życie nie jest „głupią farsą czy żartem”. Także jego pojęcie o miłości nie zgadza się z naszą mistyką:

*„Kochać na krótko* - *wszak nie warto,*

*A wiecznie kochać nie ma kogo”.*

Właśnie chodzi o tę wieczną miłość, za którą poeta bezwiednie tęskni. Zadziwiającą jest rzeczą, że w każdym prawie jego wierszu powtarza się słowo Bóg i to rzadko kiedy mniej poważnie w drwinach lub gniewie. W wierszu na zgon Puszkina grozi „bożym sądem”, a w Borodino znalazła się „Boża wola”, która oddała Moskwę Francuzom. Potem idzie pełna lirycznego piękna zaduma nad gałązką z Palestyny:

*„W przejrzystym mroku lampy blask,*

*Wysoko symbol święty, krzyż rozparty,*

*Cisza i pokój pełen łask*

*w Tobie i ponad Tobą święty”.*

Nawet w lirycznych zachwytach nad przyrodą choć „szczęście i na ziemi znaleźć może”, to jednak „w niebiosach widzi Boga”. Rzewna jest też ta znana kołysanka, w której matka daje na drogę i bój obrazek święty.

**16 I [1967].** Otrzymałem nominację na biskupa i byłem bardzo zakłopotany, bo trzeba było powiedzieć jakąś mowę po łacinie. Chętnie byłbym tę godność odstąpił Antoniemu, ale już zadecydowano i konsekracji miał nam udzielić ks. Wysokiński, który też w międzyczasie został biskupem - zdaje się w Łucku. Może to on właśnie się przypomniał, że to dziś Marcelego - jego imieniny. Świeć, Panie, jego duszy. Wraz z nim przypomina się Dubno, Krzemieniec i Winnica - zwłaszcza ta ostatnia, miejsce jego spoczynku i nasz kapucyński klasztor. Wchodziłem tam ze wzruszeniem, jak pielgrzym do Mekki. W klasztorze od dawna mieszkają obcy, ale kościół z przylegającym korytarzem był oddany do użytku wiernych. W oratorium z oknem wychodzącym na wielki ołtarz było coś w rodzaju kuchni czy mieszkania gospodyni, a proboszcz zajmował wąski pokoik, gdzie pewnie mieścił się dawniej jakiś skład.

Ks. Marceli, niski, dobrej tuszy (nosił na sobie cały szereg futerałów) odznaczał się długą, bujną brodą i włosami spadającymi na szyję. Była to pozostałość wschodniego obrządku, którym się jeszcze posługiwał w Dubnie dla przesiedlonych Słowaków. Był światłym kapłanem, profesorem wschodniego Seminarium, dawniejszy jezuita, opuścił zakon nie wiem z jakiego powodu. Zapoznaliśmy się w Równem w pierwszych latach mojego tam pobytu. P[ani] Wróblewska zabrała go zaraz do Dubna i cieszyli się nim tam pewnie ze dwa lata. Trochę pustawy kościół zapełniał się więcej, kiedy nadjechali Słowacy. O. Markało poczuł się w swoim żywiole. Nawet powrócił częściowo do wsch[odniej] liturgii, ale nie trwało to długo. Trochę wskutek szykan ze strony miejscowych władz, trochę dobrowolnie przeniósł się do Winnicy na wyczerpującą pracę. Widziałem go na parę miesięcy przed śmiercią. Był schorowany, ale pełen zapału. Śmierć zastała go na posterunku. Zaraz potem zamknięto kościół.

Równocześnie śniła mi się dziś Januśka - nie wiem z jakiego powodu - bardzo zapłakana. Może to jakieś reminiscencje z Lermontowa, który mnie całego nastraja lirycznie, jak harfę.

**17 I [1967].** Gdyby to było na jawie, spaliłbym się ze wstydu za tę nocną celebrę. Najpierw zabrakło wina, potem kielich okazał się nieodpowiedni, ostatecznie wyszło zamieszanie, a miała być jakaś adoracja, kazanie. Przy mnie asystował niecierpliwie o. Marian - świeć, Panie, jego duszy!

Jawa była inna, ale też nieprzyjemna. Przez okno zaglądał ciekawie ten kulawy inwalida, który chodzi z czerwoną opaską na rękawie i pilnuje porządku. Widocznie zainteresowały go świece, bo i drugą jakąś towarzyszkę zatrzymał. Staruszek boi się, że mogą zabrać rzeczy.

**18 I [1967].** *Oni wiedzą, że nas dręczą bezprawnie. Lecz dla takich, jak my, nie ma prawa. Oszukują, kręcą, kłamią jawnie. To nie z ludźmi, lecz z szatanem jest sprawa.*

*A Ty, Boże, wciąż czekasz cierpliwie. Twoje młyny tak powolny takt mielą. O, wejrzyj na lud Twój żałośliwy. Kiedyż przyjdzie Twój sąd sprawiedliwy, a dla wiernych czas wieczny wesela?* Pisałem ostatnie słowa, kiedy wezwano mnie do dyrektora. Przyszła odpowiedź obłispołkomu na moje podanie. Oczywiście powtórzono wszystkie oskarżenia z tą różnicą, że moje bezrobocie rozciągnęli do 11-tu lat.

**20 I [1967].** A potem był sąd - właśnie sąd - nad szoferem, który zranił człowieka. Był prokurator, sędzia, adwokat - same kobiety; tak, jakby kulturalnych mężczyzn nie było w Kazachstanie. Może to i prawda, kiedy odpowiedzialne miejsca zajmują takie Sokołowy.

Napisałem mu jak najgrzeczniej, a on nie reaguje ani słowem; zadowolony, że się może wykręcić.

Czekam bez końca, czekam i listu od Maryśki, i przybycia kogoś z dokumentami; co dzień wychodzę na drogę - i patrzę czy nie jedzie. Opętały mnie rymy. Nie jest to poezja, ale właśnie rymy czy asonanse. Chodzą za mną natrętnie i brzęczą jak osy, w dzień zawracają głowę, w nocy spać nie dają. Może to jakiś tajny duchowy niedosyt i marzenia dzieciństwa późno powracają. A przy tym są tu wspaniałe typy. Choćby ten wciąż klęczący biedak, jak jakiś barokowy święty. Przy staraniu można by stworzyć coś w rodzaju albumiku z domu inwalidów.

Tymczasem jednak przychodzą paczki i listy, za które trzeba podziękować i odpisać. Posyłki przyszły z Akt[iubińska] i z Korca. Jest to całe utrapienie, bo nie mam gdzie podziać i co z tym zrobić.

Z K[orca] przyszły ciekawe, ale i smutne nowiny. X. J[?] jest chory. Pewnie dlatego nic nie pisze i nie ma nadziei oczekiwać stamtąd pomocy. A o mnie rozeszła się plotka (telegram!), że jadę do Leningradu.

Przyszła mi straszna myśl i to w czasie Mszy Św.: a gdyby ten dom inwalidów miał stać się dla mnie grobem? Bo wszystko jest możliwe. Piszę o szatańskich siłach, ale nie zdaję sobie sprawy, że to jest rzeczywistość. Mogą kręcić, przeciągać, wreszcie odmówić. A gdyby - uchowaj Boże! zabrakło Maryśki, byłoby to zatrzaśnięcie trumny. Czy wtedy równie spokojnie, jak teraz, mógłbym powtarzać: bądź wola Twoja? A jeśli to ascetyczne cierpienie już mnie wyczerpuje - to czem byłaby sama rzeczywistość. Nie chciałem nawet tego pisać, ale byłoby to strusie chowanie głowy. Czy mi jutrzejszy dzień pomoże rozwikłać ten węzełek, który się coraz bardziej zaciska. Czemu Maryśka nie pisze? Może list nie doszedł, ponieważ był zbyt otwarty?

**21 I [1967].** *Jeśli napiszę do ambasady - może się uspokoję, ale tak trudno znaleźć radę i wciąż się czegoś boję. Boję się darmo, bo wszak wierzę, że wszystko w Boskiej mocy, lecz gdy na drodze kamień leży, próbuję czy przeskoczę. Ot, dzisiaj chciałem jechać w gorod, (bo tak się tutaj rzecze), ale lekarze będą skoro - więc wszystko się odwlecze. Ale że dzisiaj św. Jagny - tak przemiłej dzieweczki - i uczcić ją gorąco pragnę, mam chętkę do ucieczki. Kiedy już wreszcie ktoś przyjedzie, przywiezie te papiery - a tu człowiek w więzieniu siedzi - tygodni równo cztery.*

**22 I [1967].** *Wiedziałem, że mnie wysłuchasz, bo nie wysłuchać nie możesz. Gdy znękanego ducha wznoszę do Ciebie, Boże. Wieczorem już się kończyła Chrystusa święta obiata, gdy nagle się zjawiła Wiktoria z Małgorzatą. Agnieszka też święte dziewczę do nas się uśmiechnęła i w serce znów raz jeszcze pogoda Boża spłynęła.*

**23 I [1967].** *W pałacie okna do połowy zasypał śnieg, na polach na nowo grubą płachtą legł. Poczta pewnie nie pójdzie może parę dobrych dni. Jakże mi smutno, Boże - jakże ciężko mi. Wieczorem przyjdzie biedna Maria Antonowa. Potrzebne choćby jedno pocieszenia słowo. A gdzie je znaleźć, kiedy znowu w mej duszy tak ciemno, przepaść jakaś trwożna we mnie i nade mną. Jak też one biedne dotarły do miasta, w lesie same jedne, kiedy burza wzrosła, znalazły się one pieszo w okropną, suchą zawieję. Kiedy to przypomnę, serce mi drętwieje. Lecz Ty byłeś z nimi, jak ongiś na morzu z wielce trwożliwymi rybakami w łodzi. Więc chociaż zawieja sypała śnieg w oczy - nie tracę nadziei - boś Ty z nimi kroczył.*

Napisałem list do Mikołaja i Bronisława, ale Pan Bóg wie, kiedy odprawię.

**24 I [1967]**. *Na wiosce już spokojnie, lecz w polu jeszcze wieje - żeby kto mógł przyjechać, trudno mieć nadzieję.*

*Lecz znów wyszedłem, na drodze pies mnie witał szczekaniem, ktoś mu utrącił nogę - mam dość tego czekania. Ten pies jeszcze niedawno nie dał mi drogą przechodzić, ale dałem mu ciastko i całkiem się rozpogodził. Żeby też tamtych można, jako te psy ugłaskać i z wrogów przyjacielem zrobić z pomocą ciastka!*

*Dziś nic mi się nie składa - głowa ołowiem ciąży - choć ręka piórem włada - myśl z myślą się nie wiąże. Jak ptaszek w klatce ginie i rzuca się w udręce. Wieczorem będzie kino - „Kogo lubimy więcej”.*

**Ps 12**

*Jak długo, Panie, dokąd jeszcze będę u Ciebie w zapomnieniu.*

*Czemu oblicze Twe złowieszcze przede mną*

*Skrywasz w groźnym mroku cienia.*

*W duszy mej boleść tkwi co dzień i noc,*

*A serce smutku znieść nie może.*

*Nade mną wróg podnosi głowę.*

*O wejrzyj na mnie, Panie Boże.*

*Niechaj wróg nie mówi: zwyciężyłem,*

*Rozjaśnij moje łzawe oczy,*

*W Tobie nadzieję mą złożyłem,*

*Choćby mrok śmierci mnie otoczył.*

*Niech się serce raduje moje*

*Pomocą Twą nieustanną,*

*Za niezliczone dary dziękuje*

*I śpiewa Panu wieczne Hosanna.*

**25 I [1967].** Dziwne, jak własne słowa mogą człowieka podniecić. Zastępca dyrektora zapytał mnie w dobrym humorze o zdrowie. Odpowiedziałem: można zwariować i od razu prysnął spokój, nad którym tak mozolnie pracuję. Chciałem pisać coś w rodzaju elegii na śmierć tej zakonnicy w Paryżu, która życie oddała, jako ofiara miłości - nawet już się składały pierwsze stychy:

*Bóg to jest wartość - czy wierzysz?*

*Więzienne drzwi otwarty się szerzej...*

A teraz pusto i nawet czytać się nie chce, bo kiedy mu rzuciłem ze złością: co robić? On odpowiedział: czytać książki. Teraz to wszystko mi obrzydło. Prawda, została Ewangelia.

**27 I [1967].** Wczoraj, jakby róg obfitości się otworzył. Najpierw pocztylion przyniósł aż 5 listów z różnych stron. Potem spotkałem na drodze maszynę z Marią i Katią. Nareszcie - Maria przywiozła metryki i list od Maryśki, ale pisany jeszcze z Wrocławia, kiedy jeszcze nie wiedziała, że jestem u inwalidów. Listy są wzruszające. Bielak, mój „krewny”, chce mnie zabrać. Z Olewska wybierają się do Kołpaku. Z[?] 0[?] każe liczyć cierpienia tak, jak Paweł. Słowem powstaje wrzenie, które spowodowały moje skargi. Wstyd mnie ogarnia na myśl o tym, że tyle kłopotów narobiłem swoją nędzną osobą.

Wieczorem byliśmy u Katii i dzisiaj rano. To już naprawdę coś znaczy. Chatka z kraju - jakby powiedział Wilk Hilary. Tylko myśl o Maryśce mnie niepokoi. Czemu nie pisze, mimo że od Niny list już przyszedł, a wysłałem do nich równocześnie, może nawet do Mar[ysi] w sam dzień wigilijny. Zagadką jest, że moje listy do Niny przedtem przepadły.

A przy tym ta starość. Rejonowa jest nieznośna - robi z niej zgrzybiałą staruszkę. Zresztą kto wie, co może zmartwienie. A ona dopiero po moim zwolnieniu przyznała się, że wiele przeszła. Boże, pociesz ją i mnie. Ale Twoja wola!

**28 I [1967].** Dziś o. Bernardyn mówi jakby wprost do mnie. Właściwie Duch św. przez niego. „Jeśli ziarno nie obumrze”, ile razy już to słyszałem, ale teraz te słowa mają specjalne znaczenie. Wczoraj w tej „chatce z kraju” zdawało mi się, że umrę. Pot wystąpił na czoło i siły opuściły. Ale nie chodzi o to. Obumieram co dzień, tylko trzeba się łączyć z Chrystusem. Jak on pięknie mówi o tej kropli wody, która w kielichu przeistacza się w Krew Chrystusową.

Nie wolno uważać się za człowieka niepożytecznego, który się już do niczego nie nadaje. A ja właśnie to rozpisuję na cały świat i rozbijam się w bezsilnej męce, jak ptak w klatce. A może to właśnie ta ofiara potrzebna była, a nie moja niedołężna służba. Ileż to pomyłek i błędów trzeba odpokutować i naprawić, a przy tym jak słodka pociecha: „Gdy aniołowie zaniosą kiedyś wasze dusze przed Pana, Pan objawi wam moc i nagrodę waszych trudów; wiele dusz, które zbawiły się waszym przykładem, modlitwami i łzami. I powie wam: Najmilsi synowie, inni głosili kazania i trudzili się mowami mądrości, ale owoc zbawienia sprawiłem ja przez wasze zasługi. I dlatego w nagrodę za swe trudy i jako owoc swych zasług otrzymacie Królestwo wieczne, któreście porwali gwałtem swej pokory i prostoty, modlitw i łez” (Św. Fran[ciszek]).

**29 I [1967].** Kazimierz zatęsknił i przyjechał. Katia przyjęła ich na noc. Ich chata to nie kościół: powiedziały nam to dziś dzieci, bo ona nie przyszła wcale. Pracuje dziś cały dzień, bo druga zachorowała. Boi się męża – trzeba powrócić do staruszków. Kazimierza odprowadziłem znowu do lasu - nawet trochę dalej niż przedtem i oglądaliśmy się więcej razy, aż rozłączył nas pagórek.

Przyszedł list od Zofii - pogrzebowy. Umarł „młody starzec” - Medyński. Przedtem nigdy nie chorował. Dopiero od dwóch lat przestał pracować i zaniemógł - a teraz śmierć przyszła prawie nagłym paraliżem. To ten, który mnie woził swoimi końmi do Zdołbunowa, a potem płakał nad kościołem, kiedy go zabrali. Uszczupla się krąg moich przyjaciół.

Niepokój o Mar[ysię] nadal mi dokucza.

**30 I [1967].**

*Słońce dziś świeci jaśniej,*

*Śnieg lśni, jak tafla srebrzysta –*

*Oby tak było właśnie – na święto*

*Matki Przeczystej.*

*Któż to powiedzieć może*

*czy ziszczą się nasze plany,*

*jeśli Ty nie chcesz, Boże,*

*Na próżno je układamy*

*Ale dziś możemy już*

*święto przeżyć w marzeniu.*

*W rękę gromnicę bierzemy,*

*śpiewamy w upojeniu;*

*Światło na oświecenie pogan*

*i Twego ludu chwałę,*

*Uprosi nam Matka droga.*

*Niechaj już życie całe,*

*Jak ów starzec Symeon,*

*co zgonu spokojnie czekał,*

*idziemy za tym światłem,*

*które oświeca człowieka,*

*co na ten świat przychodzi*

*w ciemności, błędach grzechu,*

*ale do życia się rodzi.*

Nie, nic mi się nie składa. Może tak samo się nie złoży we środę. P. Bóg to wie. W każdym razie zrobiłem dziś dobry trening. Oblewane trzy godziny brodziłem w śniegu po lasach i chaszczach pewnie dobrych ze sześć kilometrów. Dzięki temu z nosa zrobiła się fontanna, a co potem będzie - nie wiem.

**31 I [1967].** A jednak K[atia?] przyszła wczoraj po pożyczkę. Znaczy, że nie wszystko stracone. Ale w ogóle otacza mnie mglisty tuman, jak u Tagorego: ciemnością okrążony - zguba ze wszech stron - uspokój duszę, co się miota. Jak ciemno. Nic nie widzę - zmiłuj się, pomóż, Boże. (Dziwne, że u tego Hindusa odzywa się jakby psalm pokutny.)

Skierowania do laryngologa nie dają - a najsmutniejsze, że nie ma listu od Marysi. Już nie wiem, co myśleć. Jeżeli nie dostała mojego adresu, to byłoby dziwne, ale jeszcze znośne. A jeśli? „O Boże mój, wstań i broń, zlituj się nade mną”. Długo li mnie po ziemi się wlec? Nie ciało pogrąża się w nieprzebytym bagnie, brodzę w ciemnej mgle.

**2 II [1967].** Wczoraj była mietelica[[251]](#footnote-251), ale Emma z Teresą przyjechały. I oto poświęciliśmy gromnice, może tak jak nikt dotąd. W kącie leżała na swym łóżku połamana kaleka, a przy drzwiach klęczały one dwie ze świecami. Przez oszklone drzwi zaglądnęła posługaczka i już wszystkim wiadomo. Oczywiście - „dom inwalidów, to nie dom modlitwy” - jakby jedno drugie wykluczało. Może będą nieprzyjemności, ale wszystko mi jedno. Teresa poszła naprzód, jak młoda. Może powtarza po swojemu „nunc dimittis”.

Z moją „miłą staruszką” mam kłopot. Obraziła się czegoś i nawet nie przyszła na obiad. Coś jak zawiedziona sympatia. To znowu Bielak”[[252]](#footnote-252) chce mnie zabrać do siebie - oby mu się udało.

Do Mar[ysi] pójdzie telegram - oby prędzej była odpowiedź.

**3 II [1967].** Ale ten telegram poszedł niepotrzebnie. Pomiędzy gazetami od Czajk[?] znalazł się list od Maryśki i z Kijowa. Gdybym popatrzył prędzej, obeszłoby się bez alarmu. Od razu spadł mi kamień z duszy. Teraz mogę czekać cierpliwie. A cierpliwości trzeba wiele, bo ostra zima nie wiadomo jak długo będzie trzymać, a więc i na jakieś odwiedziny nie prędko można liczyć. „Ucieczka” wciąż ryzykowna, bo w nocy sprawdzają obecność, zresztą i jakaś grypado mnie się dobiera.

Dziś pierwszy piątek - drugi już z rzędu w samotności. Ale w tamten - Trzech Króli - była Emma i dwoje miejscowych, a dziś sam jeden odprawiałem po raz pierwszy w pałacie, kiedy trzech poszło na śniadanie, a jeden spał. Jak tu w takich warunkach można się skupić, ale i za to dzięki Bogu.

Napisałem znowu do obłaści i posłałem list Bielaka - bez wielkiej nadziei. Poszły też listy do Maryśki i do Kijowa - a może będą leżały w skrzynce, bo na taki mróz pocztylion nie jedzie.

Ale dzisiaj był i przywiózł mi Kraków i Lwów, i jeszcze Matejkę. Ta książka mnie pochłania tym bardziej, że Bodnicki był moim kolegą. Albin nie dostał mojej „jeremiady”. To mi tłumaczy długie milczenie Maryśki. Może i do niej nie dopuścili. Byłby to ciekawy przyczynek do walki z bezprawiem.

Teresa S[?] chce mnie wziąć jak Jan. Nie wiem, czy komu z nich się uda. W każdym razie wzruszająca jest wszechstronna życzliwość.

Umarł Zygmunt na raka. Majaczy mi w pamięci jako kleryk. [...] Romuald[[253]](#footnote-253) chory. W klasztorze grypa. Albin wie, że mnie rodzina interesuje. Ks. Koziński też opuścił swoją placówkę: Berdyczów, Michałówkę N[...] Z[...] Bielak tym gorliwiej się stara. Ale jakie plany Boże? Dyrektor dziś uprzejmie mnie pozdrowił, ale nie było miejsca na rozmowę.

**4 II [1967].** *Krótki w tym roku karnawał - carne vale - dla mnie właściwie nie było go wcale, ale tak jakoś spokojnie dzień za dniem schodzi, choć dusza w mroku, jak w gęstej mgle brodzi. Najważniejszy ten jasny słoneczny poranek. Słońce - gdzie ono? Okna jak oczy zapłakane. W pałacie z prawa i z lewa śpią nakrywszy głowę. „Wnijdę do ołtarza” - brzmią psalmy Dawidowe. Boże, jak smutno. Maksym siedzi w czapie - nawet przy podniesieniu - tamci, jeden, drugi chrapie. Panie, nie jestem godzien. Kaleków dom się budzi, błyskają światła w oknach - zew dla biednych ludzi i tutaj przyszedł do inwalidów domu (choć oni nic nie wiedzą). Idźcie - Msza już skończona - mówię, a nie wiem komu.*

**5 II [1967].** Słońce dziś trochę grzeje, lecz okna wciąż zamglone. Maria Michajłowna przysłała mi ikonę. Nie wiem jednak, co znaczy to pożegnanie na zawsze?

**6 II [1967].** Katia przyszła z hiobową wieścią, że mi chcą zabrać rzeczy. Nareszcie! Czekam, żeby się coś zaczęło, ale nic im nie dam - od Gromnicznej we czwartek zaczęła się bieda.

**7 II [1967].** Cokolwiek na mnie ześlesz, wszystko to z rąk Twoich przyjmę. Dzisiaj to była wyrocznia. Maryśka chora nerwowo - a co jeszcze za tym się kryje. Boże! oby prędzej tam się znaleźć.

**13 II [1967].** Teraz mogę pisać tylko w telegraficznym skrócie. Parę dni przemknęło szybko, jak taśma filmowa. Środa Popielcowa. Niebo smutne, jak popiół. Wracam złamany. Trzeba jeszcze jedną noc przeżyć na pół senną. Ale jeszcze jakiś błysk nadziei. I oto maszyna staje przed samym domem dyrektora - nic to -jedziemy. Naprzeciw taksówka. To może Maria z Katią. Istotnie przyjechaliśmy prawie razem. W czasie Mszy św. pomyślałem o tym, jak P. Jezus zawstydza mnie swoją miłością. Boże, co za radość w tym smutnym dniu. Popiół sypie się na schylone głowy. „Nie bądźcie smutni, jak obłudnicy.” Następują jeden po drugim - cuda. A więc - sprawa z Kurg[aldzino] przydaje się do rejestracji. Mam już dwa dni zajęte leczeniem - ambulatorium - protezna. Piątek - Szortandy - jeszcze raz - może ostatni -11. rocznica Władzi. Tymczasem wyżyw od Maryśki. Już się coś wreszcie zacznie. Mamy informacje z milicji. Przyjeżdża Maria z Moskwy. Korojedow okazał się Piłatem. Wydał mnie w ich ręce, ale w poselstwie płakali.

Wczoraj pierwsza niedziela postu, ale było nas mało i to sami prawie przyjezdni z Sz[ortandy?]. Oczywiście przypomnieliśmy sobie, że i nas szatan prześladuje, jak Chrystusa. Dziś rano byłem w obsobezie, ale na próżno - tego pana, który się zajmuje moimi sprawami, nie było. Po południu zamiast jego spotkałem dyrektora. Znowu, jak Piłat w Credo. Obiecał dać sprawki, ale trzeba tam jechać - a tak chciałbym już tam nie wracać.

**9 III [1967].[[254]](#footnote-254)**

# 

# ~ IV ~

WIERSZE[[255]](#footnote-255)

## Wiersze poświęcone Annie Dynakowskiej***[[256]](#footnote-256)***

Chcesz być ofiarą - komu i dlaczego?

Komu potrzebne Twoje życie młode?

A jeśli Jezus wzywa na Golgotę

To przecież trzeba przebyć ciężką drogę Krzyża.

Może jak Eliasz jęczysz utrudzona:

zabierz mą duszę, bo mi ciężko, Panie.

Pamiętasz? anioł nakarmił go chlebem

i poszedł z trudem na szczyt świętej góry.

To co się wtedy stało

śpiewamy w „Boże Ciało”.

Cierniami słaną drogą

kroczyłaś dobra i czysta

Na Krzyż złożona młodo

Oblubienico Chrysta

Dziś poprzez łez pryzmaty

Patrzym w Twą zjawę świetlaną

I myśli mkną w zaświaty

Za Tobą hen do Pana.

## Wiersze wyjęte ze „Strzępów”

Oni wiedzą, że nas dręczą bezprawnie.

Lecz dla takich, jak my, nie ma prawa.

Oszukują, kręcą, kłamią jawnie.

To nie z ludźmi, lecz z szatanem jest sprawa.

A Ty, Boże, wciąż czekasz cierpliwie.

Twoje młyny tak powolny takt mielą.

O, wejrzyj na lud Twój żałośliwy.

Kiedyż przyjdzie Twój sąd sprawiedliwy,

a dla wiernych wieczny czas wesela?

18 I 1967[[257]](#footnote-257)

Jeśli napiszę do ambasady - może się uspokoję,

ale tak trudno znaleźć radę i wciąż się czegoś boję.

Boję się darmo, bo wszak wierzę, że wszystko w Boskiej mocy,

lecz gdy na drodze kamień leży, próbuję czy przeskoczę.

Ot, dzisiaj chciałem jechać w gorod,

(bo tak się tutaj rzecze),

ale lekarze będą skoro – więc wszystko się odwlecze.

Ale że dzisiaj świętej Jagny

– tak przemiłej dzieweczki –

i uczcić ją gorąco pragnę,

mam chętkę do ucieczki.

Kiedy już wreszcie ktoś przyjedzie, przywiezie te papiery

– a tu człowiek w więzieniu siedzi – tygodni równo cztery.

21 I 1967[[258]](#footnote-258)

Wiedziałem, że mnie wysłuchasz,

bo nie wysłuchać nie możesz.

Gdy znękanego ducha wznoszę do Ciebie, Boża

Wieczorem już się kończyła Chrystusa święta obiata,

gdy nagle się zjawiła Wiktoria z Małgorzatą.

Agnieszka też święte dziewczę

do nas się uśmiechnęła

i w serce znów raz jeszcze

pogoda Boża spłynęła.

*22 I 1967[[259]](#footnote-259)*

W pałacie okna do połowy zasypał śnieg,

na polach na nowo grubą płachtą legł.

Poczta pewnie nie pójdzie może parę dobrych dni.

Jakże mi smutno, Boże - jakże ciężko mi.

Wieczorem przyjdzie biedna Maria Antonowa.

Potrzebne choćby jedno pocieszenia słowo.

A gdzie je znaleźć, kiedy znowu w mej duszy tak ciemno,

przepaść jakaś trwożna we mnie i nade mną.

Jak też one biedne dotarły do miasta, w lesie same jedne,

kiedy burza wzrosła, znalazły się one pieszo

w okropną, suchą zawieję.

Kiedy to przypomnę, serce mi drętwieje.

Lecz Ty byłeś z nimi, jak ongiś na morzu

z wielce trwożliwymi rybakami w łodzi.

Więc chociaż zawieja sypała śnieg w oczy -

nie tracę nadziei - boś Ty z nimi kroczył.

*23 I 1967[[260]](#footnote-260)*

Na wiosce już spokojnie,

lecz w polu jeszcze wieje -

żeby kto mógł przyjechać, trudno mieć nadzieję.

Lecz znów wyszedłem,

na drodze pies mnie witał szczekaniem,

ktoś mu utrącił nogę - mam dość tego czekania.

Ten pies jeszcze niedawno nie dał mi drogą przechodzić,

ale dałem mu ciastko i całkiem się rozpogodził.

Żeby też tamtych można, jako te psy ugłaskać

i z wrogów przyjacielem zrobić

z pomocą ciastka!

Dziś nic mi się nie składa - głowa ołowiem ciąży –

choć ręka piórem włada - myśl z myślą się nie wiąże.

Jak ptaszek w klatce ginie i rzuca się w udręce.

Wieczorem będzie kino - „Kogo lubimy więcej”.

*24 I 1967[[261]](#footnote-261)*

## Ps. 12

Jak długo, Panie, dokąd jeszcze będę u Ciebie w zapomnieniu.

Czemu oblicze Twe złowieszcze przede mną

Skrywasz w groźnym mroku cienia.

W duszy mej boleść tkwi co dzień i noc,

A serce smutku znieść nie może.

Nade mną wróg podnosi głowę.

O wejrzyj na mnie, Panie Boże.

Niechaj wróg nie mówi: zwyciężyłem,

Rozjaśnij moje łzawe oczy,

W Tobie nadzieję mą złożyłem,

Choćby mrok śmierci mnie otoczył.

Niech się serce raduje moje

Pomocą Twą nieustanną,

Za niezliczone dary dziękuje

I śpiewa Panu wieczne Hosanna.

24 I 1967[[262]](#footnote-262)

Słońce dziś świeci jaśniej,

Śnieg lśni, jak tafla srebrzysta -

Oby tak było właśnie - na święto

Matki Przeczystej.

Któż to powiedzieć może,

czy ziszczą się nasze plany,

jeśli Ty nie chcesz, Boże,

na próżno je układamy.

Ale dziś możemy już

święto przeżyć w marzeniu.

W rękę gromnicę bierzemy,

śpiewamy w upojeniu;

Światło na oświecenie pogan

i Twego ludu chwałę,

uprosi nam Matka droga.

Niechaj już życie całe,

jak ów starzec Symeon,

co zgonu spokojnie czekał,

idziemy za tym światłem,

które oświeca człowieka,

co na ten świat przychodzi

w ciemności, błędach grzechu,

ale do życia się rodzi.

*30 I 1967[[263]](#footnote-263)*

Krótki w tym roku karnawał - carne vale –

dla mnie właściwie nie było go wcale,

ale tak jakoś spokojnie dzień za dniem schodzi,

choć dusza w mroku, jak w gęstej mgle brodzi.

Najważniejszy ten jasny słoneczny poranek.

Słońce, gdzie ono?

Okna jak oczy zapłakane.

W pałacie z prawa i z lewa śpią nakrywszy głowę.

„Wnijdę do ołtarza” - brzmią psalmy Dawidowe.

Boże, jak smutno.

Maksym siedzi w czapie - nawet przy podniesieniu –

tamci, jeden, drugi chrapie.

Panie, nie jestem godzien.

Kaleków dom się budzi,

błyskają światła w oknach - zew dla biednych ludzi

i tutaj przyszedł do inwalidów domu (choć oni nic nie wiedzą).

Idźcie - Msza już skończona –

mówię, a nie wiem komu.

*4 II 1967[[264]](#footnote-264)*

## Inne wiersze

Cicho i głucho na korytarzach

czas ku północy bieży

Lud spieszy tłumnie do stóp ołtarzy

jako do żłóbka pasterze

Jeszcze raz jeden czysta Panienka

Porodzi Świętą Dziecinę

Gdzie będzie moja dzisiaj stajenka

w tę świętą cudu godzinę?

W pałatach ciasno, śpią biedni ludzie

jako pasterze w Betlejem

Niechaj was żaden anioł nie zbudzi

Kapłan się przyodzieje

Kielich z pateną pod płaszczem kryje

I biały mszalik w kieszeni

wino, korporał z białą hostyją

niesie wśród nocnych cieni.

Tam gdzie pośrodku dwóch korytarzy

sala się rozprzestrzenia,

dziś jak w kościele wokół ołtarza

zabrzmią anielskie pienia.

Na prostym stole relikwie leżą

na nich korporał biały.

Do świętej szopy pasterze bieżą

gdzie leży Jezus Mały.

Duchy śpiewają: wśród nocnej ciszy -

lecz głos się nie rozchodzi

Nikt z śpiących ludzi ich nie usłyszy

I nikt tu nie przychodzi

Tylko starucha ślepa i biedna

Stanęła pełna zdumienia

Więc tajemniczo choćby tej jednej

Mówię: noc Narodzenia.

Pan z Wami mówię i prawie płaczę

Bo nikt mi nie odpowiada.

Czy was też jeszcze kiedy zobaczę

Moi serdeczni druhowie?

Czy jeszcze kiedy w życiu usłyszę

Wasz miły głos młodzieńczy.

Matuchna Święta Dziecię kołysze

i bierze Je na ręce.

Scichają żale milkną wspomnienia

Godzina cudu nadchodzi

To Ciało moje - podniesienie

Jezus się znowu rodzi

Dwie świeczki płoną obok kielicha

po ścianach cienie pełzają

pełne zdumieniem serce ucicha

anielskie chóry klękają

Więc do mnie zeszłaś Słodka Dziecino

Taka uśmiechająca

[...] serce taje, łzy z oczu płyną

a serce takie gorące

Pozwól mi teraz przytulić Ciebie

jako Cię Matuś tuliła

Kiedy mnie karmisz Ciałem Chlebem

Nie straszna nawet mogiła.

## Modlitwa poranna

Maksym światło zaświecił

Wstawania przyszła pora

Trzeba się Bogu polecić

tak dziś jak wczoraj.

Niech wszystkie moje myśli

do Ciebie biegną chyżo

Maksym na sobie kreśli

trzy wielkie krzyże.

Białe płatki zasypują drogę

w polne bruzdy pada miękki puch

od tęsknoty wycierpieć nie mogę.

A tu długo trzeba czekać znów

Kałamaszka z pocztą może się pokaże

Może potem coś przywiezie mi.

Beznadziejnie czas się długi wlecze,

Lecz za wszystko, Boże, dzięki Ci.

Że mi dajesz zdrowe ręce nogi,

Że mi w głowie jasno widzi się,

Że nie szukam po omacku drogi,

Za to wszystko, Boże, wielbię Cię.

A że stanę jako kół przy płotu,

osadzony mocą wrażych sił,

czyli skarżyć dziecię będzie o to

Ojca, że z miłością bił?

## Pogrzeb

Biała trumna na saniach

przy niej chromy poganiacz

siwą szkapę za uzdę prowadzi

a za trumną garbaty

człek niesie dwie łopaty

bo jedną wszak nie poradzi.

Cmentarz niezbyt daleko

w trumnie chwieje się wieko

lecz babka z niej nie wypadnie.

Leży sobie rozkosznie

może marzy o wiośnie

w sukience wcale paradnej.

Jak się nieboga zwała?

Jakiego Boga znała?

Nikogo to nie wzrusza.

Nikt nie mówi ni słowa,

rośnie mogiła nowa.

Wiatr suche gałęzie porusza.

Czy krzyż w nogach czy w głowie

Któż się tu prawdy dowie

Jak słusznie i sprawiedliwie

na saniach dwie łopaty

kładł człowiek garbaty

stara szkapa ruszyła leniwie.

## Zguba

To było zwykłe zdarzenie

ale niezwykła łaska.

Raz przy porannym brzasku

czuję pustkę w kieszeni

Pieniądze? Kłopot mały

ale tam są wpisane

porządkiem tak jak dane

intencje na rok cały

Szukam lecz nadaremno

Rój podejrzeń się snuje

ale przecież nie zbóje

mieszkają tutaj ze mną

Mówię dyrektorowi

ale mała nadzieja

w polu szukaj złodzieja

Może go wiatr ułowi.

Idę w cmentarza stronę

To jednak być nie może

żebyś nie pomógł Boże

odzyskać co stracone.

Byłem tam wczoraj rano.

Oczy sobie nie wierzą

na środku drogi leżą

me rzeczy rozsypane.

Nikt tędy nie przechodził

Może to i nie dziwo

me serce bije żywo

i duch się rozpogodził.

Wiem, że nie chcesz wyuczonych słów

Niechaj serce dzięki głosi Ci

Że przyszedłeś mnie nawiedzić znów

Jako wszystkich lat ubiegłych dni.

## Banrodniła

Sąsiadka moja miła staruszka

siedzi naprzeciw u stołu

A czarnobrewa dziewuszka

rozlewa porcje rosołu.

Jest to właściwie zupa z kapustą

ale mnie brakło rymu

Zresztą i tak było tłuste

Strzelam bez prochu i dymu

I Marek i Ireneusz

śmiali się z mego Pegaza

ale ex machina Deus

wciąż ze mnie coś wyłazi

Więc idzie już danie drugie

Dziewczynka zwija się składnie

obchodzi szereg długi

jak komu co wypadnie

A moje myśli daleko

Gdzieś u wspólnego stołu

Wszak to już będzie pół wieku.

Ktoś „benedicite” woła.

## Pożegnanie

Nie wiem gdzie idę chwiejnym krokiem

Byleby tylko w dal

Gdzieś na śnieżystym szlaku szerokim

gorzki wytrząsnąć żal

Jak okruszyny czarnego chleba

pamiątkę tamtych dni,

które też były darem nieba

Niech chwała będzie Ci.

Pójdę gdzieś pewnie za pagórek

może aż pod ten las,

gdzie myśli snują się ponure

w ten przedwieczorny czas

Niedawnośmy się tu zagnali

I w oczach była łza

Jam stał a wyście odjechali

Niech będzie wola Twa

Jam stał i patrzył chociaż w bieli

rozpłynął się wasz ślad

Niech was prowadzą Boży Anieli

I Chrystus Bóg - Pan Brat

## Nie było miejsca i nie ma***[[265]](#footnote-265)***

Nie było miejsca i nie ma

dla Twoich, Jezu, wysłańców

co głoszą Twoje Imię

z odległych świata krańców.

Wśród stepów Kazachstanu Sybiru mroźnej ziemi

szukamy miejsca dla Ciebie

jak ongiś w Betlejemie.

## Wiersze wpisane do pamiętnika Ireny Gorbań***[[266]](#footnote-266)***

## **I**

Karta z dziennika

boli jak otwarta rana...

Dzień miesiąc data - mniejsza o to - błoto

Jest czarny step, czekam na koniec

A serce żal przenika

jestem sam - okrutnie sam.

W dali migoce krzyż - więc pewnie

cmentarz...

Czyż tylko to pozostało.

Wczoraj o świcie - ta pierwsza krew

może to życie kroplami spłynie

Jestem sam...

Grudy zamarzłej ziemi

marzą o wiośnie -

Na płaskich dachach jurt trawa

jeszcze nie rośnie.

Gdyby choć krzew swojskiej kaliny

lub bratek

Łez pełne oczy krążą dokoła

Myśli jak żmije tryskają jadem

Wtem - serce bije - padam na ziemię

Wśród kępki nędznej trawki -

biały kwiatek - nieśmiały jak

oczko dziecka - uśmiechające

się do słońca

Cudowny znak - Boży znak łaski

Trzeba kwitnąć i trwać do końca

Czemu piszę o kwiatku?

(tu w moim pamiętniku

plama - może łza - może krew)

dośpiewaj do końca sama.

*czerwiec 1975*

## **II**

Trądem okryty przychodzę, Panie

„Jeśli chcesz - wszystko możesz”

Złoczyńców zgraja krąży wokoło

Jak na Kalwarii

Gdzie Bóg Twój? - woła

Fałszywa słodycz podaje kielich

zwątpienie w duszę sączy się jadem

Obłudna miłość pajęcze sieci knuje

do stóp Twych padam Chryste

A on wyciągnął rękę - dotknął

Chcę - bądź czystym.

*13 I 1977*

## **III**

Jak kwiat rozwijaj się do słońca

w tęczowe blaski cnót się strój

jeśli zaczynasz idź do końca

albo zaczynaj wciąż na nowo

wszak życie nieustanny bój.

Lecz pomnij

róża choć królowa

pewnie z piękności się nie puszy

lilia odziana piękniej niż Salomon

nie gardzi fiołkiem z leśnej głuszy

ani malutką łączną stokrotką

Może pomyślisz - wszystko znikome

nikłe i krótkie

lecz kwiatek nie ma duszy.

## **IV**

Poprzez sieroce łzy

patrzę w Twe oczy Matko

Nad moją lichą chatką czarne zawisły mgły,

poranne wichry wyją

pokusy sączą jad jak żmije...

serce jak ptaszek w klatce bije

Grzech śmierć szatańska zmora

w oczach mi ciemno

Matko podaj mi rękę

Bądź ze mną

O drogie dziecię ufaj wierz

Szatańskie moce cię nie zmogą

i słońce jeszcze znów zaświeci

Ja jestem w Polsce Matką twoją - Matką Boga.

# ~ V ~

REFLEKSJE WROCŁAWSKIE[[267]](#footnote-267)

## **1**

**22 czerwca** [1969]. Właściwie powinienem rozstrzygnąć zasadnicze pytanie: czy jestem gotów? Tymczasem wszystko tonie w mgle, która coraz bardziej się zagęszcza. Zaczęło się to parę dni temu, kiedy dr W[inkler][[268]](#footnote-268) zaczął mi mówić o operacji. Rozłożył cały szereg tomogramów i wykazywał, że rana się nie goi. Cały czas wykazuje zdenerwowanie, które usiłuje pokryć nadrabianiem miny. Jest niezwykle dobry i chciałby wmówić we mnie, że to nic groźnego, ale Jankom[[269]](#footnote-269) mówi inaczej. Nie mam mu nawet za złe, że lawiruje. O. Fabian[[270]](#footnote-270) nie owija w bawełnę i mówi wprost o krzyżyku. A jednak wszystko zdaje mi się być obojętnym. Może dlatego, że jeszcze nie ma cierpienia i zasadniczo dotychczas wcale nie było. Jak to? Dziwię się sam sobie, kiedy to piszę, mimo tylu chorób, operacji, więzienia, wygnania. Może przynajmniej możnaby nazwać cierpieniem te dwa dni i noce konania, w którym nikt nie mógł przynieść ulgi. A jednak mam głębokie przekonanie, że jeżeli przyjdzie prawdziwe cierpienie, to już się go tak łatwo nie zniesie.

**23 czerwca** [1969]. Przyszło mi na myśl, czyby nie podać się do trapistów - a że ich w Polsce nie ma - to przynajmniej do kamedułów. W czasie obiadu ani słowa nie słyszałem z tego, co mówił ten młody jezuita, którego przyprowadził o. Achilles[[271]](#footnote-271) . Aż nieprzyjemnie, że ignoruję gościa. Skąd może wiedzieć, że aparat mi nie funkcjonuje i dlatego nie biorę udziału w rozmowie. Jest to jedno z tych upokorzeń, które trzeba by znosić, żeby się uświęcić. Wciąż mi przychodzi na myśl Merton i może pod jego wpływem piszę te notatki. Tylko że on był poetą, a ja nie. Jasiek też podobno pisał wiersze, ale ciocia zniszczyła, bo były w specjalnym gatunku. Ale on mi właśnie przyniósł „Znak Jonasza”[[272]](#footnote-272) i sam się zachwyca Mertonem. Mnie ten jego mistycyzm miejscami porywa, ale czasem nudzi. Tak trudno być wciąż napiętą cięciwą.

**24 czerwca** [1969]. Zamiast na Grabiszynek zajechałem na Osobowice[[273]](#footnote-273) - ale zasadniczo to wszystko jedno, gdzie cię położą. Nawet nie ma różnicy, czy to będzie na Śląsku, czy w Kazachstanie. Chciałem to powiedzieć dr. W[inklerowi] - ale mnie zaszokował całkiem niespodzianie, że księża i siostry zak[onne] to najwięksi tchórze. Przy tym jego żona zmarła dwa lata temu na żółtaczkę. Na naszej sali położyli ciężko chorego „brudasa”, który pięć lat nie spał w łóżku, ale ma wcale interesujące nazwisko: Beronis i to Feliks. Jest n'a pół przytomny i trzeba go karmić. D[okto]r pytał czy się dawno spowiadał. Trudno z niego co wydobyć. Mnie przypomina, że co do zdrowia niedawno jeszcze byłem podobny do niego i może będę jeszcze niedługo takim samym.

**25 czerwca** [1969]. Beronis umarł. Jest to jeden więcej wyrzut dla mnie, bo stało się to w czasie, kiedy w chórze prowadziłem rozmowę z p. Janiną i Weroniką trochę właśnie o nim, że utrudnia życie. Trzeba było go raczej lepiej przygotować i zaopatrzyć. Wczoraj wprawdzie pocałował krzyżyk i przeżegnał się, ale resztę zostawiłem na potem. I otóż przyszła niespodziana śmierć. A potem telegram, że chce przyjechać Emilia[[274]](#footnote-274) z Celin[ogradu] i list od Teodory. Nie wiedzą, że przywołują mnie do życia, które traci powaby, kiedy można je zdmuchnąć, jak świecę. Operacja już zdecydowana i d[okto]r chce przekonać do niej Janków. Ciekawym!

**26 czerwca** [1969]. Wdech i wy-y-dech! Dziś byłem po raz pierwszy na gimnastyce. Pięciu nas leżało pokotem z workami napełnionymi piaskiem na brzuchu - tylko że tamci to byli atleci i mogli udźwignąć większy ciężar, a mnie dano mały woreczek. Instruktorka jest miła i nie zraża się moją niezaradnością. W ogóle wszyscy są dobrzy, choć na to nie zasługuję. Internista wyraził się, że nie ma operacji bez ryzyka. Wiem to sam doskonale, ale jest mi wszystko dziwnie obojętne. Nawet to, że moje plany powrotu zostały prawie przekreślone. Kazachstan ginie coraz bardziej we mgle.

**27 czerwca** [1969].. Dziś jednak mówiłem wiele przy śniadaniu moim kompanom i jestem z tego niezadowolony. Tyle razy postanowiłem milczeć, bo po cóż rozpowiadać to, co mimowoli może wyjść na korzyść. Przecież: non nobis Domine[[275]](#footnote-275). Teraz już jestem od nich o piętro niżej, a na karcie napisano: oddział chirurgiczny. Był już nawet ten błękitny doktor, który mnie dwa razy operował. Pierwszy raz było circumcisio (choć nie kamiennym nożem), drugi - palec. A teraz do trzech razów sztuka - coś trochę poważniejszego, kiedy zaczynają się przygotowania jakby do uroczystej celebry. W sali jest nas dwóch, ale tamten - młody 27-letni człowiek - też coś pisze - może również utrwala szare dni szpitalne, jeśli ma dla kogo... Okno wychodzi na wiadukt kolejowy, po którym Jadzia zdąża co dzień do swoich Kątów.[[276]](#footnote-276) Ciekawym, czy przejeżdżając pomyśli kiedy o wujku.

**28 czerwca** [1969]. „W cieple ludzkich uczuć Bóg często drży z zimna”. Może to i prawda, ale trudno by mi się podpisać pod tym zdaniem z *Szaleńców[[277]](#footnote-277)*. Jak to inaczej było pod ciepłym spojrzeniem Teresy i dra W[inklera] Teraz tu wszystko na razie obce i chłodne może dlatego, że i dzień dziś ponury. Stanowczo się nie zgodzę spać przy otwartym oknie. Ale też ci *Szaleńcy* to fascynująca lektura. Nie żeby dopatrywać się jakiegoś pokrewieństwa, ale dla tej niezłomnej woli trwania i wierności dla idei. Czy wierni kryjący się z nabożeństwami w Kazachstanie mniej są godni wyrzeczeń, jak poganie w lasach bretońskich?

**29 czerwca** [1969]. Jestem zupełnie pogrążony „w cieple ludzkich uczuć”. Najpierw przyszła p. Ziprer z kartką od Zosi, potem Kazik[[278]](#footnote-278), z którym wyszliśmy na spacer. Nagle w oknie ukazał się br. Leonard[[279]](#footnote-279), a za nim Emilia - jakby cały Kazachstan chciał się przypomnieć w tym uroczystym dniu. Kazachstan, ale i Ukraina, bo to przecież odpust w Zdołbunowie i trzeba było napisać do Zofii. Na ostatek przyszła jeszcze p. Antonina, o której imieninach niestety zapomniałem. Jestem trochę roztrzęsiony, ale też świta nadzieja, że pojedziemy razem z Emilią. Nie chcę jednak „Abyś drżał z zimna”.

**30 czerwca** [1969]. Skąd te upiorne sny z zawaloną piwnicą i strzelaniem. To chyba jeszcze reminiscencja z Coray - ale oto pochyla się nade mną krogulcza twarz fryzjera. Piszę tak tylko dla efektu, bo właściwie krogulca nie widziałem. Co innego ta czarna pielęgniarka w okularach, która mogłaby być porównana do sowy, gdyby nie była zawsze uśmiechnięta. Zresztą może i sowa umie się śmiać - albo ten niski przysadkowaty sanitariusz o twarzy tępej, jak baran. W tej menażerii można by mi wyznaczyć odpowiednie miejsce, bo wyglądam teraz, jak szympans, którego wylizano i wdzięczy się do lustra. Ten mistrz ceremonii nie szczędzi trudu za marnych 20 zł. Nawet specjalnie przepraszał, że nie mógł mnie ostrzyc w sobotę po 9-tej. W każdym razie już coraz więcej przygotowany [jestem] do czwartkowych obrzędów. Dr W[inkler] mówi jednak, że czekają na docenta, który nie wiadomo kiedy się zjawi.

**1 lipca** [1969]. Ten ksiądz z Sandomierszczyzny, który w niedzielę odprawiał w kaplicy przede mną, przeszedł wczoraj operację przepukliny. Leży prawie vis a vis mojej sali. W nocy było tam światło i przy łóżku siedziała pielęgniarka w czarnej pelerynce. Właśnie ta młoda w okularach. Może będzie siedziała przy mnie, ale co to pomoże? Ksiądz cierpi. Mówiłem mu, że taką operację przeszedłem dwa razy: w dzieciństwie i w młodym wieku wkrótce po święceniach. Ale to było co innego. Pierwszy raz - przy narkozie we Lwowie brzmiała jakaś cudowna symfonia, którą zapamiętałem sobie na całe życie. Jakiś lekarz zapytał przy tym, jaki zawód mam zamiar wybrać. Było to może pierwsze wyznanie, że chcę zostać księdzem. W dwadzieścia lat później w Krakowie u bonifratrów było trochę ciężej, bo zrobiono trzy operacje naraz, ale w piętnastym dniu już odprawiałem Mszę św. w szpitalnej kaplicy. Teraz zapowiadają operację na poniedziałek, ale już im nie wierzę, bo stale odkładają. Powiedziałem ordynatorowi, żeby już prędzej. Te pociągi stale szybujące za oknem nie dają mi spokoju. Niby miałem już czas przyzwyczaić się do spokojnego życia, ale zawsze żyłka wojażerska się odzywa. Preisner powiada, że Katia wciąż płacze.

**2 lipca** [1969]. Sala gimnastyczna znajduje się tuż obok kaplicy. Jest to okoliczność pomyślna, ponieważ mogę zaraz po ćwiczeniach fizycznych wpaść na chwilę gimnastyki duchowej. Dzisiaj przychodzi mi na myśl, że podobną praktykę stosowała młodziutka Maria, kiedy najpierw odbyła spieszny (festinans) bieg w góry do Ain Karin, a potem śpiewała „Magnificat”. To święto urocze w samym sobie przypomina mi poza tym Równe, bo były to imieniny Turkowej[[280]](#footnote-280). Posłałem jej życzenia do Świdnicy, ale jakże zmieniły się warunki. Cukiernia Idrysza jeszcze stoi, ale kościół naprzeciw stracił wieże i stał się kinem „Globus”. Ilekroć tamtędy przechodzę, pęka mi serce. Mimo to jednak powtarzam Twoją dziewczęcą pieśń, o Mario, zwłaszcza kiedy chwiejnym krokiem odchodzę od ołtarza i nic innego nie jestem zdolny wymówić. Chciałbym też na „Magnificat” zdobyć się w poniedziałek. Przed chwilą był docent z całą asystą i oznajmił mi uroczyście, że operacja odbędzie się w tym dniu.

**3 lipca** [1969]. Wczoraj nie mogłem dokończyć listu do Szachowicza, bo zgaszono światło. W nocy miałem sen przerywany. Zaczyna się dawna historia i dlatego jestem ociężały. Zbudziła mnie dopiero pielęgniarka z termometrem i to późno. Powietrze jakieś duszne, przytłaczające. Skarżę się, że dają za dużo leków. „Do poniedziałku jakoś wytrzymamy” powiada lekarz. „Myślałem, że trochę dłużej” - wszyscy w śmiech. Ale na gimnastykę się spóźniłem. Wszystko to są drobnostki, które *Skrót do świętości[[281]](#footnote-281)* radzi ofiarować Bogu. Te proste uwagi byłyby może więcej przekonywujące, gdyby nie raził w nich trochę niedbały przekład i wkładanie w usta P. Jezusa słów niewłaściwych. Nie wiem, czy można pogodzić się z egzegezą takiego np. zdania: „bądźcie gołębicami prości i śnieżni(!) jako one, a nie jak te węże przezorni”. W ewangelii jest przecież co innego. Poza tym jednak *Skrót* ma rację, bo cóż innego możemy ofiarować Bogu, jak dobrą wolę i obecną chwilę. Chyba, że będzie to wyjątkowa, jak dziś „Święta Godzina”. Ta „Godzina” trwała tylko pół godziny, ale teraz czuję się lżej i głowa mi tak [nie?] ciąży i mogę myśleć, że jutro przecież Pierwszy Piątek. A tak się bałem, żeby „to” nie wypadło właśnie w tym dniu. Jak dobry jesteś, Jezu!

**4 lipca** [1969]. Trochę mi przykro, że nie mogę odprawić wotywy o Najświętszym] Sercu J[ezusa], ale i niedzielna msza zgadza się z pierwszopiątkowym nastrojem. Św. Piotr nawołuje do bratniej miłości w Chrystusie, a w modlitwie wołamy o wszystko przewyższającą miłość. Myślę o Pierwszych Piątkach w Kazachstanie. Jest to wszędzie dzień niezwykle uroczysty. Jakkolwiek różne przeszkody powodowały odchylenia od stałego, z czasem jednak utrwalił się schematyczny porządek. A więc w Tainczy we czwartek wieczorem odprawiają „Godzinę Świętą”, potem następowała spowiedź, a po północy rozpoczynała się Msza św. Czas był ograniczony, bo trzeba było zdążyć na pociąg; toteż po litanii z wystawieniem ktoś biegł na stację po bilet, a celebrans z asystą również dążył spiesznie za nim. Było idealnie, jeżeli znalazł się motocykl lub prywatna maszyna. W przeciwnym razie trzeba było dobrze spieszyć, żeby zdążyć na pociąg odchodzący nieco po północy. W nabożeństwach trzymaliśmy się czasu miejscowego (3 godz. różnicy), rozkład był więc dogodny. W miesiącach letnich bywało, że biletów nie dawali; wtedy jechało się na gapę, na czym zarabiał konduktor. Do Celinogradu pociąg jedzie 7 godzin, a więc przychodzi o godz. 11. W tym czasie ludzi nie może być wiele, ale gorliwsi czekają u Emmy, a jeżeli są to wakacje, to i dzieci Katii. Niemieckie nabożeństwo przeciąga się dość długo, bo po Mszy św. odczytuje się akty z podręcznika diec[ezji] kolońskiej. Główna jednakże uroczystość odbywa się wieczorem w Szortandy. Jest to stacja odległa od Akmolińska 70 km w powrotnym kierunku. Można też jechać taksówką, co się często zdarza, kiedy nie można zdążyć na pociąg. Tu już nie trzeba się spieszyć. U Kazimierza można godzinkę spocząć, zanim przypędzą krowy z pastwiska. O zmroku idziemy tam, gdzie uprzednio wyznaczono. Tych punktów bliższych czy dalszych jest sporo. Kto ma odpowiednie pomieszczenie, godzi się „brać nabożeństwo” na miesiąc czy dwa i tam na czas nabożeństwa przenosi się Najświętszy] Sakr[ament], przechowywany zwykle gdzie indziej. W ołtarzu znajduje się przenośne tabernakulum z tronem i paramenty. Tylko kielich przywozi celebrans. Stary Anastazy już zaczął „Godzinki”, wierni spowiadają się w przyległej izbie. Na uroczystej Mszy Św., litanii i błogosławieństwie czas schodzi do północy. Tercjarze upominają się jeszcze o absolucję, a czasem czekają chorzy. Żal, że ten dzień ma tylko 24 godziny.

**5 lipca** [1969]. Śpiewak pisze o Równem.[[282]](#footnote-282) Nie ma znaczenia, że jest to pewnie semita i w swym opisie nie wspomniał o kościele ani słowem - zresztą chodziło mu tylko o tło dla Zuzanny Ginczanki. Mimo to książka jest interesująca i da mi pewnie trochę emocji, kiedy już będę zdolny coś takiego czytać. Zdumiewające jest, jak wielu żydowskich poetów zgromadziło się w różnych „Awangardach” i innych czasopismach. Bielatowicz[[283]](#footnote-283) miał rację wskazując na semicki erotyzm Tuwima i jego kliki (p. *Biologia).*

**6 lipca** [1969]. Było jakby uroczyste pożegnanie: Janka i Weronika, potem Hela z Bertą i Kazik. Zwłaszcza Berta mnie zadziwiła. Tak wygląda, jakby była przeznaczona, żeby jeszcze się ze mną zobaczyła.

**7 lipca** [1969]. Wczoraj nie mogłem pisać, gdyż po południu były rozmowy, a wieczorem zapomniałem okularów w kaplicy. Było już późno. Zawsze odchodzę stamtąd niechętnie, zgasiwszy światło. Zdaje mi się, że ten nikły czerwony płomyczek elektrycznej lampki - to za mało.

Tam też nie było idealnie. O oliwę trudno było, więc wieczną lampkę podsycało się, czym kto mógł: tłuszczem, parafiną -ostatecznie naftą. Sytuacja się poprawiła, kiedy s. Wer[onika?] zaczęła dostarczać aptecznego oleju. Wtedy lampka płonęła bez przeszkody całą noc i okna musiało się szczelnie zasłaniać, żeby blask nie wydobywał się na zewnątrz. Czasem w nocy płomień się wzmagał i spalał abażur ze sztucznego tworzywa. Wtedy chybotliwy blask padał to na św. Teresę jakoś smętnie uśmiechniętą twarzyczką, to na św. Alojzego, który za swym imiennikiem przyjechał tu aż z Równego i teraz nieustannie adoruje Jezusa ukrytego za białą zasłonką. Nawet kiedy otrzymaliśmy z Polski elektryczną lampkę z krzyżykiem, nie zastąpiło to światła, nad którym ktoś musiał nieustannie czuwać. Zdaje się, że w tym symbolu jest głęboki sens. Zawsze spośród tysięcy znajdzie się ktoś jeden czuwający przy Jezusie więcej niż inni - a wieczne światło jest ofiarą wielu.

Oczywiście w szpitalu o to trudno, bo kaplicę zamyka się na noc, a rano przede Mszą św. otwiera. S. zakr[ystianka] zachowuje wzorowy porządek. Nie znosi, kiedy coś nie dzieje się podług jej myśli. Dzisiaj dostałem naganę, ponieważ w nocy wychodząc potrąciłem zasłonkę. Jest zupełnie słuszne, żeby ktoś był trochę inaczej usposobiony, kiedy wszyscy inni zbyt się rozpływają. Chciałoby się powiedzieć „angelus satanae”[[284]](#footnote-284), ale to nie ma tu zastosowania. Chodzi o trochę cierpliwości. Mój towarzysz uspokaja mnie, żeby się nie denerwować. Dr W[inkler] badał puls, a ten biały bajcadyk[[285]](#footnote-285), podobno też chirurg, pytał wczoraj, czy potrzebuję środków uspokajających. Tak jakby przed operacją trzeba było koniecznie tracić równowagę. Najważniejsze, że można było jeszcze odprawić Mszę św.

**13 październik** [1969]. Czemu to powiedziałem? Jeszcze dziś wspomnienie tych słów kłuje więcej niż ranna punkcja, którą znów odnowiono. Zdawało mi się, że życzyć „sto lat”[[286]](#footnote-286) po roku „tak” spędzonym było co najmniej nieodpowiednim. Ale właściwie o. E[uzebiusz][[287]](#footnote-287) miał słuszność, że to narzekanie sprzeciwiające się łaskom Ducha św. jest wyrazem niewdzięczności. Nareszcie mogę wypowiedzieć, co mi od trzech miesięcy nie daje spokoju. Po prostu boję się, żeby się ten fakt nie wymknął pamięci. Zaraz po operacji, czy może po zupełnym odzyskaniu przytomności odezwały się „głosy”[[288]](#footnote-288). Nie umiem tego inaczej wyrazić: mogła to być autosugestia czy halucynacja, czy też inne zjawisko psychiczne - dla mnie była to jakaś niewypowiedziana pociecha, dla której nie szukało się definicji. Co z tego utrwaliło się w pamięci? Z początku były to jakby z daleka brzmiące śpiewy eucharystyczne lub maryjne. Niektórych wcale nie znałem.

**24 październik** [1969]. Po większej części słowa były proste, ale ten cudowny, często się powtarzający końcowy zaśpiew, to było coś zdumiewającego. Stopniowo śpiewy łączyły się w jakieś uroczyste bez przerwy trwające nabożeństwa. Zdawało się, że to w parafialnym kościele, czy szpitalnej kaplicy odprawia się jakieś nocne misterium. Zapominam, że mój słuch szwankuje nawet przy użyciu aparatu - a teraz nie ma go wcale. Czy siostra co słyszy? – pytam zakonnicę, która mnie odwiedza. Innym nie śmiem powierzyć tajemnicy. Nawet o. Prow[incjał - o. H. Warachim] - zdaje się nie rozumieć. Zresztą i ja nic nie rozumiem. Zdaje mi się, że znajduję się na jakimś pograniczu, gdzie się nic nie myśli i prawie nic nie czuje. Pozostała tylko niejasna świadomość, że ten dziwny stan przeminie. A wtedy co? W pewnym momencie poprzez zwolna przycichające melodie słyszę wyraźnie recytowane słowa: „w poniedziałek czeka długa podróż”. Nie śmiem dociekać znaczenia słów. W tajemniczym kościele wychodzi Msza Św., jedna po drugiej. Może to na Jasnej Górze? - ale chyba nie, bo wszystko przeważnie po łacinie - więc chyba przerzut w przeszłość. Rano ciąży głowa, jakby po kilkudziesięciogodzinnym nabożeństwie. Nie śmiem prosić - chyba aktem woli o chwilę wytchnienia. Ale stopniowo wszystko ustaje. Wtedy przychodzi do głosu „fizis”. Zaczynam rozumieć leżących obok współtowarzyszy. Jak strasznie cierpieć bez Ciebie!

\*\*\*\*

\*\*\*

\*

**[bez daty]**

To było jak rana, z której znowu zdejmują bandaże i krwawi. Bolek[[289]](#footnote-289), czy pamiętasz? Siedzieliśmy przy biurku zarzuconym pożółkłymi papierami. Kiedy czytał jedną z tych kartek opatrzoną niemieckim stemplem, śledziłem jego rysy. Mało się zmienił. To samo wysokie, myślące czoło, te same jakby drwiącym uśmieszkiem ściśnięte usta wymuszające wyrazy jakby starannie odważone. Moja siostra mówiła: jak on umie słuchać! Teraz siedział z zapalonym papierosem w palcach, którego już nie wkładał do ust. Zmęczone oczy, z których zdjął okulary, przebiegały równe szeregi słów pisanych przez niego o latach wojny. Właściwie to było przyczyną, dlaczego się chciałem z nim widzieć. Bo cóż to znaczy ta okrążona przez banderowców Janówka i jak wydostał się z kręgu pożarów?

Z Bolkiem zapoznałem się w Krakowie na teologii, ale ja byłem przy nich gołowąsym sztubakiem, choć słuchaliśmy tego samego o. Laureano de Las Munecas i o. Justa, czarnego Baska[[290]](#footnote-290). Na ławie zasiadał jeszcze Xawery i Alojzy oraz inni zaawansowani, a ja musiałem łamać się łaciną, bo nigdy nie byłem tęgi w klasyczności (prof. Młodnicki, stojąc pod piecem, mało kiedy był zadowolony z mojego Owidiusza). Na szczęście łacina hiszpańska była też mało klasyczna, więc jakoś dawaliśmy radę.Dla mnie jednak było trochę wiele - bo trzeba było…[[291]](#footnote-291)

## **2**

Chociaż widzę gwiazdy, nie udaję, że je znam. Chociaż chodziłem po lesie, jakże mogę utrzymywać, że go kocham? Zapomnę jedne po drugich imiona indywidualnych rzeczy.

Ty, który śpisz w mojej piersi, Ciebie nie spotyka się słowami, ale przez powstanie życia w życiu, mądrości w mądrości. Ciebie można odnaleźć w zjednoczeniu: Ty we mnie, a ja w Tobie, i Ty w nich, a oni we mnie: wyzucie się w wyzuciu, spokój w spokoju, próżnia w próżni, wolność w wolności. Ja jestem sam. Ty jesteś sam. Ja i Ojciec Jedno jesteśmy.

Głos Boga rozlega się w Raju:

„Co było nędzne, stało się cenne. Co jest teraz cenne, nigdy nędzne nie było. Zawsze wiedziałem, że nędzne jest cenne, bo tego, co nędzne, nie znam wcale.

Co było okrutne, stało się miłosierne. Co teraz jest miłosierne, nigdy okrutne nie było. Osłaniałem zawsze Jonasza moim miłosierdziem, a okrucieństwa nie znam wcale. Czy zobaczyłeś mnie, Jonaszu, dziecko Moje? Miłosierdzie w miłosierdziu, w miłosierdziu. Przebaczyłem wszechświatowi bezgranicznie, ponieważ nigdy nie znałem grzechu.

Co było nieskończone, nigdy biedne nie było. Zawsze wiedziałem, że biedne jest nieskończone: bogactwa nie kocham wcale. Więzienie w więzieniu w więzieniu. Nie przygotowuj sobie ekstaz na ziemi, gdzie czas i przestrzeń są fałszywe, a minuty włamują się i kradną. Nie trzymaj się czasu, Jonaszu, synu mój, by cię rzeki nie uniosły daleko.

o było kruche, stało się potężne. Kochałem to, co było najsłabsze. Patrzyłem na to, co było niczym. Dotykałem tego, co było bez substancji, i w tym, co nie jest - jestem”.

W trawie są krople rosy, które zabłysły jak szafiry, skoro tylko ukazało się ogromne słońce; liście poruszają się tam, którędy przeleciał chyłkiem umykający gołąb. (Merton 333).[[292]](#footnote-292)

## **3**

Jest coś szczególnego w pierwszym dzwonku przy furcie klasztornej. Podnosisz rękę do krzyża i tym prostym ruchem przekreślasz wszystko, co było: dziecinne zabawy, swobodę, może kaprysy. Pomiędzy jednym a drugim uderzeniem dzwonu - może to tylko bije twoje trochę rozdygotane serce - odzywa się głos Pipka: „tylko uważaj, żebyś się nie zmarnował”. Tak, to najważniejsze. Jednym posunięciem można narazić na szwank całą stawkę życia. In momento in ictu oculi.[[293]](#footnote-293) Jakby w błyskawicznym jasnowidzeniu stoją w pamięci poszczególne etapy przebytej drogi. A więc biała plama wyjętego z wody ciała. Na rozpalonej czerwcowym słońcem ziemi leży jak hostia na olbrzymiej patenie. Wszak to dziś Boże Ciało. Teraz twoje miejsce przy ołtarzu - musisz go zastąpić! Czy to był tylko głos o. Czesława, czy jakiś inny imperatyw, który z latami nabierał coraz większej siły, aż wreszcie sformułował się w naiwnym błaganiu: „przyjmij mnie do swojej czeladki”[[294]](#footnote-294). I oto teraz stoję przed zamkniętą furtą jak dusza u wrót raju, a w uszach ni stąd ni zowąd brzmią słowa piosenki legionowej o. Kosmy: „leguny chcą raju”.

W takiej chwili poznałem brata Leona. Najpierw dało się słyszeć ciężkie człapanie, jakby kto z trudem usiłował przygłuszyć uderzenia niezgrabnych podeszew, potem dźwięk kluczy i zgrzyt w ogromnym zamku, wreszcie w na pół odchylonych drzwiach stanęła niepozorna postać braciszka z krótko strzyżoną brodą. Brodate twarze nie były mi obce. Spotykałem się z nimi od dzieciństwa niemal co dzień w kościele przy...[[295]](#footnote-295)

1. Bliższe i szersze wiadomości o życiu i działalności o. Serafina znajdują się w książce H. Warachima OFM Cap. pt. „Włóczęga Boży. O. Serafin Kaszuba - Kapucyn. Apostoł Wołynia, Kazachstanu i Syberii”, która została wydana nakładem Prowincji Krakowskiej 00. Kapucynów w Krakowie w 1991 r. Zob. też: O. Albin Janocha OFM Cap., Pod opieką Matki Bożej. Wspomnienia Sybiraka 1939-1956, Wrocław 1993, s. 9, 19, 148, 164, 199, 213, 252; A. Hlebowicz, Kościół odrodzony. Katolicyzm w państwie sowieckim 1944-1992, Wydawnictwo Stella Maris, Gdańsk 1993, s. 70, 135-6, 152, 178, 189, 196, 224.

   Warto też zwrócić uwagę na: E. Walewander, Polacy na Wschodzie w piśmiennictwie polskim, zamieszczony w kwartalniku „Rota”. Lublin 1 (9), 1993, s. 76-7. [↑](#footnote-ref-1)
2. H. Warachim, Włóczęga Boży. Kraków 1991, s. 85-102 [↑](#footnote-ref-2)
3. J. w., s. 161-187. [↑](#footnote-ref-3)
4. Jesienią 1969 roku o. Serafin Kaszuba - otrzymawszy wcześniej zgodę władz radzieckich na wyjazd do Polski - przebywał w szpitalu we Wrocławiu. Wiedziano, że historia jego życia jest bardzo bogata i stanowi niezwykłą kartę z dziejów Kościoła i Polski na terenach zajętych w 1939 r. przez ZSRR. Proszono go przeto, by w miarę sił starał się utrwalić na piśmie swe przeżycia z pracy na Wołyniu. O. Serafin wspominał, że pozostawił w Kazachstanie swoje zapiski, lecz - że nie miał nadziei, by się one kiedyś odnalazły - posłuszny prośbom przełożonego przystąpił do pisania niniejszych „Wspomnień”. Pisze o tym we *Wstępie,* który podyktował swym siostrzeńcom. W Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie znajduje się maszynopis owego *Wstępu* wraz z wiarygodnym oświadczeniem siostrzeńców Kazimierza i Jana Pompowskich. Rękopiśmienny oryginał zachował się w zeszycie szkolnym, zapisanym w 2 kolumnach na każdej stronie, numerowanych 1-49 + 5 kart nieliczbowanych. Na okładce zeszytu napisano obcą ręką tytuł: „Wspomnienia o. Serafina Kaszuby z pracy duszpasterskiej na Wołyniu w latach 1940-1943 pisane we Wrocławiu 1969-1970”. Obecny tytuł pochodzi od wydawców.

   Koleje życia o. Serafina na Wołyniu opisane są w książce o. H. Warachima „Włóczęga Boży” (Kraków 1991) w rozdziale III pt. *Wołyńska odyseja o. Kaszuby* (s. 77-158). Tu zamieszczamy kilka niezbędnych wyjaśnień.

   Decyzją przełożonych w czerwcu 1939 roku o. Serafin został przeniesiony z Rozwadowa do klasztoru w Krakowie. Przełożeni postanowili umożliwić mu ukończenie (magisterium) studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim, czego pragnął i co radzili też niektórzy profesorowie tej uczelni. W sierpniu 1939 r., gdy zbliżała się uroczystość 25-lecia wyruszenia Pierwszej Kadrowej Józefa Piłsudskiego, poproszono o. Kosmę Lenczowskiego kapucyna, pierwszego kapelana Legionów, by na błoniach krakowskich wygłosił okolicznościowe kazanie, które było potem transmitowane przez radio na całą Polskę. Na prośbę o. Kośmy tekst kazania przygotował o. Serafin Kaszuba. Nastroje w kraju były mocno napięte, gdyż spodziewano się wojny polsko-niemieckiej. Od opisu owych nastrojów zaczynają się niniejsze wspomnienia.

   Po legionowych uroczystościach w Krakowie o. Serafin udał się na wakacje do rodziny we Lwowie. Tam zaskoczyła go wojna i wkroczenie Czerwonej Armii na wschodnie ziemie Polski.

   W zamieszaniu wojennym przybyło do klasztoru Kapucynów we Lwowie kilkunastu współbraci zakonnych, uciekających przed najazdem niemieckim. W klasztorze było ciasno, więc o. Serafin przeniósł się do domu rodzinnego nieopodal klasztoru. Tam też mieszkał aż do swego wyjazdu na Wołyń w jesieni 1940 roku. Chętnie - oczywiście - przybywał do klasztoru, spotykał się z współbraćmi zakonnymi, uczestniczył we wspólnych modlitwach, wiele czasu poświęcał na lekturę książek wypożyczanych z bogatej biblioteki klasztornej, uczył się też języka rosyjskiego. Po pewnym czasie udało mu się nawiązać łączność z o. Bolesławem Wojtuniem, kapucynem, wygnanym przez władze sowieckie z klasztoru Kapucynów w Ostrogu nad Horyniem na Wołyniu. Od tej chwili zaczął myśleć o wyjeździe do pracy duszpasterskiej na Wołyniu.

   „Wspomnienia z pracy duszpasterskiej na Wołyniu,, obejmują czas od przybycia na Wołyń późną jesienią 1940 roku do wczesnej wiosny 1944, czyli ponownego wkroczenia na Wołyń Czerwonej Armii. O. Serafin nie zdążył opisać w nich swych przeżyć na Wołyniu w latach późniejszych do 1958 r., kiedy to - za zgodą Kurii Biskupiej - pełnił obowiązki duszpasterza na terenie diecezji łuckiej. Ten okres życia i tułaczego duszpasterstwa o. Serafina, aż do wyjazdu do Kazachstanu jesienią 1963 r., poznajemy już ze szczęśliwie odnalezionych jego zapisków, czyli drukowanych w niniejszym tomie „Strzępów”, oraz z listów, które znajdują się w Archiwum Prowincji Krakowskiej 00. Kapucynów w Krakowie. [↑](#footnote-ref-4)
5. Dosłownie: teraz pozwalasz odejść. [↑](#footnote-ref-5)
6. Zob. w tym tomie rozdział III oraz książka: M. Malinowski, B. Kołosok, Zarys dziejów diecezji łuckiej oraz katedry św. Piotra i Pawła w Łucku. Kalwaria Zebrzydowska 1993. [↑](#footnote-ref-6)
7. O. Marian (Bronisław Najdęcki, 1876-1951), kapucyn. Przełożony klasztoru Kapucynów w Krakowie. Zob. J. L. Gadacz, Słownik polskich kapucynów. Wrocław 1966, T. II. s. 93-5. [↑](#footnote-ref-7)
8. O. Anioł (Kazimierz Władysław Madejewski, 1873-1951), kapucyn. Współbrat z klasztoru Kapucynów w Krakowie. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 18-20. [↑](#footnote-ref-8)
9. O. Kosma (Karol Marceli Lenczowski, 1881-1959), kapucyn. Pierwszy kapelan I Brygady Legionów Polskich. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 673-5 oraz tegoż autora, Kapelańska epopeja. Asyż 1969. [↑](#footnote-ref-9)
10. O. Czesław (Jan Szuber, 1880-1951), kapucyn. W dniu rozpoczęcia wojny w 1939 r. przełożony klasztoru Kapucynów we Lwowie. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 333-6. [↑](#footnote-ref-10)
11. Młodzi polscy kapucyni, którzy studiowali w Rzymie, na krótko przed wybuchem wojny zostali przez władze włoskie usunięci z Włoch. Wśród nich był o. Albin (Franciszek Janocha, 1912); zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 516. Po wybuchu wojny wraz z innymi braćmi zakonnymi zawędrował z Krakowa do klasztoru Kapucynów w Olesku. We Lwowie starał się o legalny wyjazd do Generalnego Gubernatorstwa. Wynikiem jego starań było aresztowanie go w czerwcu 1940 r. i wywiezienie w głąb ZSRR, skąd szczęśliwie po latach więzienia powrócił w 1955 r. Jest członkiem klasztoru Kapucynów w Krakowie. [↑](#footnote-ref-11)
12. Na Zniesieniu, dzielnicy Lwowa, była słynna fabryka likierów i wódek „J. A. Baczewski”. [↑](#footnote-ref-12)
13. O. Jan Chryzostom (Leon Józef Bogusz, 1905-1939), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 295. [↑](#footnote-ref-13)
14. O. Władysław (Andrzej Zając, 1889-1966), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 454-5. [↑](#footnote-ref-14)
15. O. Aleksander (Stanisław Chmura, 1880-1939), kapucyn. Budowniczy klasztoru i kościoła Kapucynów we Lwowie-Zamarstynowie. Aresztowany zaraz po wkroczeniu do Lwowa Armii Czerwonej, zginął tragiczną śmiercią. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 321-2. [↑](#footnote-ref-15)
16. Miejsce manifestacji patriotycznych obok cmentarza na Zamarstynowie. Zwane tak od krzyża postawionego tam w 1910 r. na pamiątkę zwycięstwa pod Grunwaldem. [↑](#footnote-ref-16)
17. O. Roman (Józef Bałut, 1889-1941), kapucyn. Przełożony klasztoru Kapucynów w Kutkorzu, przez pewien czas ukrywał się w klasztorze Kapucynów we Lwowie. Latem 1940 r. usiłował przedostać się do Generalnego Gubernatorstwa. Na granicy został schwytany, osadzony w więzieniu we Lwowie i prawdopodobnie zamordowany w czerwcu 1941 r. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 264. [↑](#footnote-ref-17)
18. Prawo do pozostawania na terenie zajętym przez Czerwoną Armię mieli tylko ci, którzy wykazali się dowodem zameldowania na tym terenie sprzed 1 września 1939 r. Wszystkich, którzy takiego dowodu nie posiadali, uważano za tzw. „uciekinierów” lub zgoła „szpiegów” i groziło im uwięzienie i zsyłka w głąb ZSRR. Przez krótki czas radzieckie władze okupacyjne organizowały wyjazdy do Generalnego Gubernatorstwa. W zasadzie jednak lista zgłaszających się na wyjazd ułatwiała ich aresztowanie i wywózkę. Taki właśnie los spotkał o. Albina i innych kapucynów. [↑](#footnote-ref-18)
19. Jest to nawiązanie do manifestacji patriotycznej, która odbyła się 1 listopada 1939 r. na Cmentarzu Orląt we Lwowie. Autor miał zapewne na myśli następujące słowa Guślarza:

    „Wkrótce, wkrótce koniec Dziadów,

    Słyszysz - trzeci kur już pieje;

    Tam śpiewają ojców dzieje,

    I rozchodzą się gromady.”

    Dziady. Część III. Scena IX, w. 150-3. [↑](#footnote-ref-19)
20. Dublany - wieś k. Lwowa, gdzie się mieściła Akademia Rolnicza, która posiadała własną kaplicę. O. Serafin przez pewien czas dochodził tam pieszo ze Lwowa (około 10 km), by służyć tamtejszym wiernym. [↑](#footnote-ref-20)
21. Anna Kaszuba (z domu Horak, c. Józefa i Krystyny Staszewskiej), matka o. Serafina, zmarła 4 kwietna 1940 r. Została pochowana na cmentarzu zamarstynowskim obok syna Józefa, który utonął 19 czerwca 1919 r. [↑](#footnote-ref-21)
22. O. Bolesław (Jan Wojtuń, 1910-1969), kapucyn. Po wydaleniu kapucynów z klasztoru w Ostrogu na Wołyniu jesienią 1939 r. objął duszpasterstwo parafii w powiatowym miasteczku Ludwipol. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 429-31 [↑](#footnote-ref-22)
23. Milatyn - miejscowość pielgrzymkowa około 60 km na wschód od Lwowa. Z parafii Kapucynów we Lwowie wyruszała tam tradycyjna pielgrzymka na uroczystość Podwyższenia Krzyża św. We wrześniu 1940 r. o. Serafin odważył się i poprowadził taką pieszą pielgrzymkę. Na trasie pielgrzymi spotkali polskich żołnierzy trzymanych w sowieckiej niewoli, którzy pracowali przy poszerzaniu szosy wiodącej ze Lwowa na wschód. [↑](#footnote-ref-23)
24. Janeczka, Januśka - Janina Pompowska (1905-1946) siostra o. Serafina, druga córka Kaszubów. Z małżeństwa z Edwardem mieli dwóch synów: Kazimierza i Jana. [↑](#footnote-ref-24)
25. Ludwipol - miasteczko, pow. Kostopol, woj. wołyńskie (obecnie Ukraina). [↑](#footnote-ref-25)
26. Karasin - wieś, gm. Maniewicze, woj. wołyńskie (obecnie Ukraina). [↑](#footnote-ref-26)
27. O. Kasjan (Józef Czechowicz, 1912-1943), z kapucyńskiej misji wschodniej w Lubieszowie. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 361. [↑](#footnote-ref-27)
28. Dla lepszej orientacji w czasie wyjaśniamy, że jest już wiosna 1941 r. O. Serafin pełni obowiązki proboszcza w parafii Karasin. [↑](#footnote-ref-28)
29. Osoba duchowna. [↑](#footnote-ref-29)
30. Niespodziewany atak 22 czerwca 1941 r. spowodował ogromne zamieszanie wśród Rosjan, którzy w popłochu wycofywali się na wschód. Pojawienie się Niemców na terenach zamieszkałych przez mieszaną ludność polsko-ukraińską odsłoniło prawdziwe oblicze ukraińskich nacjonalistów. Zdawało się im, że teraz właśnie nadeszła pora dla powstania „samostijnej” Ukrainy pod opieką Niemców. W przekonaniu skrajnych nacjonalistów ukraińskich jednym z kroków zmierzających do budowy własnego niezawisłego państwa było oczyszczenie tych terenów z polskiej ludności. Dlatego rzucili hasło „Lachy za San”, co pociągnęło za sobą niewiarygodną tragedię polskiej ludności. O. Serafin opisuje tu życie religijne polskiej ludności i swą pracę duszpasterską. O innych sprawach wspomina jakby mimochodem i nie wdaje się w opisywanie szczegółów. Ale i z tych powściągliwych aluzji odczytujemy grozę owych dni. [↑](#footnote-ref-30)
31. J. Słowacki, Poema Piasta Dantyszka, w. 575-7. Powinno być: „A choćby tyle w nas życia jak w kłosie, Co rośnie pośród gdzieś przejezdnej drogi, Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!” [↑](#footnote-ref-31)
32. Dermanka - wieś, gm. Ludwipol, woj. wołyńskie (obecnie Ukraina). [↑](#footnote-ref-32)
33. Tu autora zawiodła pamięć. Tekla miała czterech braci; nie grała też na żadnym instrumencie. [↑](#footnote-ref-33)
34. Pieczętowaniem mogił nazywano poświęcenie grobu przez kapłana modlącego się za osobę pogrzebaną bez udziału kapłana [↑](#footnote-ref-34)
35. Aniela Hryniewiecka, ur. w 1880 r. - zm.?, pochodziła z parafii Dermanka. Ofiarnie pomagała o. Serafinowi w organizowaniu życia religijnego i jego pracy katechetycznej. O. Serafin w swoich wspomnieniach wymienia ją nie jeden raz. [↑](#footnote-ref-35)
36. „Kordon” - mowa tu o granicy polsko-radzieckiej sprzed września 1939 r. [↑](#footnote-ref-36)
37. Leokadia Muchorowska ze Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek w Łucku. [↑](#footnote-ref-37)
38. Wspomina ją też inny kapłan Zakonu Kapucynów o. Hilary, Marcin Wilk, który w październiku 1944 r. za zgodą arcybiskupa E. Baziaka wraz z ks. Aleksandrem Zonem ze Zgromadzenia Księży Misjonarzy i o. Martynianem Darzyckim z Zakonu Bernardynów, udał się do pracy duszpasterskiej na terenach za Zbruczem. Oto fragment jego pisemnej relacji: „Była to staruszka - na czas mojego spotkania z nią w 1946 r., licząca sobie około 55 lat - Teofila Ostrowska. Ona jak błędna owca, ale owca Chrystusowa - związała swe życie z Kościołem. Pochodziła z rodziny kołchoźników we wsi Medwedowo koło Emilczyna. Pozostawiła ona swojego brata z rodziną a poszła jak ewangeliczne niewiasty za Apostołami - poszła za kapłanami. Osoba biedna, niepiśmienna, słabo czytająca, ale wielka duchem zapału o sprawy wiary i Kościoła. Za kapłana gotowa życie oddać. Ona to zawsze musiała być razem z kapłanem w każdym kościele czy w domu, gdzie się dopełniała Ofiara Pańska. Organizowała przygotowanie ołtarzy, gromadzenie chorych i przygotowywała dzieci do I Komunii świętej. Kiedy ją poznałem w 1944 roku -przyznała się, że od kilku lat pomagała o. Kaszubie. Ona stanowiła i spełniała rolę łącznika pocztowego między kapłanami. W zawiniątkach przenosiła więcej pieszo, niż w pociągach listy poufne. Jej zewnętrzny biedny wygląd i sepleniąca mowa nie budziły politycznych czy społecznych podejrzeń. Ona też przynosiła księżom paczki do więzienia w Żytomierzu i dla mnie organizowała wśród wiernych wysyłkę paczek na Sybir. Jakie jej losy po moim aresztowaniu - tego bliżej nie znam. Po moim wyjściu na wolność w 1953 roku już o niej nic nie słyszałem. Gdzie umarła i gdzie pochowana? Jej bliższa rodzina w Medwedowie powinna wiedzieć. Życie owej Teofili (Teofili Postole), tak ją ludzie nazywali, ponieważ zimą nie nosiła obuwia, ale nogi zawijała w szmaty i łapcie z łyka wierzbowego czy lipowego, życie jej to wielka niepisana karta męczennicy Kościoła Wschodu”. Zob. też: O. Hilary Wilk, Wspomnienia. Parafia - Łagier -Parafia, Wołczyn 1983, s. 49 i in. Maszynopis w Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie. [↑](#footnote-ref-38)
39. O. Daniel (Bolesław Ekiert, 1911-1979), franciszkanin konwentualny. W 1939 r. należał do klasztoru w Skarżysku-Kamiennej. [↑](#footnote-ref-39)
40. Działalność Armii Krajowej, o której już wspomniano, obejmowała cały kraj, podzielony na obszary i okręgi, które podlegały Komendzie Głównej - dowództwu pozostającemu w ścisłej współpracy z Delegaturą Rządu na emigracji w Londynie. W Kowlu miał swoją siedzibę komendant okręgu płk Kazimierz Babiński, ps. „Luboń”. Komendzie okręgu podlegały inspektoraty w Kowlu, Łucku, Równem i Dubnie. Stąd szły informacje wojskowe, broń, żywność i pieniądze dla oddziałów licznie rozsianych w terenie. Z czasem pojawiły się na Wołyniu grupy partyzantów radzieckich, którzy niejednokrotnie nawiązywali kontakty z Armią Krajową i niekiedy z nią współpracowali. Dla polskiej ludności obozującej na Wołyniu silne oddziały Armii Krajowej były ostoją i obroną przed oddziałami UPA. Do takiego obozu Armii Krajowej dotarł - skierowany przez ks. Ekierta - o. Serafin, uciekając wraz z wiernymi przed banderowcami. „Wujek” to pseudonim por. Władysława Kochańskiego, dowódcy obozu. [↑](#footnote-ref-40)
41. Przypuszczalnie do Starej Huty; było to wiosną 1944 r. [↑](#footnote-ref-41)
42. Dalszym niejako ciągiem wspomnień z pracy duszpasterskiej spisywanych na polecenie przełożonych po szczęśliwie przebytej operacji płuc we wrocławskim szpitalu w 1969/1970 r. są - po WSPOMNIENIACH Z PRACY DUSZPASTERSKIEJ NA WOŁYNIU - niniejsze ZAPISKI Z KAZACHSTANU. Nie zostały one - niestety - dokończone. Ogłoszone tu notatki są raczej obszernym wstępem do planowanego pamiętnika, a może większej historycznej rozprawy. Rękopis formatu A4, zapisany dwustronnie, liczący 15 kart przechowywany jest w Archiwum Prowincji Krakowskiej 00. Kapucynów w Krakowie. Tylko tekst *Podsumowania* (ostatniej części „Zapisków”) zachował się w maszynopisie, został bowiem podyktowany - podobnie jak *Wstęp* do „Wspomnień” z Wołynia - przez o. Serafina siostrzeńcowi Janowi Pompowskiemu. Tytuł tej części książki pochodzi od wydawców. „Zapiski z Kazachstanu” o. Serafina przytaczamy tutaj w całości, z zachowaniem - jak i w całym tomie - wierności rękopiśmiennemu oryginałowi z nielicznymi ingerencjami natury raczej porządkowej.

    Czytelników zainteresowanych religijną sytuacją Polaków (i nie tylko) w Kazachstanie odsyłamy dodatkowo do jeszcze dwóch relacji duchownych polskich: W. Bukowiński, Wspomnienia z Kazachstanu. Londyn 1979; J. Kuczyński, Między parafią a łagrem. Paris 1985, a także do artykułu W. Lizaka, Skąd się wzięli Polacy w Kazachstanie w „Tygodniku Powszechnym” (R. 43: 1989, nr 49, s. 2, 7). Odnośnie zaś do dziejów życia o. Serafina w tym okresie odsyłamy do wspomnianej już książki „Włóczęga Boży” (Kraków 1991) do rozdziału IV pt. *W Kazachstanie i tam, gdzie nikt nie docierał* (s.159-264). [↑](#footnote-ref-42)
43. Był nim ks. Włodzimierz Prokopiew - kapłan obrządku greckokatolickiego (unickiego), który w 1961 r. w Wilnie zwrócił uwagę o. Serafina na potrzeby duszpasterskie Kazachstanu, zachęcił go do pracy wśród tamtejszych wiernych i podał mu ich adresy. Zob. też J. Kuczyński, o. c, s. 75-6. [↑](#footnote-ref-43)
44. Ks. Władysław Bukowiński - kapłan diecezji łuckiej (1904-1974), zasłużony apostoł Kazachstanu, który przesiedział w sowieckich więzieniach ponad 13 lat. Jego grób w Karagandzie jest otoczony opieką i czcią wiernych. Autor „Wspomnień z Kazachstanu'' Londyn 1979. [↑](#footnote-ref-44)
45. Ks. dr Bronisław Drzepecki - kapłan diecezji łuckiej. Studiował w Rzymie, w latach 1937-1939 był wicerektorem i profesorem teologii dogmatycznej w diecezjalnym seminarium duchownym w Łucku; przesiedział 15 lat w więzieniach sowieckich. Pisze o nim W. Bukowiński w swoich „Wspomnieniach” (zob. przyp. 45). [↑](#footnote-ref-45)
46. Zielony Gaj - polska miejscowość położona 80 km na zachód od Celinogradu. [↑](#footnote-ref-46)
47. Ks. Piotr Radwański - kapłan obrządku greckokatolickiego (unickiego), używający pseudonimu Pieresypkin. Wspomina go również J. Kuczyński, o. c, s. 76-7. [↑](#footnote-ref-47)
48. Dotyczy aresztowania 8 grudnia 1958 r. ks. Józefa Kuczyńskiego. Ks. dr Józef Kuczyński (1904-1982) był kapłanem diecezji łuckiej, na terenie której w latach trzydziestych kierował Akcją Katolicką Młodzieży; był kapelanem Wołyńskiej Chorągwi Harcerskiej. W styczniu 1945 r. został uwięziony i skazany na 10 lat więzienia za pracę kapłańską na terenie Ukrainy. Po odsiedzeniu kary podjął pracę misyjną w Kazachstanie, za co otrzymał 7 lat więzienia. W 1966 r. został proboszczem w historycznym Barze. W więzieniach sowieckich przeżył 17 lat. Wymienia go wśród kapłanów-misjonarzy również ks. Bukowiński (zob. przyp. 45). [↑](#footnote-ref-48)
49. Ks. Aleksy Żarecki (1914-1963), kapłan obrządku greckokatolickiego (unickiego) archidiecezji lwowskiej. Bardzo ofiarnie pracował na terenie Kazachstanu wśród Ukraińców, Polaków i Niemców. Ścigany przez władze sowieckie i więziony za pracę duszpasterską, zmarł w 49. roku życia, pochowany w miasteczku Dolinka. Zob. W. Bukowiński, o. c. [↑](#footnote-ref-49)
50. Tym podróżnym w białym kitlu był właśnie o. Serafin Kaszuba. Por. incipit „Czarne błoto lgnie do nóg...”, s. 19. [↑](#footnote-ref-50)
51. „Maszyna” - samochód; o. Serafin często posługuje się tym wyrazem. [↑](#footnote-ref-51)
52. „Połdochy” - zapaski, fartuchy. [↑](#footnote-ref-52)
53. Bezhabitowe siostry zakonne ze zgromadzeń bł. o. Honorata Kuźmińskiego - kapucyna; o. Serafin spotkał się z tymi siostrami w Rydze i w Dźwińsku (Daugawpils). [↑](#footnote-ref-53)
54. O okolicznościach powstawania *Strzępów* pisze sam autor we wstępie do swoich *Wspomnień z pracy duszpasterskiej na Wołyniu* (zob. I rozdział), zaś daty - umieszczone przy każdej notatce - pozwalają dokładnie określić czas ich powstania na lata 1966 (pierwsza notatka z 11 kwietnia) - 1967 (ostatnia wpisana data:9 marzec):

    „Cały szereg refleksji i dorywczo wydobywanych z niepamięci wspomnień zawierają *Strzępy* pisane w Arykty i innych sowchozach, ale pomijając już fakt, że może te chaotyczne i na wskroś subiektywne grzebania w przeszłości nigdy nie dostaną się do Polski, to są one pozbawione wszelkiego porządku w przestrzeni i czasie, wobec tego nanizanie pracowite suchych faktów może być komentarzem dla tamtego żywą krwią tętniącego dziennika, który w tamtym czasie był cudownym antidotum przeciw gryzącej nostalgii”.

    Rękopis, stanowiący podstawę niniejszego wydania przechowywany jest w Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie. Mieści się on w 10 zeszytach szkolnych, zapisanych w dwóch kolumnach, obejmujących następujące okresy: 11 IV - 6 VI 1966 w zesz. 1, la, Ib; 9 VI -18 VII 1966 w zesz. 2; 18 VII - 17 VIII 1966 w zesz. 3; 17 VIII - 19 IX 1966 w zesz. 4; 21 IX - 15 X 1966 w zesz. 5; 15 X - 26 XI 1966 w zesz. 5a; 22 XII 1966 - 13 I 1967 w zesz. 6; 14 I - 9 III 1967 w zesz. 7.

    Jak wynika z luk w tekstach zapisków, nie zachowało się - niestety - jeszcze kilka zeszytów, obejmujących okres od 15 do 23 V 1966 (s. rękopisu 135-174) i od 7 do 9 VI 1966 (s. 211-236).

    *Strzępy* - podobnie, jak i inne pisma o. Serafina nie zostały ukończone. Warto tu może przypomnieć okoliczności, w jakich notatki te zostały przerwane. Pobyt w zakładzie dla starców i nieuleczalnie chorych stawał się dla o. Serafina coraz uciążliwszy. Coraz natarczywiej prześladowała go myśl o ucieczce z zakładu. Chociaż panowała sroga zima już z końcem stycznia 1967 r. zaczął trenować marsze, najpierw w pobliżu zakładu, potem coraz dalej i dalej. Nadmienia o tym w zapisce z 30 stycznia. W miarę nabierania wprawy w marszach, umacniała się decyzja ucieczki. W notatce z 13 lutego pisze: „Teraz mogę pisać tylko w telegraficznym skrócie”. Coraz mniej czasu poświęcał pisaniu *Strzępów.* Ostatni zapis w dniu 13 lutego kończy słowami: „a tak chciałbym już tam [do zakładu] nie wracać”. Potem jeszcze postawił datę „9 marca”. Niczego jednak pod tą datą już nie zapisał. [↑](#footnote-ref-54)
55. 11 kwietnia 1958 r. w Równem odebrano o. Serafinowi prawo publicznego sprawowania funkcji kapłańskich. Zob. H. Warachim, Włóczęga Boży, Kraków 1991, s. 127-138. [↑](#footnote-ref-55)
56. „O ziemskich sprawach o. Kaszuby” - tytuł felietonu zniesławiającego o. Serafina: „Zemni diła kśondza Košuby”, „Zdołbunowska gazeta”, 11 IV 1958. Zob. j. w. [↑](#footnote-ref-56)
57. Teofila Ostrowska, starsza kobieta, która całkowicie poświęciła się służbie kapłanom pracującym na Wołyniu: przenosiła listy, dostarczała paczki do więzień, organizowała nabożeństwa. [↑](#footnote-ref-57)
58. Gospodarz, u którego zamieszkał zesłaniec Kaszuba. Nazwiska Aleksandra nie ustalono. O. Serafin unikał podawania nazwisk i adresów osób z nim współpracujących, by w przypadku dostania się jego notatek w niepowołane ręce nie zaszkodzić swoim dobroczyńcom [↑](#footnote-ref-58)
59. Jest to nawiązanie do patriotycznej manifestacji, która odbyła się w dniu 1 listopada 1939 na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, w której uczestniczył o. Serafin. Zob. przyp.19. [↑](#footnote-ref-59)
60. Arykty w Kazachstanie - miejsce zesłania o. Serafina Kaszuby; sowchoz oddalony od Celinogradu (dawniej Akmolińsk) o ok. 300 km [↑](#footnote-ref-60)
61. Aresztowany 6 marca 1966 r., w trybie przyśpieszonym już 16 marca został skazany na pięć lat zsyłki. Zob. Włóczęga Boży, s. 188-196. [↑](#footnote-ref-61)
62. Mowa o możliwości odprawiania Mszy św. [↑](#footnote-ref-62)
63. „Goffine” - tytuł modlitewnika. [↑](#footnote-ref-63)
64. Imiona zaprzyjaźnionych z o. Serafinem Niemców, o których wszakże brak bliższych danych. Zob. Włóczęga Boży, s. 196 i następne. [↑](#footnote-ref-64)
65. Zapewne matka któregoś z gospodarzy domu. [↑](#footnote-ref-65)
66. Biura sowchozu z całym zapleczem. [↑](#footnote-ref-66)
67. Sklepy. [↑](#footnote-ref-67)
68. Łaźnia. [↑](#footnote-ref-68)
69. Zaświadczenie. [↑](#footnote-ref-69)
70. Urzędnik, mający pewne szczególne uprawnienia. [↑](#footnote-ref-70)
71. Jest to nawiązanie do odprawianej prawdopodobnie w Równem nowenny 9 wtorków ku czci św. Antoniego Padewskiego. O. Serafin wymienia tu imiona dawnych swoich parafian. Zob. Włóczęga Boży, s. 109-138. [↑](#footnote-ref-71)
72. Jest to wspomnienie o zbezczeszczeniu kościoła parafialnego w Równem, o niszczeniu przedmiotów kościelnych ofiarowanych przez pewnego Józefa oraz obrazów przywiezionych z miejscowości Aleksandria i Szpanów. Cyt. łac. znaczy: Boże, poganie przyszli do Twego dziedzictwa... (Ps 79, 1). [↑](#footnote-ref-72)
73. Wspomnienie tragicznego utonięcia w 1919 r. starszego brata Józefa; odtąd jego matka miała lęk przed „wodami”. Po śmierci brata młody ministrant Alojzy Kaszuba usłyszał z ust o. Czesława Szubera, przełożonego kapucynów we Lwowie-Zamarstynowie, słowa: „teraz musisz go zastąpić”. Od tej chwili mały Alojzy zaczął się modlić: jeśli chcesz, przyjmij mnie do swojej czeladki”. O powołaniu o. Serafina zob. Włóczęga Boży, s. 42-44. [↑](#footnote-ref-73)
74. Miejscowość nad Niemnem, gdzie był klasztor Kapucynów Prowincji Warszawskiej. [↑](#footnote-ref-74)
75. Kapucyn z Bawarskiej Prowincji Kapucynów; czynny w pracy duszpasterskiej na terenie Kazachstanu. [↑](#footnote-ref-75)
76. Dosłownie: Wszyscy bliscy wzgardzili mną, zapomnieli o mnie moi przyjaciele. [↑](#footnote-ref-76)
77. Ks. Aleksy Żarecki. Zob. *Zapiski,* s. 72, przyp. 7. Cyt. łac. znaczy: Kiedyż więc przyjdę i ujrzę oblicze Boga (Ps 42, 3). [↑](#footnote-ref-77)
78. Aleksiejewka - miejscowość na Krymie, skąd o. Serafin wyruszył do Kazachstanu. [↑](#footnote-ref-78)
79. Helena Hasij - często towarzyszyła o. Serafinowi w jego podróżach, niejako ubezpieczając - strzegąc bezpieczeństwa i służąc pomocą. Mieszka we Lwowie. [↑](#footnote-ref-79)
80. Posyłka - paczka przysłana pocztą. [↑](#footnote-ref-80)
81. Katarzyna Blum, Niemka, która przysłała z Celinogradu paczkę, z wszystkim, co było potrzebne do odprawiania Mszy św. [↑](#footnote-ref-81)
82. Kwaterant - lokator wyznaczony przez władze na zamieszkanie. [↑](#footnote-ref-82)
83. Nakazanie - wyrok, nakaz, w tym wypadku nakaz zesłania. [↑](#footnote-ref-83)
84. Posielenie - nakaz osiedlenia się w danej miejscowości. [↑](#footnote-ref-84)
85. Biała niedziela (pierwsza po Wielkanocy). [↑](#footnote-ref-85)
86. Maria Majcher (zamieszkała wówczas w Krasnoarmiejsku, ul. Szpitalna 4) - ofiarnie oddana sprawom Kościoła. Opiekowała się o. Serafinem, który się zwykle u niej zatrzymywał. Po aresztowaniu o. Serafina w jej mieszkaniu przeprowadzono rewizję i zabrano wszystkie jego rzeczy. Maria poszukiwała miejsca zesłania o. Serafina. Po odnalezieniu, wraz z Józefą Blaszko (zam. wówczas w Krasnoarmiejsku, ul. Kazachstańska 4) i Emmą (której nazwiska niestety nie udało się ustalić), przyjechały do Arykty odwiedzić o. Serafina. [↑](#footnote-ref-86)
87. Imiona niektórych współbraci zakonnych: o. Mieczysław (Jan Witkowski, ur. 1914), zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 422; br. Walenty Maria (Andrzej Broda, ur. 1907), zob. J. L. Gadacz, o. cl, s. 302-3; o. Kazimierz (Adam J. Niczyński, 1897-1979), zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 102-3; br. Ludwik (Franciszek Skłodowski, 1888-1965), zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 288; br. Benedykt (Tomasz Klimczak, 1877-1946), zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 568; o. Antoni (Jan Latawiec, 1881-1961), zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 665. [↑](#footnote-ref-87)
88. O. Serafin przez owe kobiety przekazał do rozdzielenia swoim wiernym Komunię św. [↑](#footnote-ref-88)
89. Nabożeństwo za zmarłych odprawiane tradycyjnie w Kościele Wschodnim na cmentarzach po uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego. [↑](#footnote-ref-89)
90. Kościelny w Równem, którego nazwiska nie udało się ustalić; prawdopodobnie Antoni Krynicki. [↑](#footnote-ref-90)
91. Anna Dynakowska - od młodych lat sparaliżowana, odegrała znaczącą rolę w życiu i w pracy o. Serafina na Wołyniu, szczególnie po odebraniu mu prawa pełnienia funkcji kapłańskich. Przygotowywała dzieci do I Komunii Św., u niej odbywały się nabożeństwa, w imieniu o. Serafina pisywała listy do jego siostry, Marii Kaszuby, jej dom w Równem był jakby skrytką pocztową o. Kaszuby. [↑](#footnote-ref-91)
92. Autorem epitafium był prawdopodobnie o. Serafin. [↑](#footnote-ref-92)
93. O. Ludwik - kapłan, którego nazwiska nie udało się ustalić. [↑](#footnote-ref-93)
94. Kołatka - w klasztorach Kapucynów budzi się zakonników rano ze snu, uderzając w drewnianą kołatkę. [↑](#footnote-ref-94)
95. Kapłan zakonny przewodniczący modlitwom. [↑](#footnote-ref-95)
96. Maria Kaszuba (ur. 10 IX 1903 we Lwowie - zm. 7 VIII 1968 w Stalowej Woli) - siostra o. Serafina, nauczycielka; odegrała ważną rolę w jego życiu, skrzętnie przechowała jego rzeczy osobiste, pamiątki, dokumenty, fotografie, kazania i listy, znajdujące się obecnie w Archiwum Prowincji Krakowskiej 00. Kapucynów w Krakowie. Zob. też Włóczęga Bożv, s. 31-36. [↑](#footnote-ref-96)
97. O. Albin Janocha, kapucyn, więziony w ZSRR, zesłany na Sybir, któremu o. Serafin z Wołynia posyłał paczki. Po powrocie do kraju w 1956 r. on z kolei utrzymywał łączność z o. Serafinem, będąc łącznikiem pomiędzy nim a przełożonymi; posyłał mu książki i pomoce duszpasterskie; zgromadził i uporządkował w Archiwum Prowincji dokumenty, pisma i listy o. Serafina. [↑](#footnote-ref-97)
98. O. Zdzisław (Jan B. Rzeszutek, ur. 1918) zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 260-2; o. Władysław (Andrzej Zając, 1889-1966), zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 454-5. [↑](#footnote-ref-98)
99. Kajus Dalmatyńczyk z rodu cesarza Dioklecjana. [↑](#footnote-ref-99)
100. Helena Kawecka (wówczas zam. w Celinogradzie, ul. Thalmanna 105); w jej mieszkaniu zatrzymywał się bezpiecznie o. Kaszuba. [↑](#footnote-ref-100)
101. O. Jerzy (Józef Rumak, ur. 1910), starszy kolega o. Serafina z okresu studiów teologicznych w Krakowie. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 235-7. [↑](#footnote-ref-101)
102. O. Wojciech (Jan Strzemecki, 1911-1961), młodszy kolega o. Serafina. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 319-20. [↑](#footnote-ref-102)
103. Korzec - miasto na Wołyniu, dokąd o. Serafin często przyjeżdżał z posługą kapłańską. [↑](#footnote-ref-103)
104. Wiedzie mnie po własnych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię (Ps 22, 3). [↑](#footnote-ref-104)
105. Zofia Otko, mieszkanka Lwowa, koleżanka Marii Kaszuby; łączniczka pomiędzy nią a o. Serafinem. W jej domu o. Serafin często przebywał, szczególnie podczas choroby we Lwowie; bardzo mu pomocna w różnych okolicznościach. [↑](#footnote-ref-105)
106. Stół dla mnie zastawiasz (Ps 23, 5). [↑](#footnote-ref-106)
107. Więcej szczegółów na ten temat znajdzie czytelnik we „Wspomnieniach z pracy duszpasterskiej na Wołyniu”, Sarny - wieś, pow. łucki, woj. wołyńskie (dziś Ukraina); Karasin - wieś, gm. Maniewicze, woj. wołyńskie (dziś Ukraina); Ludwipol - miasteczko, pow. Kostopol, woj. wołyńskie (dziś Ukraina). [↑](#footnote-ref-107)
108. Ks. Jan Rutkowski, ostatni proboszcz parafii katedralnej w Łucku; po zamknięciu katedry odprawiał w kaplicy cmentarnej. [↑](#footnote-ref-108)
109. Aniela Hryniewiecka. [↑](#footnote-ref-109)
110. Ostróg nad Horyniem, woj. wołyńskie (dziś Ukraina). W Ostrogu był klasztor Kapucynów, w którym Polacy chronili się przed nacjonalistami ukraińskimi. W czasie okupacji o. Remigiusz Kranc, br. Grzegorz Feret, o. Honorat Jedliński, o. Gabriel Banaś i o. Serafin Kaszuba położyli wielkie zasługi na polu duszpasterstwa i w obronie ludności przed oddziałami UPA na terenie Wołynia. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 205-7. [↑](#footnote-ref-110)
111. Bystrzyce - wieś w pow. równieńskim, woj. wołyńskie (dziś Ukraina). [↑](#footnote-ref-111)
112. J. Słowacki, Poema Piasta Dantyszka, w. 575-7. Powinno być: „A choćby tyle w nas życia jak w kłosie, Co rośnie pośród gdzieś przeiezdnej drogi, Zdeptani, stokroć wstaniemy na nogi!” [↑](#footnote-ref-112)
113. Horodnica - miejscowość na północ od miasta Korzec w woj. wołyńskim (dziś Ukraina). [↑](#footnote-ref-113)
114. Mikołaj Wiszniewski jako kilkunastoletni chłopiec został przygarnięty przez o. Serafina i wykształcony na organistę. Potem pomagał mu w pracy i podróżach duszpasterskich. [↑](#footnote-ref-114)
115. Ks. Stanisław - niestety, jego nazwiska nie udało się ustalić. Cyt. łac: Wykonało się! (J 19, 30). *Christus ʋincit... Christus regnat* znaczy: Chrystus zwycięża... Chrystus króluje. [↑](#footnote-ref-115)
116. Jest to wzmianka o duszpasterskich odwiedzinach wśród wiernych odciętych od Polski granicą sprzed 1939 r. [↑](#footnote-ref-116)
117. Przyjęcie do III Zakonu św. Franciszka. Georg, jako Niemiec, otrzymał imię zakonne Konrada z Parzham, kapucyna. [↑](#footnote-ref-117)
118. O. Anioł (Władysław K. Madejewski, 1873-1951), kapucyn, sławny rekolekcjonista. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 18-20. [↑](#footnote-ref-118)
119. W maju 1936 r. odbył się na Jasnej Górze Ogólnopolski Kongres III Zakonu św. Franciszka, na którym przemawiał tercjarz, gen. Józef Haller; jedno z głównych kazań wygłosił o. Serafin Kaszuba. [↑](#footnote-ref-119)
120. Zabrany został, by złość nie odmieniła jego myśli (Mdr 4, 11). [↑](#footnote-ref-120)
121. „Neue Zeit” - niemiecka gazeta wychodząca w b. NRD; niekiedy docierała do Kazachstanu. [↑](#footnote-ref-121)
122. By zniszczyć wrogów... Trudno ustalić, który psalm autor miał na myśli. [↑](#footnote-ref-122)
123. S. Czesława (Leokadia Muchorowska) ze Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek w Łucku. [↑](#footnote-ref-123)
124. Jeden z mieszkańców Arykty, w domu którego urządzono kaplicę. [↑](#footnote-ref-124)
125. W wydaniu książkowym, po tych słowach jest notatka, że dalszy ciąg notatek z 8 V [1966] i następne znajdują się w Aneksie, który dołączono do wydania książki w końcowym etapie jej przygotowania. W wersji elektronicznej „Aneks” nie istnieje, gdyż jego zawartość została włączony do tekstu, zgodnie z datami. O okolicznościach odnalezienia tego zeszytu (Aneksu) tak pisze nadawca przesyłki p. Andrzej Otko w liście z dnia 31 kwietnia 1994 r.: „Niedawno, wśród papierów w domu, trafił mi się zeszyt, który załączam. Na pierwszy rzut oka pomyślałem, że są to może wspomnienia O. Serafina, ale dość prędko zorientowałem się, że jestem w błędzie. Niemniej jednak uważam, że są ciekawe i mogą być interesujące dla Was, gdyż dotyczą Waszego młodego kapłana i tych bardzo dramatycznych czasów między partyzantką sowiecką i banderowcami. Może zresztą od razu zidentyfikuje się Autor - wtenczas będzie na pewno ciekawie! W każdym razie uważam za stosowne w pewnym sensie „zwrócić” ten zeszyt Waszemu Zgromadzeniu, z którym Rodzina moja jest od dawnych czasów związana szczerą sympatią [...]”. [↑](#footnote-ref-125)
126. Pasterz. [↑](#footnote-ref-126)
127. Gaudę Mater Polonia, prole fecunda nobili = Ciesz się Matko Polsko, ojczyzno sławnych ludzi. [↑](#footnote-ref-127)
128. Kibel w areszcie. [↑](#footnote-ref-128)
129. Grzegorz I Wielki, Św.; (ok. 540-604 n.e.), papież od 590 r., ojciec Kościoła. [↑](#footnote-ref-129)
130. Grzegorz z Nazjanzu, Św.; (ok. 329-ok. 390 n.e.), jeden z trzech ojców Kościoła zw. ojcami kapadockimi. [↑](#footnote-ref-130)
131. Księga Jonasza, 1, 12. [↑](#footnote-ref-131)
132. Ks. Stanisław Rogowski(1911-1978),diec. pińska, proboszcz w Baranowiczach, w 1. 1957-58 proboszcz kościoła św. Ludwika w Moskwie. [↑](#footnote-ref-132)
133. O. Bronisław (Jan Wilk, 1909-1978), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 414-5. [↑](#footnote-ref-133)
134. Nowiny, Emilczyn, Kowalewicze, Kozacka Huta, Lewocze (tak, nie zawsze konsekwentnie w całym rękopisie; prawidłowo - Lewacze, dekanat Kostopol),Niemiła, Medwedów, Balarka, Zapruda - wsie i przysiółki na Podolu w woj. wołyńskim (obecnie Ukraina). [↑](#footnote-ref-134)
135. Bóg jest miłością. [↑](#footnote-ref-135)
136. Maria Kaszuba (1903-1968), ukochana siostra o. Serafina. [↑](#footnote-ref-136)
137. Mt 25, 15. [↑](#footnote-ref-137)
138. Izydor Oracz, Św.; zm. 1130 (?). 10 maja przypadało liturgiczne wspomnienie św. Izydora; obecnie 15 maja. [↑](#footnote-ref-138)
139. Antonin Pierozzi (1389-1459), święty, arcybiskup Florencji. [↑](#footnote-ref-139)
140. O. Honorat Koźmiński, Św. Franciszek Seraficki. Jego życie, wielkie dzieła, duch, dary, pisma i nauki i ich odbicie w naśladowcach jego. T. 1-4. Warszawa 1901, 1902, 1905, 1913. [↑](#footnote-ref-140)
141. O. Daniel (Bolesław Ekiert OFM Conv.) [↑](#footnote-ref-141)
142. Zob. W. Romanowski, ZWZ - AK na Wołyniu 1939-1944. Lublin 1993, m.in. s. 184, 282, 290. [↑](#footnote-ref-142)
143. Ks. Leonard Samosenko (1896-?), kapłan diec. łuckiej, dekanat Korzec; w okresie międzywojennym administrator parafii w Ludwipolu. [↑](#footnote-ref-143)
144. Ks. Jerzy Zwoliński, kapłan diec. łuckiej, dekanat Korzec. [↑](#footnote-ref-144)
145. Zob. przyp. 40. [↑](#footnote-ref-145)
146. Teraz, o Panie, pozwól odejść swemu słudze w pokoju. Łk 2, 29. [↑](#footnote-ref-146)
147. Warsztat naprawy traktorów. [↑](#footnote-ref-147)
148. Próżniactwo. [↑](#footnote-ref-148)
149. Br. Łazarz (Paweł Bogacz, 1883-1960), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 294-5. [↑](#footnote-ref-149)
150. O. Tadeusz (Antoni S. Kraus; 1890-1977), kapucyn. Duszpasterz w Estonii w latach 1931-1964. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 623-4. [↑](#footnote-ref-150)
151. Zob. przyp. 15. [↑](#footnote-ref-151)
152. Autor wspomina tu swoje lwowskie lata gimnazjalne. Zob. też Włóczęga Boży, s. 36-42. [↑](#footnote-ref-152)
153. Zob. Włóczęga Boży, s. 139. [↑](#footnote-ref-153)
154. W Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów zachowały się obrazki prymicyjne z napisem „Mnie żyć jest Chrystus”. [↑](#footnote-ref-154)
155. Robert Bellarmin, św. (1542-1621), doktor Kościoła. [↑](#footnote-ref-155)
156. O. Gerard (Józef Rysz, 1892-1978), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 245-7. [↑](#footnote-ref-156)
157. O. Anioł (K. W. Madejewski, 1873-1951), kapucyn. W 1. 1904-18 pracował we Lwowie na Zamarstynowie, m.in. jako gwardian i administrator parafii. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 18-20. [↑](#footnote-ref-157)
158. „Pipkiem” nazywano w V Gimnazjum we Lwowie profesora języka polskiego Leona Poradowskiego, który aż do matury był wychowawcą A. Kaszuby. [↑](#footnote-ref-158)
159. Br. Leon (Franciszek Wojnar, 1896-1966), kapucyn. Ze względu na jego świątobliwe życie nazywany „owieczką bożą”; br. Leon był furtianem, kiedy do nowicjatu zgłosił się młody Alojzy Kaszuba. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 424. [↑](#footnote-ref-159)
160. Zob. S. Wardęga, Niższe Seminarium Duchowne w Krakowskiej Prowincji Kapucynów w latach 1921-1960. Praca magisterska, Kraków 1982 (w Archiwum Prowincji w Krakowie). [↑](#footnote-ref-160)
161. O. Bogumił (Władysław Marecki, 1909-1974), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 47-9. [↑](#footnote-ref-161)
162. O. Ireneusz (Józef Nowak, 1910-1982), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 110-11. [↑](#footnote-ref-162)
163. O. Wojciech (Jan Strzemecki, 1911-1961), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 319-20. [↑](#footnote-ref-163)
164. O. Piotr (Karol Paluch, 1913-1992), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 150-1. [↑](#footnote-ref-164)
165. O. Jacek (Jan Kowal, 1917-1973), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 606-7. [↑](#footnote-ref-165)
166. O. Roman (Antoni Bałut, 1889-1941), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 264. [↑](#footnote-ref-166)
167. Br. Grzegorz (Tomasz Feret, 1886-1974), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 411. [↑](#footnote-ref-167)
168. O. Ambroży (Gustaw S. Mayer, 1902-1961), kapucyn; w 1. 1928--33 mistrz nowicjatu w Sędziszowie Młp. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 55-7. [↑](#footnote-ref-168)
169. Rozmowy oceniające, prowadzone z klerykami przez przełożonych. [↑](#footnote-ref-169)
170. Wielkanoc 1933 r. [↑](#footnote-ref-170)
171. Od samego początku. [↑](#footnote-ref-171)
172. Zofia Siestrzewitowska ze Zdołbunowa. [↑](#footnote-ref-172)
173. Br. Teofil (Izydor Kowalik, 1866-1944), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 607. [↑](#footnote-ref-173)
174. Sebastian Reinstadler, Elementa philosophiae scholasticae... Fryburg 1923; Augustyn Jelonek, Józef Święcicki - świeccy profesorowie - wykładowcy w Liceum i Studium Filozoficzno-Teologicznym kapucynów w Krakowie. [↑](#footnote-ref-174)
175. Ks. Kazimierz Weis, ks. Franciszek Gabryl - autorzy podręczników do filozofii. [↑](#footnote-ref-175)
176. O. Paschalis (Józef A. Krypel, 1898-1970), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz o. c. I, s. 637-8. [↑](#footnote-ref-176)
177. O. Laureano (Martinez Alvarez Delfin, 1890-?), kapucyn (zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 49-50); O. Justus (Ondarra Altuna Jose Maria (1895-1961), kapucyn (zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 134-5).Wykładali w Studium Fil.-Teol. OO. Kapucynów w Krakowie w latach trzydziestych. Zob. też Włóczęga Boży, s. 47-63. [↑](#footnote-ref-177)
178. J.w. [↑](#footnote-ref-178)
179. O. Ludwik(Antoni Żołnierczyk, 1896-1960), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 483-4. [↑](#footnote-ref-179)
180. O. Czesław (Jan Szuber, 1880-1951), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 333-6. [↑](#footnote-ref-180)
181. O. Franciszek Ksawery (Mieczysław Kwieciński, 1906-1976), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 575-6. [↑](#footnote-ref-181)
182. Pan częścią dziedzictwa mego. Ps 16, 5. [↑](#footnote-ref-182)
183. Do sakramentu kapłaństwa prowadziły tzw. stopnie niższych i wyższych święceń. Do niższych należały święcenia ostariusza, lektora, egzorcysty; do wyższych - subdiakona, diakona, kapłana. [↑](#footnote-ref-183)
184. O. Adam (Tadeusz Zychowicz, ur. 1908), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 480-1. [↑](#footnote-ref-184)
185. O. Bolesław (Jan Wojtuń, 1910-1969), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 429-31. [↑](#footnote-ref-185)
186. O. Eugeniusz (Andrzej Świstek, 1907-1965), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 354-5. [↑](#footnote-ref-186)
187. O. Bernard (Stanisław Filip, ur. 1909), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 415-6. [↑](#footnote-ref-187)
188. O. Walerian (Jan Bulec, 1909-1983), kapucyn. W 1952 r. przeszedł w szeregi duchowieństwa świeckiego; proboszcz w Siekierczynie. [↑](#footnote-ref-188)
189. „Już was nie nazywam sługami, [...] ale nazwałem was przyjaciółmi.” J 15, 15. [↑](#footnote-ref-189)
190. O. Marian (Bronisław Najdecki, 1876-1951), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 93-5. [↑](#footnote-ref-190)
191. W rękopisie brak stron z notatkami z kolejnych dni aż do 24 V 1966 . [↑](#footnote-ref-191)
192. Gorsowiet - miejska rada narodowa. Owir - wojewódzka rada narodowa; głowa - naczelnik. [↑](#footnote-ref-192)
193. Rogoźnica - polska wieś w okolicy Grodna, której mieszkańcy pozbawieni kapłana zapraszali o. Serafina do objęcia ich parafii. Władze podstępnie doprowadziły do wymeldowania o. Serafina z Równego, a w Rogoźnicy odmówiono mu zatwierdzenia i zameldowania. Tak został włóczęgą. [↑](#footnote-ref-193)
194. O. Bernardyn Goebel, kapucyn, autor franciszkańskiego podręcznika do rozmyślań „Przed Bogiem”, opartego na konstytucjach kapucynów. [↑](#footnote-ref-194)
195. Ks. Roman Jankowski, sędziwy duszpasterz w Żytomierzu, był spowiednikiem o. Serafina w czasach wołyńskich; później też niekiedy z Kazachstanu do niego przyjeżdżał. [↑](#footnote-ref-195)
196. O. Czesław (Jan Szuber, 1880-1951), kapucyn. Podczas wojny przełożony klasztoru we Lwowie udzielił o. Serafinowi błogosławieństwa na jego pracę na Wołyniu. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 333-6. [↑](#footnote-ref-196)
197. O. Hilary (Marcin Wilk, ur. 1917), kapucyn. Duszpasterz na Podolu (m.in. w historycznym Barze) i na Wołyniu. Zesłaniec; po różnych ciężkich przeżyciach w ZSRR powrócił do kraju w 1953 r. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 415-6. [↑](#footnote-ref-197)
198. O. Tadeusz (Antoni S. Kraus, 1890-1977), kapucyn. Niegdyś katecheta Alojzego Kaszuby, jego przełożony w Krakowie; od 1931-1964 pracował w Estonii, gdzie po 1945 r. przez kilka lat był jedynym kapłanem. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 623-4. [↑](#footnote-ref-198)
199. Od czytania do modlitwy i na odwrót. [↑](#footnote-ref-199)
200. O . Hieronim (Karol Warachim, ur. 1916), kapucyn. B. prowincjał, którego Maria Kaszuba usilnie prosiła, by spowodował powrót jej brata do Polski. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 395-7. Ponadto autor książki o o. Serafinie pt. „Włóczęga Boży” (Kraków 1991) i redaktor niniejszego tomu). [↑](#footnote-ref-200)
201. O. Innocenty (Marian Trojanowski, 1915-1955), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 375-6. [↑](#footnote-ref-201)
202. Janina Kaszuba, po mężu Pompowska (ur. 6 XI 1905 we Lwowie - zm. 9 VI 1946 r. w Rozwadowie), siostra o. Serafina, nazywana przez niego niekiedy Nuśką. Jej dwaj synowie, Jan i Kazimierz, zamieszkali we Wrocławiu, opiekowali się o. Serafinem podczas jego pobytu w szpitalu, utrzymywali serdeczną więź z wujkiem, który niekiedy nazywał ich swoimi dziećmi. Zob. Włóczęga Boży, s. 31-36. [↑](#footnote-ref-202)
203. O. Honorat (Franciszek W. Jedliński, 1869-1952), kapucyn. Zasłużony misjonarz ludowy, członek klasztoru Kapucynów w Ostrogu. Po wygnaniu zakonników w październiku 1939 r. podjął pracę duszpasterską w okolicznych parafiach. Przeżywał ukraińskie napady, zdołał uniknąć śmierci. Podczas ucieczki z Wołynia zatrzymał się krótko we Lwowie, gdzie kazał „położyć krzyżyk” na o. Serafinie, przekonany, że ten albo zginął, albo na pewno zginie. Zob. też J. L. Gadacz, o. c. I, s. 528-31. [↑](#footnote-ref-203)
204. Rodzina Sawków mieszkała we Lwowie naprzeciw klasztoru Kapucynów. Sawkowa nie wyjechała ze Lwowa w przekonaniu, że „doczeka się chwili, kiedy na kolanach pójdzie jeszcze do kościoła uczcić św. Franciszka”. [↑](#footnote-ref-204)
205. Brak rękopisu *Strzępów* obejmującego okres od 7 do 9 VI 1966 r. (s. 211-236). [↑](#footnote-ref-205)
206. Uczastkowy - milicjant, czuwający nad wydzielonym mu terenem. [↑](#footnote-ref-206)
207. W urzędzie wojewódzkim. [↑](#footnote-ref-207)
208. Marcin z Kohem, kapucyn niemiecki, autor książek religijnych rozpowszechnionych wśród Niemców w Kazachstanie. [↑](#footnote-ref-208)
209. Ks. Rafał Godziński, zasłużony duszpasterz w Korcu, zmarł na terenie diecezji olsztyńskiej. [↑](#footnote-ref-209)
210. O. Karol (Franciszek Szczepanek), kapucyn. Jako brat zakonny odbył w ukryciu studia, otrzymał święcenia kapłańskie, duszpasterzuje na Białorusi. [↑](#footnote-ref-210)
211. O. Władysław (Andrzej Zając, 1889-1966), kapucyn. Niegdyś przełożony klasztoru i proboszcz parafii św. Franciszka we Lwowie-Zamarstynowie. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 454-5; [↑](#footnote-ref-211)
212. Ks. Włodzimierz Prokopiew. [↑](#footnote-ref-212)
213. Ks. Aleksy Żarecki. [↑](#footnote-ref-213)
214. Modlitwa św. Bonawentury „Transfige”: „Najsłodszy Panie Jezu, przeniknij dogłębnie istotę i wnętrze mojej duszy, zrań ją zbawczą raną prawdziwej apostolskiej, łagodnej a świętej miłości, by znalazła ukojenie w nieustannym pragnieniu tylko twojej miłości i posiadania Ciebie. Niech Ciebie pożąda, niech usiłuje rozłączyć się [z tym światem], by tylko być z Tobą. Spraw, by moja dusza łaknęła Anielskiego Chleba, który jest umocnieniem dla dusz świętych; tego codziennego nadziemskiego chleba zawierającego w sobie wszelki smak słodkości i rozkosz ukojenia. Niech Ciebie, na którego aniołowie pragną spoglądać, moja dusza nieustannie łaknie, a moje serce pragnie posiadać, i całe moje wnętrze niech się napełnia rozkoszowaniem posiadania Ciebie, który jesteś źródłem życia, źródłem mądrości i wiedzy, źródłem wiekuistej jasności, rozkosznym potokiem skarbów domu Bożego. Niech zawsze o Ciebie zabiega, Ciebie szuka i znajduje, do Ciebie zdąża i dochodzi, niech o Tobie rozmyśla, mówi, i wszystko niech czyni na chwałę Twojego Imienia, a czyni to z pokorą, z oględną delikatnością, z ukochaniem i rozkoszowaniem się, przystępnie, a z uczuciem, z wytrwałością aż do końca, ażebyś tylko Ty był jedyną moją nadzieją, całą moją otuchą, moim bogactwem i moją rozkoszą, moją radością i szczęściem, moim spocznieniem i ukojeniem, moim pokojem, pociechą, łagodną wonią i moją słodyczą, moim ratunkiem, moją mądrością, moją własnością i moim skarbem, w którym niewzruszenie mocno i na zawsze niech będzie zakorzeniony mój duch i serce moje. Amen”. [↑](#footnote-ref-214)
215. Benedetto Croce (1866-1952), Giovanni Gentile (1875-1944) - włoscy filozofowie. O. Serafin pisał na UJ u prof. S. Kołaczkowskiego pracę magisterską na temat „Zagadnienia sztuki życia na tle współczesnych kierunków estetycznych włoskich”. Recenzentem był prof. S. Pigoń. Zob. Włóczęga Boży, s. 66-70. [↑](#footnote-ref-215)
216. Ach! Jakże bardzo zmieniło się (złoto) najczystsze (Lm 4, 1). [↑](#footnote-ref-216)
217. Jan (siostrzeniec) i jego żona Pompowscy. Cyt łac: *fructum facere -* dosł. wydawać owoc, czyli rodzić; *sicut vitis abundas -* dosł. jak urodzajna winnica: *non cognovit* - dosł. nie poznał (przenośnia oznaczająca, że nie współżył z kobietą). [↑](#footnote-ref-217)
218. Żmerynka - miasteczko na Wołyniu w pow. Winnickim, licznie zamieszkałe przez Polaków. [↑](#footnote-ref-218)
219. Lichy żywot. [↑](#footnote-ref-219)
220. O. Alfons (Jan Wieczorek, 1877-1936), kapucyn. Podczas I wojny światowej przełożony kapucynów we Lwowie, ofiarnie posługujący chorym podczas panującej zarazy cholery w 1915 r. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II s. 411-2. [↑](#footnote-ref-220)
221. Elizawieta Pawłowna, lekarka w Leningradzie, oddała wielkie usługi o. Serafinowi podczas jego choroby. [↑](#footnote-ref-221)
222. Urząd rejonowy. [↑](#footnote-ref-222)
223. Imienia i nazwiska redaktora skargi nie udało się dociec. Jej rękopis znajduje się w Archiwum Prowincji w Krakowie. [↑](#footnote-ref-223)
224. Miejscowość i nazwa sowchozu, do którego milicja skierowała o. Serafina. [↑](#footnote-ref-224)
225. Nie wydawaj na zatracenie (Ps 73, 19). [↑](#footnote-ref-225)
226. Maria wzięta jest do nieba, radują się aniołowie(początek antyfony na nieszpory uroczystości Wniebowzięcia). [↑](#footnote-ref-226)
227. Rabkom - wyznaczający pracę; koczegar - palacz; pisać zajawę - napisać podanie. [↑](#footnote-ref-227)
228. Abmołabka – biblioteka objazdowa; samochód z kolportażem książek i czasopism. [↑](#footnote-ref-228)
229. Śluby w III Zakonie św. Franciszka. [↑](#footnote-ref-229)
230. O. Serafin latem i jesienią 1963 r. pracował w Dźwińsku, jako palacz w szpitalu przeciwgruźliczym; w Arszatyńsku zaś - jako palacz w piekarni. [↑](#footnote-ref-230)
231. Wejście na Alwernię. [↑](#footnote-ref-231)
232. Mówię jak szalony (Kor 12, 6); [↑](#footnote-ref-232)
233. Dokądże Panie! (Ps 79, 5). [↑](#footnote-ref-233)
234. Prawdopodobnie o. Roman Jankowski, sędziwy proboszcz z Żytomierza. Commune Martyrum et Confessorum - spis męczenników i wyznawców. [↑](#footnote-ref-234)
235. Witaj Święta Rodzicielko. [↑](#footnote-ref-235)
236. bolnoj - chory. [↑](#footnote-ref-236)
237. Dusze sprawiedliwych są w ręku Boga (Mdr 3, 1). [↑](#footnote-ref-237)
238. Władysław Bodnicki - literat krakowski. Był kolegą o. Serafina podczas studiów na UJ; Kopiec wspomnień, Kraków 1964, s. 341-64, rozdz. Po obu brzegach Wisły. „Wzlot Seraficki” - miesięcznik redagowany przez kleryków OO. Kapucynów w Krakowie. Kraków, R. I (1935)-V (1939). Nr 9/11 z 1936 r. redagował o. Serafin. [↑](#footnote-ref-238)
239. Odblask światłości niebios (początek hymnu brewiarzowego). [↑](#footnote-ref-239)
240. O. Remigiusz (Bolesław Kranc, 1910-1977), kapucyn. Kolega ze studiów, obrońca Polaków w klasztorze w Ostrogu; prowincjał w latach 1950-6. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, s. 618-20 ; o. Alojzy (Jan Wojnar, ur. 1908), kapucyn. Prowincjał w latach 1947-1950, 1959-1964. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 425-9; o. Hieronim, prowincjał w latach 1964-1970. [↑](#footnote-ref-240)
241. Zdecydowany rozkaz komendanta. [↑](#footnote-ref-241)
242. Ty zapisałeś moje życie tułacze (Ps 55, 9). [↑](#footnote-ref-242)
243. Radujmy się obchodząc uroczystość... (z liturgii Mszy św. ku czci św. Franciszka). [↑](#footnote-ref-243)
244. Profesora języka polskiego, Leon Poradowski, wychowawca A. Kaszuby. [↑](#footnote-ref-244)
245. I bezpieczni od wszelkiego zamętu... (z liturgii Mszy Św.). [↑](#footnote-ref-245)
246. Obłispołkom - okręgowa komenda milicji. [↑](#footnote-ref-246)
247. Złośliwie uchyla się od pracy. [↑](#footnote-ref-247)
248. Rano ujrzycie chwałę Pana (z liturgii Mszy św. w wigilię Bożego Narodzenia). [↑](#footnote-ref-248)
249. Jak wrogowie krzyża Chrystusowego... (Flp 3, 18). [↑](#footnote-ref-249)
250. Powstań, świeć (bo przyszło twe światło) (Iz 60, 1). [↑](#footnote-ref-250)
251. Zawieja śnieżna. [↑](#footnote-ref-251)
252. Z artykułu (W. Parchomienko, A znakomyje wsie lica) ogłoszonego 12 września 1970 w „Celinogradskiej Prawdzie” dowiadujemy się, że: „Ze wsi Michajłówka emilczyńskiego rejonu, żytomierskiego obwodu, przyszło do Celinogradu pismo od J. Bielaka z prośbą, żeby mu pozwolono zabrać do siebie «rodzonego wujka» Alojzego Kaszubę”. Tekst artykułu w tłumaczeniu polskim zob. Włóczęga Boży, s. 247-9. Owego Józefa Bielaka, organistę, wspomina J. Kuczyński, o. c, s. 66. [↑](#footnote-ref-252)
253. O. Zygmunt (Michał Nestorowski 1915-1966), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 100-2; o. Romuald (Józef Szczałba, ur. 1915) kapucyn. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 328-9. [↑](#footnote-ref-253)
254. Pod tą datą o. Serafin niczego nie zapisał. [↑](#footnote-ref-254)
255. Trudno powiedzieć, że o. Serafin był poetą. Niemniej te nieliczne wiersze, które się zachowały, pozwalają domniemywać, że gdyby miał czas i warunki, pozostawiłby - być może - też i poetycką spuściznę. Młodzieńcze wiersze pisywał już w szkole podstawowej (do czego - jak wspomina -zachęcała go siostra Maria), potem w gimnazjum próbował „bawić się w poetę”. Jako młody kapłan i student polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim pod wrażeniem poezji wieszczów, szczególnie Słowackiego, w skrytości - lękając się krytyki współbraci - podejmował jakieś próby poetyckie. Z tego jednak czasu nie zachował się żaden jego wiersz.

     Okres „wołyńskiej odysei” nie sprzyjał twórczości poetyckiej. Z tego czasu zachowały się tylko dwa wiersze poświęcone zmarłej 13 sierpnia 1956 r. Annie Dynakowskiej. Jako chronologicznie najwcześniejsze, umieszczamy je na początku tej części książki. Do pisania wierszy powrócił w czasie przymusowego pobytu w zakładzie dla nieuleczalnie chorych w Małej Tymofijewce w Kazachstanie. Okoliczności, w jakich się znalazł, nie nastrajały do pisania poezji, jednak wierszem usiłował wyrażać ból swej duszy i szarą prozę swego położenia, co opisał dzień po dniu w „Strzępach”, gdzie również zanotował część wierszy. Inne zapisał na dwóch oddzielnych kartkach. To - chronologicznie rzecz ujmując - druga grupa wierszy. Trzeba je czytać razem ze „Strzępami”, bo wzajemne odniesienia są tu aż nadto wyraźne. Niekiedy wręcz wiersze są inną formą zapisu danego wydarzenia. Nad niektórymi pracował, jak świadczą o tym dwie redakcje wiersza *Oni wiedzą, że nas dręczą bezprawnie...* Wyrastały one z wewnętrznej potrzeby tworzenia, którą tak opisuje w „Strzępach” w notatce z 20 stycznia 1967 r.: „Opętały mnie rymy. Nie jest to poezja, ale właśnie rymy czy asonanse. Chodzą za mną natrętnie i brzęczą jak osy, w dzień zawracają głowę, w nocy spać nie dają. Może to jakiś tajny duchowy niedosyt i marzenia dzieciństwa późno powracają”.

     Z późniejszego okresu pochodzi zwrotka do znanej obozowej kolędy zaczynającej się od słów: *Nie było miejsca dla Ciebie...* oraz wiersze wpisane do dzienniczka p. I. Gorbań z lat 1975-1977. Ostatni wiersz napisał chyba krótko przed śmiercią.

     Rękopisy wierszy wpisanych do dzienniczka p. I. Gorbań stanowią prywatną własność; pozostałe znajdują się w Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie. W niniejszym tomie przedrukowano je wiernie bez żadnej ingerencji wydawcy, z wyjątkiem wierszy zapisanych w „Strzępach”, które ujęto w wersy. [↑](#footnote-ref-255)
256. Zob. przyp. 91. Drugi z wierszy zapisany został na odwrocie amatorskiej fotografii przedstawiającej zmarłą złożoną w trumnie. [↑](#footnote-ref-256)
257. Por. s.115. W innym miejscu o. Serafin zapisał odmienną nieco redakcję tego wiersza. Oto ona:

     *Oni wiedzą, że mnie dręczą bezprawnie*

     *Lecz dla takich jak ja nie ma prawa*

     *Oszukują i kłamią jawnie*

     *To nie z ludźmi lecz z szatanem jest sprawa.*

     *A Ty Boże wciąż czekasz cierpliwie*

     *Twoje młyny jak powoli mielą*

     *Wejrzyj na lud żałośliwy*

     *Kiedyż przyjdzie dlań chwila wesela?* [↑](#footnote-ref-257)
258. J. w., s. 115. [↑](#footnote-ref-258)
259. J. w., s. 115. [↑](#footnote-ref-259)
260. J. w., s. 115. [↑](#footnote-ref-260)
261. J. w., s. 116. [↑](#footnote-ref-261)
262. J. w., s. 116. [↑](#footnote-ref-262)
263. J. w., s. 117. [↑](#footnote-ref-263)
264. J. w., s. 11. [↑](#footnote-ref-264)
265. Wedle relacji naocznego świadka p. Ireny Zappe ze Lwowa o. Serafin natychmiast po usłyszeniu tej znanej kolędy zaimprowizował tę właśnie zwrotkę. [↑](#footnote-ref-265)
266. Wiersze wpisywane były do pamiętnika p. Ireny Gorbań, mieszkającej we Lwowie, zapewne w różnych okresach czasu. Dwa z nich są datowane, jeden sygnowany imieniem zakonnym. Wydawcy nie mają pewności, czy właściwie odczytali wiersz IV, ponieważ rękopis jest wyjątkowo trudny do odczytania. [↑](#footnote-ref-266)
267. O. Serafin pozostawił po sobie również zapiski, prowadzone w formie dziennika, z pobytu we wrocławskim szpitalu. Nazwał je *Refleksjami...* Dziennik ten obejmuje bardzo krótki okres (od 22 czerwca do 7 lipca 1969 r.) leczenia, kiedy to przygotowywano go do operacji płuc. Po operacji i ciężkich dniach pooperacyjnych jeszcze dwukrotnie powrócił do swego dziennika: 13 i 24 października tegoż roku w zasadzie tylko po to, by opisać („żeby się ten fakt nie wymknął pamięci”), że od chwili operacji i po zupełnym odzyskaniu przytomności odezwały się „Głosy [...], jakby z daleka brzmiące śpiewy eucharystyczne lub maryjne”. Potem już więcej do notowania swoich refleksji nie powrócił. Dodatkowo bez dat dziennych zapisane zostały jeszcze dwie refleksje. Jedna - związana ze szpitalną lekturą „Znaku Jonasza” T. Mertona - służyć może badaczom życia wewnętrznego o. Serafina; druga - nie dokończona - o br. Leonie może wskazywać na wzorce wybrane przez o. Serafina do naśladowania.

     Zachowały się one w Archiwum Prowincji Krakowskiej OO. Kapucynów w Krakowie w rękopisie na 8 dwustronnie zapisanych kartach papieru formatu A-4, s. 1-11 + 5 stron nlb. [↑](#footnote-ref-267)
268. Dr Julian Winkler - ordynator specjalistycznego Szpitala Gruźlicy i Chorób Płuc we Wrocławiu w okresie leczenia o. Serafina. Zob. Włóczęga Boży, s. 232-244. [↑](#footnote-ref-268)
269. Jan Pompowski, siostrzeniec o. Serafina, wraz ze swoją małżonką - troskliwi opiekunowie podczas pobytu o. Serafina w szpitalu. [↑](#footnote-ref-269)
270. O. Fabian Szuba, wówczas prowincjał wrocławskich OO. Bonifratrów; pracował w szpitalu wymienionym w przyp. 268 [↑](#footnote-ref-270)
271. O. Achilles (Stanisław J. Mazurkiewicz, ur. 1919), kapucyn. Spowiednik o. Serafina. Zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 63-64. [↑](#footnote-ref-271)
272. T. Merton, Znak Jonasza, Kraków 1962 [↑](#footnote-ref-272)
273. Szpital, w którym leczono o. Serafina, znajduje się we Wrocławiu przy ul. Grabiszyńskiej, na której końcu jest duży cmentarz centralny zwany „Grabiszyńskim”. Jest też we Wrocławiu cmentarz centralny zwany „Osobowickim”. [↑](#footnote-ref-273)
274. Emilia Preisner - przybyła w odwiedziny parafianka z Kazachstanu. [↑](#footnote-ref-274)
275. Nie nam, Panie, nie nam... (Ps 115, 1). [↑](#footnote-ref-275)
276. Kąty Wrocławskie - miejscowość pod Wrocławiem. [↑](#footnote-ref-276)
277. Z. Kossak-Szczucka, Szaleńcy Boży, Warszawa 1957. Cytatu nie udało się umiejscowić. [↑](#footnote-ref-277)
278. Kazimierz Pompowski - siostrzeniec. [↑](#footnote-ref-278)
279. Leonard Bober, kapucyn - brat zakonny z klasztoru we Wrocławiu, opiekujący się o. Serafinem. [↑](#footnote-ref-279)
280. Maria Demurczy, żona Izydora, Turka z pochodzenia, mahometanina, który ochrzcił się przed ślubem z katoliczką Marią. Wraz z synem Ryszardem bardzo życzliwie opiekowali się o. Serafinem. Po repatriacji z Równego, gdzie mieli cukiernię, osiedlili się w Świdnicy na Dolnym Śląsku i tam zmarli. Zob. też Włóczęga Boży, s. 116. [↑](#footnote-ref-280)
281. Tytułu dzieła nie udało się ustalić. Być może jest to: Pierre Chaignon, Rozmyślania dla kapłanów, czyli droga do świętości kapłana, Warszawa 1893. [↑](#footnote-ref-281)
282. J. Śpiewak, Przyjaźnie i animozje, Warszawa 1965, s. 167-217, w rozdz. pt. „Zuzanna, gawęda tragiczna”. [↑](#footnote-ref-282)
283. J. Bielatowicz w szkicu „Wielka przygoda życia. O poezji Kazimierza Wierzyńskiego”. [W:] Literatura na Emigracji, Londyn 1970, s. 164-188 (na s. 171 używa słowa „biologizm”). Nb. J. Bielatowicz wspomina o. Serafina w gawędzie pt. „Gaudę Mater Polonia”, Paryż 1964, s. 62. [↑](#footnote-ref-283)
284. Wysłannik szatana... (2 Kor, 7). [↑](#footnote-ref-284)
285. Z żargonu lwowsko-zamarstynowskiego - określenie niskiego, grubawo-przysadzistego mężczyzny. [↑](#footnote-ref-285)
286. Nawiązanie do składanych choremu w dniu 12 października, w uroczystość św. Serafina, kapucyna, życzeń imieninowych. [↑](#footnote-ref-286)
287. O. Euzebiusz (Józef Kawalla, 1917), kapucyn. Przełożony klasztoru wrocławskiego podczas pobytu o. Serafina w tym mieście. Zob. J. L. Gadacz, o. c. I, 553-4. [↑](#footnote-ref-287)
288. Odwiedziłem w tym czasie o. Serafina. Pacjent czuł się już znacznie lepiej, rozmawiał z pełną świadomością, był bardzo spokojny i w pewnym momencie zapytał mnie, czy słyszę rozlegające się dokoła śpiewy i przepiękną muzykę. Byłem zaskoczony tym pytaniem. Nie słyszałem żadnej muzyki ani śpiewów, na sali była cisza. Sądziłem, że jest pod działaniem leków i pominąłem pytanie bez odpowiedzi, a o. Serafin więcej nie podjął tego tematu. [Relacja o. Hieronima Warachima]. [↑](#footnote-ref-288)
289. O. Bolesław (Jan Wojtuń, 1910-1969), kapucyn. Zob. J. L. Gadacz o. c. II, s. 429-31. [↑](#footnote-ref-289)
290. O. Laureano (Martinez Alvarez Delfin, 1890-?), kapucyn (zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 49-50); O. Justus (Ondarra Altuna Jose  
     Maria (1895-1961), kapucyn (zob. J. L. Gadacz, o. c. II, s. 134-5). Wykładali w Studium Fil.-Teol. OO. Kapucynów w Krakowie w latach  
     trzydziestych. Zob. też Włóczęga Boży, s. 47-63. [↑](#footnote-ref-290)
291. Na tym się urywa rękopis. [↑](#footnote-ref-291)
292. Przepisany dosłownie ostatni fragment książki T. Mertona „Znak Jonasza”, Kraków 1962, s. 333-4. [↑](#footnote-ref-292)
293. W jednym momencie, w mgnieniu oka (1 Kor 15, 52). [↑](#footnote-ref-293)
294. Zob. Włóczęga Boży, rozdział pt. *Powołanie,* s. 42-4. [↑](#footnote-ref-294)
295. Na tym rękopis się urywa. [↑](#footnote-ref-295)